

Tomáš Bartoš

Najemnicy

Žoldnéři

Tłumaczył
Kossakowski Andrzej



Brama zaczęła się z wolna unosić, w podczerwieni widzieli ciemny pas pojawiający się pod jej dolną krawędzią. Za bramą temperatura była o czterdzieści kelwinów niższa niż w środku. Manometr powoli opadł do wartości półtora paskala.

Stopniowo roztaczał się przed nimi widok, jaki mogli mieć z wnętrza obszernej jaskini tkwiącej w zamrożonym metanie. Z dala połyskiwała linia horyzontu. Niebo było czyste, a jego czerń przypominała aksamit usiany mikroskopijnymi brylancikami.

- Tu są stalaktyty - powiedział Gunner ze zdumieniem.

Pietro włączył reflektor, białe światło odbiło się od dwóch pokrytych kryształkami lodu ciał wiszących u stropu. Zwłoki były nagie, jednym brakowało nóg, a drugim trzech czwartych korpusu, kręgosłup sterczał z resztek ciała niczym ostra piła.

Chorybd podszedł do zwisających szczątków, trzymając broń lufą ku ziemi. Dotknął lepiej zachowanych i przez chwilę przyglądał się twarzy zmarłego.

- Znałem go. Myślę, że znaleźliśmy ludzi Reinharda. Przynajmniej dwóch z nich.

- Kurwa, kurwa, kurwa. To całkiem jak w tej zaszrannej Afryce, kiedy wszyscy powariowali i ogłosili ludożerstwo za część obrządku - klął Pietro. - Powinniśmy jak najszybciej wracać, majora to cholernie zainteresuje.

Bez słowa cofnęli się w głąb korytarza, zamknęli bramę i ruszyli w drogę powrotną, idąc jeszcze ostrożniej niż poprzednio.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LĄDOWANIE

Gunner włożył do ust solidną porcję tytoniu i zaczął pracować kanciastymi szczękami, aż mu grały żuchwy. Przez cały czas trwania lotu przestrzegał przepisów jak smarkaty kadet. Ale dobrze wiedział, że w module lądownika, na orbicie przebiegającej trzydzieści tysięcy kilometrów od powierzchni Plutona, żaden oficer statku kosmicznego nie mógł mu podskoczyć.

Sprężone powietrze zasyczało, komory zamykały się jedna za drugą. Brassi, jakby na komendę, wyjął z kieszeni małe pudełko, przyczepił je do zakrzywionej ścianki i z głośnika popłynął głośny rock and roll. Automatycznie potrząsał głową do rytmu, sprawdzając mapę wyświetloną na monitorze przez WPCE. Było to standardowe wyposażenie, którego pełna nazwa brzmiała: War Personal Computational Equipment. Przeznaczone dla każdego, choć nie każdy umiał korzystać ze wszystkich jego możliwości.

Kuzmin siedział z zamkniętymi oczami, bez końca pociągając nożem po wykonanym ze specjalnej tkaniny pasie miotacza granatów. Klinga została sporządzona z czystej ceramiki, która w ogóle nie wymagała ostrzenia. Co więcej, mimo że pochwę przypiętą na udzie wykonano z nadzwyczaj odpornego materiału, to jednak w próżni bardzo ostry nóż przedstawiał pewne niebezpieczeństwo.

Uderzenie stali o stal zatrzęsło kabiną, po chwili oczekiwania rozbrzmiał ostry, zgrzytliwy dźwięk ocierania się kilu lądownika o metalowe dno. Spice uniosła głowę, błękitne zabarwienie jej oczu zdradzało, że znów śledzi którąś ze swoich symulacji komputerowych.

- Partacze, wypuścili nas podczas zmiany wektora. Trochę im zadrapiemy farbę - stwierdziła, odpinając przymocowaną rzepem do skafandra kaburę z pistoletem i mocując ją do oparcia fotela. To była jedyna oznaka, że oczekiwała czegoś innego niż gładkie lądowanie.

Brugger sprawdził wyposażenie leżące między fotelami na podłodze, głównie ciężką broń i zasobniki energii. Wszystkie pasy były mocno zapięte, tak jak i zamki magnetyczne. Szybkostrzelny karabin elektromagnetyczny, swoją broń osobistą, trzymał na kolanach. Twierdził, że pewnego razu o mało nie stracił życia, ponieważ nie miał broni pod ręką, i nie zamierzał już powtórzyć tego błędu.

- Zapłon - odezwał się Kovacs przez interkom. - Trzymajcie kapelusze, pojedziemy z górki, prosto na dno studni grawitacyjnej Charon - Pluton. Takiej jazdy jeszcze nie przeżyliście.

O Kovacsu mówiono, że potrafi pilotować nawet pocisk kierowany. Dziesięciu członków komanda szturmowego już kilka razy się o tym przekonało. W odróżnieniu od taktycznych planistów misji tajne lądowanie na kontynencie, pozostającym pod władaniem koncernu Byutech, uważali za fraszkę.

Kabina zatrzęsa się od dzikich wibracji, do uszu wdzierał się hałas silników spalających płynny wodór.

- Śpieszy się, musi nas utrzymać w cieniu Charona - Spice skomentowała ryk silników.

Pietro nachylił się blisko ku Chorybdowi, jego śniada cera mieszkańca okolic Morza Śródziemnego wydawała się prawie biała w porównaniu z hebanową skórą ogromnego Murzyna.

- Kiedy przed odlotem zabawiałem się z kobitkami, powiedziałem jednej blondynie, że jeśli nadal będzie w tym lokalu, to po powrocie pokażę jej, jak się to robi w stanie nieważkości. A ona mi na to: dobra, dam ci zniżkę.

Chorybd odwrócił się do kompana i poważnie spojrzał na niego niewinnie wyglądającymi oczami.

- Ale na Ziemi trudno ci będzie pokazać, jak to się robi w nieważkości. Co więcej, Spice ci nie da, a nikogo innego do pieprzenia tu nie znajdziesz. A o ile wiem, nie masz doświadczenia.

- No właśnie, i o to chodzi! - zasępił się Pietro.

Chorybd zastanawiał się przez chwilę, a następnie wykrzywił usta w uśmiechu. Zaraz potem obaj głośno zarechotali.

Gunner splunął na podłogę, silniki jeszcze bardziej wzmocniły ton, światła przygasły. Kovacs włączył maksymalną moc.

- Za chwilę będzie nam gorąco, chociaż na dole jest minus dwieście trzydzieści pięć stopni. A prognozy mówią, że w najbliższych dniach się nie ociepli. Schodzimy, nałóżcie hełmy - przemówił do komanda McBane. W głosie majora było tyle emocji, co ciepła w arktycznym lodowcu.

Światło zamigotało, z żółtej zmieniło barwę na pulsującą czerwień, a walcowata kabina z dwunastoma ludźmi przypiętymi do obszernych foteli ustawionych naprzeciw siebie

wydawała się teraz jeszcze ciaśniejsza i przypominała trumnę.

- Dlaczego jesteś właśnie tutaj? - mężczyzna siedzący po lewej stronie, jedyny, który nie nałożył dotąd hełmu, usiłował przekrzyczeć hałas silników.

Spice spojrzała na niego i skrzywiła się.

- Zapytaj, jak będziemy na dole.

Mocowanie hełmu zaskoczyło, kontrolki na oparciu fotela zamrugały i jedno po drugim zapaliły się zielone światełka. Podtrzymujące życie funkcje skafandra były włączone.

I Spice, i pozostałym nie podobało się, że mają między sobą nowicjuszy, ale był to jeden z podstawowych warunków kontraktu podpisanego przez majora. Złościło ją, że ten głupek upatrzył sobie właśnie ją. Zapewne przypuszczał, że kobieta będzie najprzystępniejsza i skora do konwersacji. Specjalnie jej to nie uraziło, ale w ten sposób Frederick Backsyht w jej oczach spadł jeszcze niżej. Powinien porządnie przygotować się do pracy, przeczytać dane członków wyprawy, które udostępnił mu zleceniodawca misji. Wiedziałby wtedy, że Spice jest z natury małomówna, a już szczególnie w przypadku nowicjuszy. Z równym skutkiem mógł szukać zwłok w pustym grobie.

Drugi facet, którego z sobą ciągnęli, siedział przynajmniej cicho i jak dotąd wydawał się w porządku. Był specjalistą najwyższej klasy, a Spice wiedziała, że po wypełnieniu zadania będzie potrzebny ktoś, kto dokona konserwacji urządzeń technicznych. O nie właśnie głównie chodziło. Backsyht był tylko wrzodem na tyłku.

Zmniejszyła powiększenie, rozszerzając kąt widzenia hełmu, i obrzuciła wzrokiem pozostałych członków wyprawy. Wszyscy byli już przypięci, masywny Woroszyłow, ściśnięty pasami, starał się przesunąć małym palcem dłoni w rękawicy figurkę na maleńkiej szachownicy przyczepionej do kolana. Nie dał się przekonać i nigdy nie grał w szachy z komputerem. Zamiast tego w nieskończoność rozgrywał partie starych mistrzów.

„Dziwny facet” - pomyślała Spice. Może miało to coś wspólnego z tym, że był Rosjaninem. Z drugiej strony można było na nim polegać we wszystkich sprawach. Backsyht nadal walczył z hełmem i nie był jeszcze gotowy.

- Jeśli dopisze nam szczęście, nie przeżyje lądowania - rzuciła na wolnym kanale.

- Cóż to, Spice, już próbował sięgnąć ci pod sukienkę? - zatroskał się Gunner, a jego uwaga wywołała wybuch śmiechu Pietra.

- Jeszcze ma wszystkie palce w odróżnieniu od ciebie - odcięła się jadownicie.

Przeciążenie wgniotło go w fotel, zanim zdążył odpowiedzieć.

Brassi uważnie obserwował wskaźnik przeciążenia wyświetlany na holomonitorze. Półtora g, dwa g, dwa i pół g. Bez wspomagania nie mógł już unieść ręki, a oddychanie

stawało się coraz trudniejsze. Silniki huczały, w każdej sekundzie zużywając setki kilogramów cennego paliwa. Zbliżali się do Plutona po standardowej trajektorii frachtowców zaopatrzeniowych, przylatujących z ładunkami z zakładów produkcyjnych koncernu na Tytanie. Teraz powinni błyskawicznie przemknąć obok Charona, księżycy Plutona mającego średnicę wielkości mniej więcej połowy średnicy planety. Później, ukryci pośród roju meteorytów, powinni opuścić się na powierzchnię. Brassi zastanawiał się, czy rój meteorytów znalazł się tam przypadkiem, a tacycy SONICBM-u postanowili to wykorzystać, czy dysponowali tak zaawansowaną technologią, że zdołali go jakimś sposobem wywołać. Cztery g, huk silników osiągnął fortissimo, krew zaczęła odpływać z mózgu, liczby na monitorze zamazały się, aż w końcu pole widzenia zupełnie ściemniało. Gdy odzyskał świadomość, stwierdził, że są w stanie nieważkości. Oznaczało to, że znajdują się na właściwej trajektorii zbliżania.

Brassi wyćwiczonym ruchem źrenic i akomodacją soczewek aktywował HID - Human Interface Device - i z jego pomocą podłączył WPCE do systemów lądownika. HID był najpewniejszym i najmniej wymagającym sposobem sterowania każdą techniką, hardware'em i software'em. Obraz sytuacji wyświetlał się wprost na siatkówce oka, przy pomocy miniaturowych implantów lub zewnętrznych kamer zamontowanych w okularach, w daszku czapki czy przezierniku hełmu, jak kto wolał. Całe sterowanie odbywało się jednak za pośrednictwem oczu.

Brassi cmoknął z zadowoleniem, wreszcie uzyskawszy dostęp do pełnego sterowania lądownikiem. Na tle obrazu jego zmniejszonego wnętrza pojawiła się szybko rosnąca biała kula, usiana tu i ówdzie ciemnymi plamami. Rzadka metanowa atmosfera Plutona, sięgająca wysokości trzech tysięcy metrów, zaczęła niszczyć nadlatujące meteoryty. Najniżej lecące rozgrzewały się skutkiem tarcia, spowalniając lot, a te z nich, które zawierały tlen związany przez lód, eksplodowały nagle pośród oślepiających rozbłysków, kiedy tlen w połączeniu z metanem tworzył mieszkankę wybuchową.

Na wysokościomierzu pojawił się na chwilę odczyt „tysiąc kilometrów”, na automatycznie podawane meldunki nałożył się łoskot spowodowany przelotem przez jonosferę. Spadali na powierzchnię planety tylko nieco wolniej niż przyhamowywane przez rozpad meteoryty. Brassi przełączył obraz na schematy ruchowe lądownika, obserwując świecące na czerwono symbole pomp przygotowanych, aby wtrysnąć tony paliwa do komór spalania. Mieli zaledwie kilka sekund, żeby wyhamować do pięciu machów i przejść do lotu ślizgowego.

- Hamujemy - odezwał się pełen szczerej radości głos Kovacsa.

Świadomość Brassiego zatrzepotała jak świeca na wietrze, deceleracyjne wkładki skafandra pracowały z wydajnością stu dziesięciu procent mocy nominalnej. Przez kilka długich chwil przeciążenie osiągnęło wartość ponad dziesięciu g. Tylko Gunner i Woroszyłow nie stracili przytomności. Gunner z uwagą przyglądał się przytwierdzonej do podłogi broni, jakby przeciążenie mogło jej zaszkodzić bardziej niż ludziom. Woroszyłow ponuro spoglądał na miniaturowe figurki spadające z szachownicy.

- Wysokość tysiąc pięćset metrów, temperatura zewnętrzna czterdzieści pięć kelwinów. Utrzymujemy się na dolnej krawędzi warstwy inwersyjnej w korytarzu pomiędzy wysokimi wałami Griuevic i Staso. Kończę rozkazy operacyjne - powiedział Kovacs przez interkom. - Nic nie wskazuje na to, żeby nieprzyjaciel nas dostrzegł.

Kuzmin pokiwał głową z zadowoleniem. Teraz podróż przypominała lot samolotem, a nie dbał o to, że nie leci nad Ziemią, która właściwie niewiele dla niego znaczyła. Karierę rozpoczął jako jeden z górniczych powstańców na Księżycu. Przedostał się przez kanały wentylacyjne i szyby, o których istnieniu nawet główny inżynier nie miał pojęcia. W brutalny sposób wymusił posłuszeństwo członków Zarządu Stłumienia Strajku. Nie skazali go, ponieważ obrońca udowodnił, że menadżerowie mianowani przez firmę zdecydowali się wysadzić w powietrze pokrywy nad niektórymi mniejszymi szybami, powodując w ten sposób dekompresję na dole i śmierć wszystkich znajdujących się w tym sektorze. Spółka wydobywcza została zmuszona do refundacji jego wynagrodzenia z dwukrotnym bonusem. Ani korzystny wyrok, ani pieniądze, ani krótka popularność nie obchodziły go zbyt wiele. Ale otrzymał kilka interesujących propozycji. Wybrał jedną z nich, pomyślnie wykonał postawione przed nim zadanie i co ważniejsze - przeżył. Powtarzało się to później wielokrotnie. Nie był już młodzieniaszkiem polegającym na intuicji, wrodzonej inteligencji i znakomitej koordynacji. Należał do tysiąca najlepiej opłacanych najemników korporacji na całym świecie. Teraz szykował się do lądowania na Plutonie. Przez chwilę przypominał sobie miejsca, w których już był. Prawdę mówiąc, nowe miejsca poznawał z radością.

- Schodźcie dalej korytarzem - odpowiedział Kovacsowi major. - Tu William Alva McBane, koncesjonowany najemnik, numer dwanaście-trzydzieści pięć-osiemdziesiąt dziewięć. Nasze współrzędne są następujące - kontynuował mechanicznym głosem, przyjętym dla zapisów w dzienniku pokładowym i w czarnej skrzynce lądownika, odczytując serię liczb określających ich położenie w Układzie Słonecznym.

Nagle, bez ostrzeżenia, zabrzmiały dziesiątki alarmów, elektronika wszystkich

podstawowych obwodów zgłaszała totalne przeciążenie. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, chaos ucichł, przyrządy powróciły w pasma zielonej barwy, jakby nic się nie wydarzyło. Spice niepewnie popatrzyła na pozostałych. Była ekspertem od systemów bojowych i spraw z nimi związanych, ale nigdy nie spotkała się z czymś podobnym. Reakcja obwodów elektronicznych lądownika wyglądała tak, jakby system został porażony trąbą powietrzną o wielkiej sile.

- Jeśli słyszy pan mój głos, majorze, oznacza to, że wraz ze swoim oddziałem dotarł pan na Plutona w obszarze kontynentu pozostającego we władaniu korporacji Byutech - nieoczekiwanie odezwał się głos dziedzicznego głównego szefa koncernu SONICBM.

Spice znów popatrzyła na wszystkich członków wyprawy. Nikt nie okazał zdziwienia, zresztą tak samo jak i ona. Ten meldunek był najwyraźniej częścią ich zadania.

- Właśnie otworzył się przed panem dostęp do ostatnich tajnych danych potrzebnych dla pomyślnego zakończenia misji. Życzę panu i pańskim ludziom dużo szczęścia.

Głos szefa zamilkł i ukazała się mapa z punktem zaznaczonym u podnóża górskiego wału.

- Mam współrzędne - potwierdził Kovacs w chwili, gdy ostry zakręt wgniółł ich w fotele.

- Wylecieliście na misję, nie mając do dyspozycji wszystkich informacji? - histerycznie wybuchnął Backsyht.

- Tak - odpowiedział spokojnie McBane, a dziennikarz nie zdołał stłumić pełnego przestachu sapnięcia.

Kąćki ust Spice zadrgały. To był cały major. Jednym krótkim słowem potrafił usadzić człowieka.

- Złapałem fragmenty pulsowania radaru dopplerowskiego, tryb pasywny zerowy - Kovacs meldunkiem uciął próby dalszych rozmów.

Posuwali się nisko pod warstwą metanowych chmur, przyrządy optyczne ukazywały im równinny, poprzecinany pęknięciami teren pomiędzy równoległe biegnącymi wałami górskimi. Kraina miała kolor i strukturę niestarannie przyrządzonych ciasteczek, pokrytych warstwą pleśni; biel szła o lepsze z szarością, metanowo-azotowy lód można tu było znaleźć we wszystkich odmianach.

Radar stopniowo ukazywał dolinę wcinającą się w masyw Griuevic, dokładnie w miejscu podanych współrzędnych. Kovacs wydał rozkaz, na skraju holomonitora przelewały się kolory, w miarę jak komputer pokładowy zmagął się z jego poleceniem i aerodynamiką.

Następnie z wyczuciem pilota, którego intuicja wyprzedza wynik obliczeń, na moment poluzował stery - niestabilność aerodynamiczna, na której wyrównanie potrzebna byłaby część rezerwy paliwowej, minęła, system *fly by wire* wszedł do pracy i lądownik posłusznie skierował się pomiędzy strome ściany.

- To wszystko jest z lodu, a mimo tego te górki są dość niebezpieczne - oznajmił Kovacs i wzniosł maszynę o sto metrów. Dolina zwężała się, równe dno zniknęło, zamieniając się w chaos lodu potłuczonego naciskiem przesuwających się lodowców.- Tu grawitacja jest dwadzieścia pięć razy większa od standardowej - powiedział McBane. - Jeśli nas pan dostarczy dziesięć kilometrów dalej, zaoszczędzi nam to roboty.

Kovacs zastanowił się, skąd dowódca czerpie dane, ale używał przecież własnego HUD-u.

- Żaden problem, majorze - rzucił zadowolony.

Zabrzmiął cichy dźwięk ostrzeżenia, mignęła ikona kontaktu laserowego.

- To mogło być fałszywe echo. Wszystkie parametry, co do jednego, znajdują się poniżej limitów - powiedział Kovacs, rzucając okiem na przyrządy.

Lecieli teraz ze zmniejszającą się prędkością poniżej pięciuset kilometrów na godzinę, silniki dawały zmienny ciąg, zużywając ostatnie kilogramy paliwa.

- Zgłasza się baza, nasz cel - objaśnił McBane. - Zainstalowali tam specjalne urządzenie lokacyjne.

Kolejne brzęknięcie.

- Lepiej usiądźmy tutaj. Nie wiem, jak dobre jest tutejsze AI. Jeśli nieprawidłowo odczyta nasz kod i źle dokona identyfikacji... - nie dokończył zdania.

Silniki zawyły i wsteczny ciąg wprawił całą konstrukcję w drżenie, maszyna zaczęła powoli opadać. W miarę zbliżania się do powierzchni płonące gazy z dysz wylotowych topiły zamrożony metan i wokół wzniosły się tumany białej pary.

- Radar lądowania szwankuje, wskazania są bardzo niestabilne - zameldował Kovacs.
- Wybiorę jakiś punkt w pobliżu i wyląduję na wycucie.

Fincher nerwowo bębnił palcami po sprzączce pasa bezpieczeństwa. Czuł, jak lądownik chwieje się i powoli opada. Wiedział, co się dzieje. Gorące gazy wylotowe silników roztopiały lodową powierzchnię pod nimi, a oni usiłowali wylądować we wrzącej mieszaninie złożonej z metanu, azotu, tlenku węgla oraz kilku innych gazów. W razie niepowodzenia mogli opaść gdzieś na dno i zostać zasypani przez błyskawicznie tworzące się kryształki zamrożonego gazu, łączące się ze starym lodem. Zostaliby tam do końca swych dni, co w tym

przypadku nie potrwałoby długo.

- Wysuwam wsporniki - zabrzmiał głos Kovacs.

Kabina zatrzęsała się tak mocno, że odczuł to nawet przez obicie fotela. Skrzypienie i tarcie stali o stal budziło obawy, że cały moduł tnie jakiś gigantyczny skalpel.

- Trochę przymarzły, musiałem podnieść ciśnienie hydrauliki, nic takiego się nie dzieje - poinformował ich Kovacs.

Fincher skrzywił się. Przypomniawszy sobie, jak Kovacs wymógł na technikach SONICBM-u, żeby cały system hydrauliczny lądownika przerobili na sprawniejszy. Ten facet po prostu miał nosa. Przymknął oczy i wyobraził sobie, jak długie na piętnaście metrów stalowe wsporniki, zdolne do zachowania pewnej sprężystości nawet w temperaturze kilku stopni powyżej zera absolutnego, wsuwają się w głąb szybko sublimującego lodu, do chaosu molekuł, które w superniskim ciśnieniu i temperaturze nie miały możliwości zamienić się w ciecz. Ochładzały się błyskawicznie i opadały na dno mroźnego piekła.

Był zdenerwowany i zdawał sobie z tego sprawę. Sytuacja stawała się niebezpieczna, a on nie miał na nią wpływu. Spojrzał na Woroszyłowa. Milkliwy Rosjanin znów rozstawił figurki na szachownicy i z uwagą pochylał się nad grą. Pietro zdawał się drzemać, Brassi odczytywał coś z konsoli i zajmował się komputerem pokładowym. Wszyscy oprócz Backsyhta i Edwarda Wellera byli zupełnie spokojni. Fincher przypomniał sobie pierwszą akcję, w której brał udział w składzie zespołu majora. Podejrzywał wtedy, że współtowarzysze są ograniczeni, co nie pozwala im na uświadomienie sobie skali niebezpieczeństwa. Później, gdy został stałym członkiem zespołu, przekonał się, że nie miał racji.

Moduł drgnął, wydawało się, że stanął, ale w chwilę później zaczął powoli, nierównomiernie opadać, jakby pogrążał się w bagnie. Tyle że oni naprawdę wpadli w bagno.

- Nie przeżyjemy tego, nie przeżyjemy. Bez pasa lądowania to wszystko jest bez sensu - biadolili Backsyht.

Fincher skrzywił się. Dziennikarz bezwiednie uruchomił zewnętrzny kanał komunikacyjny i teraz słyszeli go wszyscy. Wyłączył się i przyjrzał wskazaniom czujników lądownika, sprawdzając przy tym, kto jeszcze je śledzi. Weller, Brassi i - co zrozumiałe - Kovacs oraz Spice.

- Tak, teraz leżymy na brzuchu - usłyszał, jak kobieta mruknęła sama do siebie.

Silniki zamilkły, moduł zakołysał się i dalej opadał, nie natrafiając na nic, co mogłoby go zatrzymać. Fincher przełknął gorzką ślinę, wyobrażając sobie głębię, do której z wolna, ale nieodwracalnie się osuwali. Później usłyszał przeraźliwe skrzypienie, po którym nastąpił

wstrząs i moduł znieruchomiał.

Wstrzymał oddech, jakby mógł on naruszyć delikatną równowagę modułu. Z pewną satysfakcją stwierdził, że wszyscy znieruchomieli tak samo jak on.

- Stoimy - zameldował zadowolony Kovacs. - Wszystko wokół nas już zamarzło.

Fincher opadł na oparcie fotela i rozluźnił się. Zauważył, że Spice patrzy na niego. Wyłączyła widzenie holograficzne i mógł dostrzec jej twarz.

- Było ciekawie, no nie? - Zaśmiała się.

Ten uśmiech z powodzeniem mógłby się znaleźć na okładce jakiegoś pisemka poświęconego damskiej modzie. To była jedna z niewielu rzeczy, których nie pojmował - co taka ślicznotka tutaj robi.

- Taa, rzeczywiście - przytaknął z ulgą.

- W porównaniu z drażeniem tunelu na Mount Olimp to cholerna nuda - warknął Gunner. - Doprowadźcie do porządku swoje posrane tyłki, za chwilę wchodzimy do akcji.

Pietro odpiął się pierwszy, wstał z fotela i przeciągnął się.

- O Boże, cały zdrętwiałem od tego siedzenia. Mamy czas na jeden komfortowy numer, nie dałabyś się namówić, Spice?

Mimo skafandra udało mu się wykonać sprośne ruchy biodrami.

Fincher spojrział na termometr wewnętrzny. Major wyłączył system podtrzymujący życie, aby oszczędzić energii. Temperatura zdążyła już spaść do minus dziesięciu stopni.

- Pietro, jeśli rozbierzesz się pierwszy, może dam się namówić - Spice usadziła małego Włocha, na co Chorybł wybuchnął basowym śmiechem.

- Mam już komplet danych operacyjnych. Rozpoczynam briefing - zakończył zabawę McBane.

ROZDZIAŁ DRUGI

DESANT

Kuzmin sprawdził wskaźniki palnika plazmowego. Konieczne było jak najszybsze wycięcie otworu w korpusie modułu. Tapicerka już została zdarta, HID Kuzmina, współpracując z komputerem pokładowym, wyświetlał w jego polu widzenia rozmieszczenie poszczególnych systemów pokładowych, od instalacji elektrycznej poczynając, na sieci światłowodów kończąc. Kuzmin dla pewności przerysował je na ściankę kadłuba. Byłoby kiepsko, gdyby uszkodził przewody paliwowe silniczków korekcyjnych. Kilka kilogramów paliwa na pewno w nich zostało i gdyby wybuchło mu prosto w twarz, nawet skafander by go nie ochronił.

- Zaczynam - oznajmił.

Oprócz Chorybda, który mu pomagał, wszyscy pozostali stłoczyli się w najdalszej części modułu.

Nacisnął spust i poprzez rękawice poczuł delikatne wibracje. Włączył zapłon, tryskająca plazma przyjęła z początku żółtą, a po chwili biało-niebieską barwę. Stanął w rozkroku i zaczął przepalać poszycie kadłuba.

Stopiony metal kapał na podłogę, kadłub głośno trzeszczał. Po dwudziestu minutach pracy pojawiła się warstwa ceramiczna. Zwiększył moc, głośny syk zaskoczył go w pierwszej chwili, ale zaraz się uspokoił - to tylko powietrze uciekało z kabiny na zewnątrz. Pracował dalej aż do momentu, gdy nagle przeziernik helmu pokrył się rosą. Zaskoczony odwrócił się ku pozostałym. Wszędzie kondensował się azot i inne gazy z przechodzącej w stan płynny atmosfery lądownika. Gunner już pieczołowicie wycierał broń.

- Za chwilę zacznę naprawę marznąć - wycedził Kuzmin, zabierając się znów do pracy.

Widział już wiele dziwnych rzeczy, a ta wcale nie należała do najdziwniejszych.

Ponad godzinę zajęło mu wycięcie w kadłubie prostokąta wielkości dwóch metrów na półtora, przez kolejne pół godziny wyglądał wyjście, żeby nikt nie uszkodził sobie skafandra. Sukces nader często zależał od dokładności i dbałości o szczegóły. Kuzminowi nikt nie musiał o tym przypominać. Wreszcie wyłączył palnik, odczekał pięć minut, aż dysza się ochłodzi, i odłożył urządzenie. To on wyciął otwór, więc teraz sam sprawdzi, czy

wszystko w porządku. To jedna z podstawowych zasad w kosmosie. W warunkach niewielkiej grawitacji wystarczyło lekkie odbicie, aby jak wolno wznoszący się balon wypłynął z wnętrza modułu na zewnątrz.

Kiedy tylko znalazł się na powierzchni lądownika, przywarł podeszwami do ceramicznej powłoki i zatrzymał się. Nastawił system optyczny na powiększenie połączone z panoramicznym widokiem bliskiej okolicy w zakresie stu osiemdziesięciu stopni. Wszędzie wokół wznosiły się biało-szare góry, pustka pokryta popękany lodem i czarne niebo usiane gwiazdami. Pustka sprawiała wrażenie wrogiej i Kuzmin wiedziony instynktem dobył pistoletu. Był to specjalny model, pistolet CZ czeskiej produkcji z magazynkiem na sześć naboji kalibru 70 z dwuskładnikowym prochem strzelniczym przystosowanym do używania w warunkach próżni. Był niezawodny we wszystkich możliwych warunkach. Kuzmin nikogo nie widział, ale miał silne wrażenie, że nie jest sam, że ktoś go obserwuje. Może tak na niego działała obcość tego świata. Uważnie rozejrzał się wokoło, sprawdził czujniki skafandra współpracujące z sensorami lądownika. Nadal nic.

- Niech pan melduje, Kuzmin - zażądał McBane.

- Żadnych śladów ludzkiej działalności w polu widzenia, moduł na głębokość trzech czwartych pograżony jest w lodzie, solidnie to stopiliśmy, ale już zamarzło. W dalszej okolicy nadal pada śnieg. Tutaj zakrył wszelkie ślady po lądowaniu, za kilka minut będzie tu wyglądało tak jak dawniej - przekazał Kuzmin. - Mimo panującego spokoju mam uczucie, że w każdej chwili może mi coś skoczyć na plecy. I cholernie mi zimno w nogi.

- Włącz dodatkowe ogrzewanie butów, to one powodują największe straty ciepła - odezwał się natychmiast Brassi. - Widzę cię na systemie diagnostycznym.

Kuzmin przejrzał holopanel sterowania i po chwili znalazł odpowiedni symbol.

- W porządku - stwierdził Brassi.

- Zaczynamy drugą fazę desantu - oznajmił major, wytrącając załogę z pełnego napięcia oczekiwania.

Gunner wyszczerzył zęby, wybrał sporą skrzynkę i ostrożnie przeniósł ją na górę przez wycięty otwór. Nie śpieszył się, każdy jego ruch był starannie przemyślany i wyćwiczony. Wystarczająco długo trenował w warunkach niskiej grawitacji, żeby mieć dobre wyczucie przy manipulowaniu ciężkimi przedmiotami. Komplet rakietowy, który podnosił do góry, ważył na Plutonie około ośmiu kilogramów, ale nadal miał bezwładność odpowiadającą jego ziemskiemu ciężarowi. A to oznaczało, że łatwo można było zmiażdżyć nim komuś zębra. Wyciągnąć kolejne elementy, a później... czynności następowały po sobie w stałym

tempie.

Przytwierdzić główne podpory chassis do podstawy, zatrzasnąć nośnik, sprawdzić zamki, umieścić zespół elektroniczny w wycięciu belki poziomej, zamocować go.

Gunner, montując komplet obronny, pogwizdywał pod nosem. Pomimo pewnej niezgrabności, cechującej każdą czynność wykonywaną w skafandrze, poruszał się jak baletmistrz, którego występ opanowany jest do ostatniego szczegółu.

Nasadzić podajnik rakiet, klik. Gunner zatrzymał się. Kontrolki pokazywały, że wszystko jest w porządku, ale dźwięk, jaki usłyszał, nie był taki jak zawsze. A konieczne było doskonałe połączenie obu elementów. Postukał w podajnik, kontrolka zgasła i znów się zapaliła. Zdjął podajnik i przysunął blisko helmu - niczego szczególnego nie zobaczył. Nastawił pięciokrotne powiększenie, a potem dziesięciokrotne. Dopiero teraz spostrzegł, że bolce kontaktów pokrywa mikroskopijna powłoka metanowego lodu, do której przylepiło się kilka zanieczyszczeń. Gunner wyjął zza pasa pistolet pneumatyczny napełniony czystym argonem, zdmuchnął zanieczyszczenia z kontaktów i ponownie zamocował podajnik.

Wykorzystał swój WPCE i przeprowadził dwa niezależne testy, jeden sterowania systemem broni, a drugi komputerem osobistym. Wszystko było w porządku.

Pochylił się nad wyświetlaczem sterowania i aktywował system. Przez chwilę procesor jego WPCE pracował ze stuprocentową wydajnością, podczas gdy elektronika broni gromadziła dane i przechodziła na pełną kontrolę nad systemem. Serwomotory warknęły, zespół wyrzutni rakiet uniósł się ukośnie do góry.

Gunner wykrzywił twarz w grymasie oznaczającym zadowolenie. Już nie tylko Kuzmin z bronią strzegł bezpieczeństwa, ale wspomagała go przenośna wyrzutnia rakiet, zdolna w ciągu piętnastu sekund wystrzelić dziesięć pocisków kierowanych. Zamontowanych było niestety tylko pięć, ale przecież nie można mieć wszystkiego. Z tym zdążył się już pogodzić.

- Feniks zainstalowany, majorze, ale zgłasza, że na tym mrozie akumulatory wytrzymają tylko sześć godzin - zameldował.

- Zrozumiałem, proszę nastawić tryb półautomatyczny, aby pozostawić pełną kontrolę nad odpaleniem.

- Jasne, majorze.

Gunner nie wiedział, dlaczego major zarządził tryb jak najszybszej gotowości wyrzutni do otwarcia ognia, ale nie przejął się zbytnio. Zadowolony położył palec na spuście. Uważał to za jedną z przyjemności, jakie oferował mu świat.

Backsyht odsunął się na pewną odległość od modułu i włączył nagrywanie.

- Szanowni słuchacze, czytelnicy i widzowie. Wasz Frederick Backsyht zgłasza się z Plutona, najodleglejszej planety Układu Słonecznego. Z najbardziej pustego i najzimniejszego miejsca we wszechświecie, w którym jak dotąd przebywało tylko kilkuset ludzi. Właśnie stanęliśmy na początku najtrudniejszego, najbardziej fascynującego, po prostu niewiarygodnego przedsięwzięcia wszystkich czasów. Wraz ze mną będziecie śledzić losy oddziału profesjonalistów, zwanych najemnikami korporacji. Ich misja jest tak tajna, że rozkazy otrzymują dopiero w momencie, kiedy są niezbędne dla wykonania zadania. Oprócz istoty tego zadania, o którym wiem w tej chwili tyle co wy, spróbujemy znaleźć odpowiedź na pytanie, co ściąga te żądne krwi potwory - obraz twarz Backsyhta zastąpił widok Gunnera stojącego obok wyrzutni rakiet - do miejsca, w którym sama przyroda grozi śmiercią na każdym kroku - kamera ukazywała teraz sterylnie czyste wzgórza lodowe - a prawdopodobieństwo przeżycia jest minimalne, nawet jeśli nikt nie będzie do was strzelał.

Obraz ukazywał pistolet CZ leżący na lodzie.

- Oczekując naszych dalszych spotkań, mam nadzieję, że pozostanę przy życiu.

Wyraz twarzy towarzyszący ostatnim słowom dziennikarza daleki był od reporterskiej pewności siebie, ale Backsyht po chwili wahania pozostawił go bez zmian. Dodawało to całemu materiałowi wiarygodności.

Z rozmyślań wyrwał go cichy, lecz natrętny sygnał dźwiękowy. Monitor połyskiwał na czerwono zgodnie z rytmem popiskiwań. Najpierw przestraszył się, że coś jest nie w porządku z jego skafandrem, ale zdał sobie sprawę, że jakakolwiek awaria wywołałaby dokładną informację o rodzaju uszkodzenia. Zaczął przypominać sobie wiadomości przyswojone w trakcie szkolenia i przeglądał jedno menu po drugim. Metodą prób i błędów stwierdził, że źródło sygnałów tkwi gdzieś w zestawie informacji wojskowych, którym nie poświęcał zbyt wiele uwagi, uważając je za zbyteczne.

W końcu znalazł. Alarm oznaczał, że namierzył go promień lasera. Zdrętwiał, a w chwilę później zląkł się, że zlał się w spodnie ze strachu, jednak nie poczuł w nich wilgoci. Uświadomił sobie, że fizjologia go jednak zawiodła, ale uratował kateter, niezbędny w sytuacji, kiedy człowiek musi wytrzymać ponad dwanaście godzin w skafandrze. Rozejrzał się i dostrzegł jakąś postać stojącą na lodzie w pewnym oddaleniu. Aktywował powiększenie i zdołał przeczytać nazwisko na hełmie. Był to Brugger, który celował do niego z jakiejś broni.

- Co to za głupie dowcipy? - zapytał wewnętrznym łączem.

- Kalibruję dalmierze. Nikt ich jeszcze nie używał przy minus dwustu trzydziestu sześciu stopniach. Ale długo tego nie dostrzegałeś. Już dziesięć razy byłbyś zabity - padła spokojna odpowiedź.

Backsyht zauważył, że Brugger ma obok siebie cały wózek załadowany bronią ręczną i urządzeniami celowniczymi. Stwierdził też dzięki WPCE, że Brugger już wcześniej nawiązał z nim łączność. „Chyba z powodu tej kalibracji” - pomyślał.

- Dlaczego pan się tu znalazł? - skorzystał z okazji i zapytał, używając włączonego przez Bruggera obwodu dualnego.

- Podpisałem kontrakt - odparł obojętnie Brugger, odłożył karabin i uniósł coś wielkiego, przypominającego ręczną armatę.

Backsyht odczytał informację, że mierzy w niego rakietą ThorMin systemu hybrydowego ziemia-ziemia, ziemia-powietrze, przeznaczona do niszczenia obiektów opancerzonych.

- Dlaczego podpisał pan kontrakt? Ta misja ma według klasyfikacji najemników poziom ryzyka A - starał się naprowadzić Bruggera na interesujący go temat. - To najniebezpieczniejszy rodzaj misji, jaki może się zdarzyć.

- To nie jest poziom A, bo ryzyko nie mieści się w tabelce. A dlaczego tak naprawdę tutaj jestem, to gównu cię obchodzi - odparł go zbrojmistrz i wyłączył się.

Backsyht wzruszył ramionami. Z czasem na pewno dowie się więcej. Jego reportaż zostanie uznany za rzetelny dopiero po powrocie na Ziemię i weryfikacji przez SONICBM. Pewny był, że do tego czasu dowie się wszystkiego od tych nabrzmiałych testosteronem macho.

Złożył statyw kamery, schował reporterskie przybory do pokrowca i szurając nogami, ruszył z powrotem do lądownika. Ogrzewane indukcyjnie buty przytrzymały go wprawdzie na lodzie, ale nie chciał ryzykować skoku, jaki niedawno wykonał Pietro. Najemnik odbił się, wzleciał na wysokość około dwudziestu pięciu metrów i bardzo wolno opadł na powierzchnię. Backsyht wiedział, co umożliwiało tak wysoki skok. Na Ziemi Pietro podskoczyłby najwyżej na metr. Rozumiał, ale nie chciał próbować. Zanim zrobił kolejny krok, upewniał się, że druga noga jest bezpiecznie osadzona na lodzie.

Przy module natknął się na Finchera. Wiedział, że jest on lekarzem oddziału i dlatego nie montował traktorów ani nie sprawdzał broni, ale przeglądał swoje wyposażenie. Reporter miał nadzieję, że z nim łatwiej się dogada. Stanął obok, włączył łączność dualną i odczekał chwilę.

- Jak pan myśli, ile ta cała zabawa może kosztować? - Fincher, o dziwo, odezwał się

pierwszy, przerwał pracę i rozejrzał się dookoła.

Zaskoczony Baksyht milczał. Loty międzyplanetarne na skraj Układu Słonecznego nie należały do wycieczek turystycznych.

- Nie wiem, zapewne kilka milionów - odpowiedział po namyśle.

- To błędna ocena - odparł Fincher. - Podróż automatycznie kierowanego frachtowca z materiałem kosztuje osiemdziesiąt milionów. I to w przypadku lotu po optymalnej trajektorii i z ekonomiczną prędkością. A my jesteśmy wyprawą wojenną o najwyższym poziomie tajności. Razem z technologią, którą mamy do dyspozycji, plasuje to koszty w zakresie od pół miliarda do całego miliarda dolarów. Po tym jak rozcięliśmy nasz moduł, zrozumiał pan, że nasza misja musi zakończyć się sukcesem. W przeciwnym razie nikt z nas nie wróci do domu. I teraz zaczyna pan odczuwać strach.

Baksyht zdawał sobie sprawę, że Fincher mówi prawdę.

- A jeśli nie? - zmusił się do tego pytania. - Jeśli nie mamy żadnej szansy na sukces?

Pogardzał sam sobą za to, że głos mu się trząsał, ale nie był w stanie tego opanować.

- Myśli pan, że ktoś wyda miliard dolarów na nic? - rzucił Fincher i zabrał się z powrotem do pracy.

Baksyht miał ochotę pokręcić głową. Z całą pewnością nikt nie wyrzuca pieniędzy przez okno. Nawet najbogatsi.

- Pan się nie boi? - odważył się zadać jeszcze jedno pytanie.

- Boję się.

- To dlaczego pan tu jest?

- Nic panu do tego.

Z pewnym rozgoryczeniem stwierdził, że od lekarza otrzymał taką samą odpowiedź jak od tępego żołdaka. No dobrze, to tylko jeszcze większe wyzwanie dla jego umiejętności dziennikarskich. Perspektywa oczekującego zadania nieco go uspokoiła.

Nagle bez ostrzeżenia pogorszyła się widoczność. Otoczyła ich biała mgła. Finchera mógł widzieć tylko jako sylwetkę, skafander natychmiast przełączył się na obraz z radaru. Wykorzystując HID, zbierał dane uzyskiwane z pomocą radiowych fal ultrakrótkich oraz długich i składał je w jeden obraz.

- Co się dzieje? - zapytał Baksyht nerwowo na ogólnym kanale.

- Znaleźliśmy się w obszarze wyższej temperatury, metanowy lód taje, a właściwie sublimuje. To może być jakaś miejscowa inwersja, ale zjawisk klimatycznych tego rodzaju nie ma w bazie danych. Odjedziemy, jak tylko zostaną spełnione priorytetowe zadania A oraz B - odezwał się rzeczowy głos majora.

Mgła zgęstniała. Backsyht oparł się o obłą powierzchnię modułu, wydarzenia ostatnich godzin zaczęły mu ciążyć i samopoczucie miał nie najlepsze. Przeleciał dziesiątki miliardów kilometrów i dostał się w miejsce nieróżniące się od Londynu pogrążonego w oparach smogu. Poczł pieczenie w penisie i przypomniał sobie ostrzeżenia lekarzy. Jednym z podstawowych mankamentów używania kateterów było nieprzyjemne uczucie pieczenia. W przypadku podatnych na to osobników mogło ono przechodzić w uciążliwy ból. Przypomniał sobie dwóch żołnierzy, którzy, używając kosmicznego żargonu, „wypadli za burtę” - popełnili samobójstwo właśnie z tego powodu, chociaż wiedzieli, że za kilka godzin uwolnią się od uciążliwej przypadłości. „Może w ogóle nie powinienem tu przyjeżdżać?” - pomyślał ze złością.

Kovacs wykonał na lodzie zakręt w prawo, potem w lewo i na koniec objechał moduł dookoła. Gąsienicowy traktor zachowywał się prawidłowo, nieznacznie tylko gorzej niż podczas jazdy po ziemskim lodowcu. Akumulatory miały zapas mocy wystarczający na dwadzieścia godzin jazdy, z doświadczenia wiedział, że kiedy rozgrzeją się podczas pracy, wartość ta powiększy się jeszcze o kilka godzin.

- Maszyna w porządku - ogłosił rezultat próby.

Pietro ruszył jako drugi. Trzymał się śladów Kovacsa, ale nie zauważył pięciometrowego uskoku i wykonał krótki lot zakończony twardym lądowaniem.

- Kurwa - ulżył emocjom, lecz nie zwolnił.

Dziesięcotonowa maszyna niosąca pięć ton ładunku wytrzymała. Pozostałą część kręgu przejechał w takim samym szybkim tempie i zaparkował blisko za traktorem Kovacsa.

Jako trzeci wyruszył Fincher. Umiejętności kierowcy-pilota stanowiły jego specjalność dodatkową, może dlatego działał nieco ostrożniej. Mimo tego wykonał manewry bez żadnych problemów. Dojechał do pozostałych dwóch traktorów, wlokąc za sobą ogon białej mgły.

- Łód ogrzewa się po kilkakrotnym przejechaniu po nim gąsienicami. O ile nie musimy rozdawać wizytówek, jadąc gęsiego, lepiej pojedźmy obok siebie - mruknął Brugger.

- Traktory w porządku, przygotowane do drogi. Wyposażenie załadowane - zameldowała Spice.

McBane nie wyszedł jeszcze z modułu.

- Zrozumiałem. Odjedźcie na trzysta metrów i poczekajcie na mnie.

Kovacs ruszył, jak tylko wsiadła jego załoga - Brassi, Weller i Spice. Pozostali podążali za nim, utrzymując stosowny odstęp. Wiedzieli, że wybierze najlepszą drogę. Zawsze wybierał najlepszą drogę, nawet w miejscach, których nigdy przedtem nie widział.

Zaparkowali obok siebie, odwrócili się jak na komendę i nastawili maksymalne powiększenie. Z wyciętego w kadłubie otworu wylazła anonimowa postać w skafandrze. Major jako jedyny nie miał nazwiska na hełmie. Obszedł uwięziony w lodzie lądownik, w jednym miejscu zatrzymał się, podniósł coś i rzucił bliżej modułu. Potem oddalił się na trzydzieści metrów, stanął i odwrócił się.

Spice włączyła podczerwień, szaroniebieski obraz Plutona przyćmił czerwony blask emitowany przez osiem przedmiotów rozmieszczonych wokół lądownika.

- Już aktywował ładunki termiczne - oznajmiła.

Majora i lądownik otoczyła mgła, ale dzięki radarowi widzieli, jak lód sublimuje, płynny metan rozprzestrzenia się i szybko ochłodzony krystalizuje w formie drobnych płatków, zasypujących moduł znów sublimującym śniegiem. Maszyna powoli pogrążała się w lodzie. Spice wyobraziła sobie, jak gdzieś głęboko lód taje we wrzącym morzu bezbarwnej cieczy, zalewającej ceramiczny płaszcz modułu, pomieszczenie załogi, na zawsze utrwalając wszelkie ślady ludzkiej obecności.

W końcu trzystutonowy kolos zniknął, a śnieg przestał padać.

- Ładunki termiczne jeszcze działają, pogrąża się coraz głębiej. Ale lód nad nim jest już lity - Spice głośno komentowała przebieg wydarzeń.

Backsyht pokręcił głową z niedowierzaniem. Po ogromnej maszynie nie pozostał żaden ślad, patrzył na gładką, brudnobiałą powierzchnię.

- Już nie ma drogi powrotnej - mruknął.

- Nie było jej od momentu, gdy wsiedliśmy do lądownika. Paliwa wystarczyło tylko na dotarcie tutaj - odpowiedział mu Weller.

Backsyht wiedział, że to dobry moment na zadawanie pytań, ale wśród martwej pustki Plutona, zdany na trzy traktory bez kabin ciśnieniowych, nie miał na to siły i zamiast tego wgramolił się na siedzenie.

ROZDZIAŁ TRZECI

NA ULTRAMROŹNEJ ZIEMI

Trzy gąsienicowe traktory przedzierały się przez lodowiec. Z początku kurs był w rzeczywistości ciągłą serią objazdów, zbaczania z drogi i powrotów na wyznaczony kierunek. Po kilku błędach Kovacs doszedł do wprawy, prawidłowo wyczuwał właściwości terenu i prawie nie musieli zawracać.

Gdy stok zaczął się wznosić, zwiększył szybkość. Gdyby tego nie zrobił trzysta metrów pod wierzchołkiem, gąsienice zaczęłyby się ślizgać. Radar nie sięgał poza wierzchołek, ale Kovacs z doświadczenia wiedział, że będzie tam uskok. Traktor zachwiał się na skraju lodowca, ujrzeli przed sobą widok urwiska prawie czterdziestometrowej głębokości. Dalmierz pokazał trzydzieści i dwie dziesiąte metra. Siedzący na tylnym fotelu Weller syknął. Kovacs przyspieszył. Chciał, żeby przelecieli aż poza obszar pofałdowanego lodu, utrzymując szybkość zabezpieczającą ich przed przewróceniem się. Przesłał odpowiedni rozkaz kierowcom podążających za nim maszyn. Piętnastotonowy traktor poleciał i zaczął spadać łagodnym łukiem, pochylając się wokół osi poprzecznej.

- Przewrócimy się, przewrócimy! - krzyczał Weller.

Kovacs rzucił okiem na ekran symulatora. Nie przewrócą się, ale dużo do tego nie zabraknie, coś ich na samej krawędzi niebezpiecznie przechyliło. Opadanie trwało dość długo, przed plastikowymi tarczami chroniącymi przednią szybę zobaczyli szybko się przybliżający potrzaskany lód pełen szczelin. Spadli niemal czołowo, ale gąsienice natychmiast złapały styk, nadały traktorowi ruch do przodu i posadziły go na podwoziu.

- No, trochę wariacki był ten skok - rzucił mimochodem Kovacs, cały czas przyglądając się terenowi przed nimi; w słuchawkach zabrzmiały wymyślenia, krzyki i klątwy reszty komanda. Tylko major, siedzący obok niego w milczeniu i bez ruchu, sprawiał wrażenie, jakby go to nie dotyczyło.

- O mało się nie zesrałem! - pokrzykiwał Gunner. - Rozkwaszę ci gębę, gdzie ty nas wiesz, Kovacs?

- Do piekła tak zimnego, aż ci krew zamrozi w żyłach, chłopcze - odpowiedział Kovacs, po czym zamilkł, ponieważ teraz czekał ich przejazd przez powierzchnię, która zupełnie mu się nie podobała. Lód był zbyt popękany i jakby porowaty.

- Zatrzymamy się i rzucimy na to okiem, majorze - zwrócił się do McBane'a.
- Kuzmin wychodzi, Woroszyłow go ubezpiecza - padł natychmiast rozkaz.

Sześć godzin później stali na dnie wąskiej, ale niezbyt głębokiej doliny z ciemnymi strukturami skałek przedzierających się przez metanową powłokę jak korzenie ziemi. Od wierzchołka przesmyku Griuevic dzieliło ich kilka ostatnich kilometrów. Traktory ustawili w trójkąt z silnikami pracującymi na wolnych obrotach, żeby nie wystygły. Major, Woroszyłow i Fincher odpoczywali w fotelach, pozostali rozlokowali się pomiędzy traktorami na pokrywach skrzyń z zapasowymi ogniwami do akumulatorów.

Chorybd leżał na plecach i obserwował czarne niebo upstrzone gwiazdami. Pietro ssął odżywkę energetyczną zastępującą pożywienie. Brugger, oparty o podwozie, sprawdzał wykaz broni i amunicji. Pozostali zapewne drzemali, gdyż zachowywali milczenie.

- Już jesteśmy blisko, czuję to w kościach - głośno myślał Pietro. - Co ty na to, Chorybd?

- Napiłbym się piwa. U nas w domu jest taka knajpa, w której mają bardzo dobre piwo.

- Najbliższa knajpa jest na Marsie, to będzie stąd tak z pięć godzin świetlnych. Ja mam chęć na kobietę, a ona siedzi tylko kawałek ode mnie.

Pietro pociągnął z ustnika tak silnie, że młaśniecie rozległo się w całej sieci komunikacyjnej.

- Zamarzyłyby ci kule, zanimbyś kiwnął palcem - zaśmiał się Brugger.

- No tak. Ale już jesteśmy blisko, a tam będzie inaczej. Jednak piwa tak czy tak nie dostaniesz.

- Ja niczego w kościach nie czuję - odparł Brugger. - Ale major zarządził postój, żeby odpocząć przed akcją. I to właśnie mam zamiar zrobić.

Ostentacyjnie usadowił się na wyładowanym akumulatorze, wyciągnął nogi przed siebie, założył ręce na piersi.

Pietro zamilkł i rozejrzał się. Traktory i ludzi pokrywały drobne kryształki lodu. Stwierdził, że to miniaturowe płatki śniegu. Przypominały mu kwiatki na drzewach w jego rodzinnych stronach, gdy wiosna zmieniała się w lato. Wygodnie ułożył się na swojej pokrywie i zamknął oczy. Skafander nie przeszkadzał mu zbyt, nie miał na co narzekać. Jutro będzie już u celu i rozpocznie własną misję. A potem wróci na Ziemię tak bogaty, jak o tym marzył w najodważniejszych snach. I urządzi sobie babiniec pełen kobiet dobranych według jego gustu. Zaczął rozmyślać, jak też mogłyby wyglądać, i szybko wyobraził sobie

swój ulubiony typ - wysokie, biuściaste blondyny z niebieskimi oczami. U niego w domu wszystkie kobiety były raczej niskie, czarnowłose, o wystających kościach policzkowych, miał ich wyżej uszu. Może będzie tak samo wspaniale jak wtedy, gdy pierwszy raz w życiu kochał się z Miriam, taką właśnie brunetką. Robił to na ziemi pokrytej białymi płatkami kwiatów. Po raz pierwszy i jedyny. Z tym wspomnieniem zasnął.

Major William Alva McBane nie odczuwał potrzeby snu. Siedział na miejscu obok kierowcy, mając przed oczami wykaz wyposażenia i dane o jego stanie technicznym. Kontrolował ponadto zapasy energii i tlenu, jak również fizjologiczne parametry poszczególnych członków zespołu.

Weller jak dotąd nie przysparzał żadnych problemów, ale poziom jego hormonów stresu nawet podczas snu pozostawał wyższy, niż powinien, Baksyht natomiast, któremu już kilka razy puściły nerwy, spał rozluźniony. Parametry pozostałych nie odbiegały od tych, jakie mieli w poprzednich misjach lub podczas treningu. Tylko Woroszyłow charakteryzował się niższym zapotrzebowaniem na tlen i szybszym czasem reakcji niż podczas treningu. Encefalogram stale wykonywany przez diagnostykę skafandra pokazywał, że we śnie znajduje się on na pograniczu pasm mózgowych theta i delta, jakby był w stanie głębokiej medytacji, a nie nerwowej drzemki na powierzchni planety o temperaturze kilkudziesięciu stopni powyżej zera absolutnego. Niewykluczone, że nie było to nic niezwykłego, ponieważ po raz pierwszy miał do dyspozycji tak dokładne dane medyczne swoich ludzi. Podczas przygotowań do misji Maska, jak planiści SONICBM-u nazwali tę akcję, niczego nie pozostawiono przypadkowi.

Pole widzenia holomonitora błysnęło i za moment odezwał się krótki meldunek:

- Rozkaz numer trzy dostępny.

McBane nie wiedział, jakiego algorytmu SONICBM używa do podjęcia decyzji, kiedy powinien dostać się do kolejnych informacji, ale podejrzewał, że nie polegają na elektronice, niemniej w jakiś sposób uwierzytelniał ich postępy. Może przy pomocy tajnej bazy umieszczonej przed orbitą Tytana albo po prostu na Ziemi. Oznaczało to jednak, że musi mieć na Plutonie ukrytą stację retransmisyjną.

- Briefing rozpocznie się za sto osiemdziesiąt sekund - oznajmił kolejny komunikat.

- Pobudka, otrzymaliśmy rozkazy - odezwał się McBane na ogólnym kanale.

Pierwszy wstał Woroszyłow, McBane widział, jak natychmiast podłączył się do sensorów broni, a następnie zaczął sprawdzać stan techniczny maszyn. Fincher kontrolował już stan zdrowia załogi. McBane jednym mrugnięciem wywołał zestaw danych, które lekarz

otrzymał o nim samym. Opierały się na starych zapisach, niemających nic wspólnego z rzeczywistością.

Po dwóch minutach wszyscy siedzieli na swoich miejscach, cała dwunastka w ciężkich hipotermicznych skafandrach z funkcją bojową. McBane włączył ich na własny kanał i czekał.

Najpierw pojawiło się logo koncernu ze stylizowanym Układem Słonecznym. Mars, będący od dawna terenem ekspansji Ziemi, miał kolor zielony, Centrum Administracyjne w punkcie Lagrange'a układu Ziemia-Księżyc oznaczone było niebieską gwiazdką. Po chwili logo zdeformowało się, przyjmując kształt schematycznej postaci, która zmieniła się w pięćdziesięcioletniego mężczyznę o dobrej prezencji.

- Tss, sam wielki szef, Senassi - nie wytrzymał Brassi.

McBane również był zdziwiony. Dziedziczny dyrektor naczelny był postacią prawie mityczną, trudno było uwierzyć, że mógłby się zwracać osobiście do pracowników spoza wąskiego kręgu ścisłego kierownictwa.

- Majorze, pani i panowie. - Spojrzał prosto na nich. - To, że oglądacie teraz ten przekaz, oznacza, że wasza reputacja potwierdziła się i dotarliście do nakazanego punktu C. A więc w pewien sposób dobrowolnie wyruszyliście do miejsca, z którego nie ma powrotu.

Uśmiechnął się z wyrazem pewnego niedowierzania na twarzy.

- Wasze zapasy tlenu wystarczą na kolejnych osiemnaście godzin, energia w akumulatorach traktorów na osiem, a skafandry będą mogły zapewniać ochronę waszych funkcji życiowych przez ten sam czas.

Brassi natychmiast przywołał na holo aktualne dane i porównał je z tymi, które podał Senassi. Podane wartości były zgodne z aktualnymi, co oznaczało, że ich pracodawca ma dobry wgląd w sytuację.

- Wasza wyprawa związana jest ze znaczną inwestycją, a moja powinność polega między innymi na ochronie interesów SONICBM-u i dlatego otrzymacie dostęp do najtajniejszych informacji. Są one konieczne, aby wypełnić postawione przed wami zadanie.

- Fajnie wiedzieć, że taki łebski facet postawił na nas kilkaset milionów. Można mieć pewność, że cię nie oleją, ale pomogą wyleźć z kłopotów - Gunner krótko podsumował usłyszana wypowiedź.

Obraz Senassiego znieruchomiał, gdy procesor zaangażował pełną moc do rozkodowania danych.

- Brassi - powiedział cicho McBane - sprawdź, czy podczas odpoczynku nie przyszedł

do nas jakiś sygnał. Jakikolwiek. I zajrzyj głębiej. Być może przy zastosowaniu zwykłej kontroli nie da się go wykryć. Spice, zajmij się przekazem Senassiego, nie wiadomo, czym go nafaszerowali.

- Nie ufa pan nawet własnym zleceńodawcom? - zapytał zdumiony Backsyht.

Brugger zaśmiał się krótko. McBane pochylił się nad panelem sterowania traktora, przyglądając się czemuś uważnie.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym ufać? - odpowiedział po chwili.

Obraz Senassiego pozostawał nadal nieruchomy.

- Znajdujemy się na kontynencie Byutechu. Myślę, że przyjechaliśmy po jakiegoś uczonego albo po materiał - spekulował Pietro. - Założę się o sto dolców, że tak jest.

- Sto dolców przy twoim żołdzie? Sam w to nie wierzysz - zaśmiał się Kuzmin.

- W porządku, sto tysięcy dolców, stawiam sto tysięcy! - zaperzył się Pietro.

- Przyjmuję - odpowiedziała mu Spice. - Na pewno tak nie jest.

- OK, to jestem o sto tysięcy bogatszy - wykrzyknął mały południowiec i klepnął Chorybda po ramieniu.

Backsyht skwapliwie wszystko rejestrował. Zakład o sto tysięcy, ot tak sobie? Bezpośrednie rozkazy od jednego z najważniejszych ludzi w Układzie Słonecznym? Miał wrażenie, że to będzie najlepszy reportaż w całym jego życiu. O wiele lepszy niż korespondencje z Azji, dokąd po trzęsieniu ziemi, które rozłamało płytę kontynentalną, dotarł jako pierwszy.

- Obawiam się, że właśnie wybuliłeś sto tysięcy, nie dostając w zamian nawet małego numerka - nie zgodził się z Włochem Chorybd. Pod panoramiczną szybą hełmu błysnęły jego białe zęby.

- Do tego, żebyśmy stąd kogoś lub coś zabrali, nie musiałyby nas być aż dwunastka i nie potrzebowalibyśmy wlec ze sobą dziesięciu ton broni.

- Jakie jest pańskie wynagrodzenie za tę misję, pewnie mi pan nie powie? - spróbował Backsyht.

- Popatrzcie na tego zamaskowanego łajdaka z urzędu skarbowego - prychnął rozbawiony Brugger.

- No to po co tu, do cholery, jesteśmy? - Pietro nie chciał pogodzić się z porażką.

- Nie wiem. - Zamiast wzruszenia ramionami Spice popukała w hełm.

- Słuchajmy - zwrócił uwagę Gunner.

Obraz Senassiego ożył.

- Wiecie oczywiście o wydarzeniach ostatnich kilkudziesięciu lat, kiedy to ryzykowne

procesy badawcze i produkcyjne, od biotechnologii począwszy, na manipulacjach wysokimi energiami kończąc, przesunięte zostały w rejon tak zwanego niezamieszkałego wszechświata, a więc poza orbitę Marsa. Koszty takich badań i produktów w przypadku terytoriów nowo pozyskanych są oczywiście znacznie większe. Jednak biorąc pod uwagę doświadczenia minionego stulecia, trzeba powiedzieć, że dostawy są opłacalne, nasz koncern je akceptuje i pragnie kontynuować. Niestety, wielkie odległości powodują niedostateczną kontrolę nad dotrzymywaniem umów.

- Mógłby już przejść do rzeczy - mruknął Gunner. - Nie mam ochoty marnować tlenu na wysłuchiwanie takiej gadaniny.

- Bez obaw, panie Gunner, wstęp jest już za nami. - Senassi rzucił okiem w kierunku pyskacza.

- To więcej niż symulacja interaktywna, reaguje na każdego z nas - ostrzegła Spice poprzez system diagnostyki medycznej.

- W tej chwili znajdujecie się na terytorium konkurencyjnego koncernu Byutech. Został on na ostatnim posiedzeniu rady ONZ oskarżony o wyrób półinteligentnych nanomechanizmów Von Neumanna trzeciej klasy. Przedstawiciel Byutechu posądzenie to kategorycznie odrzucił, jak również zaprzeczył istnieniu jakiegokolwiek laboratorium zajmującego się podobnym projektem o znaczeniu wojskowym. Nasi technicy zdobyli jednak próbki komórkowych nanomechanizmów tego właśnie rodzaju. Ślady wskazują na użycie technologii Byutechu, a z dalszych ustaleń wynika, że nie chodzi o próby laboratoryjne, ale o produkcję na skalę przemysłową. Waszym zadaniem jest...

- Zamienić ich fabrykę w kupę gówna - rzucił Brugger.

- Błąd, niech pan zajrzy do właśnie odtajnionego załącznika pańskiego kontraktu - poprawił go Senassi.

Wszyscy wywołali odpowiedni dokument.

- Przy minimalnych stratach personelu cywilnego i sprzętu obsadzić laboratoryjno-przemysłowy kompleks o oznaczeniu kodowym Nano, przekazać kontrolę nad technologią doktorowi Wellerowi i utrzymać pozycję do czasu przylotu sił zbrojnych koncernu - przeczytała głośno Spice.

- Pieprzenie - nie wytrzymał Gunner. - Coś pan przegapił, szefie. Razem z pańskim miliardem wpadniemy w gówno, ponieważ według tych współrzędnych, które dostaliśmy, mamy jeszcze dwieście kilosów do przejechania. A zapasu wystarczy nam na trzydzieści.

- Słuszne spostrzeżenie, panie Gunner. Miliard to dużo pieniędzy, choć oczywiście o wiele wyżej cenimy wasze życie. Za chwilę dalsza część dekodowania, zamilknę na jakiś

czas.

Obraz znów znieruchomiał.

- Mam to, majorze - odezwał się Brassi na dualu. - W nocy nadszedł ultrakrótki sygnał, prawdopodobnie z kluczem deszyfrującym. Niczego więcej nie stwierdziłem, ponieważ prosto z centrum systemu przyszedł rozkaz wymazania sygnału. Informację, że sygnał nadszedł, pozyskałem z danych o zużyciu energii. Pewny jestem, że nasz zleceniodawca nie wysłał go z orbity. Raczej gdzieś w okolicy zakopał strażnika elektronicznego i to jego robota.

Senassi znów się aktywował.

- Właśnie otrzymaliście dokładną lokalizację tajnej bazy na terytorium Byutechu, kody dostępu do urządzeń technicznych i uprawnienia do wstępu. Polecam, żebyście dalszą drogę odbyli wewnątrz, ze względu na kończące się zasoby tlenu i energii. Życzę szczęścia, majorze, damo, panowie.

Senassi skłonił się i zniknął z ekranu.

- Tajna baza na terenie obcego koncernu? Nawet na Ziemi coś takiego byłoby ogromnym udogodnieniem strategicznym - mruknął Backsyht. - A co dopiero na Plutonie. W porównaniu z miliardem na naszą wyprawę to muszą być wielokrotnie większe koszty!

- Pewnie, o ile nie rekompensują ich zyski - odparł Weller. - A mogę pana zapewnić, że w tym przypadku zyski są niewyobrażalne.

Kuzmin już stopniowo zwiększał napięcie w obwodach żarowych, przygotowując traktory do jazdy.

- Łatwa forsa, Pietro. Nigdy w życiu tak lekką rączką nie zarobiłam stu tysięcy - zawołała Spice i wskoczyła na swój fotel. - Jak umyjesz zęby, to dostaniesz całusa. Jednego. - Zaśmiała się. - Jako bonus.

Pierwszy traktor skręcił lekko w prawo, w kierunku nowego celu, gąsienice pozostawiały za sobą okruchy metanowego lodu i szybko rozpraszającą się mgłę. Na czarnym niebie zakrywał i znów odsłaniał gwiazdy Charon, milczący satelita milczącego Plutona.

- Szanowni widzowie, w tej chwili razem ze mną stoicie przed wejściem do supertajnej, nielegalnej bazy koncernu SONICBM, położonej na terytorium Byutechu. - Kamera pokazywała stalową bramę, na której jako maskowanie przyklepiono glazy spojone czymś, co przypominało lód metanowy.

- Według porozumienia prawnego zawartego w dwa tysiące siedemdziesiątym szóstym roku oznacza to, że wszelkie zbrojne oddziały Byutechu mają prawo zaatakować nas

bez ostrzeżenia i zlikwidować.

Obraz ukazywał teraz widok wojennego planetolotu, przeznaczonego do podróży wewnątrz Układu Słonecznego, z logo towarzystwa intensywnie pomarańczowego koloru. Konstrukcja nośna modułu napędowego, w przeciwieństwie do standartowych statków kosmicznych, była większa, aby wytrzymała wyższe przeciążenia, powierzchnia części załogowej pokryta została wieżyczkami mieszczącymi laserowe i raketowe wyrzutnie. Naprzeciw stanęły trzy niepozorne traktory, w których siedziało kilka uzbrojonych postaci w skafandrach.

- Dysproporcja sił widoczna na pierwszy rzut oka - kontynuował Baksyht. - Nadzieja na sukces minimalna. Na co liczą ci najemnicy? - Szczegółowy widok kamiennej twarzy Gunnera. - Ta akcja wydaje się nie mieć żadnych szans. Odezwę się znowu później, o ile pozostanę przy życiu.

Ostatnim zdaniem Baksyht przestraszył samego siebie i szybko zakończył nagranie. Ale było to dobre, naprawdę dobre. Za to mógł dostać drugiego Pulitzera. Albo coś jeszcze ważniejszego, jeśli tylko istniało. Spojrzał na bramę. Brassi zmagał się z anteną, którą wbił w lód na wprost nich. Baksyht miał nadzieję, że wie, co robi, ponieważ nie mógł się doczekać wejścia do środka i zdjęcia skafandra. Pozbyłby się wówczas uczucia pieczenia w penisie, które stawało się nieznośne.

- A pan dlaczego się tutaj znalazł? - usłyszał nagle skierowane do siebie pytanie.

Poznał głos Spice, kolorowa ikona wskazywała, że mówi na dualu.

Cóż mógł jej odpowiedzieć?

- Dostałem szansę na niezwykle reportaż, niestety pod warunkiem, że przed podjęciem tego zadania nie dowiem się żadnych szczegółów. Powiedziano mi tylko nazwisko dowodzącego akcją. Zrobiłem wywiad i stwierdziłem, że major McBane na ogół wie, co robi, i zaryzykowałem. Nie podejrzewałem, że znajdę się tutaj - odpowiedział zgodnie z prawdą i rozłożył ręce.

- Obawiam się, że Gunnera musi pan z tego wyłączyć. Nie będzie zainteresowany taką popularnością - oznajmiła.

- Czy pani może monitorować moje nagrania? - zapytał, czując się trochę nieswojo.

- Oczywiście, major, ja i Brassi mamy dostęp do wszystkich kanałów komunikacyjnych. A gdy ktoś z nas zginie, to uprawnienie przejdzie na kogoś następnego.

Może nazwanie tych ludzi żądnymi krwi potworami nie było najlepszym pomysłem. W końcu od nich zależało jego życie. Nagle zatrzęsł nim zimny dreszcz. Czuł się coraz gorzej.

- Mam łączność szerokopasmową, baza potwierdziła odbiór, brama się otwiera.

- Narodził się pan pod szczęśliwą gwiazdą, panie Backsyht - oznajmiła Spice. - Właśnie kończy się panu ogrzewanie butów. Śledziłam to już od rana. Gdyby to nastąpiło przed dwoma godzinami, zamarłby pan. A z zapaleniem cewki moczowej powinien pan pójść do Finchera. Coś panu na to poradzi. - Na tym zakończyła połączenie.

Backsyht zdziwił się. Jak, u diabła, dowiedziała się o tym? Potem przypomniał sobie o dziesiątkach czujników medycznych, którymi skafander był naszpikowany. Ikona alarmu oznajmiającego niedostateczne ogrzewanie przemieściła się ze skraju pola widzenia na środek i zaczęła rosnać. Równocześnie ukazał się graficzny obraz rozkładu ciepła. Program diagnostyczny informował, że za godzinę zaczną mu marznąć stopy. Jeśli nie będzie stał na lodzie, wytrzyma jeszcze dwie godziny i kwadrans. Westchnął i ruszył ku bramie. Brugger, stojący przed nią z ręcznym miotaczem rakiet, poświęcił mu jeden krótki impuls znacznika laserowego i pozwolił wejść w przestrzeń, którą zabezpieczali wspólnie z Woroszyłowem. Pozostali śledzili otwierające się wrota do bazy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

EREBOS

Położona za bramą hala była obszerna, mogły do niej wjeżdżać ciężkie pojazdy. Po obu jej stronach znajdowały się duże wrota, właściwy kompleks mieszkalny skrywał się dalej w głębi masywu skalnego. Wewnątrz było tak mało światła, że optyka skafandrów nie wystarczała, detale słabo dawały się rozpoznać. Idący na czele Kuzmin zapalił umieszczony w hełmie reflektor i pozwolił komputerowi generować obraz będący superpozycją radaru i standardowej optyki. Skała była ciemna, to tu, to tam pokryta nalotem metanowego lodu, podłoga równa, jakby odlana z szarego żelaza. Kuzmin wyobraził sobie głośnie echo swoich kroków, które mógłby usłyszeć, gdyby ciśnienie atmosferyczne było wyższe niż pół paskala.

Rozszerzył stożek światła do maksimum, nie skupiał uwagi na konkretnym miejscu, wypatrywał raczej jakiejś zmiany. Taka zmiana mogła oznaczać śmierć. Ciężką strzelbę z pojemnym, bębnowym magazynkiem trzymał lufą ukośnie w górę. Bębenek mieścił dwadzieścia pięć naboji, a każdy z nich zawierał pięćdziesiąt miniaturowych pocisków z ferromagnezowego stopu. Zespół elektromagnetycznych soczewek umieszczonych u wylotu lufy umożliwiał zmianę rozproszenia pocisków, od wąskiej wiązki po szeroki stożek. Naboje nie zawierały prochu strzelniczego ani innego klasycznego ładunku. Wystrzał powodowała ciecz wyprodukowana na bazie dihydrazyny, podawana z centralnego zbiorniczka. Zadaniem Kuzmina nie było zabicie nieprzyjaciela, lecz zmylenie go, unieszkodliwienie jego czujników, zatrzymanie. Potem pozostawało tylko usunąć się z linii ognia. Woroszyłow i Chorybd posuwali się za nim. Ich broń miała nieporównanie większy kaliber. Gunner z Bruggerem ubezpieczali skrzydła, major tworzył podstawowy punkt formacji, a reszta postępowała z tyłu.

Spice w zwieszonej ręce trzymała broń, skróconą wersję karabinu szturmowego. Była skupiona na obserwacji holo i łączności z bazą. Kody wstępu, otrzymane od Senassiego, jak dotąd funkcjonowały sprawnie. Mimo tego nadal obserwowała postępy autoryzacji i rutynowymi czynnościami kontrolnymi z wykorzystaniem procedur wojskowych pozyskiwała kolejne poziomy informacji, udostępnianych przez bazę.

Za sobą czuła obecność Brassiego. Działali w tandemie, on śledził przebieg całej operacji. Nie musiał skupiać uwagi na szczegółach, pilnował, żeby skądś z głębi systemów elektronicznych nie wyskoczyło coś nieprzyjemnego. W końcu wszystkie ikony przybrały

zieloną barwę, baza uznała cały zespół za swoich i w następnej kolejności przyznała im status mieszkańców.

- Jestem gotowa, czujcie się jak u siebie w domu, chłopcy - oznajmiła wreszcie najemniczka.

- Bardzo lubię ładne kobiety, takie jak ty, Spice, ale tutaj - Gunner zatoczył koło lufą strzelby - bardziej cieszy mnie to, że jesteś sprytna.

Spice skrzywiła się. W stosunku do wewnętrznych systemów ochrony twierdz wojskowych nie obowiązywały żadne międzynarodowe czy choćby międzykorporacyjne traktaty, a to oznaczało, że systemy te były ekstremalnie sprawne i nieludzko skuteczne.

Mrugnięciem oka zamknęła aplikację obsługującą procedury wojskowe i nagle bez uprzedzenia otworzyło się przed nią okno z sygnaturą Brassiego. Chciała mu nawymyślać, że wmieszał się do jej HID-u, lecz zorientowała się, co jej pokazuje. Obwód monitorujący bazy zgłaszał aktywność. Mógł to być przypadek, skutek okresowej konserwacji urządzeń, ale w jej branży nie opłacało się polegać na przypadkach. Spróbowała dotrzeć głębiej do centrum systemu bazy, jednak światłowody zainstalowane w ścianach, do których miała dostęp za pomocą interferencji fal radiowych, były zbyt stare i miały niewielką pojemność, całkowicie zaangażowaną w bieżące procesy. Spróbowała kilku innych sposobów, lecz nic nie uzyskała.

- Zmienił się system działania bazy, majorze - zameldowała na kanale ogólnym.

- W razie kontaktu strzelać - zareagował krótko McBane na nową sytuację.

Spice uniosła karabin, ekran holo stał się przezroczysty, przeszedł na tryb bojowy i wyświetlił wycinki kątów ostrzału jej towarzyszy. Cofnęła się o krok, żeby wyrównać szereg. Sieć sensorów jak dotychczas milczała, nie przybliżała się do nich żadna napędzana energią maszyna. A raczej nie została zauważona, poprawiła się. Na granicy słyszalności dochodziły do niej trudno rozpoznawalne dźwięki. Wiedziała, co oznaczają, nie po raz pierwszy była w akcji. Bicie serca, oddech, szum krwi w tętnicach. A także odgłos bojowych podsystemów skafandra, charakterystyczny dźwięk generatora pola elektromagnetycznego i wielu innych elementów technicznych będących na wyposażeniu najemników. Ciche fantomy śmierci przed walką, jak je nazywano w ich żargonie.

- Stalowe drzwi w ścianie frontowej poruszyły się ku górze - oznajmił Brugger, wymierzając w rozszerzającą się szczelinę lufy gatlinga¹, który miał przymocowany pod prawym przedramieniem.

¹ wielolufowy, szybkostrzelny karabin maszynowy lub działko, działające na zasadzie ruchu obrotowego sprzężonych luf, np. działko Vulkan.

Radar pokazał tylko pusty korytarz prowadzący do wnętrza skały.

- Wygląda na to, że nic się nie dzieje. To może być przejście do komór ciśnieniowych - oznajmił Brugger.

Podłoga tuż przed Spice eksplodowała, z podziemia wylazł kroczący robot bojowy. Jego czujniki rozbłysły metalicznym poblaskiem, dwie sprzężone lufy trzydziestomilimetrowych działek skierowały się w ich stronę. Spice bez wahania nacisnęła spust, starając się trafić w główny czujnik umieszczony na korpusie. Ale wiedziała, że to na nic. Podłoga zachwiała się po raz drugi i z podziemnej krypty wygramolił się kolejny robot.

Kuzmin uskoczył w bok, strzelba w jego rękach zaszczekała, trzymetrowego kolosa pokrył rój pocisków. Działka robota odwróciły się w kierunku Kuzmina, WPCE natychmiast oznaczyło przestrzeń, jaką pokryłby ostrzał nieprzyjaciela. Obejmował miejsce, w które uskakiwał właśnie Kuzmin. Ale automatyczne kolce butów, sterowane przez bojowy software oraz ekosystem skafandra zatrzymały najemnika prawie na miejscu. Pociski działek trafiły w skałę, a Kuzmin znów nacisnął spust.

Brugger z całej siły popchnął robota, kolos stracił równowagę, przez chwilę wydawało się, że ustoi, ale potem bardzo wolno upadł do tyłu, pociski działek rozbiły tylko strop, próżnia zapełniła się kawałkami kamiennego sklepienia i pyłem. Jeszcze przed upadkiem maszyny Brugger przyczepił jej do pancerza granat EMP i odskoczył na bezpieczną odległość.

Robot numer jeden ocenił niebezpieczeństwo grożące mu ze strony Kuzmina jako niewielkie i skupił uwagę na pozostałych przeciwnikach. Obwód rozpoznawczy namierzył cele i szybkostrzelne działka wypluły pierwsze pociski. Po dwa, jeden za drugim, ale to było wszystko, czego zdołał dokonać. Wystrzały Woroszyłowa i Chorybda rozplątały jego korpus jak dojrzały melon i rozwały mu elektroniczny mózg oraz większą część hardware'u. Obaj mężczyźni wyposażeni w ciężką broń pozostali na stanowiskach, nieforemne lufy zwieńczone pierścieniami i wybrzuszeniami przyspieszaczy trzymali uniesione w górę, oczekując, aż miotacze cząstek przejdą z trybu bojowego na wyczekujący.

Fincher sprawdził na holomonitorze dane medyczne. Walka trwała zaledwie półtorej sekundy, tętno wszystkich przekraczało dwieście na minutę, czemu towarzyszyła wysoka koncentracja hormonów stresu. Skontrolował też poziom napięcia nerwów peryferyjnych. Backsyhtowi i Wellerowi za pośrednictwem skafandrów zaaplikował środki uspokajające.

- Majorze - zgłosiła się Spice - baza melduje, że komory ciśnieniowe są przygotowane, możemy wejść do wnętrza.

Mimo że nie widziała ich twarży, mogła sobie wyobrazić, jak niedowierzające mieli

miny. Zaproszenie tuż po próbie likwidacji, cóż to miało znaczyć?

- Postępująca aktywność energetyczna uszkodzonego robota!

Gunner nadał swemu meldunkowi najwyższy priorytet.

- Szybka ewakuacja! Baza! - McBane wydał rozkaz tak samo niewzruszonym głosem jak zawsze.

Backsyht miał ochotę odwrócić się i uciec na otwartą przestrzeń, ale ktoś popchnął go w plecy i zmusił do marszu za innymi. Nie miał pojęcia, jak zdołał się poruszyć, gdy jego mięśnie zmagaly się z półinteligentnym szkieletem skafandra. Detonacje odczuwał jak wiązkę wibracji zdolnych wyrwać mu wnętrzności. Chciał zwinąć się w kłębek, ale skafander nie posłuchał panicznych nakazów i doprowadził go aż do komory. Stalowa ściana zapadła, tuż po tym zabębniły po niej liczne odłamki.

- Uszkodzenie skafandra stopnia D - powiedział Woroszyłow, opierając się o ścianę.

Stopień D oznaczał ryzyko dekompresji.

- Napełnianie gazem obojętnym w toku. Poszkodowany, proszę wstrzymać oddech - odezwał się dziwnie piskliwy głos elektronicznego mózgu bazy. - Dodaję piętnaście procent tlenu, stan awaryjny.

Wewnątrz hełmu Woroszyłowa zabłysło czerwone światło ostrzegawcze, jego skafander właśnie się rozszczelił.

- Ciśnienie trzydzieści kilopaskali, koncentracja tlenu piętnaście procent, bezpośrednie niebezpieczeństwo nie zagraża - zameldowała baza.

- Przechodzę na standardowe warunki atmosferyczne, ogrzewanie pracuje na sto dwadzieścia procent normy. Aktualna temperatura osiemdziesiąt kelwinów.

Po pięciu minutach wypełnionych kolejnymi meldunkami bazy przeciwnie do stalowa ściana wsunęła się w mur, otwierając drogę do wnętrza kompleksu. Dziesięć luf skierowało się w jedną stronę, ale zamiast nieprzyjaciela pojawił się prosty automat obsługowy.

- *Zaprowadzę was do punktu opatrunkowego* - jego meldunek zajaśniał na holo, a równocześnie w korytarzu zapaliło się światło.

- Procedura jak przy przechodzeniu przez obce terytorium - rozkazał McBane.

- Woroszyłow wymaga opatrzenia - oznajmił Fincher.

- Cel: punkt opatrunkowy - uzupełnił rozkaz major.

Robot obsługowy doprowadził ich do sekcji szpitalnej najkrótszą możliwą drogą. Natychmiast po sprawdzeniu pomieszczenia major przydzielił zadania.

Brassi przy pomocy komputera zabezpieczał Bruggera, Kuzmina i Gunnera, którzy

przechesywali jedno pomieszczenie po drugim. Porównywał przy tym dane pozyskane z bazy ze wskazywanymi przez WPCE. Prawie oczekiwał, że prędzej czy później natrafią na nieprzyjaciela, którego kamery bazy nie pokazują, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Tu też jest czysto i nikogo nie ma - odezwał się Gunner, HID wyświetlił obraz, który miał przed oczami.

Sądząc po odczycie infraczerwieni, w magazynie nie było nikogo od co najmniej trzydziestu minut, a nienaruszona warstwa pyłu na podłodze wskazywała, że od znacznie dłuższego czasu.

W polu widzenia pojawił się Kuzmin, przełożył strzelbę do lewej ręki i sprawdził najbliższy kontener płaskim przyrządem, który odczepił od pasa.

- Akumulatory - odczytał wynik z ekranu, ułamek sekundy później WPCE wyświetliło obraz.

- Dokładnie według informacji bazy - uzupełnił Brassi.

Od chwili, kiedy Spice przeprogramowała elektroniczny mózg tak, żeby nadał im status mieszkańców z najwyższym stopniem dostępu do informacji, baza wychodziła im naprzeciw we wszystkim. Mimo że próbowała ich zastrzelić przy pomocy dwóch cyberstrażników. Jeszcze dziwniejsze było to, że komputer bazy w zupełności zaprzeczał, iż taka akcja została podjęta.

- Tutaj są różne części zamienne, ale szczegółowych danych nie mam. - Kuzmin kontynuował przegląd magazynu. - Nie ma ich w bazie danych.

Brugger z Gunnerem ubezpieczali go.

- To przedmioty liczące prawie sto lat, części zamienne do terenowych ciężarówek - zaskoczony Brassi odczytał wskazania z ekranu.

- Niech wraca przez pomieszczenie reaktora i sprawdzi, w jakim jest stanie - rozkazał McBane, powracając do obserwacji prac Spice. „Gawędziła” z centralnym komputerem bazy, a metody, jakich przy tym używała, można było porównać z przesłuchaniem trzeciego stopnia.

Fincher tymczasem zajął się Woroszyłowem. Zdecydował się użyć miejscowego wyposażenia, przełączając je na ręczne sterowanie. Najemnik leżał na łóżku, kilka przewodów z elektrodami i innymi czujnikami biegło od jego ciała do bioskanera. Zranienie nie było poważne, czyste uszkodzenie mięśni. Przy zastosowaniu enzymów i białek przyspieszających proces gojenia za kilka godzin Woroszyłow powinien być w porządku. Chociaż nie będzie mógł zbyt obciążać ręki.

Weller i Backsyht, nie mając nic do roboty, siedzieli pod ścianą z hełmami na

kolanach. Weller miał obojętną minę, a Backsyht był nachmurzony.

- Kiedy nam pan powie, co się tu właściwie stało? Rzykujemy tak samo jak wy! Choćby tym, że po ataku weszliśmy do wnętrza bazy. Pan nie ma prawa zatajać przed nami informacji - powiedział dziennikarz ze złością.

Pietro i Kovacs, pilnujący drzwi, spojrzeli na niego pogardliwie.

Pochylony nad monitorem McBane wyprostował się i odwrócił do Backsyhta.

- Jestem oficerem dowodzącym tej misji. Moje słowo jest prawem. Jeśli zadecyduję, że powinienem przekazać panu informacje - zrobię to. A jeśli dojdę do przekonania, że dla sukcesu misji muszę pana zastrzelić - też to zrobię.

Pietro i Kovacs wykrzywili twarze w grymasie podobnym do uśmiechu, nawet Woroszyłow okazał rozbawienie.

- Ale ja chcę wiedzieć, co się dzieje! Moje życie jest zagrożone!

- Woroszyłow został zraniony z pańskiego powodu. - Major zignorował jego wybuch.
- Gdyby się nie zatrzymał, żeby dopchać pana do komory ciśnieniowej, nic by mu się nie stało. A pan byłby martwy. Dla oddziału byłoby to o wiele dogodniejsze niż fakt, że jeden z jego członków został ranny.

Mówił beznamiętnym tonem, a wyraz rozgoryczenia na twarzy Backsyhta ustąpił miejsca przestraszowi. Wiedział, że najemnicy są szaleni, ale aż do tego stopnia?

- Spice? - McBane odwrócił się do programistki i gestem zażądał meldunku.

- System sterujący bazy nie wykazuje żadnych usterek. Twierdzi, że roboty, które nas zaatakowały, nie były strażnikami bazy i że w ogóle nic nie wiedział o ich zamiarach. Ale równocześnie ma je w spisie inwentarza.

- A jeśli wskaże pani na tę sprzeczność? - zapytał Weller.

Spice popatrzyła na cywila i wzruszyła ramionami.

- Przyzna, że zachodzi sprzeczność, ale nie podejmie próby jej wyjaśnienia. To jest AI zbyt niskiego stopnia. Jeśli ma pan jakiś pomysł, niech pan spróbuje. - Wskazała na klawiaturę.

- Majorze, Brugger, Kuzmin i Gunner wracają zgodnie z rozkazami - oznajmił Brassi.

W tej samej chwili ktoś zastukał do drzwi w umówiony sposób. Poleganie tylko na ogólnie stosowanych sposobach komunikacji już w wielu przypadkach zawiodło. Mężczyźni weszli do środka, teraz w sali opatrunkowej zrobiło się ciasno. Dziesięciu ludzi w skafandrach, z bronią, zajmowało sporo miejsca.

- Jakież dodatkowe spostrzeżenia oprócz tych, które już mam na monitorze? - zapytał Brassi.

- To dziwne miejsce. Wielkie jakby dla całej armii, mnóstwo pustych pomieszczeń, niektóre zapieczętowane próżniowo bardzo starymi pieczęciami. Wykonane w taki sposób, jaki widziałem tylko na marsjańskich wrakach z czasów wojny - powiedział Chorybd, ostrożnie opierając broń o ścianę.

- To rzeczywiście stare - potwierdził Kuzmin.

- Tylko że w zbrojowni widziałem ostatni model chipwekowego psa, produkują go od niecałych dwóch lat - oznajmił Gunner.

- Na razie zostaniemy tutaj - zdecydował McBane. - Musimy odpocząć, a Woroszyłowowi dobrze zrobi kilka godzin spokoju. Po odpoczynku sprawdzimy bazę jeszcze raz pod kątem obecności obiektów bio. Później przejdziemy do centrum kierowania i zaplanujemy dalszą akcję.

Kuzmin nie mógł zasnąć. Baza sprawiała przygnębiające wrażenie. Właściwie nie sama baza, ponieważ korytarze czy pionowe szyby nigdy mu nie przeszkadzały, czuł się wśród nich jak w domu. Coś w niej było niewłaściwego, a on nie mógł stwierdzić co. Pomimo że major zezwolił na zdjęcie ciężkich skafandrów, Kuzmin pozostał w swoim, hełm położył w zasięgu ręki. Nie obawiał się dekompresji ani czynników biologicznych. Przyczyną był jego zwierzęcy wręcz strach przed brudem, który mógłby mu wejść pod paznokcie i wezreć się tak, że nigdy by się go nie pozbył. Strach przed brudem, w którym się pławił na stokach kraterów Księżycy.

Stojący na straży Pietro oparł się o słup w miejscu, z którego miał dobry widok na obydwie wejścia do pomieszczenia. Zdjął skafander, ale hełm pozostawił na głowie, ponieważ poprzez WPCE był połączony z systemem ostrzegawczym. Nie mieli lekkich kompletów bojowych - Life Compatible Environment. Był spokojny, wyluzowany, od dawna umiał dzielić uwagę pomiędzy elektronikę i własny instynkt. Teraz zgodnie podpowiadały mu, że żadne niebezpieczeństwo nie zagraża.

Backsyht jęknął przez sen. Leżał na ziemi przyciśnięty czymś ciężkim i wiedział, że musi się za wszelką cenę wyswobodzić i uciec, w przeciwnym razie umrze. Zdawał sobie sprawę, że to tylko sen, jednak strach przed śmiercią nie był przez to mniejszy.

- Nałóżcie hełmy - obudził go rozkazujący głos McBane'a.

Rozległy się szelesty, szurania, coś ciężkiego upadło na podłogę. Chorybd zaklął głośno, ale zaraz zgłosił gotowość odbioru. Ostatni włączył się w obwód Backsyht. Zdażył jeszcze zobaczyć logo SONICBM-u, które zaraz zmieniło się w znajomą postać Senassiego.

- Witam was w naszej tajnej bazie Erebos. Przypuszczam, że niespodzianka podobna

do tej, jaka was spotkała, zniszczyła oddział pułkownika Reinharda.

- Pułkownika Reinharda? - zapytał McBane.

- Symulacja ma dostęp do naszych WPCE - szybko meldowała majorowi Spice. - Teraz dostaje wsparcie od mózgu elektronicznego bazy. Sądzę, że jest tak kompleksowa i skomplikowana, że miejscowy hardware nie zdołałby jej ożywić w pełnym zakresie.

- Pułkownik Reinhard przed dwoma laty podjął się takiej samej misji jak wy. Ostatni meldunek, jaki przyjęliśmy, nadał właśnie stąd, z bazy Erebos. Później kontakt z nim ustał i od tej pory nie wiadomo nic o jego dalszych losach. Udostępnię wam tylko kilka plików, które sam Reinhard umieścił w pamięci bazy. Wysyłam kod dostępu.

Na obraz Senassiego nałożyła się siatka liczb i za moment zniknęła.

- W jaki sposób powstała ta baza? - zapytał Brassi. - Nie wierzę, że wybudował ją pan tuż pod nosem Byutechu.

- Wszystkie informacje mogą okazać się istotne, jeżeli mamy uniknąć losu pułkownika Reinharda i jego ludzi. Znałem go i nie wierzę, że zniszczyły ich zaledwie dwa roboty - poparł Brassiego McBane.

- Baza w swej podstawowej postaci została wybudowana przed stu laty ze względu na przewidywaną wojnę o księżyc Saturna. Nie doszło jednak do starcia, a budowniczy Erebosa postarali się, żeby nikt się nie dowiedział o jego istnieniu. Złamali w ten sposób wszystkie ówczesne porozumienia dotyczące postępowania w przestrzeni kosmicznej i zostaliby za to pociągnięci do odpowiedzialności.

- Czy ta informacja zmienia cel naszej misji? - zapytał wprost McBane.

- Absolutnie nie, istniejący kontrakt zachowuje ważność. To tylko informacja uzupełniająca, która ma ułatwić panu wykonanie zadania i otrzymanie zapłaty, ewentualnie również bonusu. Zgodnie z paragrafem dwudziestym ósmym kontraktu. Czy już pan się dowiedział, ile wynosi zapłata, którą major i jego ludzie otrzymają, pozyskując dla nas kompleks Byutechu?

Backsyht pokręcił głową, widząc, że symulacja Senassiego zadała to pytanie jemu.

- Wierzę, że pana reputacja jako dziennikarza jest prawdziwa i pański materiał pojawi się we wszystkich mediach - skłonił się Senassi i zniknął z wizji.

- Pocałuj mnie w dupę - zaklął Gunner. - Ci gnoje już tu kogoś posyłali i nic o tym nie powiedzieli.

- Reinhard był dobry, działał w branży ponad dziesięć lat. A tutaj zniknął bez śladu? - zapytał cicho Chorybd, a po jego przeciągłym akcencie nie pozostał nawet cień.

- Jesteśmy na Plutonie. Każdy może się rąbnąć - odpowiedział Pietro lekko

rozdrażnionym tonem.

- Kod Senassiego przyjęty, mamy dostęp do plików Reinharda, majorze - oznajmiła Spice na ogólnym obwodzie.

Wszyscy ucichli i bez ruchu czekali, co powie dowódca.

McBane nie poświęcił nowym danym więcej niż dziesięć sekund.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni, warty według poprzedniego harmonogramu - powiedział i pierwszy położył się na swoim miejscu. Woroszyłow go naśladował, Gunner uśmiechnął się pod nosem.

- To umie zrobić tylko major - wycedził kącik ust i splunął do stalowego naczynia do sterylizacji narzędzi medycznych. Trafił prosto w otwór wylewowy.

- Przecież to mogą być informacje o poważnym niebezpieczeństwie, jakie nam zagraża! Nie możemy teraz spać! - Backsyht nie wierzył własnym oczom i uszom.

- Nie znajduje się pan pomiędzy dziennikarzami, ale wśród najemników, a słowo dowódcy jest tu prawem - oświadczyła Spice i również poszła spać.

Backsyht nie dał za wygraną, przejrzał całą komunikację z Senassim, odnalazł przesłany przez niego klucz deszyfrujący i spróbował dostać się do plików. Po godzinie usiłowań złamał pieczęć: ostatni z programów dekodujących ogłosił, że ma wolny dostęp. Z uczuciem zwycięstwa aktywował ikonę oznaczoną nazwiskiem Reinharda. Zamiast danych, których oczekiwał, ukazał się następujący tekst: *To zabezpieczenie przed panem zrobiłam ja. Następne-major. Za sprzeciwienie się rozkazom może, zgodnie z kodeksem najemników, skazać pana na śmierć. To by było na tyle, cwaniaku! Spice.*

Ogarnęła go wściekłość. Na co sobie ta cholerna baba pozwala? Czytając tekst, jeszcze raz się zastanowił. Kodeks najemników? Przyrzekł sobie, że wszystkim, a szczególnie Spice, pokaże, że nie jest żadnym zasranym żołdakiem, lecz jednym z najlepszych i najbardziej znanych dziennikarzy na Ziemi! Planował swoją akcję tak długo, aż go rano obudził zapach kawy.

Rozejrzał się, jeszcze nieco zaspany, powoli sobie uświadamiając, gdzie się znajduje i dlaczego. Zapach dobiegał od stołu, przy którym siedział Brassi. Drzwi z korytarza otworzyły się, wszedł Fincher z plastikowym kubkiem w dłoni.

- Ekspres jest na korytarzu - opowiedział na pytające spojrzenie dziennikarza. - Sprawdziłem go.

- Czy można wziąć prysznic? - spytał Backsyht z nadzieją.

- Tak, tutaj - Fincher wskazał kącik higieniczny, usiadł i zabrał się do czytania jakichś dokumentów.

Backsyht czuł się trochę wyobcowany. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt go nie zauważał. Postanowił robić to, co pozostali. Umyty, z kubkiem kawy i tubą odżywczego koncentratu, usiadł na leżance, na której poprzednio spał, ustawił na kolanach klawiaturę, a przed oczami umieścił tarczkę holowizyjną. Ten zestaw nie zapewniał tylu funkcji, co pełny HID, ale lepiej mu się myślało, kiedy swoje uwagi mógł rejestrować, używając własnej aktywności fizycznej, a nie tylko ruchów oczu. Czasem nachodziło go podejrzenie, że najemnicy używają środków o jeszcze wyższym poziomie technicznym i komunikują się z WPCE wprost za pośrednictwem myśli. To wyobrażenie trochę go przestraszyło i szybko je odgonił. Przejrzał jednego najemnika po drugim, nagrywając ich przy tym pobieżnie. Umieeli chyba tylko pracować z HID-em na poziomie podświadomego sterowania najwyższego rzędu.

McBane siedział przy komputerze w helmie, wyraźnie obserwował jednocześnie ekran i holomonitor. Backsyht gotów był postawić sto dalców przeciw dziesięciu, że zapoznaje się z danymi udostępnionymi przez Senassiego. Kolejną stówę dałby za możliwość zajrzenia do tych danych. Weller i Spice pracowali na innym komputerze. Rozłożyli na podłodze klawiaturę i holomonitor, za których pośrednictwem komunikowali się z własnymi ultrawydajnymi urządzeniami obliczeniowymi, niepozornie wyglądającymi czarnymi kostkami ułożonymi na podłodze. Przepływ informacji musiał być znaczny, ponieważ zastosowali połączenia kablowe, a nie zdalne.

Brassi znów ubezpieczał Chorybda, Pietra i Gunnera, którzy ruszyli na patrol. Woroszyłow pracował z użyciem HID-u.

Backsyht zatrzymał nagrywanie i przejrzał kilkadziesiąt końcowych sekund zapisu. Wszyscy sprawiali wrażenie skupionych na pracy, nikt nie przypominał krwiożerczego, żądnego walki potwora, jak ich z początku określił. Doszedł do wniosku, że będzie musiał ułożyć od nowa cały reportaż.

Otworzył bazę zawierającą informacje o najemnikach i problematyce z nimi związanej. Większość danych pochodziła ze źródeł ogólnie dostępnych, a część otrzymał bezpośrednio od SONICBM-u, gdy uzgodnił z nimi warunki kontraktu; niewielką część informacji, najciekawszą, pozyskał za pomocą własnych kontaktów.

Na próbę wpisał nazwisko pułkownika Reinharda. Zdziwił się, kiedy rozwinęła się przed nim długa kolumna danych. Pułkownik zaczął karierę w wojskach ONZ w Afryce, później przez krótki czas pracował dla Arabów w ramach współpracy międzynarodowej, a potem został prywatnym najemnikiem. Lista akcji, w których brał udział, i ocena ich skuteczności wydawały się godne uwagi. Ostatnim dużym przedsięwzięciem było zapewnienie bezpieczeństwa podczas negocjacji Global Hydroponic z firmą Genom.

Korporacyjny szczyt zakończył się masakrą, ale nikomu z negocjatorów chronionych przez komando Reinharda nic się nie stało, większość ofiar stanowili dziennikarze i personel hotelu. Kilka skarg na Reinharda pozostało bez echa.

Teraz z wielką ciekawością zapytał o majora McBane'a. Wykaz misji z jego udziałem był krótszy niż u Reinharda, ale skuteczność podobna. McBane specjalizował się w pewnych typach zadań, brał czysto wojskowe misje dotyczące zajęcia lub obrony obiektów, czasami ochrony poręczycieli. Jego kariera rozpoczęła się od wojny koncernu US Robotics z Bio Tech Jap. Podczas ataku na centrum produkcyjne US Robotics przejął dowodzenie w chwili, gdy jego oddział macierzysty został zdziesiątkowany, i wyprowadził większość swoich ludzi z piekła cybernetycznej obrony. Uzyskał w ten sposób pieniądze na niezależną licencję, rozszerzył zakres działalności i osiągnął rangę oficera.

Backsyht wiedział, że ma przed sobą tylko wierzchołek góry lodowej, wykaz misji podanych do publicznej wiadomości. Informacje były okrojone, zafałszowane albo i wymyślone, służące jedynie zaspokojeniu ludzkiej ciekawości. Nagle wpadł na pomysł i zapytał, którzy dowódcy są wśród najemników uważani za najlepszych. Na samym początku wykazu figurowały cztery nazwiska: pułkownik Reinhard, major McBane, kapitan Fahrey, major Hackensmith.

Major Hackensmith już od kilku miesięcy poddawał się poważnej rekonstrukcji ciała po zranieniu, jakie odniósł w akcji. Gdzie i kiedy, nie podano. Kapitan Fahrey zainteresowała Backsyhta. Nie przypuszczał, że w kręgach dowódczych znajdują się kobiety. Wybierała przeważnie misje ochronne lub ratunkowe dotyczące bezpieczeństwa osób, a nie mienia. Pewnego razu została oskarżona o potrójne morderstwo, kiedy osobiście zastrzeliła trzech żołnierzy, członków atakującego komanda. Broniła się sama w oparciu o kodeks najemników. Sąd uznał ją za niewinną i orzekł, że swoją bezkompromisową akcją uratowała życie wielu ludziom. Tak samo jak McBane brała udział w wojnie US Robotics przeciw Bio Tech Jap, tyle tylko, że po przeciwnej stronie.

Backsyht wgłębiał się w zasady, według których stworzono ranking dowódców. Ocena i kryteria sukcesu były sprawą złożoną, choć w jednej dziedzinie McBane był wyraźnie lepszy od wszystkich pozostałych. W tak zwanym stosunku śmierci do ryzyka. Podczas jego misji ginęło o wiele mniej ludzi, jego własnych oraz nieprzyjaciół.

Backsyht odchylił się do tyłu i odsunął tarczkę projekcyjną. Zdecydował się przewartościować koncepcję reportażu, ponieważ uzyskał teraz dostęp do znacznie lepszego materiału, niż mógł przedtem przypuszczać. „O ile oczywiście uda mi się wynieść stąd całą skórę” - pomyślał kwaśno.

Woroszyłow odchylił się w fotelu, na chwilę zdjął hełm, skinął na Kuzmina, żeby się podłączył, i nałożył hełm z powrotem. Baksyht też nałożył hełm po krótkim zmaganiu się ze skafandrem, który w trybie bojowym wymagał innych komend niż w cywilnym, w końcu osiągnął potwierdzenie hermetyzacji i gotowości do akcji. Aktywował HID i spróbował podłączyć się do Woroszyłowa. Udało się, dostęp nie był zablokowany. Ujrzał przezroczysty model czegoś, co przypominało transporter gąsienicowy przykryty paraboliczną anteną.

- Użyłem wyposażenia, które zostało po Reinhardzie, dodałem hardware'u z własnych zasobów. Nic nadzwyczajnego, ale w terenie sobie poradzi i moglibyśmy dostać się tym urządzeniem na jakieś dziesięć kilometrów od celu - usłyszał część objaśnień Woroszyłowa.

- Jeśli droga będzie choć trochę gorsza, niż się spodziewamy, to nieco tę parabolę poszkodujemy. Ale ona i tak służy do odbijania ciepła na dół, no nie? - upewniał się Kovacs.

- No tak. Kiedy pokryjemy ją lodem, staniemy się niewidzialni nawet dla optyki, i to z całkiem niewielkiej odległości.

Na diagramie pojawiały się elementy techniczne pojazdu.

- Widoczność będą miał kiepską, a te małe akumulatory ponoszą zbyt wielkie straty ze względu na przechłodzenie. Musimy je zabudować jeden przy drugim i lepiej izolować.

Transporter rozsypał się nagle, zostało tylko podwozie i skomplikowane części porzucane wokół.

Krwiożercze bestie? Raczej inżynierowie bawiący się klockami.

- Nie wsadziłeś tam żadnego porządnego działa - wmieszał się do rozmowy Brugger.

Pomiędzy porzucanymi elementami pojawił się jeszcze jeden, przypominający wąską lufę armatnią osadzoną na obrotowej podstawie. Zabarwienie poszczególnych części podwozia zmieniło się. Baksyht zrozumiał, że komputer przeliczył obciążenie według nowej konfiguracji maszyny.

- Musimy zacząć od nowa - mruknął Kovacs. - Potrzebny będzie inny silnik i inne akumulatory.

Klocki rozsypały się jeszcze bardziej.

„Żadni krwi inżynierowie wojny” - pomyślał Baksyht.

Przez chwilę uważał to za dobry tytuł całego reportażu lub choćby jednego z rozdziałów, ale później zarzucił ten pomysł.

Światło prowadzące zwiadowców nagle zniknęło, ciemność wyskoczyła z kątów jak coś żywego. Infraczerwień przy minus stu osiemdziesięciu stopniach była do niczego,

pokazywała jedynie dwie postacie błyszczące oślepiającymi barwami ciepła i życia. Gunner czekał, aż do pracy wejdzie radar, WPCE potrzebowało chwili, zanim odczytało sygnały pozostałych dwóch ludzi i złożyło je w jeden obraz. Na holo wyglądało to tak, jakby okolica na przemian pojawiała się i znów pogrążała w ciemności.

- Normalne kłopoty eksploatacyjne, bez nadzoru to nigdy nie działa poprawnie. Awaria oświetlenia - oznajmił Pietro, zapalając reflektor na hełmie.

Korytarz wydrążony w litej skale wydawał się teraz o wiele bardziej tajemniczy.

- Dotarliśmy do obszaru o niskim stopniu konserwacji.

Zza zakrętu wyłonił się niejasny kontur, Gunner i Pietro zareagowali natychmiast, Chorybd płynnie i ostrożnie, co wymuszała masa jego ciężkiej broni. Automat obsługowy ruszył ku nim, ikona na froncie jego pancerza jeszcze przez chwilę informowała o awarii i niedostatku energii, a później robot znieruchomiał.

- Nasza obecność go przebudziła, tędy od bardzo dawna nikt nie chodził - rzekł Gunner, ale sam podszedł jeszcze do przodu.

Mieli za zadanie zbadać całą bazę i pozostało im tylko to opuszczone skrzydło prowadzące aż na powierzchnię. Budowniczy używali go zapewne do transportu elementów o dużych wymiarach, prawdopodobnie głównych zbiorników reaktora. Z dokumentacji dowiedzieli się, że bazę zasiliał przestarzały reaktor w kompaktowej, mobilnej wersji. Najlepsze źródło niezbyt wielkiej energii, jakim ludzkość dysponowała przed stu laty.

Gunner posuwał się powoli, dając czas chwytym elementom podeszew butów na pewne przywarcie do skały. Nie zamierzał odbić się i przez długie sekundy płynąć nad powierzchnią. Blask reflektora Pietra nieco go oślepiał, starał się skupić na obrazie radarowym, zapewniającym lepszy widok. W momencie, w którym Chorybd nieoczekiwanie zatrzymał się, Gunner namacał przycisk zapłonu broni i w dziewięć dziesiątych sekundy później karabin ELMG był gotów do strzału.

- Co się dzieje? - zapytał, nie odwracając się.

- Poświeć bardziej w lewo - zwrócił się Chorybd do Pietra.

W polu widzenia Gunnera ukazał się obraz miejsca, którym zainteresował się Chorybd. W swoim sektorze Gunner nie dostrzegł nic potencjalnie niebezpiecznego. Stożek światła omiół ścianę i znieruchomiał na wybitych w skale wgłębieniach.

- To są ślady po wystrzałach, niech zjem własne jaja, jeśli nie - mruknął Pietro, ostrożnie zbliżając się do znaleziska, coraz lepiej widocznego w świetle reflektora.

Ikony broni całej trójki, przekreślone ciemnymi kreskami, pulsowały na czerwono, oznajmiając gotowość do walki.

- Nie mam połączenia z Brassim, dzieli nas od niego kilkoro zamkniętych drzwi, a retranslatory tutaj nie działają - oznajmił ze spokojem Chorybd.

Gunner wcale go nie słuchał, badał wzrokiem otoczenie, usiłując z informacji przekazywanych przez czujniki i przez jego własne zmysły stworzyć sobie obraz choćby cienia niebezpieczeństwa, choćby echa wydarzeń, jakie się tu rozegrały.

- Broń kinetyczna, mały kaliber, wielka szybkość początkowa. Wygląda na to, że pociski wyparowały - Pietro meldował o wynikach swego badania, WPCE wyświetliło przypuszczalne parametry techniczne broni, która mogłaby spowodować podobne szkody. Opis dobrze odpowiadał lekkiemu karabinowi ELMG.

Jeszcze przez chwilę stali tam, rozglądając się, jakby w ten sposób mogli zajrzeć w przeszłość.

- Niczego więcej się tutaj nie dowiemy, chodźmy dalej - zaproponował Pietro.

Zgasła ikona gotowości miotacza cząstek, generator nie mógł zbyt długo pozostawać w pracy, wkrótce po niej pociemniała też dioda oznaczająca gotowość bojową karabinu Gunnera.

W ciszy zakłócaną tylko odgłosami ich własnego ruchu przeszli jeszcze około dwustu metrów. Korytarz przez cały czas lekko się wznosił, a temperatura spadała. W końcu zatrzymali się przed przesuwym zamknięciem z szarego żeliwa. Gładką powierzchnię w kilku miejscach pokrywały nieregularne plamy krystalizującego metanu, termometr pokazywał siedemdziesiąt stopni, ciśnieniomierz tysiąc paskali, co było jedną setną ciśnienia na Ziemi.

- Po drugiej stronie jest już Pluton - rzekł Pietro. - Skończyliśmy zadanie, baza jest pusta.

Chorybd spojrział na podłogę.

- Myślę, że powinniśmy rzucić okiem na drugą stronę - powiedział, uniósł lufę miotacza, ale generator nie zadziałał.

- Gruba na pół metra bariera ze zmrożonej stali, permalu i ceramiki kompozytowej - Gunner odczytał z HID-u parametry techniczne przeszkody. - Sterowanie elektryczne uszkodzone, akumulatory puste.

WPCE wyciągnęło z obwodów bramy wszystkie dostępne informacje.

- Nie mamy tyle materiałów wybuchowych, żeby to rozwalić i przejść na drugą stronę.

- Gdzieś tu musi być awaryjny system otwierania. Nikt nie polega tylko na automatyce - powiedział Chorybd, odwracając się do Pietra.

„Jakby się zamienili rolami” - pomyślał Gunner. Podczas okresów spokoju

południowiec był aktywniejszy, w boju zaś - flegmatyczny Murzyn. Gunner wiedział, że jego przodkowie byli właścicielami plantacji, na których pracowali czarni niewolnicy. Pradziad z bronią w ręce bronił Konfederacji i należał do zwolenników segregacji rasowej. Jego natomiast nic to nie obchodziło. Gdyby nawet wybierał się do piekła, Chorybd byłby tym, którego chciałby mieć za sobą.

Pietro zaczął systematycznie przeglądać skałę w okolicy wrót. Skontrolował sensory i holo, później oglądał powierzchnię, a w końcu opukiwał ją ciężką rękawicą skafandra.

Chorybd zapalił reflektor i przyglądał się czemuś pod nogami. Pochylił się, przeziernik hełmu zmienił odcień, gdy optyka wykryła jakąś plamę.

- Co znalazłeś? - zapytał Gunner.

Stał z karabinem wymierzonym do góry, z palcem na spuście. Chociaż jeden z nich musiał pełnić straż.

- Czarną plamę. Chciałbym się mylić, ale myślę, że to krew.

- W tej temperaturze nawet jakbyś stracił głowę, to na podłogę spadłyby tylko lodowe kryształki - mruknął Gunner.

- Może nie było tutaj wtedy aż tak zimno.

- Mam coś - odezwał się naraz Pietro.

Podniósł kamienną płytę, pod którą ukazało się duże metalowe koło.

- Ręczne otwieranie - stwierdził Chorybd.

- Musi być zamrożone - powiedział Pietro, ale złapał za pokrętło.

Chorybd zgasił reflektor, nastąpiła ciemność.

- Jeśli po drugiej stronie jest wolna przestrzeń, to optyka złapie światło, kiedy brama zacznie się odsuwać.

Dla elektronicznych zasilaczy optyki słabe światło gwiazd zupełnie wystarczało.

- Biorę się za to - oznajmił Pietro.

Słyszeli jego sapanie, gdy używając wszystkich sił, kręcił kołem.

Brama zaczęła się z wolna unosić, w podczerwieni widzieli ciemny pas pojawiający się pod jej dolną krawędzią. Za bramą temperatura była o czterdzieści kelwinów niższa. Manometr powoli opadł do wartości półtora paskala.

Stopniowo roztaczał się przed nimi widok, jaki mogli mieć z wnętrza obszernej jaskini tkwiącej w zamrożonym metanie. Z dala połyskiwała linia horyzontu. Niebo było czyste, bez śladu zanieczyszczeń, a jego czerń przypominała aksamit usiany mikroskopijnymi brylancikami.

- Tu są stalaktyty - powiedział Gunner ze zdumieniem.

Pietro włączył reflektor, białe światło odbiło się od dwóch pokrytych kryształkami lodu ciał wiszących u stropu. Zwłoki były nagie, jednym brakowało nóg, a drugim trzech czwartych korpusu, kręgosłup sterczał z resztek ciała jak ostra piła.

Chorybd podszedł do zwisających szczątków, trzymając broń lufą ku ziemi. Dotknął lepiej zachowanych i przez chwilę przyglądał się twarzy zmarłego.

- Znałem go. Myślę, że znaleźliśmy ludzi Reinharda. Przynajmniej dwóch z nich.

- Kurwa, kurwa, kurwa. To całkiem jak w tej zaszanej Afryce, kiedy wszyscy powariowali i ogłosili ludożerstwo za część obrządku - klął Pietro. - Powinniśmy jak najszybciej wracać, majora to cholernie zainteresuje.

Bez słowa cofnęli się w głąb korytarza, zamknęli bramę i ruszyli w drogę powrotną, idąc jeszcze ostrożniej niż poprzednio.

ROZDZIAŁ PIĄTY

WIZYTÓWKA ŚMIERCI

Z punktu medycznego przeszli do centrum dowodzenia, gdzie mieli lepsze połączenie z komputerami bazy i siecią sensorów. Foteli rozstawionych pod ścianami, zapewniających widok na główny monitor, wystarczyło dla wszystkich. Backsyht ze strachem uświadomił sobie, że nie ma na sobie skafandra - Gunner, Woroszyłow i Kuzmin nawet hełmy mieli nieustannie pod ręką. Uspokoił się, widząc, że sam major ubrany jest tylko w termooveral, noszony pod skafandrem. Bez munduru, dystynkcji i broni wyglądał bardzo zwyczajnie - smukły mężczyzna, oszczędny w ruchach.

Jak dotąd Backsyht wyobrażał sobie najemników jako ludzi pokroju Woroszyłowa, Bruggera czy Chorybda, przewyższających swego dowódcę siłą i posturą. Kuzmin i Gunner byli mniejsi, ale swymi doskonale skoordynowanymi ruchami sprawiali wrażenie atletycznych tancerzy. Kovacs, Brassi i Pietro znacznie bardziej wyglądali na wojskowych niż major. Spice nie brał pod uwagę. Raczej unikał jej widoku, kiedy nie nosiła skafandra. Specjalnie nie wystawiała na pokaz swoich krągłości, ale termooveral był tak elastyczny, że sprawiał wrażenie drugiej skóry. Nawet w tym stroju roboczym wyglądała na kobietę, dla której facet z ochotą ogołociłby swoją kartę kredytową, jeśli zgodziłaby się pójść z nim na kolację. Nie pojmował, co ona tu robi, i czuł się z tego powodu nieco wzburzony.

Zapisał swoje wrażenia, uzupełniając je kilkoma szczegółami zaczerpniętymi z profilów psychologicznych poszczególnych najemników. Zdawał sobie sprawę, że wiele rzeczy mu umyka, że nie rozgryzł ani jednego członka komanda McBane'a, że wciąż ślizga się jedynie po powierzchni. Zamknął aplikację, przez moment zastanawiał się, czy powinien nagrywać, ale w końcu nie uruchomił kamery. Trzech najemników grało w karty i prawdopodobnie mówienie do nich w tej chwili nie spotkałoby się z przychylną reakcją.

- Dwie - powiedział Kuzmin, dobierając karty.

- Wchodzę do dwustu - wyrównał stawkę Brugger.

- Ja też wchodzę, więc obrazki na stół - rzekł Kovacs i wyłożył swoje jako pierwszy.

Bank zgarnęły trzy dwójki.

- Taki poker to nuda - oznajmił Kuzmin, rzucając okiem na Spice i Wellera, którzy już od kilku godzin ślęczeli nad terminalem.

- Major nie ograniczył puli - skrzywił się Kovacs, wyrównując talię.

- Ale przebijać możemy tylko po pięć, a to straszna nuda. Zanim stawka urośnie, możesz usnąć.

- Przegrałeś już pięćdziesiąt tysięcy - przypomniał mu Brugger.

- Ten skubaniec pamięta wszystkie ostatnie gry. - Kuzmin ze złością wskazał na Kovacs'a i rozłożył ręce w geście zniechęcenia.

- Było sześć, możemy spróbować siódmej. A ty chyba nie?

- No nie.

Zamilkli, nie ruszając już kart leżących na stoliku.

- Co Fincher stwierdził podczas oględzin ciała? - zapytał Kuzmin.

Brugger wzruszył ramionami, Kovacs zrobił pogardliwą minę.

- Mnie jest wszystko jedno. Mam nadzieję, że nie będziemy się z tego powodu długo zatrzymywać. Chciałbym wykonać zadanie i zainkasować forszę, nic więcej. Nie jestem planetarnym grabarzem, żebym zbierał trupy z całego Układu Słonecznego.

- Nic cię nie obchodzi, co się tutaj stało?

- Każdy kiedyś wyciągnie nogi. Niewiele się dowiemy, wisieli tam w temperaturze kilkudziesięciu kelwinów dość długo. I myślę, że ci, którzy ich zabili, zadbali o to, żeby nie zostawić śladów. - Brugger zamyślił się. - Naprawdę wkurza mnie to, Reinhard miał takie wyposażenie jak my i nie był nowicjuszem. Co będzie, jeśli to, co ich załatwiło, spróbuje zrobić to samo z nami? Właśnie dlatego wołałbym jak najszybciej się stąd wynieść.

- Reinhard miał więcej wyposażenia niż my - poprawił Bruggera Kuzmin. - Wiem, bo przejrzelśmy z majorem wszystkie materiały, jakie o nim mamy. Z pułkownikiem było tu dwudziestu chłopów, tak uzbrojonych, że mogliby wywołać małą wojnę i wygrać. Przy nich jesteśmy tylko oddziałkiem rozpoznawczym.

- Zwiadowcy, którym SONICBM zapłacił ćwierć miliarda? - zaprotestował z rozdrażnieniem Brugger.

Backsyht wstrzymał oddech, słysząc wysokość kwoty.

- Spróbowali z Reinhardem i nie udało się. Teraz robią drugą próbę, z nami - powiedział nieprzekonany Kuzmin.

- Chyba że zwariowali i pozabijali się nawzajem, już tak kiedyś było. Deep Space Paranoia - wtrącił Kovacs. - Wtedy nie mielibyśmy problemu.

- Może tak, może nie. Może jest tu coś, co z nas też robi wariatów - wyszczerzył zęby Gunner wyciągnięty wygodnie na leżance. - Tylko wyjaśnijcie mi, jak się ci dwaj nawzajem ogryźli, a potem powiesili. Też chciałbym dostać swoje pieniądze, ale to mnie

przestraszyło. Dopóki nie dowiemy się, co tu zaszło, nie możemy czuć się bezpiecznie.

- Bezpiecznie? Szykujemy się napaść na ufortyfikowaną fabrykę Byutechu. Nikt ci na tę akcję nie wystawi polisy na życie - odparł Brugger.

Zaległa cisza. Spice i Weller skończyli wreszcie pracę przy głównym terminalu bazy, cywil podniósł się znudzony, nalał sobie filiżankę kawy z automatu i usiadł na jedynym wolnym fotelu obok Backsyhta.

- Skończyliśmy - mruknął półgębkiem. - Zbyt wiele się o tym nie dowiedzieliśmy.

Backsyht uświadomił sobie, że doktor Weller, tak jak i najemnicy rozmawiający ze sobą o jak dotąd wyimaginowanym wrogu, używali określenia „to”. Nie mówili „on” czy „oni” tylko „to”. Gdzieś w głębi duszy odczuwał niepokój. Był to zwierzęcy, prymitywny strach, znany już pierwszym ludziom. Strach przed potworami kryjącymi się w cieniach, strach przed czymś niewidzialnym, nieznanym.

- Dostaliśmy od naszych zleceniodawców kolejne polecenia, które nie stoją oczywiście w żadnej sprzeczności z kontraktem - zwrócił się do wszystkich McBane. - Materiały macie do dyspozycji. Nasza aktualna sytuacja jest następująca - kontynuował obojętnym tonem, jakim mógłby opisywać pogodę na plażach Wenecji. - Zgodnie z planem dotarliśmy do tajnej bazy SONICBM-u, Erebos, która posłuży nam podczas przygotowań do właściwej akcji. Nieoczekiwanie zaatakował nas cybernetyczny system obronny, a później odkryliśmy dwóch martwych członków oddziału pułkownika Reinharda. Miał on z pewnością takie samo zadanie jak my, chociaż zleceniodawca tego nie potwierdził.

Milczał przez chwilę, jakby przyszedł mu do głowy jakiś nowy pomysł.

- Spice? Analizowała pani pamięć mózgu elektronicznego bazy. Czy są jakieś nowe fakty?

McBane odwrócił się ku najemniczce, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, tylko w oczach widać było skupienie. Precyzyjną inteligencję wojskową pod zmarszczonym czołem.

Spice potrząsnęła głową, jej krótko ostrzyżone włosy błysnęły w świetle luminoforów. Poruszyła głowę, jakby była przyzwyczajona do długich włosów, stwierdził Backsyht. Postanowił zapytać ją o to później.

- Tak, z pomocą doktora Wellera - wskazała na cywila - zbadalam pamięć bazy. Nie znalazłam żadnej zmiany z wyjątkiem faktu, że brakuje około dwóch dni, dokładniej pięćdziesiąt jeden godzin, dwadzieścia siedem minut i trzy sekundy. Nie ma całego bajtu z tego okresu. Miejskowa AI wie o tej okresowej nieciągłości, ale nie umie jej wyjaśnić. Przyjmuje ją za fakt dokonany.

McBane rozejrzał się, jakby spodziewając się wyjaśnienia od członków swego oddziału.

Backsyht był całą tą sytuacją zaskoczony. Inaczej wyobrażał sobie dowodzenie komandem najemników. A to, w czym brał udział, przypominało raczej burzę mózgow zespołu naukowców.

- Spice ma doktorat z informatyki, wiedział pan o tym? - powiedział Weller półgłosem, jakby wyczuwając przyczynę jego zdumienia.

- Nie bardzo rozumiem, do czego jej to służy jako zabójczyni - odparł cicho Backsyht.

- Ci tutaj ludzie - Weller spojrzał po obecnych - są zdolni do działania na Plutonie czy innych planetach, do pilotowania najróżniejszych środków transportowych, do pracy na wszelkich urządzeniach technicznych wytworzonych przez ludzi w przeciągu minionych dwóch stuleci. Muszą mieć do tego stosowne wykształcenie i zdolności intelektualne.

- Tresowane małpy - fuknął Backsyht, oparł się wygodnie w fotelu, dając do zrozumienia, że dalsza rozmowa na ten temat go nie interesuje.

Najemnicy nadal dyskutowali o brakujących danych w pamięci Erebosa.

- Czy ty umiałabyś zrobić coś podobnego? - dopytywał się Gunner.

- Umiałabym, ale nieco innym sposobem. Takim, że w ogóle byś nie zauważył, że czegoś brakuje - odpowiedziała Spice. - A tu wygląda to tak, jakby ktoś do naprawy zegarka użył dużego młotka.

Dalszych pytań nie było i major udzielił głosu Fincherowi.

Lekarz wstał. Backsyht uświadomił sobie, że facet ma posturę koszykarza, a jego ruchy są sprężyste jak zawodników na boisku. Być może sprawiał wrażenie jeszcze bardziej aktywnego, niczym sprężyna skrecona o jeden zwój ponad normę.

- Na podstawie fotografii udało mi się ustalić tożsamość obu zabitych. Są to Jan Kaczkin i Dortmund Weisenberg. Obaj byli zawodowymi najemnikami z ponad jedenastoletnim stażem w branży, jak wynika z ich danych osobowych. Współpracowali już w przeszłości z Reinhardem, więc zakładamy, że byli z nim podczas ostatniej misji. Zgadza się to z innymi informacjami, którymi dysponujemy. Ze względu na niekompletność zwłok przyczynę śmierci mogę tylko odgadywać. Najprawdopodobniej obaj otrzymali śmiertelne rany w dolną część ciała. Mogła ich oczywiście zabić dekompresja i późniejsze zamrożenie. Nie mogę wykluczyć nawet tak mało prawdopodobnej okoliczności, że zostali poddani wiwisekcji. Działanie mrozu i próżni albo było przyczyną śmierci, albo nastąpiło bezpośrednio po niej. W płucach znalazłem zamrożone powietrze, a w żyłach ślady krótkotrwałego wrzenia krwi...

- Mnie bardziej interesuje, dlaczego im to zrobili. I w jaki sposób - oświadczył Pietro, rozglądając się po pozostałych.

Powszechne potakiwanie świadczyło, że trafił pytaniem w dziesiątkę.

Fincher zawahał się.

- Nie wiem. Na te pytania nie potrafię odpowiedzieć. Ciekawe jest to, że w pierwszym przypadku korpus oddzielono bardzo brutalnie, w drugim natomiast kręgosłup pozostał nienaruszony. To oznacza, że te działania były zamierzone i zaplanowane. Powierzchnia ran jest zanieczyszczona strzępami odzieży i skafandra, a więc o użytych narzędziach nic nie mogę powiedzieć. Musiałbym mieć więcej czasu i pomoc specjalistów.

- To kompletnie posrane, nie ma sensu - wmieszał się Pietro. - Te gnoje zadały sobie mnóstwo trudu, żeby nie zostawić żadnych śladów, a mimo tego porzuciły nam te trupy pod nosem. Dlaczego?

- Zadałem sobie takie samo pytanie - Fincher wzruszył ramionami - ale odpowiedzi nie znalazłem.

- A gdzie reszta trupów? - zapytał Brugger. - Reinhard miał ze sobą dwudziestu ludzi.

- Czujniki bazy nie pokazują niczego. Mogą być głęboko pod lodem, ale wątpię w to - odezwał się Brassi.

- No to zostaje nam pocałować się w dupę i dalej ciągnąć tę cyrkową jazdę. - Gunner wzniosł oczy w górę.

- To wszystko w temacie nieoczekiwanych okoliczności - zakończył debatę McBane. - Dla naszej misji istotne jest to, że Reinhard zostawił nam nowe informacje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

KU ZGUBIE

Kovacs oburącz trzymał się uchwytów, kierując za pomocą HID-u. Na stereoskopowej mapie terenu wyświetlała się linia oznaczająca optymalną trasę. Trzymał się jej w dwudziestu ośmiu procentach przebytego dystansu, w pozostałych przypadkach kierował się instynktem albo zatrzymywał pojazd, żeby dokładnie zbadać drogę. Przejeżdżali obok wielkich brył metanowego lodu, często wspartych o siebie nawzajem i sprawiających wrażenie dziwacznych tworów. Przyczyny tego zdumiewającego zjawiska nie interesowały Kovacsa. Podejrzał, że lodowe twory mogą być niestabilne i dlatego unikał ich, jak tylko się dało. Prowadzenie pojazdu wymagało pełnej koncentracji. Poczł, że transporter przyspieszył, szybkościomierz potwierdził to wrażenie. Skończyła się jazda po sypkim, krystalicznym śniegu, teraz wjechali na twardą powierzchnię. Czterystutonowy kolos nie posiadał takiego zapasu mocy, jakiego by sobie Kovacs życzył. Major zdecydował przyznać pierwszeństwo zasięgowi transporterów kosztem szybkości. Gdyby akcja się nie powiodła, zdołaliby nimi wrócić do bazy.

- Mój sonar zgłasza rozpadlinę w lodzie - zabrzmiał wyraźny głos Chorybda.

Kierował drugim transporterem, choć właściwie pilnował tylko automatyki, utrzymującej pojazd na trasie Kovacsa.

- Wiem.

- Znów ten twój pieprzony skok? A co będzie, jak się po drugiej stronie oberwie?

- Spadniemy trzydzieści metrów od krawędzi. A jeśli się oberwie, to będziemy mieli pecha.

Nie było innej możliwości, a w takich przypadkach Kovacs minimalizował ryzyko i przestawał się nim przejmować. Wzgórze lodowe o odmiennym współczynniku odbicia światła nie podobało mu się, przyspieszył nieco i skręcił w lewo. Dźwięk lodu gniecioneo gąsienicami zmienił się, po chwili ucichł, stracili kontakt z powierzchnią i zaczęli spadać. Kovacs natychmiast zrozumiał, co się stało. Wpadli do rozpadliny skrytej pod powierzchnią. Nie miał pojęcia, jak jest głęboka. Włączył silnik reakcyjny zbudowany dla takich właśnie przypadków. Dopływ paliwa otworzył do maksimum. Silnik zagrział, maszyna skoczyła, lekko zadzierając przód, jak lądujący samolot.

- Stop, mam kłopoty - oznajmił spokojnie Kovacs do mikrofonu.

Silnik nadal ryczał pełną mocą, a wskaźnik paliwa szybko opadał ku zeru. Przeciwległa ściana była jeszcze około stu metrów przed nimi, a pod sobą mieli prawie siedmiokrotnie większą przepaść.

Lecieli, tracąc wysokość z coraz bardziej przegłębioną tylną częścią. Komputer transportera zawiesił się, taki lot nie mieścił się w jego schematach operacyjnych. Silnik przekraczał wszystkie parametry eksploatacyjne, komora spalania, przeznaczona na bardzo krótki czas działania z pełną mocą, zaczęła się topić. Kovacs wyłączył silnik, zerwał wszystkie bezpieczniki i tuż przed tym, jak maszyna uderzyła w prawie pionową ścianę, dał pełną moc turbiny i silnika. Transporter obrócił się, przywarł gąsienicami do lodu, wgryzł się w niego i, jakby na przekór prawom fizyki, podjechał dziesięć metrów do góry. Przelazł przez grań i bezpiecznie wylądował na podwoziu.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz, Kovacs? - na ogólnym kanale przekrzykiwały się wzburzone głosy, najgłośniejsze ze wszystkich wrzeszczał Gunner.

- Spróbowałem, czy tym kramem da się latać - odpowiedział spokojnie, odjechał jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymał pojazd.

Pozostali kierowcy, Chorybd i Pietro, będą musieli poszukać bezpieczniejszej drogi. Za efektowny lot transporter zapłacił zniszczonym silnikiem odrzutowym i utratą całego zasobu płynnego paliwa.

- Zdaje się, że mieliśmy szczęście - uspokoił się Gunner, odczytawszy dane z transportera Kovacsa. - Można powiedzieć, że cholerne szczęście.

Kovacs poczekał, aż dwa pozostałe transportery objadą niebezpieczne miejsce, a potem znów ruszył na czele. Długotrwała, monotonna jazda, urozmaicana od czasu do czasu zapierającymi dech skokami, spowodowała, że Backsyht zrobił się senny. Z nudnościami, jakie nękały go podczas lotów, zdołał się uporać, za żadną cenę nie chciał porzygać się w skafandrze. Od tego mógłby bardzo łatwo umrzeć. W niskiej grawitacji Plutona była to bardziej psychiczna niż fizyczna dolegliwość.

- Dotarliśmy do pasma numer dwa, więc kto nie ma ubranka w porządku, ten zamarznie - wyglądał się Brugger, sięgając do dźwigni otwierającej drzwi wyjściowe.

Backsyht ocknął się z drzemki. Nie zdołał wyobrazić sobie od razu, co oznacza pasmo numer dwa. Miało to coś wspólnego z ich zadaniem, z ich celem. Chaotycznie próbował sobie przypomnieć, o co chodzi, obserwując mimochodem Kuzmina bawiącego się nożem.

Mężczyzna przez chwilę zwrócił wzrok na Backsyhta. Wściekłe syczenie powietrza wypuszczonego w rzadką atmosferę Plutona spowodowało, że dziennikarzowi ścierpła skóra i

zatrząsł się z zimna. Takiego chłodu jeszcze dotąd nie zaznał. Pole widzenia HID-u nagle zabłysło ostrzegawczo i rozpalilo się intensywną czerwoną barwą. Backsyht stłumił paniczny krzyk, rozglądając się z przestachem. Znał znaczenie tego sygnału, ktoś o wyższym priorytecie grzebał w nastawieniach jego skafandra. Wyższy od niego priorytet mieli wszyscy. Te skurwiele chciały go zabić?

- Co się dzieje? Co się, do cholery, dzieje? - krzyczał.

Kuzmin usiadł swobodnie i przypiął pasy. Brugger obserwował panel sufitowy z monitorem, zupełnie nie zwracając uwagi na wrzaski Backsyhta.

- Mamy półtora paskala, temperatura minus sto pięćdziesiąt. Za chwilę będziemy wydzielać tyle ciepła, co nieboszczyk, a jeśli Woroszyłow czegoś nie spieprzył, to na infra będziemy niewidzialni - stwierdził zadowolony. - Dokładnie według założeń dotyczących posuwania się przez pasmo numer dwa.

- Panie Backsyht, mógłby pan w końcu przestać jęczeć? Miał pan skafander nastawiony na warunki wewnętrzne, a teraz mamy tu praktycznie kosmos. Kuzmin uratował panu dupę - powiedziała Spice.

Backsyht ucichł, poczuł, że się czerwieni. Czy nie mogli mu o tym powiedzieć normalnie? Odwrócił się do Kuzmina, ale on w ciągu kilku sekund zdołał zasnąć. Brugger zajmował się wyposażeniem strzeleckim, a Fincher był odłączony od ogólnego obwodu. Spał albo coś czytał w skupieniu. Aby zapomnieć o upokorzeniu, dziennikarz wyjrzał z transportera przez otwarte drzwi. Nic się nie zmieniło, z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę pokonywali zasy metanowego i azotowego śniegu, czasem przyśpieszali na gładkiej powierzchni lodu, wokół sterczały ostre szczyty gór lodowych. Niebo pozostawało czyste jak śmiertelny całun nad zamrażniętym światem. Teraz już wiedział, że ta kraina jest pełna niebezpieczeństw dla przybysza z cieplej i przyjaznej Ziemi. A ponadto oni nie przyjechali tu na wycieczkę, ale szykowali się do walki. Backsyht czuł, że powinien spisywać uwagi, notować pomysły, ale nie mógł się do tego zmusić. Żeby podsłuchać jakąkolwiek rozmowę, włączył się w ogólny obwód transportera numer dwa. Usłyszał głośną melodię „I Can Get No Satisfaction” i towarzyszące jej pomruki nieco niezgodne z rytmem. Zamiłowanie Gunnera do muzyki rockowej szło w parze z absolutnym brakiem słuchu.

- No więc powiedziałem jej, czyby nie poszła ze mną na jeden numerek. Ona na to, że może być, ale muszę swojego psa uwiązać na łańcuchu. Ja nigdy żadnego psa nie miałem i tak jej mówię. A ona, żebym nie łgał, przecież widzi, jak wietrzy, i pokazała na jaja. - Pietro roześmiał się z własnego dowcipu.

- I co z tego wyszło? - zapytał po chwili Chorybd, kiedy ucichły trzaski spowodowane

podskokiem transportera.

- No, urwał się!

Najemnicy zarechotali jednocześnie.

Backsyht wyłączył się i wywołał dane osobowe Pietra. Nie było ich wiele, większość pochodziła z medycznych notatek Finchera. Trzykrotnie ranny, w jednym przypadku musiał poddać się rekonstrukcji istotnej części ciała, w wieku szesnastu lat pierwszy raz leczony na AIDS, na szczęście wyszedł z tego czysty, przed dziesięciu laty przeszedł szczepienia genetyczne, co uczyniło go odpornym na wszystkie choroby przenoszone drogą płciową. Według wszelkiego prawdopodobieństwa niepłodny. Oskarżony o niepłacenie podatków, został oczyszczony z zarzutów, a fiskus wyraził nawet ubolewanie z powodu pomyłki. Na tym Backsyht zatrzymał się i zajrzał do swojej własnej bazy danych, ale nie znalazł niczego, co tłumaczyłoby niezwykłą uprzejmość tej instytucji. Wrócił do czytania. Główną specjalizacją Pietra, oprócz walki w niewielkich, izolowanych grupach, był pilotaż i kierowanie pojazdami. Miał licencję na prowadzenie wszystkiego, od naziemnych środków transportowych i bojowych poprzez helikoptery aż po samoloty myśliwskie. W dziedzinie ochrony zdrowia ukończył kurs magisterski, władał wszystkimi rodzajami broni ręcznej, palnej i energetycznej. To jednak wśród najemników uważano za standard. Ostatnia uwaga Finchera zastanowiła Backsyhta. „Możliwy syndrom ostatniego obrońcy”. Co to miało, do diabła, znaczyć? Znów poczuł strach. Dziesięciu ludzi w kruchych, na chybیکا skleconych wozach, niemających nic wspólnego z żadnym profesjonalnym produktem, zamierzało zaatakować i przejąć kontrolę nad bazą jednego z najpotężniejszych koncernów Układu Słonecznego. Ich przeciwnikami nie byli uczeni i technicy, ale czterystu pięćdziesięciu elitarnych żołnierzy prywatnej armii koncernu. Ponadto kompleks chroniony był przez pięć wież bojowych i planetolot szturmowy. Podniecenie wywołane ofertą zrelacjonowania misji na Plutonie zniknęło. Dobrowolnie skazał się na śmierć.

Transporter zatrzymał się.

- Co się tam dzieje? Przerwa przed kolejnym skokiem? - odezwał się głos Gunnera.

- Nie, właśnie zbliżyliśmy się na odległość jednego kilometra do linii monitorowanej przez wieże - odpowiedział major. - Poczekamy, aż ostygną silniki, i pojedziemy dalej z minimalną szybkością. Według zdjęć z satelity wytypowałem miejsce ukryte przed większością systemów śledczych Byutechu. Zatrzymamy się tam i rozpoczniemy właściwy desant - przedstawił początek planu taktycznego.

Backsyht poczerwieniał. „Wytypowałem? Ukryte przed większością?”

- No i dobrze, już przestało mnie bawić ciągle siedzenie na tyłku - mruknął Brugger, a

Gunner potakująco kiwał głową.

- Co się stanie, jeśli nas jakimś cudem zobaczą? - nie wytrzymał Baksyht.

Usłyszał kilka śmiezków, a odpowiedział mu milkliwy Woroszyłow.

- Dla globalnej obrony używają broni typu OS - Open Space. To oznacza, że wszystko przebiegnie szybko i bezboleśnie. Naszym atutem jest to, że polegają głównie na niej, a te pokrywy godne chrabąszcza są z góry widoczne tak samo dobrze jak pchła w futrze niedźwiedzia obserwowana przez teleskop z odległości dwustu metrów.

- Przez to zasrane maskowanie są o pięć ton cięższe, o połowę wolniejsze, a własności jezdne... - syknął pogardliwie Pietro.

- Pchła w futrze niedźwiedzia? - zainteresował się Kuzmin. - Nigdy nie widziałem niedźwiedzia.

- W tajdze jest ich pod dostatkiem - odpowiedział Woroszyłow i na tym skończył udział w rozmowie.

- Pewnego razu pracowałem z teleskopem, który nawet sfotografowałby pchły - wmieszał się do dyskusji Fincher.

Baksyht o nic już więcej nie wypytywał, siedział na swoim miejscu w milczeniu i śledził wskaźnik temperatury wewnętrznej akumulatorów i silnika. W chwili gdy spadła do stu pięćdziesięciu stopni, major kazał ruszać. Już nie jechali związani elektroniką pierwszego transporterą, ale każdy kierowca wybierał drogę sam, nie tracąc jednak z oczu śladów poprzednika. Za ostatnim transporterem wlokła się szybko osiadająca chmura metanu. Ciekły metan, przechowywany w ogrzewanych zasobnikach, wypuszczali do atmosfery, gdzie natychmiast krystalizował i w formie śniegu pokrywał ślady gąsienic.

Teraz posuwali się z prędkością zaledwie pięciu kilometrów na godzinę. McBane co chwila dawał rozkaz zatrzymania. Robił to wtedy, gdy uznał, że maszyny wytwarzają zbyt dużo ciepła. W końcu dojechali do miejsca, które na pozór niczym się nie wyróżniało. Brassi zwrócił ich uwagę na ciemny, półkulisty kształt widoczny na tle lodu.

- Jedna z wież - powiedział.

- W niej powinien być zainstalowany rentgenowy laser wielkiej mocy - oznajmił obojętnie Woroszyłow.

- Ale taka broń jest zakazana na powierzchni planet - przyłączył się Baksyht.

Broń podobnego typu potrafiła pozbawić jądra atomowe ich powłoki elektronowej z taką łatwością, z jaką stary podrywacz pozbawi szatek niedoświadczoną siedemnastolatkę. Baksyht przypomniał sobie to porównanie, którego użył kiedyś w jednym ze swoich reportaży.

- No tak, jest zakazana - powtórzył Gunner. - Ale Byutech to taki kolos, że na swoim podwórku może robić, co mu się spodoba, nawet gotować ludzi żywcem.

- Jeśliby nas trafili, grzecznie byśmy wyparowali - poprawił go Weller i uzupełnił swoje stwierdzenie wynikami zwięzłych obliczeń.

- To tylko zasrane byutechy, którym od długiego próżnowania dupy obrosły sadłem. A my im teraz te dupy pięknie skopimy. - Gunner nie dał sobie popsuć dobrego humoru.

Transporter ruszył i pochylił się, wdrapując na stromy stok. Pod wierzchołkiem znowu stanęli, aby pozbyć się zdradzieckiego ciepła.

- Od punktu beta dzieli nas ostatni kilometr - poinformował ich major.

- Zaczynam przegląd systemów bojowych... systemów bojowych... systemów bojowych - zabrzmiała potrójna litania meldunków.

Backsyht najchętniej wcisnąłby się w fotel, żeby nic nie widzieć, żeby go nikt nie zobaczył, a najlepiej gdyby na powierzchni Plutona w ogóle nie istniał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

DOBRY I WREDNI

Z miejsca, które wybrali sobie na ostatni postój, nie było widać żadnej z wież obronnych, a horyzont zdawał się leżeć wyżej niż zwykle.

- Płaski i bardzo użyteczny dołek, w którym możemy się schować jak kaczką siedzącą na jajkach - mruknął zadowolony Gunner i pierwszy wylazł z transportera.

Backsyht wiedział, że ochraniający go pancierz jest słaby i iluzoryczny, a on przecież ma na sobie skafander. Jednak nie miał zbyt chęci wychodzić na zewnątrz.

- Cisza radiowa, przejeżdżają patrole - nakazał Brassi.

Obwody komunikacyjne zamilkły. Teraz również Backsyht uzyskał dostęp do danych operacyjnych misji. Przestrzeń wokół kompleksu Byutechu nieprzerwanie patrolowały trzy wozy bojowe. Dwa jeździły w obszarze położonym na zewnątrz umocnień obronnych, jeden w przeciwnym kierunku, wewnątrz niewidzialnego pięciokąta. Kiedy chciał się dowiedzieć, jaki to typ wozu, jak jest uzbrojony, jak liczna jest załoga, pojawił się komunikat: *Informacje niedostępne*.

- O mój Boże, oni nawet nie wiedzą, przeciw czemu idą - mruknął i stwierdził, że słyszy swój głos w słuchawkach.

Brassi odwołał ciszę radiową.

- Człowiek nigdy nie wie wszystkiego - odparł spokojnie Pietro.

- Ostatnia powtórka rozkazów i terminarz czasowy, później komunikacja będzie ograniczona i do czasu wykrycia nas możliwa tylko w przypadku alarmowym - rozległ się głos dowódcy.

Równocześnie wyświetliła się mapa bazy Byutechu. Pięć wież obronnych otaczało taką samą liczbę budowli w kształcie połowy dwudziestościanu foremego, rozmieszczonych w wierzchołkach pięciokąta prawidłowego o rozmiarze tysiąca pięciuset metrów. Na Plutonie, na którym horyzont pozorny leżał w odległości około dwóch kilometrów, cały kompleks był w zasięgu widzialności. Pomędzy foremnymi kopułami wznosiła się niższa, ale masywniejsza budowla zawierająca główne źródło zasilania, duży reaktor TOKAMAK.

Backsyht znów niemal boleśnie uświadomił sobie, że nie zamierzają atakować małej, peryferyjnej bazy, ale wielki kompleks naukowo-produkcyjny, największy z istniejących poza

orbitą Urana, i to siłami zaledwie jedenastu ludzi. On i Weller byli tylko osobami towarzyszącymi, rodzajem balastu. Z samozaparciem zaczął nagrywać swoje spostrzeżenia.

- Dwie kopuły są zamieszkałe, żyje w nich około trzystu pięćdziesięciu osób personelu cywilnego. Pozostałe trzy kopuły to laboratoria i hale produkcyjne, dostęp do nich jest ograniczony. Środkową kopułę oznaczono w materiałach Byutechu jako strefę wyjątkowego ryzyka. Wejście do niej możliwe jest tylko bezpośrednio z powierzchni planety. To obszar kwarantanny - McBane mechanicznie podawał najważniejsze informacje.

- No to te pańskie nanozabawki, doktorze, muszą być rzeczywiście niebezpieczne - ze śmiechem odezwał się Brugger.

- Wie pan, kolego, wydaje mi się, że właśnie pan posiada prawidłowe wyobrażenie, o co tutaj chodzi - odpowiedział ubawiony Weller. - Wnioskuje po pańskiej specjalizacji zawodowej.

- Ochronę kompleksu zapewnia trzystu sześćdziesięciu ludzi sił bezpieczeństwa koncernu, którzy pełnią służbę na trzy zmiany - kontynuował spokojnie McBane.

Jego wykład uzupełniony był diagramem obrazującym prawdopodobne rozmieszczenie nieprzyjaciół. Baksyht z trudem powstrzymał się przed głośnym jęknięciem.

To muszą być wariaci, szaleńcy! Garstka ludzi z bronią, która w porównaniu z siłą ognia ufortyfikowanej bazy znaczyła tyle, co wiatrówka przeciw pięćdziesięciopięciomilimetrowej armacie, zamierza zaatakować największą i najlepiej uzbrojoną bazę, jaka istnieje w zewnętrznym układzie planet naszego Słońca. Poczul się jak w złym śnie, a raczej nocnym koszmarze.

- Trzy kilometry od obwodu umocnień znajduje się automatyczny kosmodrom, tym się w danej chwili nie zajmujemy. Stoi na nim tylko szybki, międzyplanetarny statek typu Calef z mało ważnym ładunkiem.

Baksyht wrócił do równowagi i szybko nagrywał komentarze najemników do przemowy dowódcy, ale oni, sądząc po obrazie na holo, słuchali ze spokojem.

- Powodzenie misji zależy od tego, czy uda się nam przejąć kontrolę nad głównym blokiem reaktora i kopułami mieszkalnymi numer jeden i dwa. Tutaj jest zobrazowana pozycja celu i szczegóły techniczne.

Baksyht przyglądał się przekrojowi kopuły. Jak się zorientował, centrum znajdowało się na środku, mniej więcej na poziomie powierzchni, otaczały je pomieszczenia mieszkalne, ogólnego użytku oraz gospodarcze. Najbliżej ścian budowli mieściły się magazyny. Względy ergonomiczne podporządkowane były bezpieczeństwu. Reaktor każdej kopuły został umieszczony w trzeciej podziemnej kondygnacji. Głębiej nie mógł zajrzeć. Wywiad

SONICBM-u, jak widać, więcej nie uzyskał.

- Nie możemy pozwolić, żeby żołnierze uciekli do podziemi, później stracilibyśmy ich z oczu, nie ma tam żadnych porządných systemów obserwacyjnych - oznajmił Chorybd.

- Nic takiego się nie stanie, jeżeli będziemy działać według harmonogramu - uspokoiła go Spice.

Backsyht zrozumiał, że najemnicy znają już plan ataku i analizują go w dalszym ciągu, używając całego swego doświadczenia, aby został przeprowadzony z możliwie najwyższą skutecznością. Od tego przecież zależało ich życie.

- Kiedy opanujemy kopuły mieszkalne i reaktor, uzyskamy kontrolę nad całą bazą. Kompleksy produkcyjne nie są samowystarczalne pod względem energetycznym. Ukrywający się w nich byliby zdani na naszą łaskę - podkreślił major.

- A pewnie, zamrozimy ich - skrzywił się Brugger.

- Chcę też przypomnieć o zasadach użycia broni w pomieszczeniach wewnętrznych i zwracaniu uwagi na cywilów. Nasz zleceniodawca nie życzy sobie żadnych wypadków śmiertelnych.

Nikt nie zażartował, choć Backsyht odniósł wrażenie, że usłyszał cichutki, prawie niesłyszalny pomruk protestu, nie był jednak w stanie stwierdzić, skąd pochodzi.

- Majorze, do końca zmiany w kopule numer jeden została godzina - zameldował Brassi.

- Zaczynamy.

Chorybd po raz ostatni sprawdził karabin szturmowy z magazynkiem o dużej pojemności i przypiął go do specjalnie skonstruowanego uchwyty skafandra. Granaty oślepiające przyczepił rzepami na lewym udzie, a na prawym zainstalował pistolet, automatycznego štira kalibru 5.56 z pełnopłaszczowymi pociskami ze zubożonego uranu. Na krótki dystans przebijały większość pancerzy średniej klasy. Do użycia w zamkniętych pomieszczeniach ciśnieniowych zdecydowanie się nie nadawały, ale Chorybd chciał mieć pod ręką coś godnego zaufania. Niezależnie od tego, štir był precyzyjny i bardzo celny.

Najemnik miał również ze sobą dwa razy po trzy kilogramy sprasowanego materiału wybuchowego. Dzięki specjalnemu spoiwu o wysokiej zawartości helu był częściowo plastyczny, nawet w ekstremalnych temperaturach panujących na Plutonie.

Pietro też miał karabin szturmowy, ale zamiast granatów oślepiających zabrał hukowe, Gunner w ogóle nie wziął granatów, tylko noże i strzelbę riot. Ale ona działała tylko w temperaturze wyższej niż minus dwadzieścia stopni Celsjusza.

Mężczyźni skontrolowali nawzajem swoje wyposażenie, Pietro jeszcze raz zsynchronizował ich system nawigacyjny z komputerem transportera i pozornie na chybił trafił ruszyli po białoszarej powierzchni metanowego lodu. W wyniku starannej, wielomiesięcznej obserwacji lodowca, na którym stał kompleks Byutechu, odkryto płytką, płaską bruzdę prowadzącą mniej więcej w kierunku północno-wschodnim. Z powierzchni Plutona, z jego bliskim horyzontem, była prawdopodobnie nie do zauważenia i dlatego przy zachowaniu ostrożności można było posuwać się nią bez obawy wykrycia przez radar.

Gunner szedł pierwszy. Krok, króciutka chwila oczekiwania, aby przyczepy podeszew złapały kontakt, odlepienie nogi, przeniesienie ciężaru ciała. Oddychał powoli, głęboko, spojrzenie kierował blisko przed siebie, aby zareagować na niebezpieczeństwo czające się w okolicy, a równocześnie, żeby nie zaskoczyła go rozpadlina pod nogami. Na stałości metanowego lodu nie można było w pełni polegać. Bywał kruchy i rozdrobniony, jakby go coś ogrzewało od spodu, WPCE coraz bardziej nagłąco sygnalizowało, że zbliża się do najpłytszej części bruzdy. Zatrzymał się, odwrócił, wskazał na lód i opadł na czworaki. Utrzymywali całkowitą ciszę radiową, nie chcieli kusić losu. Bóg jeden wie, jak czule mogły być sensory Byutechu. Posuwanie się na czworakach było trudniejsze. Budowa skafandra umożliwiała to wprawdzie, ale przyczepów takich jak na podeszwach nie było ani na kolanach, ani na łokciach. Po trzystu męczących metrach dotarli do miejsca, w którym czerwony wykres ich trasy opuszczał bruzdę. Gunner odbił w prawo i zaczął pełznąć na brzuchu. Chociaż wiedział, że ochronna niewidzialność ich skafandrów dla radiolokacji była wykonana z najwyższą starannością, czuł się jak tarcza strzelnicza. To uczucie nie było mu obce. Ale jak zawsze nie poświęcał mu uwagi, skupiając się na tym, co najważniejsze. Liczyła się tylko akcja. Przed sobą widział dwie kopuły połączone u podstawy cienką linią. Perspektywa wprowadzała w błąd, żaden z obiektów nie był tak daleko, jak się wydawało.

Po kolejnych dziesięciu minutach pełzania natrafili na nieoczekiwaną przeszkodę. Lód z jakiegoś powodu pękł, a ruchy podłoża obniżyły jedną z części płyty lodowej aż o dwa metry. Trzeba było pokonać stromą ścianę lodową. Po chwili wahania Gunner wstał i przy pomocy kotwiczki na linie wspiął się na górę, szybko wyjrzał i zaraz się schował. Zdołał jednak zobaczyć panoramiczny widok okolicy. Po lewej stronie z lodu wylaniała się niska budowla TOKAMAK-u, najeżona bronią przeciwrakietową niczym gigantyczny jeżozwierz. Ale to nie on był ich celem. Po zorientowaniu się w terenie ruszyli dalej.

- *Ostatnie pięćdziesiąt metrów* - ogłosiło WPCE. Informacja ta potwierdziła się po odczytaniu wartości pola elektromagnetycznego. W poprzek terenu bazy wiodły szyny magnetoplanu. Nie chodziło w tym przypadku o szybkość, ale o oszczędność energii. Ze

zjawiskiem nadprzewodnictwa nawet podczas lata nie było na Plutonie żadnych problemów i zwyczajny powierzchniowy magnetoplan umożliwił transport ludzi, sprzętu i materiałów przy zerowych praktycznie nakładach.

Gunner poczekał na towarzyszy, nadal leżąc na brzuchu. Pietro wskazał niebo i podał mu krawędź złożonej płachty. Gunner pociągnął za nią, to samo z drugiej strony zrobił Chorybd. Wszyscy trzej zniknęli pod białym maskowaniem. Łód mógł wydawać się w tym miejscu po prostu grubszy i software systemu monitorującego nie powinien dostrzec nic podejrzanego.

Gunner podłożył rękę pod głowę i zamknął oczy. Przed napadem na transportowiec mieli jeszcze dwadzieścia minut odpoczynku.

Kovacs wyciągał z wnętrza transportera metalowe skrzynki i układał je na lodzie w jednakowej odległości od siebie. Wyjął wszystkie dziewięć, zaczął je otwierać. Baksyhtowi wydawało się, że zawierają duże klocki dziecięce.

Weller pochylił się i uważnie obejrzał dziwne mechanizmy.

- Roboty autonomiczne? - zapytał.

- Tak, półinteligentne, chipwekowe psy. Są użyteczne, ale w tych warunkach mają bardzo ograniczony zasięg. Ze względu na temperaturę - mruknął Kovacs, dosunął do siebie główne elementy korpusów, bagnetowy zatrask szczęknął, potem przyszła kolej na część dolną z kończynami.

- Myślałem, że one montują się automatycznie. - Weller nadal przyglądał się maszynie.

- Ograniczyłem to do minimum, a ponadto aktywuję je dopiero po odwołaniu ciszy radiowej, te potwory nie mają maskowania - odparł Kovacs, nie przerywając pracy.

- Czy są uzbrojone? - zapytał Baksyht z niedowierzaniem.

Na Ziemi o bojowych AI krążyły straszliwe historie.

- Nie, są za małe, ale mogą rozszerzyć nasze pięć zmysłów lub ułatwić przejście przez pole minowe. - Kovacs zaśmiał się z własnego dowcipu i zniknął w transporterze.

Podstawy wyrzutni rakiet umieszczone na transporterach zaczęły się bez uprzedzenia poruszać, jakby śledziły niewidzialny cel, jeden transporter podjechał do przodu, tworząc z dwójką pozostałych trójkąt równoramienny.

- Co, do cholery...! - krzyknął Baksyht, Weller cofnął się nerwowo.

- Spokojnie - odparł Brassi. - Przekierowałem sterowanie transporterami na siebie i przygotowuję nas do odparcia ewentualnego ataku. Najlepiej, jak przejdziecie nieco dalej i

odpoczniecie. Co najmniej przez godzinę jeszcze nic się nie będzie działo... Nie powinno się dziać - poprawił się.

- Jak pan myśli, doktorze, czy może im się udać? - zapytał Backsyht Weller.

- Zgodnie z diagramem błędów misji mamy szansę na sukces w stopniu jeden przecinek sześćdziesiąt jeden.

Weller wzruszył ramionami tak wyraźnie, że widać to było nawet mimo skafandra.

- To wartość stosowna dla zwyczajnego, choć dobrze wyszkolonego żołnierza. Naszą szczęśliwą liczbą jest jeden przecinek siedemdziesiąt dziewięć - wmieszał się Kovacs na wewnętrznym obwodzie.

- Cztery do jednego, jeśli wszystko pójdzie gładko - stwierdził nieco przestraszony Backsyht.

- Dokładnie, o ile coś nie pieprznie - dokończył Kovacs z wnętrza transportera.

ROZDZIAŁ ÓSMY

DO JASKINI LWA

Porucznik Thomas Jeremiasz dokonał przeglądu dwunastu ludzi, których miał poprowadzić na patrol przy TOKAMAK-u. Był zadowolony, że pod jego dowództwem znaleźli się sami żołnierze. Ze specjalistami technicznymi i operatorami wciąż były rozliczne kłopoty. Patrzyli na armię z góry i nieustannie dopatrywali się jakichś szykan. Już samo utrzymanie ich przy życiu na śmiertelnie zimnym Plutonie rodziło wiele trudności ze względu na ogromne niezdyscyplinowanie. Sprawdził stan zdrowia żołnierzy, przeglądając meldunki automatycznych czujników skafandrow. Horman starał się przeprogramować dane, ale udało mu się tylko zwrócić na siebie uwagę. Miał trzy dziesiąte promila alkoholu we krwi. Jeremiasz stłumił chęć natychmiastowej reprimendy i wpisania przewinienia do jego danych. Lecz w ten sposób zaszkodziłby sam sobie - brak nadzoru skutkujący niedostatecznym przygotowaniem do służby. Poprawił wynik Hormana i odwrócił się ku bramie wejściowej komory ciśnień „Kropka”, jak ją powszechnie nazywano.

Podał nazwisko, stopień wojskowy i kod wstępu właściwy tylko dla niego i prowadzonych przez niego ludzi. Potem z nieprzyjemnym odczuciem obserwował wypukłe, gadzie oko optycznego systemu kontroli. Dawało szeroki, panoramiczny widok, a równocześnie sterowało podwójnym, ultrafioletowym laserem pulsacyjnym. Błąd w procesie weryfikacji oznaczałby, że trzynastu ludzi w ciągu pół sekundy zamieniłoby się w kilkaset kilogramów szybko stygnącej masy biologicznej. Jak dotąd nigdy się to nie zdarzyło. Porucznik Jeremiasz odetchnął z ulgą, kiedy mrozoodporna ściana zaczęła się podnosić. Tym razem też się tak nie stało.

Zadowolony wszedł do wnętrza razem ze swoimi ludźmi. Wydawało mu się, że mimo rozrzedzonej atmosfery Plutona słyszeć ich równy krok. Pułkownik Palowski był bardzo czuły na punkcie wszystkiego, co dotyczyło musztry.

Kuzmin czuł mróz przenikający całe ciało. Według specyfikacji fabrycznej tak zwany ubiór kameleona miał doskonałą termoizolację, umożliwiającą średnio długi pobyt na Księżycu, Marsie, a nawet księżycach Saturna. O Plutonie w specyfikacji nie było ani słowa, a Kuzmin zdołał się przekonać dlaczego. Siedem minut, które upłynęły od chwili, gdy zdjął

ciężki skafander, wydawało się wiecznością. Ciekawe, czy Woroszyłow też tak marznie. Ale ten skurczybyk pochodził gdzieś z Rosji, a tam podobno zawsze jest mróz. Pewnie czuł się na Plutonie jak w domu. Mechanicznie brzącający głos oznajmił wreszcie, że zaczyna się dopływ ciepła i powietrza do komory ciśnieniowej.

Wysoki mężczyzna w środkowym rzędzie odwrócił się, Kuzmin prawie fizycznie odczuwał, jak spojrzenie nieznajomego ślizga się po konturze jego ciała, zamaskowanego doskonałą iluzją optyczną. Materiał ubioru kameleona przesycony był łatwymi do pobudzenia elektronami i stanowił dla fotonów coś na kształt najłatwiejszego kanału spływu. W wyniku tego zjawiska fale elektromagnetyczne o szerokim spektrum opływały Kuzmina, jak woda opływa głaz w korycie potoku. Wysoki facet nachylił się do swego towarzysza i wcisnął mu coś w dłoń. Było zbyt małe, aby Kuzmin mógł zauważyć, co to takiego, ale nie musiał zgadywać. Tutaj załatwiało się interesy z drobnymi radościami, jak żołnierze nazywali miękkie narkotyki.

- Temperatura minus sto dziewięćdziesiąt, sprawdźcie wycieki tlenu i innych materiałów palnych - zabrzmiał znów mechaniczny głos.

Kilku ludzi poruszyło się, jakby naprawdę chcieli sprawdzić swoje wyposażenie. Była to jednak tylko ostatnia pozostałość po czynnościach rutynowych.

- Napełnianie powietrzem i ogrzewanie zakończone, wstęp dozwolony - oznajmił ten sam głos.

Kolejna stalowa ściana zaczęła się otwierać, tym razem rozsuwała się, a kształt miała eliptyczny. Dwunastka żołnierzy ruszyła naprzód, tuż za nimi Kuzmin, Woroszyłow i Spice.

Właśnie nadchodził krytyczny moment misji - zmiana patroli. Kuzmin widział, jak mężczyzna w skafandrze z oliwkowym pasem pod szyją pozdrawia swego odpowiednika z drugiego patrolu. Małe oddziały mijają się w wyrównanym szyku. Błyskawiczny skan radiowy odkrył nieformalne komunikaty: *Użyjcie sobie tego, dranie. Za automatem pożarowym na siedemnastce zostawiłem dla ciebie dwa piwa... Wujowa dała się namówić, nie nudziłem się, kolego... i wiele innych.*

Zmiana zakończyła się, pozostało dwunastu żołnierzy wychodzących na patrol, dla dwunastu innych czas służby dobiegł właśnie końca.

- Pójdziemy do przebieralni - oznajmił Thomas Jeremiash i ruszył pierwszy.

Kuzmin krótkim obuszkim trzasnął człowieka przed sobą w nasadę karku, ostrze ze sztucznego obsydianu przecięło superodporną tkaninę, wyładowanie elektryczne sparaliżowało mózg. Zanim uderzony zdążył upaść na kolana, Kuzmin zaatakował następnego. Woroszyłow był tylko o ułamek sekundy wolniejszy. Szło świetnie aż do

czwartego, który się odwrócił. Niestety nie był to ktoś, kogo zaniepokoił nagły odgłos, lecz dobrze wyszkolony żołnierz, który zdawał sobie sprawę, że właśnie na podłogę upadło bezwładne ludzkie ciało. Kuzmin nie zdążył zareagować na jego postawę obronną, ale wolał puścić obuszek, niż zaryzykować, że żołnierz złapie go za rękę. Odbił przedramieniem cios przeciwnika i uderzył go w splot słoneczny. Część energii pochłonął skafander, lecz ból i tak spowolnił żołnierza. Kuzmin bez wahania wykorzystał stosowny moment, aby kopnąć go w krocze.

Zdążył jeszcze unieszkodliwić następnego, a potem stanął wraz z Woroszyłowem przeciw dwóm ostatnim przeciwnikom. Ci mieli broń, ich laser lokacyjny błyskał niepewnie. Kuzmin wiedział, że go nie widzą, najwyżej dostrzegają coś podobnego do drgań powietrza unoszącego się nad rozgrzanym słońcem asfalem. Ale strzelić można i do fantomu, każdy rozumny człowiek by tak postąpił. Wszystko popsuł ten frajer z dobrym refleksem. Skafander z oliwkowym pasem pod szyją uniósł broń, standardowy karabin, prawdopodobnie z amunicją dostosowaną do strzelania w pomieszczeniach ciśnieniowych. Kuzmin odbił się jedną nogą, choć zdawał sobie sprawę, że nie zdąży. Lecz strzelec nagle zwałił się na podłogę, kolano dziwnie sterczało, wyłamane w odwrotną stronę.

W tej samej chwili drugi żołnierz zatoczył się, jakby coś ciężkiego uderzyło go w plecy.

„Spice, dziewczyna na medal” - pomyślał Kuzmin, dzięki niskiej grawitacji dolatując aż do przeciwległej ściany.

Zanim zdołał stanąć na nogi, Spice i Woroszyłow pracowali już pistoletami zastrzykowymi. Nie można było pozostawić za plecami trzynastu żołnierzy.

- Mamy dobry czas, ruszajmy dalej - zawołał Woroszyłow.

Kuzmin zauważył, że jego ubiór kameleona nie zapewnia już pełnego kamuflażu. Podczas starcia doznał uszkodzeń mechanicznych, więc pozostawał tylko częściowo niewidzialny. Zbyt to nie przeszkadzało, ponieważ teraz powinni jedynie dotrzeć do centrum dowodzenia.

Gunner klęczał na dachu nieśpiesznie poruszającego się deltaplanu. Kontrolował okolicę i kątem oka obserwował dobrze zsynchronizowaną pracę Pietra i Chorybda. Białoszara powierzchnia Plutona, pokryta niezliczonymi pęknięciami i zapadlinami, przesuwała się obok nich jak stara, pomarszczona twarz. Twarz kogoś, kto już od dawna nie żyje. Pietro specjalną pastą nakreślił okrąg o średnicy jednego metra. Chorybd ułożył wokół niego większy okrąg z grubego na pięć centymetrów przewodu i jednym cienkim włóknem połączył go z

rysunkiem Pietra. Wskazał potem pod nogi i skurczył się tak, że głową dotykał kolan. Pietro zrobił to samo, po czym aktywował materiał wybuchowy za pomocą detonatora piezoelektrycznego. Błysk przedarł się przez zasłony optyczne i zamknięte powieki, równocześnie dał się słyszeć syk atmosfery uciekającej z deltaplanu przez dziurę. Nie rozproszyła się w próżni, ale zmieszała z atmosferą wydobywającą się z komórek ciśnieniowych, służących do napełnienia namiotu wykonanego z elastycznej tkaniny schowanej w grubym przewodzie. Najdelikatniejszym elementem było połączenie ponad ich głowami, lecz szczęściem wytrzymało. Ciśnienie w kabinie nie spadło poniżej połowy normalnej wartości.

Teraz przyszła kolej na Gunnera. Wskakując do wnętrza deltaplanu, poczuł żar promieniujący z przepalonego dachu. Wylądował na plastikowym stoliku, w fotelach wokół niego siedziało kilku ludzi, jeden z nich wylał sobie na kolana filiżankę kawy.

- Panie i panowie, to jest napad - spokojnie oznajmił Gunner, głośniki wzmocniły jego głos do poziomu hałasu, jaki robi startujący samolot.

Trójka porażonych pasażerów spadła z foteli, krwawiąc z uszu, pozostali patrzyli na niego jak na zjawę. Gunner wymierzył w nich lufę broni i czekał, aż Pietro z Chorybdem załatają otwór, przez który dostali się do środka. Tekstylny namiot powinien samoczynnie odpaść po stu dwudziestu sekundach.

- Zachowujcie się grzecznie, a nic się wam nie stanie. My wybraliśmy się po prostu z wizytą i obawialiśmy się, że nas nie wpuszczą głównym wejściem - ciągnął Gunner teraz już normalnym głosem. - Nie ma w tym nic osobistego, chodzi o interesy.

- Gotowe - ogłosił Pietro. - Od celu dzielą nas trzy minuty.

Gunner przytaknął, odwrócił się do siwowłosego mężczyzny z krótkim kucykiem.

- Dobry czas, żeby się zaznajomić. Jestem Gunner a ty?

- Kryštof Lepet - wybełkotał mężczyzna.

- A więc, Kryštofie, posłuchaj mnie uważnie - kontynuował Gunner. - Jeśli będziecie nas słuchać, oszczędzicie sobie mnóstwa kłopotów. Nam oczywiście też, to rozumiale.

Gunner, mówiąc, uśmiechał się mimowolnie. Lubił tę robotę. Lubił podróże w kosmosie, pełzanie po zamarzniętym lodzie, wdzieranie się do pojazdów. A najbardziej podobało mu się zadanie, jakie go czekało. Opanować centrum dowodzenia kopuły mieszkalnej 01. Wyobrażając sobie dysproporcję sił i najróżniejsze komplikacje, jakie mogły się wydarzyć, poczuł mrowienie w końcach palców. Oddychał znacznie głębiej i wolniej, widział ostrzej, ważne szczegóły wyłaniały się z półmroku, przekazując informacje potrzebne do przeżycia. Gunner wprost kochał to wszystko, a teraz podejmował największe ryzyko,

jakiego zaznał w życiu. Na razie nie miał się czym martwić, większość emocji i przygód była dopiero przed nim.

Deltaplan płynnie zahamował, jego tępy nos wyposażony w komorę przejściową łagodnie dotknął gniazda kotwiczenia, rozległ się metaliczny trzask zaskakujących uchwytów.

- Przesuńcie się ku tylnej ścianie, przy jakiegokolwiek próbie oporu będziemy strzelać - zakomenderował Gunner z szerokim uśmiechem.

WPCE na chwilę zmieniło charakterystykę przeziernika skafandra i ukazało jego twarz z ogromnymi, zdeformowanymi zębami. Psychoanalicycy twierdzili, że podobne niezwykle efekty działają tak samo jak zranienie.

- Moduł transportowy zakotwiczony, kontrola szczelności zakończona, drzwi się otwierają - oznajmił mechaniczny głos.

Gunner przesunął się ku ścianie, przepuszczając do przodu Chorybda. Ten tkwił wewnątrz ciężkiego, opancerzonego skafandra bojowego. Musiałby otrzymać celne, długotrwałe trafienie lasera obronnego, żeby zostać unieszkodliwiony. Oczywiście niczego takiego Byutech nie zainstalował wewnątrz bazy, chociaż wyobrażenia konstruktorów na temat bezpieczeństwa często przypominały sen paranoika.

Drzwi odsunęły się w bok, pod ścianami szerokiego korytarza stało czterech znudzonych mężczyzn w kombinezonach khaki, każdy uzbrojony w małokalibrowy automat. Obok nich oczekiwała grupka złożona z siedmiu mężczyzn, stanowiących nową zmianę roboczą.

Chorybd nie poruszył się, nacisnął tylko spust. Ogromna lufa jego broni wypluła cztery ładunki szybko polimeryzującego materiału. W powietrzu rozciągnęła się powłoka w kształcie supercienkiej błony, przylepiającej się do wszystkiego, czego dotknęła. Przestraszony żołnierz z niedowierzaniem przyglądał się swoim rękoma trzymającym na wpół uniesioną broń, które ukryte były pod szarą warstwą lepkiej masy. Kolejny wystrzał spętał mu nogi i żołnierz upadł na podłogę w niedokończonym kroku.

Odezwało się syczenie świadczące o tym, że Pietro otworzył zbiornik z płynem usypiającym TH 302.

Pobiegli korytarzem w kierunku wskazywanym czerwoną linią na mapie 3D, wyświetlanej przez WPCE. Nawet jeśli system bezpieczeństwa Byutechu był nieco uśpiony z powodu długiej bezczynności, to w ciągu minuty ich obecność zostanie wykryta i wtedy dopiero zacznie się porządna bijatyka. To było dla wszystkich jasne.

Za zakrętem natknęli się na dwóch zdezorientowanych żołnierzy. Gunner zwałił jednego ciosem kolby w głowę, po drugim Chorybd po prostu przebiegł. Rozległ się trzask

pękających żeber. Na holo zaczęła błyskać ikona medyczna. Zmieniła kolor z zielonego na pomarańczowy. Oznaczało to biologiczny uszczerbek na zdrowiu, jakiego zdążyli już doznać mieszkańcy bazy. W chwili gdy najemnicy pokonywali pneumatyczne zamknięcie oddzielające zewnętrzny okrąg bazy od wewnętrznego, zawyły syreny alarmowe.

- To detektory zareagowały na nasz gaz - krzyknął Pietro i bez namysłu odpalił trzy granaty w prawą stronę.

Błyski monochromatycznego światła poraziły siatkówki oczu wszystkich znajdujących się w okolicy, ludzie zaczęli krzyczeć. Monotonne wycie syren zmieniło się w równomierne zawodzenie, komputer ocenił, że nie chodzi o wypadek, ale o atak zbrojny. Srebrzyście połyskująca ściana bezpieczeństwa opadła z metalicznym odgłosem, Chorybd jednak nie zwolnił, a przeciwnie, przyśpieszył. Gunner wiedział, że nikt i nic nie przebije dziesięciocentymetrowej grubości ściany z metalowego kompozytu, o ile nie dysponuje pancernym skafandrem i nie chce podjąć szalonego ryzyka, a przy tym nie jest trochę wariatem. Trzymetrowy olbrzym z człowiekiem w środku uderzył w przeszkodę z szybkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Komputer uznał zderzenie za atak i zainicjował wybuch ładunku o ukierunkowanym działaniu. Chorybd przeleciał przez barierę otoczony kulą ognistą i znalazł się u wylotu korytarza wypełnionego całym mnóstwem ludzi. Większość z nich wydawała się nieuzbrojona. Huknęły jednak pierwsze wystrzały. Gunner wywalił wszystkie granaty świetlne obok głowy Chorybda, polimeryzujący materiał wypełnił przestrzeń korytarza szybko tężejącą masą. Ludzie starali się uniknąć unieruchomienia, przewracali się nawzajem, przypadkowe wystrzały aż nazbyt często znajdowały cel, chaos powiększały krzyki rannych, ikona medyczna zapłonęła na czerwono. Krzyki stopniowo cichły i Pietro odrzucił pusty zasobnik z gazem usypiającym.

- Centrum jest tam. - Wskazał i pierwszy pobiegł ku oznaczonemu wejściu.

Chorybd natomiast szedł dalej w poprzednim kierunku, schował już broń przeznaczoną głównie do tłumienia zamieszek, a teraz z pomocą pasty adhezyjnej zaczął zalepiać barierę bezpieczeństwa. Powstałe spojenie było mocniejsze od spawu.

Gunner przypuszczał, że w centrali będą już na nich czekać. Sądząc po nieco chaotycznych meldunkach, które jego WPCE zdołało przechwycić i rozkodować, naprawdę tak było. Odczepił od skafandra jeden z płaskich ładunków i rzucił go na drzwi. Materiał wybuchowy natychmiast do nich przylgnął. Najemnik ruszył biegiem, gdy tylko zapalnik spowodował ukierunkowany wybuch.

Wystrzelił, padając, podciął komuś nogę, coś ukuło go w ramię. Leżąc, zauważył czarny wylot lufy broni palnej. „Nie zdążę” - przemknęło mu przez głowę, ale mimo tego

wyćwiczonym ruchem zamachnął się ramieniem. Nóż do rzucania wbił się w czyjąś pierś, równocześnie huknął strzał. Pocisk ześliznął się po hełmie Gunnera, przeziernik pokryła siatka pęknięć. Najemnik zdał sobie sprawę, że dał radę, dotarł na czele klina bojowego aż do celu.

- Nawet nie drgnijcie, bo zastrzelę - zabrzmiał chłodny głos Chorybda.

Na jego widok wszelki ruch w centrum zamarł, podobnie jak ruch atomu w pobliżu zera absolutnego.

Pietro przekroczył leżącego Gunnera, bez pośpiechu rozbił szkło szafki ściennej i przełożył dźwignię alarmu dekompresyjnego na pierwszy stopień. Crescendo syren zyskało znacznie na sile, zewsząd dobiegał odgłos zapadających barier przeciwpróżniowych. W tej chwili nikt nie mógł się do nich dostać.

- Tu zespół alfa jeden, zespół alfa jeden, melduję wykonanie zadania - Gunner zgłosił się na częstotliwości bojowej.

WPCE meldowało, że właśnie połączyło się z cywilną częścią mózgu elektronicznego kompleksu Byutech, która zajmie się dostarczeniem sygnału do wszystkich pomieszczeń bazy.

Fincher z pistoletem w ręce opierał się o ścianę i trochę nerwowo popatrywał na drzwi, przez które do centrum dowodzenia mógł wejść ktoś niespodziewany. Najchętniej by je zamknął, ale major prawie niedostrzegalnym gestem dał mu znać, żeby tego nie robił. Dopóki trwał alarm dekompresyjny, nikt nie mógł się do nich dostać. Jednak w wieżach obronnych i trzech kopułach przemysłowych około sześćdziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy armii koncernu oczekiwało, aż specjaliści znajdą sposób przestrojenia kodów awaryjnych, AI bazy szybko stwierdzi, że alarm jest fałszywy, pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy na to wpadnie. Fincher nie wiedział, jak szybko do tego dojdzie, i dlatego poświęcał drzwiom tyle samo uwagi, co unieruchomionym jeńcom.

W odróżnieniu od niego McBane wyglądał na tak samo rozluźnionego jak zawsze. „Albo tak samo skupionego” - pomyślał Fincher. Major był po prostu najemnikiem doskonałym, elektroniczny system sterowania procesem spalania w silniku raketowym miał więcej cech ludzkich niż on.

Brugger w ciężkim skafandrze bojowym przypominał antycznego olbrzyma, który mógł stawić czoła wszystkim przeciwnikom nieposiadającym takiego wyposażenia. Hełm pozostawił na głowie, otworzył tylko przeziernik.

- Powtórzę jeszcze raz - powiedział spokojnie McBane, patrząc ponad ramieniem

wysokiego, lekko otyłego mężczyzny siedzącego w fotelu.

Był to Leon Tutsvill, pułkownik Tutsvill, dowódca sił zbrojnych koncernu Byutech na Plutonie, człowiek odpowiedzialny za obronę całej bazy.

Być może błędem było pozwolić mu siedzieć w fotelu. „Gdyby był spętany i musiał stać, pewnie wytrąciłoby go to z równowagi przynajmniej w pewnym stopniu” - myślał Fincher, starając się ignorować błyskającą ikonę medyczną. Podczas ataku co najmniej piętnastu ludzi odniosło rany, stan dwóch z nich określiłby jako ciężki. Miał już przygotowany wykaz miejsc, w których znajdowali się ranni wraz ze zwięzłym opisem okoliczności zranienia. Czekał na polecenie dowódcy, aby przesłać go poprzez sieć bazy do miejscowych lekarzy. Najchętniej jednak sam zająłby się opatrywaniem rannych.

- Uzyskałem kontrolę nad obiema kopułami mieszkalnymi, to jest nad osiemdziesięcioma procentami cywilnego personelu i dwoma trzecimi zbrojnych. Opór będzie skutkował wielkimi stratami wśród jednych i drugich. A szanse na sukces są minimalne - kontynuował McBane.

Fincher doskonale wiedział, jak sytuacja może się rozwinąć. Jeśli Tutsvill nie wyda rozkazu złożenia broni, będą musieli podjąć walkę. Jednak byli zupełnie pozbawieni zaplecza i wiedzieli, że bez dopływu energii z TOKAMAK-u hale produkcyjne i wieże obronne zamarzną prędzej czy później. W tej sytuacji będą walczyć o wszystko, na śmierć i życie. Zginie prawdopodobnie dziewięćdziesiąt procent cywilów, dziewięćdziesiąt pięć procent żołnierzy i zapewne wszyscy najemnicy. Oczywiście jakiś samobójczy, wszystko niszczący atak któregoś ze stron poprawiłby tę statystykę w tym sensie, że po stronie tych, którzy przeżyli, znalazłby się tylko zera. Pod tym względem na Plutonie można było polegać.

- Panu jeszcze bardzo daleko do opanowania wszystkich systemów. Użył pan fałszywego alarmu, a tylko kwestią czasu jest, kiedy moi ludzie odzyskają kontrolę nad tym systemem - odparł Tutsvill niemal z wyższością.

Fincher, chcąc nie chcąc, podziwiał faceta. Albo był zimnokrwistym graczem pokerowym, najtwardszym, jakiego kiedykolwiek spotkał, albo nie w pełni rozumiał sytuację, w jakiej się znalazł. Odrzucił propozycję kapitulacji, a przecież McBane mógł go bez trudu zabić podczas trwających walk.

- Do wyłączenia alarmu przez nieprzyjaciela pozostaje dwadzieścia sekund - pojawiła się na holo informacja sygnowana przez Spice.

Fincher drgnął i skierował pistolet w stronę drzwi. Najgorszy scenariusz właśnie się zaczynał. Brugger przesunął umocowane pod ramieniem działko rotacyjne w położenie gotowości i zamknął przeziernik hełmu. Fincher wiedział, czego może dokonać ta broń. Sześć

luf różnego kalibru i długości było zdolne wyrzucać pociski o szybkości początkowej trzech tysięcy sześciuset metrów na sekundę z szybkostrzelnością równą pięciu tysiącom pocisków na minutę. Jako ładunki strzelnicze służyła ciekła mieszanina paliwa raketowego na bazie wodoru i utleniacza.

Tutsvill, widząc te przygotowania, nie poruszył się, nadal siedział w fotelu z pewnym siebie uśmieszkiem. Zaklejeni ludzie natomiast zdenerwowali się bardzo wyraźnie, zbliżało się piekło i oni o tym wiedzieli.

- Majorze, tu Spice, mają bardzo dobre zabezpieczenia systemów, potrzebne mi jeszcze kilka minut - odezwał się znajomy, napięty głos.

- A więc, pułkowniku, nie poddaje się pan? - zapytał jeszcze raz McBane.

Beztroski gest Tutsvilla był jednoznaczny.

„Być może - zmienił swój osąd Fincher, odbezpieczając pistolet - temu nadęciuchowi brakuje kilku punktów IQ do tego, żeby mógł zrozumieć, co tu się będzie działo”.

- Pułkownik Tutsvill odmówił poddania się - sucho oznajmił McBane. - Jesteście świadkami i wasze świadectwo może być później wykorzystane. - Popatrzył na wszystkich obecnych, nie wyłączając jeńców.

Brugger przesunął się, tak aby nie stać na wprost drzwi, w przypadku gdyby atakujący w przypływie desperacji zdecydowali się na użycie ciężkiej broni.

Ostatnie sekundy fałszywego alarmu szybko zbliżały się do końca.

Kopułą wstrząsnął wybuch, w chwilę później drugi. Fincher miał uczucie, że ton syren stał się nagle bardziej złowieszczy. Nad główną konsolą umieszczoną pośrodku pomieszczenia pojawił się przekrój bazy w 3D, na którym w dwóch miejscach rozlewała się złowróźbna czerwona barwa. Alarm dekompresyjny, alarm dekompresyjny! Obejmuje sekcje 2A, 3A, 1b, 4b.

Tutsvillovi wystąpiły na czole grube krople potu.

- Pan, pan...!

Rozprzestrzenianie się czerwieni zwolniło, opuszczenie hermetycznych barier zrobiło swoje.

- Dokładnie tak - sucho potwierdził McBane. - Zmieniłem alarm ćwiczebny na prawdziwy. Ładunki wybiły w powłoce stacji dwie solidne dziury. Stabilność statyczna budowli nie została naruszona i wszystko powinno być możliwe do naprawienia.

Fincher poczuł, jak ogarnia go fala grozy. Oczywiście, było to genialne, najprostsze rozwiązanie, ale dehermetyzacja jedynych przestrzeni mieszkalnych, jakie mieli do dyspozycji... To było szalone - i genialne. Nie wiedział, czy ma nazwać dowódcę wariatem,

czy przyklasnąć jego pomysłowi.

- Konstrukcja kopuły jest teraz narażona na obciążenia przekraczające jej długoterminową wytrzymałość. Ale według naszych obliczeń kilka godzin powinna jeszcze wytrzymać - kontynuował McBane.

Tutsvill patrzył na niego jak na jadowitego węża, który wylazł z terrarium. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Majorze, tu Spice, przejęłam kontrolę nad całym AI bazy. Już jestem z nim zakolegowana.

- Zrozumiałem - potwierdził McBane i odwrócił się ku swemu przeciwnikowi.

- Pułkowniku, pozostała panu tylko jedna możliwość, poddanie się - oznajmił, jakby mimochodem kładąc dłoń na kolbie pistoletu.

„Być może major wcale nie jest złym psychologiem” - pomyślał Fincher.

- Kto tu jest drugim pod względem rangi oficerem? - McBane zwrócił się do jeńców.

- Ja. Kapitan Hawer - zameldował mężczyzna średniej postury, ostrzyżony na jeża.

Ktoś mu kiedyś złamał nos, a on nie zawracał sobie głowy operacją poprawiającą wygląd.

- W porządku - kiwnął głową McBane, odwracając się z powrotem do pułkownika.

- A więc?

Fincher wiedział, że jeśli Tutsvill się nie podda, major go zastrzeli, postępując zgodnie z kodeksem najemników i innymi zasadami prowadzenia walk między koncernami. Na pierwszym miejscu była ochrona cywili.

- Poddaję się - oświadczył Tutsvill ze źle ukrywanym przestraczem.

W końcu zrozumiał, jaki los by go czekał.

- Niech pan to oznajmi swoim oddziałom. - McBane wskazał konsolę kontrolną, po czym zaczął uwalniać jeńców.

Fincher przyłączył się do niego. Wiedział, że ubezpiecza ich Brugger, a Tutsvill potrzebowałby nieosiągalnego sprytu i niewielkiej armii, żeby pokonać Bruggera.

- Zrobili to, zrobili! - krzyczał Backsyht, podnosząc ręce do góry w geście triumfu. Weller siedzący na swoim miejscu w transporterze wyraźnie się odprężył.

- Nie tak od razu, panowie - uspokajał Brassi. - Dopóki wszyscy podwładni Tutsvilla nie potwierdzą przyjęcia rozkazu, nic nie jest jeszcze pewne. A ten gałgan ciągle coś do nich mówi na kodowanej częstotliwości, po co to robi? Łajdak jeden.

- Wypuścimy psy - oznajmił Kovacs.

- Już nieważne, że zdradzą naszą pozycję? - nie zrozumiał Brassi.

- Teraz my też mamy kontrolę nad odbiorem - wyjaśnił Kovacs. - Spice opanowała AI bazy.

Na holo pojawiła się ikona psa gończego. Backsyht aktywował ją i uzyskał dostęp do informacji zbieranych przez roboty zwiadowcze. Niemodulowany sygnał służący do identyfikacji poszczególnych automatów bardzo przypominał chrapliwe szczekanie.

Przez chwilę obserwował zmieniający się chaotycznie i podskakujący obraz z poszczególnych kamer, później nauczył się orientować w innych częściach spektrum elektromagnetycznego. Samouczący się software psa był zdolny spożytkowywać niską grawitację i śliską powierzchnię, co powodowało, że roboty poruszały się niemal akrobatycznym sposobem. Pozostawiały za sobą czujniki pasywne, które wysyłały informację tylko w razie jakichś zmian w ich okolicy. Powierzchnia terenu, nad którym zyskiwali w ten sposób kontrolę niezależną od systemów Byutechu, szybko się powiększała.

Pies karkołomnym skokiem śmignął ponad kilkumetrowej wysokości wałem, nad wierzchołkiem paraboli lotu obraz zatrzymał się na moment, a potem robot kontynuował marsz. Backsyht odniósł wrażenie, że coś spostrzegł, ale nie zdołał cofnąć zapisu i nie zobaczył widoku z góry. Nie chciał wyjść na durnia, ale...

- Kovacs? Połączyłem się z jednym robotem i wydaje mi się, że coś widziałem, ale nie jestem pewny.

- Który to był?

Backsyht nerwowo przełknął. Nie wiedział. Już przysięgał sobie, że na przyszłość będzie trzymał gębę na kłódkę, kiedy zauważył, że na ikonie psa świeci szóstka.

- Szósty - powiedział szybko.

- Zaraz zobaczę. Nie minęło więcej niż dwadzieścia sekund, no nie? - dopytywał się Kovacs.

Równocześnie przed oczami Backsyhta zaczął się rozwijać do tyłu przyspieszony zapis.

Tym razem niczego nie zauważył, ale obraz nagle znieruchomiał.

- Mamy problem - powiedział Kovacs z nagłym zainteresowaniem w głosie. - Nasz dziennikarz miał rację, coś tam mignęło. Zbyt krótko i nierozpoznawalnie na to, aby chipwekowy pies zdołał dokonać analizy. Zaraz coś tam wyślę.

Backsyht ucieszył się, że nie wyszedł na głupka, ale zaraz uświadomił sobie, że nie ma powodów do radości. Siedział w skafandrze w otwartym transporterze, a oni mieli problem, co znaczyło, że nie wszystko idzie zgodnie z oczekiwaniami.

- Zdaje się, że dla kogoś kapitulacja się nie liczy - oznajmił Brassi. W dwie sekundy później na 2D zobaczyli ogromny wóz bojowy. Gąsienice napięte na kołach napędowych o średnicy równej wzrostowi dorosłego człowieka darły lód na miazgę, wieżyczki bojowe wyposażone były w wyrzutnie raket, miotacze laserowe z kinetycznymi działkami mierzyły ukośnie w górę.

- Według danych, jakie przekazała nam Spice, mamy do czynienia z transporterem klasy Goliat. To ruchoma twierdza z siedmioosobową załogą; potrafi zestrzelić satelitę z orbity tak samo łatwo jak niezamaskowanego pojedynczego Strzelca - powiedział Brassi bez entuzjazmu.

- Utrzymują pełne pogotowie bojowe i jadą w kierunku kopuł - uzupełnił Kovacs. - Mogliby nam nieźle dołożyć.

Kovacs całkowicie skupił się na kierowaniu. Jeśli miał się na czas dostać na kurs kolizyjny i wykorzystać przewagę zaskoczenia i małego dystansu pierwszego ataku, musiał dotrzeć na miejsce z wyprzedzeniem. Psy dobrze pokazywały mu drogę, ale i tak była to loteria. Przeszkody, przez które nie mógł przejechać, rozbił. Te, których nie mógł rozbić, przeskoczył za pomocą turbin, a te, na które nie było sposobu, po prostu objeżdżał. Za transporterem pędzącym po dnie pełnym płytkich lodowych dolinek, często raczej zwykłych zagłębień, pozostawał biały welon, który na szczęście w superrzadkiej atmosferze szybko opadał. Nieoczekiwanym sprzymierzeńcem okazała się sześćdziesięciokelwinowa inwersja, podnosząca rzadką metanową mgłę.

Kovacs poślizgiem przejechał przez gładką powierzchnię lodu i zatrzymał maszynę równoległe do lodowej ściany liczącego trzy metry wysokości załamania w metanowo-azotowej krze. Nadjeżdżający nieprzyjaciel zobaczy ją dopiero z najbliższej odległości.

- Teraz twoja rola, Brassi - szepnął do mikrofonu. - Mamy najwyżej pięćdziesiąt sekund przewagi.

- Działka są gotowe, możemy strzelać.

Goliat pojawił się pokryty rozbitym lodem, który zamarzł na ciepłym pancerzu. W półmroku dolinki, na wprost szybko jadącego wozu pancernego, błysnęło raz i drugi. Pocisk lecący z szybkością dwunastu kilometrów na sekundę był zbyt szybki, aby zadziałała aktywna obrona. Zarył się głęboko, aż do drugiej warstwy reaktywnego pancerza, wybuch zniszczył również przedni przedział silnikowy. Drugi pocisk nie dosięgnął celu bezpośrednio, zniszczyła go obronna przeciweksplozja w odległości trzydziestu centymetrów przed

goliatem. Jego system kierowania atakiem zlokalizował przeciwnika i goliat odpowiedział ogniem. Pierwszy pocisk kalibru stu pięćdziesięciu milimetrów zneutralizowała reakcyjna warstwa ceramiczna, skutki trafienia drugiego ograniczył pancierz i piana gaśnicza. Ale i tak zniszczył kompletnie sekcję silnikową, a w kabinie kierowcy temperatura na krótki czas wzrosła do siedmiuset czterdziestu kelwinów. Walcząc z o wiele silniejszym przeciwnikiem, działka transportera zdążyły wystrzelić jeszcze dwukrotnie.

Trzeci pocisk z goliata przeniknął do wnętrza wozu i wybuchł dopiero tam. Skorupowy pancierz pękł, drzwiczki przełazów i klapy wyleciały w atmosferę i w jednej chwili cała maszyna rozpadła się na kawałki otoczone mgłą z roztopionego lodu. Ale ruchoma twierdza też nie wyszła z tego starcia bez szwanku, przednia część została zupełnie zniszczona, a ocalałe pomieszczenia załogi uległy gwałtownej dekompresji.

Trzy roboty wgramoliły się na pogięty pancierz, gęsto obsadzone czujnikami głowy zajrzały do wnętrza.

- Jesteście w bardzo złej sytuacji, panowie. Daję wam jakieś trzy minuty życia, więcej w tych warunkach nie wytrzymacie - głos Brassiego brzmiał tak, jakby czytał z instrukcji technicznej. - Jeżeli natychmiast się nie poddacie i nie wylezicie z rękami do góry, nie poczekamy nawet tych trzech minut, tylko przywalimy wam ze wszystkiego, co mamy do dyspozycji.

Mówił na podstawowej częstotliwości używanej do komunikowania się w całym wszechświecie.

Backsyht nadal ścisnął kurczowo podłokietniki swego fotela. Popis Kovacsa, zdalnie sterującego atakującym transporterem, był dla niego prawdziwym szokiem. Do tego bardzo krótka, ale niewyobrażalnie brutalna walka dwóch wozów pancernych. Gdyby Kovacs i Brassi źle ocenili sytuację i nie zdecydowali się na prowadzenie boju z drugim transporterem, wszyscy zginęliby w zniszczonej maszynie.

- Właśnie otrzymałem meldunek, że załogi waszych wozów pancernych odrzuciły rozkaz kapitulacji. Byliśmy zmuszeni zniszczyć jeden z nich - oznajmił sucho McBane, a Fincherowi wydało się, że pierwszy raz słyszy w jego głosie jakieś emocje.

Była to wściekłość. Z powodu próby oszustwa ze strony Tutsvilla? Z powodu lekceważenia kodeksu najemników?

- Wiem też, że dwa kolejne goliaty zmierzają właśnie ku bazie. Nie dał mi pan żadnego wyboru, pułkowniku, w tej sytuacji muszę pana zlikwidować.

McBane wyjął pistolet i odwiódł kurek. Fincher zauważył, że major jest ostrożniejszy niż reszta najemników.

- Nie! Ja za to nie odpowiadam, rozkazałem wszystkim, żeby się poddali! To nieporozumienie! - krzyczał Tutsvill, rzucając się do mikrofonu. - Tu pułkownik Tutsvill, do wszystkich, do wszystkich! Poddajcie się, tylko tak zapobiegniemy przelewowi krwi! Poddajcie się.

- Majorze, widzę oba goliaty. Wyłączyły się z systemu monitorującego bazy, a teraz na powrót są nim objęte. Grzeczni chłopcy. Stoją i wysyłają kod kapitulacji. Bo teraz naprawdę dostali taki rozkaz.

W głosie Spice brzmiał niesmak.

McBane powoli schował broń do kabury.

- Teraz, pułkowniku, powtórzy pan rozkaz kapitulacji dla wszystkich pańskich podwładnych na ogólnym kanale, a potem każę zamknąć pana w jego pokoju. Moi ludzie dostaną rozkaz, aby pana zabić, jeśli zobaczą pana poza tym miejscem. Dowody na to, czy naruszył pan kodeks najemników, czy też nie, rozpatrzy później sąd.

- Majorze - odezwała się znów Spice - mam sygnał. Mały pojazd, prawdopodobnie cywilny, jedzie w kierunku kosmodromu. Wewnątrz znajduje się sześciu ludzi w skafandrach.

McBane spojrzał pytająco na Tutsvilla.

Ten w pierwszej chwili zbladł, ale po chwili uświadomił sobie, o co chodzi, i wrócił do równowagi.

- To Fahrey. Najemnik tak jak pan, ma za zadanie wywieźć stąd doktora Azmuda. Nie podlega mojemu dowództwu.

McBane nadal spoglądał na pułkownika chłodno, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Komuś przestraszonemu mogło się wydawać, że prawa znajduje się tuż przy kolbie pistoletu.

A Tutsvill był naprawdę porządnie wystraszony, stwierdził ubawiony Fincher.

- Musimy z oczywistych względów zadbać o bezpieczeństwo doktora Azmuda i dlatego nie mogę zezwolić, aby zaryzykował odlot. Za pańskim pozwoleniem zablokuję komputer kosmodromu, który jest niezależny od AI bazy. - Były dowódca bazy Byutech bardzo starał się pozostać przy życiu.

McBane bez słowa odstał od konsoli, żeby zrobić miejsce Tutsvillowi, który zamierzał użyć swojego magnetycznego klucza dostępu.

Fincher zauważył, że kolor klucza świadczy o tym, że jest kodowany na DNA, czyli aby funkcjonować, musi być użyty przez właściwego człowieka.

- Gotowe - rzekł Tutsvill, wycierając pot z czoła.

- Dziękuję, pułkowniku, może pan teraz odejść do swoich pokoi. W razie potrzeby pošlę po pana któregoś z moich ludzi.

Brugger chciał pułkownika eskortować, ale major zatrzymał go, kręcąc przecząco głową.

- Tu kapitan Fahrey - na ogólnym kanale rozległ się spokojny, ale wyraźnie zniechęcony głos kobiety. - Przypuszczam, że mówię z majorem McBane'em.

- Dlaczego tak pani przypuszcza? - zapytał major.

Teraz Fincherowi wydało się, że w głosie dowódcy wyczuwa nutę obawy.

- Ponieważ nikt inny tak szybko nie doprowadziłby tego zawszonego burdelu do porządku. Mamy zablokowaną możliwość odlotu, wracamy z powrotem. Jest nas piątka plus jeden cywil. Jesteśmy uzbrojeni. Mam nadzieję, że to pana ludzie nas powitają, a nie te typki z Byutechu, oni by nas z radością rozwalili.

- Bez obaw, madame, oczekujemy pani.

McBane popatrzył na obecnych w pomieszczeniu.

- Ja, major żołnierzy najemnych William McBane, przejmuję tę bazę w imieniu koncernu SONICBM. DO czasu przekazania dowództwa pełnomocnikowi mojego zleceniodawcy jestem komendantem całej bazy. Obowiązują zasady kodeksu najemników. Każdy, kto się z tym nie zgadza, może dać wyraz swojemu sprzeciwowi. Zostanie odizolowany na zasadach dotyczących postępowania z jeńcami do czasu, kiedy pojawi się możliwość jego uwolnienia.

- Już to wysyłam dalej - ogłosiła Spice.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

TRIUMF ZWYCIĘZCÓW

Spice siedziała na fotelu w centralnej sali z nogami na stole i karabinem na kolanach. Udawała, że nie widzi baczących i pełnych podziwu spojrzeń miejscowych młodszych oficerów, których McBane wezwał na dywanik. Zgodnie z rozkazem pozostała w skafandrze, jak i inni najemnicy, tylko hełm położyła obok w zasięgu ręki. Jednak znalazła chwilę czasu na lekkie poprawienie makijażu. Podczas akcji ze względu na ustnik sterowania, którego, chcąc nie chcąc, czasem potrzebowała, nie mogła używać szminki. Teraz to sobie wynagrodziła i wiedziała, że z rozpiętym termooveralem, lamowanym cienką niebieską wyszywką, wygląda dobrze. Ciężkie rękawice położyła obok hełmu. Starczyło włożyć do nich ręce, mocowanie odbywało się automatycznie. Zresztą mogły być nałożone nawet w chwilę po ogłoszeniu alarmu dekompresyjnego.

Postukała palcami po kolbie karabinu, kontrolując przy okazji stan paznokci. Tym razem wybrała naprawdę dobry lakier. Po trzydziestu sześciu godzinach akcji nigdzie się nie odłupał i nadal wyglądał doskonale. Zauważyła, że mężczyzna z długimi, czarnymi włosami zebranymi w kucyk przygląda się jej z większym zainteresowaniem niż pozostali. Nie był w jej typie, chyba właśnie z powodu włosów, spędzać z nimi dłuższy czas w skafandrze musiało być szczytem uciążliwości. Widać było, że gość poświęca swemu wyglądowi większą uwagę, niż powinien. Wywołała jego dane. Porucznik François de Mopenten. Pracował dla Byutechu czwarty rok, z czego jedenaście miesięcy na Plutonie. Pochodził z rodu wywodzącego się z prastarej szlachty francuskiej. Pozostałe dane były typowe dla młodego, zdolnego, żądnego sławy człowieka, starającego się zrobić karierę wojskową. Ciekawa wydawała się tylko końcowa informacja: „wybitny strzelec ze wszystkich kinetycznych rodzajów broni”.

Odpowiedziała mu krótkim, chłodnym spojrzeniem, chociaż w duchu zaśmiała się sama do siebie. Dawno temu uciekła w szeregi najemników właśnie przed niepożądanym zainteresowaniem mężczyzn, wprost do najbardziej szorstkiego, profesjonalnego środowiska, jakie znalazła. Dziś na odwrót, to zainteresowanie, chociaż niepożądane, sprawiało jej przyjemność. Ale teraz nie miała już dziewiętnastu lat i potrafiła odprawić na należne miejsce napalonego idiotę bez użycia szybkostrzelnego karabinu.

Zapragnęła, żeby major już skończył. Tęskniła za prysznicem i przynajmniej

dziesięciogodzinnym snem. Walka z programem zabezpieczeń AI zmęczyła ją. Nieprzyjemnie ją zaskoczył wysoki poziom obrony przed ingerencją, na jaki się natknęła. Skupiła uwagę na tym, co mówił McBane, żeby zorientować się, jak długo jeszcze będzie musiała pozostawać w gotowości.

- Waszym najwyższym przełożonym jest obecnie kapitan Hawer, pułkownik Tutsvill do odwołania znajduje się w areszcie domowym. Współpraca nie jest obowiązkowa, ale pożądana. Pomoże utrzymać bazę w stanie bezawaryjnym oraz ułatwi wasz jak najszybszy powrót na Ziemię. Zainteresowani mogą podpisać krótki kontrakt, stając się podwładnymi zarówno moimi, jak i ludzi, którymi już dowodzę. Praca będzie wynagradzana zgodnie z taryfikatorem ogłoszonym po protokolarnym przejęciu bazy. Przyjęcie kontraktu nie naruszy waszego stosunku pracy z koncernem Byutech, ponieważ z waszego punktu widzenia jest to przypadek wyższej konieczności. Każda akcja nieprzyjacielska wymierzona przeciw moim ludziom będzie karana śmiercią, ze współczynnikiem jeden do dziesięciu. W tej chwili to wszystko. Proszę przekazać usłyszane informacje podwładnym - zakończył McBane.

- Co to znaczy współczynnik jeden do dziesięciu? - zapytał François de Mopenten.

Spice uniosła brwi do góry. Odpowiedź nie spodoba się młodemu porucznikowi, ale na takie właśnie pytanie czekał McBane.

- W skrócie można to objaśnić tak: jeśli przypadkiem lub rozmyślnie z powodu waszych ludzi zginie jeden mój podwładny, natychmiast rozkażę rozstrzelać dziesięciu z was, przypadkowo wybranych. Dopilnuję tego osobiście.

McBane rzucił porucznikowi krótkie spojrzenie, jakby dając mu okazję do następnego pytania, a potem dał znak, że briefing jest skończony.

Spice z zadowoleniem pokiwała głową. Major mówił tak obojętnym tonem, jakby im oznajmiał, że na śniadanie najbardziej lubi chleb z masłem i mocną kawę ze szczyptą cynamonu. To tylko podkreślało wagę ostrzeżenia.

- To przecież niecywilizowane! Nie możemy ponosić odpowiedzialności za każdego z naszych ludzi! Któremuś odbije, a pan nas pozabija? - protestował Mopenten.

Może i fircyk z brylantyną we włosach, ale ma jaja, stwierdziła Spice. Punkt dla niego.

- Jesteście dowódcami, dowódcy ponoszą odpowiedzialność za czyny podwładnych - odparł dobitnie major. - A jeśli chodzi o wypadki, to nikt wam nie zabrania wykonywania ryzykownych prac.

Rozległy się niezadowolone pomruki, jednak nikt się nie odważył otwarcie zaprotestować. Spice odwróciła hełm przeziernikiem ku sobie i użyła go jako wyświetlacza.

Była zbyt zmęczona, żeby oglądać teraz projekcję z wnętrza hełmu, zresztą po tylu dziesiątkach godzin śledzenia monitorów piekły ją oczy.

Natychmiast natrafiła na kilka zapytań o kodeks najemników i żądania analizy psychologicznej rozkazu McBane'a. Żołnierze Byutechu nie wiedzieli, jak głęboko Spice przeniknęła do ich AI, i nie podejrzewali, że dostęp do wielu informacji pozostawiła im celowo.

Stosunek jeden do dziesięciu był dobrze zdefiniowany: - maksymalnie odstrasżający wpływ przy minimalnych stratach w ludziach i potencjale roboczym - to najczęstszy werdykt, jaki żołnierze mogli sobie przeczytać. A dokładnie tego chciał McBane.

Major nie patrzył na ostatnich wychodzących z sali. Twarz miał ściągniętą, oczy wpatrzone daleko poza horyzont Plutona, w niekończącą się próżnię, a może ku Ziemi, gdzie wciąż można było znaleźć czarujące miejsca? Spice była pewna, że jest tak samo zmęczony jak ona.

- Chorybd, Pietro, Spice, Gunner, Kovacs. Macie od tej chwili dwanaście godzin wolnych od służby. Powiadomcie Brassiego, gdzie będziecie spać - usłyszała wreszcie oczekiwany rozkaz.

Chorybd rozstawił fotele wokół stołu w jadalni oficerskiej, usadowił się w jednym z nich, kładąc nogi na stole. Długa kąpiel zniwelowała większą część zmęczenia, jakie odczuwał po akcji. Nie był sam, przy stołach jadło obiad kilku oficerów Byutechu i pracowników cywilnych. Jeśli jedli tutaj, to znaczyło, że należą do kierownictwa bazy. Nogi najemnika wyłożone na stole wyraźnie im się nie podobały. Uważali to za wyraz pogardy wobec dobrych obyczajów, a także ich samych. Chorybd miał to za nic. Mięśnie nóg bolały go po długotrwałym ucisku czujników ekoszkieletu skafandra bojowego, miał wrażenie, że czuje każdy nerw. Wiedział, że to następstwo długotrwałego sprzężenia zwrotnego pomiędzy człowiekiem i maszyną.

Zza drzwi kuchennych przydreptał drobny człowieczek w wielkiej czapce kucharskiej. Stał w pełnym szacunku ukłonie o dwa kroki od stołu.

- Czy będzie pan życzył sobie coś do jedzenia?

Chorybd dopiero teraz uświadomił sobie, że jest głodny. Nawet bardzo głodny. Tego głodu nie zdołały zaspokoić koncentraty, którymi odżywiał się przez ostatnie trzydzieści sześć godzin.

- Tak, niech mi pan przyniesie to, co mają na stole obok - zamówił. - I dzięki, koleś.

Do jadalni wszedł Gunner. Poruszał się, jakby niósł na ramionach stukilowy worek.

Miał bardzo zmęczone oczy. Chorybd doskonale to rozumiał. Sam czuł się podobnie, chociaż nie aż tak źle.

- Panowie, już niosę, już do was przybywam! - wykrzykiwał Pietro jeszcze z korytarza.

W odróżnieniu od przyjaciół emanował wprost podnieceniem. Z wyrazem zadowolenia na twarzy postawił na stole paczuszkę w folii ochronnej i ostrożnie zaczął rozpakowywać.

- Pokonała odległość sześciu miliardów kilometrów, przeszła przez mroźne piekło tuż nad zerem absolutnym, nie pękła nawet po uderzeniu pocisku sto pięćdziesiąt milimetrów - deklamował z emfazą, zwracając na siebie powszechną uwagę. - I oto ją macie, najdroższą i najdalej podróżującą butelkę w całym kosmosie - dokończył, ukazując wszystkim etykietę. - Czterdziestoletnia, oryginalna whisky Laphroaig, najlepsza ze wszystkich. Już nikt jej nie kupi, ponieważ przestała być produkowana według zamierzonej receptury, kiedy powietrze stało się zbyt zanieczyszczone. Koleś - zwrócił się do kucharza, który przyszedł po dalsze zamówienia - świętujemy tu najlepszy interes naszego życia. Za to, że na was napadliśmy, każdy z nas dostanie okrągłe dwadzieścia pięć milionów. Bądź tak łaskaw i przynieś nam trzy wymyte szklaneczki i butlę tej niezbyt czystej wody, jaką tu macie. Właściwie cztery, przynieś szklaneczkę dla siebie, ponieważ niepodzielenie się z bliźnim przynosi pecha.

Chorybd uświadomił sobie, że się uśmiecha i nawet w oczach Gunnera zabłysły iskierki. Pietro to umiał. Umiał żyć. W jego obecności napitek lepiej smakował, kobiety wydawały się bardziej godne pożądania, nawet ludzka zawiść mniej dokuczała.

Nachylił się nad etykietą i przez chwilę przyglądał się jej uważnie. Tak, to był ich wieczór i spożytkują ten czas dobrze, żeby było co wspominać, jeśli kiedyś przyjdzie umierać.

Woroszyłow czekał przed komorą ciśnieniową w pełnym skafandrze i hełmie. Wiedział, że do środka ma wejść szóstka ludzi, zgodnie z meldunkiem, jaki otrzymał, ale nie chciał zostać nieprzyjemnie zaskoczony. Swędzenie, obrzęki i wszystkie inne niewygody, jakie powodował długotrwały pobyt w skafandrze, były niczym w porównaniu z trafieniem przez laser wojskowy. Chociaż nie wszyscy podzielali tę opinię.

Segmentowe zamknięcie wsunęło się w ścianę, do wnętrza korytarza wpadł obłok białej mgły. Kapitan Fahrey nie poczekała nawet na podstawowe wyrównanie temperatur. Infraczerwień i radar mikrofalowy jakoś zadziałały na krótki dystans.

Woroszyłow natychmiast zorientował się, że żołnierze najemni stoją w szyku

marszowym z cywilem pośrodku, a dowódcą z przodu albo z tyłu. Założył, że stoi on na czele.

- Woroszyłow, mam was doprowadzić do majora McBane'a - połączył się poprzez laser komunikacyjny.

- Jeden człowiek? Dowódca chyba pana przecenia.

Woroszyłow, milcząc, usunął się na bok, żeby mogli obok niego przejść.

- Albo odwrotnie, wysoko ceni wasz profesjonalizm - padła dalsza uwaga wypowiedziana szorstkim głosem, choć nie bez nutki rozbawienia.

O ile oczywiście syntetyzator głosu wiarygodnie naśladował dykcję.

Kapitan Fahrey zdjęła hełm. Włosy miała siwe, krótko ostrzyżone, choć nie na jeża, nie nosiła makijażu, a jedynym odstępstwem od powagi jej funkcji był niewielki kolczyk w lewym uchu. Nie stanowił tylko ozdoby. Taki kolczyk nosiły oddziały byłego komanda ratowniczego ONZ, obecnie już nieistniejącego.

- A pan nie zdejmie hełmu, Woroszyłow? - zagadnęła go.

- Zdejmę, madame, jak tylko odda mi pani broń.

Poza kapitan Fahrey w oddziale byli sami mężczyźni. Woroszyłow nie mógł powiedzieć, czy mu się podobają, czy nie. Wyglądali na profesjonalistów w każdym calu, całkowicie oddanych służbie i swemu dowódcy. Był pewny, że każdy z nich ma jakąś dobrze ukrytą broń, na ich miejscu też zachowałyby się podobnie. Teraz nie miał możliwości dokonania szczegółowej rewizji, ponieważ był sam. A był sam, ponieważ major nie życzył sobie rewizji.

Cywil, któremu towarzyszyli, wydawał się zbyt gruby, żeby mógł czuć się wygodnie w standardowym skafandrze. Mimo chłodu panującego w korytarzu na sporej łysinie perliły mu się krople potu, a na policzkach wystąpiły czerwone plamy.

Niestety, Woroszyłow nie miał dostępu do jego danych zdrowotnych.

- Czy z doktorem Azmudem wszystko w porządku? Nie trzeba wzywać medyka? - zapytał.

- Doktor Azmud jest zdrow, może trochę... - Fahrey zawahała się na chwilę, szukając odpowiedniego sformułowania - niezadowolony z całej sytuacji.

- Majorze, poddaję się panu i pańskim ludziom - oznajmiła kapitan Fahrey zaraz po wejściu do sali dowództwa. - Równocześnie przekazuję panu doktora Azmuda, którego miałam odwiedzić na Ziemię. Teraz pan odpowiada za jego bezpieczeństwo.

McBane w milczeniu skinął głową.

- Posłałem moim przełożonym wiadomość, oddział SONICBM-u wraz z władzami cywilnymi, mającymi przejąć kontrolę nad bazą, są już w drodze. Po ich przybyciu zostanie pani umożliwiony odlot.

- A czy nie mógłby pan zwolnić nas już teraz? Ani ja, ani moi ludzie nie jesteśmy obiektem pańskiego kontraktu - próbowała Fahrey.

Woroszyłow stał pod ścianą jako strażnik i obserwował całe pomieszczenie, zwracając szczególną uwagę na wejście, obrazy przekazywane przez kamery i systemy zabezpieczenia sterowane przez AI bazy. Znalazł też trochę czasu dla Fahrey. Kolczyk był wystarczającą ekstrawagancją, nawet gdyby nie wiedział, co oznacza. Bystre oczy Fahrey, raz ciemne jak kawałki antracytu, raz iskrzące się skrywanym ogniem, zdołały ją jeszcze bardziej. Zaczynał rozumieć, jak mogła zyskać swoją renomę. Potrafiła trzymać na wodzy energię wewnętrzną i w stosownym momencie użyć jej we właściwym miejscu, w sposób nierzucający się w oczy albo z towarzyszeniem efektownych fajerwerków.

- Zwolniłbym panią, kapitanie, ale po wysłaniu meldunku o aktualnej sytuacji nasz kontrakt został rozszerzony na osobę doktora Azmuda. - McBane spojrział na grubasa. - Jeśli zatrzymamy go do chwili, gdy będą z nim mogli porozmawiać przedstawiciele SONICBM-u, otrzymamy bonus.

- No to przynajmniej wiemy, na czym stoimy - stwierdziła Fahrey. - Bonus to bonus. Zdaje się, że pański zleceniodawca ma chrapkę na prawdziwy tłusty kąsek.

- Zdaje się - przytaknął McBane.

- Pan brał udział w wojnie pomiędzy US Robotics i Bio Tech Jap? - zmieniła temat Fahrey.

Woroszyłow współpracował z majorem od długiego czasu i umiał niejedno wyczytać z jego pokerowej twarzy. Uwaga Fahrey w jakiś sposób nie przypadła mu do gustu. To było dziwne, ponieważ o udziale majora w tej wojnie, od której zaczęła się jego kariera, mówiono już od dawna.

- Tak, kapitanie. Staliśmy po przeciwnych stronach, ale szczęściem nie spotkaliśmy się bezpośrednio.

Na twarzy Fahrey odmalowało się powątpiewanie.

- Mam jednak wrażenie, że gdzieś pana widziałam.

- To możliwe. Walczyło tam kilkuset żołnierzy jednostek specjalnych.

- I większość z nich zaginęła bez śladu - uzupełniła Fahrey.

- Tak, na wojnie często się to zdarza - przytaknął McBane.

Woroszyłow miał wrażenie, że ta rozmowa nie jest dla majora przyjemna. Nikt inny z

obecnych tego nie zauważył, wydawało im się, że to zwyczajne wspomnienie faktów z przeszłości.

- A pan tuż przed eksplozją głównej hali wyciągnął z tego piekła trzydziestu ludzi, w większości ciężko rannych - dodała zamyślona.

- Woroszyłow odprowadzi was wszystkich do kabin, gdzie będziecie mogli odpocząć. Jeśli miałaby pani ochotę współpracować ze mną do czasu, aż przylecą siły główne, proszę o połączenie poprzez AI bazy - zakończył rozmowę McBane.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

WIDMO PRZESZŁOŚCI

Kuzmin z wahaniem zatrzymał się przed potężnym przejściem segmentowym. Powierzchnia stopu, z którego było wykonane, wyglądała na starą, matowy nalot częściowo zakrywał emblemat stylizowanego Pegaza wspinającego się ku gwiazdom. Odwrócił się, stożek światła reflektora liznął ściany, wywołując na nich miliardy błyszczących iskier. Czy to były krople wody, czy kryształki lodu? Im niżej schodzili, tym chłodniej robiło się w korytarzach. Teraz temperatura wahała się wokół zera stopni Celsjusza.

- Dokąd to prowadzi? - zapytał przewodnika, Jakuba Krankela, pierwszego zastępcy cywilnego kierownika bazy.

Mężczyzna, ubrany w lekki termooveral, podczas inspekcji najniższych kondygnacji bazy nie czuł się dobrze. Ustnik maski tlenowej wypadł mu z mocowania, kołysał się koło pasa.

- Nie wiem, nigdy tak głęboko nie schodziłem.

Fincher, którego głównym zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa Krankelowi, spojrzał na niego z powątpiewaniem.

W normalnych warunkach może i umiał kłamać przekonywająco, ale w podziemiach, w towarzystwie trzech uzbrojonych najemników, których się bał, wyraźnie mu to nie szło.

Brugger, ubrany w skafander, odbezpieczył obrotowe działko i zostawił mechanizm napędu luf na wolnych obrotach. Słyszając metaliczny odgłos, Krankel zadrżał. Tym razem Brugger nie nałożył skafandra bojowego i nie miał działka przytwierdzonego do przedramienia, ale niósł je przypięte do standardowych szelek stosowanych w piechocie. Razem z magazynkiem cieczy odpalającej broń ważyła około sześćdziesięciu kilogramów.

- Bzdury - ocenił wymówkę i z powrotem zabezpieczył broń.

Krankel wahał się, patrząc dookoła.

- Możemy skontaktować się z naszym człowiekiem przez komputer. Mamy wasze AI pod kontrolą - przypomniał Fincher.

W rzeczywistości śmiertelnie zmęczonej Spice nikt nie budziłby dla takiej drobnostki.

- Ciekaw jestem, co z tego wyjdzie - odezwał się Brassi na obwodzie najemników. - Spice nie znalazła niczego o głębokich podziemiach, ja też nie.

Brugger odwrócił się, jakby chciał obejrzeć korytarz za sobą, ale budzące respekt lufy trzymał w takiej pozycji, żeby Krankel miał je na widoku.

- Nie będziemy zachwyceni, jeśli przyjdzie nam się wlec tu po raz drugi. I mogę pana zapewnić, że powtórna wycieczka nie spodoba się również panu - powiedział Gunner, nie odwracając się.

Jego głos głucho odbijał się od metalowej ściany.

- To jest wejście do tajnych kondygnacji - wykrztusił nerwowo Krankel. - Są w najwyższym stopniu utajnione. Oprócz kierownika, mnie i ludzi, którzy tu pracują, nikt o nich nie wie.

- Hasło dostępu? - zapytał Fincher pozornie obojętnym tonem.

- Styks - rzucił szybko Krankel.

Metalowa płyta ani drgnęła.

- Chodzi o hasło, które wpuści nas na drugą stronę - uściślił najemnik.

- Są kodowane na dotyk dłoni - wyjąkał Krankel, jeszcze bardziej zdenerwowany, lecz podszedł do ściany z prawej strony i po krótkim poszukiwaniu właściwego miejsca przycisnął dłoń do niczym niewyróżniającej się powierzchni.

- Dobra robota - krzyknął zadowolony Brassi. - Hasło „Styks” otwiera dostęp do kolejnego elektronicznego systemu. To nie jest AI tylko osobny komputer zasilany poprzez drugorzędne połączenie o niskiej przepustowości, dlatego Spice go nie znalazła. Ale posłuchajcie, coś dla was mam.

Gunner z Bruggerem szli już naprzód obok siebie. Nie działało tu ogólne oświetlenie, towarzyszył im tylko pas luminoforów, tak słabych, że ledwie widzieli drogę pod nogami. Ochłodziło się jeszcze bardziej, pod podeszwami zgrzytał kurz i kawałki kamienia z grubo ociosanych ścian.

- Nie chodzili tędy zbyt często - szepnął Fincher, nie chcąc usłyszeć echa własnego głosu.

Parametry miejscowej atmosfery pozostawały na zielonych polach, ale wydawało mu się, że czuje jakiś nieprzyjemny zapach, nałożył więc maskę tlenową.

- Według dokumentów Byutechu te korytarze nie są ich dziełem, znaleźli je tutaj podczas poszukiwań miejsca dogodnego na zbudowanie swojej bazy. Podobno pochodzą z początku dwudziestego drugiego wieku.

- Wtedy Pluton radośnie posuwał do swojego aphelium, było jeszcze zimniej niż teraz, atmosfera dawno wymarzała - skomentował tę informację Fincher.

Mówiąc to, przyglądał się ścianom po obu stronach w poszukiwaniu jakichś drzwi lub

odnogi korytarza. Przestrzeń przed nimi kontrolowali Gunner z Bruggerem. Korytarz, pozornie bez żadnej przyczyny, zakręcał to w jedną, to w drugą stronę, opadając przy tym stromo.

Głos Brassiego stawał się coraz słabszy, więc Fincher przylepił do ściany kolejny retranslator. Odbiór wyraźnie się polepszył.

- To prawda. Jednak od roku dwa tysiące sto dziesiątego do dwa tysiące sto trzydziestego istniała Konfederacja Azjatycka, związek państw dysponujących technologią na poziomie dzisiejszej, a w niektórych dziedzinach podobno wyższą. Nie da się wykluczyć, że z czort wie jakich powodów to oni zdecydowali się wybudować tutaj bazę, a Byutech natknął się na jej pozostałości.

„Podobnie jak SONICBM odkrył Erebosa” - pomyślał Fincher, ale nic nie powiedział.

Ogarnęło go uczucie déjà vu. Możliwe, że przed stu dwudziestu pięciu laty tym ciemnym korytarzem skradali się ludzie podobni do nich. Mieli swoje marzenia, zamiary. Co się z nimi stało?

Promień reflektora odbił się od skupiska kryształów na sklepieniu.

- Minus dwadzieścia, to musi być zamrożona woda. Gdzieś z okolicy - ocenił Brugger. - Może była nagła dekompresja?

Fincher pożałował, że nie wziął skafandra.

- Znalazłem mapę, wysyłam wam - odezwał się znowu Brassi.

Projekcja obrazu bezpośrednio na siatkówkę, za pośrednictwem implantów ocznych, nie dawała takiego komfortu jak holo, ale na tę chwilę wystarczyła.

- Kurwa - odezwał się Gunner, gdy pojawił się przed nimi labirynt podziemnych, owadzych korytarzy, które ciągnęły się kilometrami w skałę i lodowcu.

- Sami tego nie przejdziemy - stwierdził Brugger. - Będziemy potrzebowali lepszego zabezpieczenia i wyposażenia.

Nagle wszyscy najemnicy mieli odbezpieczoną broń i stali plecami do siebie z Krankelem pośrodku. System korytarzy, jeśli nawet był dziełem ludzi, sprawiał wrażenie nieprzystępnego ze względu na nienormalne rozmiary.

Fincher zaczął rozumieć nerwowość przewodnika.

- Jak daleko ciągnie się ten labirynt? - zapytał cicho.

- Minimum trzysta kilometrów, lecz nie jest to pewne. - Brassi milczał przez chwilę. - Byutech nie ma wszystkiego na tej mapie. Wielokrotnie wysyłali tam roboty, ale często zdarzało się, że nie powracały.

- Kurwa i jeszcze raz kurwa. Ale my właśnie zawrócimy - zdecydował Gunner, który

dowodził patrolem.

- Sto metrów dalej na mapie widać jakieś pomieszczenie, może rzucimy na nie okiem?

- zaproponował Fincher.

Brassi natychmiast wyznaczył wektor kierunku.

- Co pan na to, Krankel? Zajrzemy tam? - zapytał Gunner, patrząc w głąb ciemnego korytarza.

- Ja... ja myślę, że powinniśmy wracać.

W głosie zastępcy kierownika dało się wyczuć wyraźny strach.

Fincher z trudem opanował śmiech.

Znał Gunnera. Nie był typem samobójcy, ale grał trochę ostrzej niż pozostali.

- A więc, drogi panie, proszę prowadzić - zaśmiał się najemnik i ruszył pierwszy.

Fincher przyczepił do ściany kolejny retranslator, pozostał mu już tylko jeden.

- Tylko ostrożnie, cholera - powiedział Brassi jakby zaniepokojony. - Z zapisów Byutechu wynika, że mieli w podziemiach kilka śmiertelnych wypadków, w większości określonych jako nieszczęśliwe. Wiecie chyba, co to znaczy?

Fincher wiedział. To oznaczało, że dochodzenie niczego nie wyjaśniło.

Zachowując maksymalną ostrożność, doszli do rozgałęzienia korytarza. Jedna odnoga prowadziła na prawo, ku dołowi, a druga do stalowego prostokąta, sprawiającego wrażenie osadzonego w skale.

- To są standardowe drzwi bezpieczeństwa klasy pierwszej - oznajmił Fincher. - Używa się ich przy przedsięwzięciach najwyższego ryzyka.

Gunner powoli odwrócił się do niego, ale karabin nadal miał wymierzony w pierwotnym kierunku.

- Prawie zapomniałem, że był pan prawdziwym doktorem. A co takiego chował pan za takimi pancernymi drzwiami?

Fincher uświadomił sobie, jak daleko od Ziemi się znajduje. Skoro stał przed wrotami, które na Plutonie w ogóle nie powinny się znajdować, mało prawdopodobne było, że wyjdą stąd żywi - jeśli je otworzą.

- Za takimi drzwiami chowaliśmy zabójcze wirusy, bakterie, ich zmutowane odmiany, ulepszone zarazki ospy - odparł tonem swobodnej konwersacji.

- A ja myślałem, że byłeś takim doktorem, co leczy ludzi - powiedział Gunner i zamyślił się.

- Chyba będzie lepiej, jeśli tam nie wejdziemy. Co pan na to, Krankel?

Przewodnik pamiętał, do czego doprowadziła jego poprzednia odpowiedź, i bał się

cokolwiek wyartykułować.

- Wracamy, Brassi. Nie będziemy teraz tego badać.

Fincher odwrócił się z uczuciem ulgi. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie siedział w planetolocie wracającym na Ziemię. W superszybkim, pasażerskim statku kosmicznym, jakim według zwyczaju wracali najemnicy po zakończonej sukcesem niebezpiecznej misji. Będzie tam bar z przyjemną obsługą, która pozwoli mu zapomnieć o wszystkim. Fincher był sympatycznym towarzyszem, potrafił ciekawie opowiadać i uważnie słuchać, a obsługa barowa na takich statkach była zwyczajowo płci żeńskiej i bardzo urodziwa. Umiała należycie docenić gościa takiego jak on.

Zrobił ze trzy kroki, zanim uświadomił sobie, że Brugger pozostał na miejscu i wpatruje się przed siebie, ściągawszy stożek światła reflektora w cienką smugę.

- Coś tam zobaczyłem, widać to też na laserowym dalmierzu. Ktoś na nas czeka w korytarzu.

Krankel jęknął, Fincher poczuł, jak mu włosy stają dęba na głowie, ale za chwilę ogarnął go chłodny spokój. Tak jak w laboratorium, kiedy w powietrzu unosił się śmiertelny wirus, od którego dzieliło go kilka cienkich warstw ubrania ochronnego i rękawice. A skalpel zawsze był bardzo ostry.

Odwrócił się powoli. Liczby na dalmierzu migały z wielką szybkością, ale stopniowo zwalniały i wreszcie odczyt ustabilizował się. Brugger nie był w błędzie. Dalmierz w jednej chwili pokazywał nieskończoność, co w przypadku broni, jaką posługiwał się Fincher, oznaczało odległość ponad ośmiuset metrów, potem wyskoczył wynik dziewięćdziesiąt pięć metrów, a za moment czterysta. Ktoś lub coś odbijało promień lasera, ktoś lub coś tam czekał... a może czekało...

- Pan zostaje tutaj, Krankel. I nie rusza się, bo inaczej usmażymy pańskie jaja na kolację - rozkazał Gunner. - A my pójdziemy popatrzeć. Może tam na nas czekają z piknikiem.

Brugger znowu włączył rotację luf swego działka.

- Nie czekają na nas z piknikiem. Albo raczej przyszliśmy za późno - powiedział nagle Gunner, zatrzymując się.

Chłodny ton jego głosu przypomniał Fincherowi to, co przeżył przed chwilą, i naraz zrozumiał, kto na nich czeka. Wisielec pozbawiony tkanek, dyndający w mroźnym powietrzu.

Podeszli bliżej, reflektory wydobyły z ciemności ludzki szkielet, idealnie pozbawiony ciała. Stawy zostały zalane prześwitującą masą. Gunner zbliżył się do zwłok i w odbitym

światle reflektora Fincher zobaczył, co utrzymuje szkielet w całości. Był to zwyczajny lód. Ktoś zalał stawy wodą, żeby po zamrożeniu utrzymała ciężar kości.

- To dziwna sprawa, nie został nawet skrawek ciała - usłyszał szept Gunnera.

Dźwięk obracających się luf działka mieszał się z odgłosem ich oddechów i sykiem powietrza w maskach. Gunner pochylił się nad szkieletem.

- Tutaj wyssano szpik - stwierdził, wskazując na niewielkie otworki w kościach długich.- Zróbcie fotografie z bliska i wracajcie - zamiast Brassiego odezwał się McBane. - I zabezpieczcie wejście do korytarza naszym własnym zamknięciem.

- Tak, majorze, zrobimy to z najwyższą przyjemnością - odparł Gunner i dał znak Fincherowi, że ma wracać pierwszy.

Echo ich kroków odbijało się od ścian i sklepienia, ponaglaając ich do jeszcze większego pośpiechu. Fincher z trudem panował nad chęcią ruszenia biegiem. W chwili gdy pokazało się światło na końcu tunelu, Krankel puścił się klusem. Najemnicy dali mu spokój, rozumiejąc, co go do tego zmusiło.

- Co pan zamierza zrobić z tym znaleziskiem? - odezwał się dźwięcznym głosem Joshua Watanabi, cywilny kierownik bazy.

Backsyht powoli omiótł spojrzeniem wszystkich uczestników spotkania. Miał swoje reporterskie okulary i wszystko nagrywał. Dziękował instynktowi, który kazał mu przestroić aparaturę nagrywającą na pracę w warunkach niedostatecznego oświetlenia. Wykorzystywał również część spektrum infraczerwieni, aby później uzupełnić brakujące szczegóły i wyraźnie uwidocznić szok i zgrozę zebranych wokół ludzi.

Wystarczającym na to dowodem było, że Krankel po powrocie z tajnej części bazy załamał się nerwowo.

McBane siedział swobodnie w fotelu w pobliżu centralnej konsoli. Czy przez zbieg okoliczności, czy skutkiem świadomej aranżacji występował samotnie przeciw wezwanym na naradę pracownikom bazy.

- Centralna konsola nie jest anachronizmem, tylko środkiem bezpieczeństwa w przypadku, gdy inne, nowocześniejsze systemy komunikacji, jak na przykład HID, zawiodły - wyjaśniał wyimaginowanym widzom Backsyht w sposób niesłyszalny dla pozostałych.

- Nie uważam, że powinienem w jakikolwiek sposób zareagować na odkrycie moich ludzi - odpowiedział spokojnie McBane.

Siedział w najciemniejszym miejscu i widać było tylko jego sylwetkę.

- A oto właśnie ludzie majora McBane'a, najlepsi żołnierze najemni w całym Układzie

Słonecznym - powiedział Baksyht i skierował ukrytą w okularach kamerę na każdego z nich po kolei. - Wszyscy są doskonale uzbrojeni, zdolni przeciwstawić się każdej przewadze. W dziesięciu, razem ze swoim dowódcą, przejęli kontrolę nad siedmiuset ludźmi personelu koncernu Byutech. Podczas całej akcji nie zginął ani jeden człowiek.

Pietro zauważył, że Baksyht nagrywa, i wykonał nieprzyzwoity gest. Baksyht z trudem opanował się i nie zaklął. Będzie musiał ingerować w materiał, co pozbawi go cech dokumentu. Ale jeśli tylko wytnie Pietra...

Nie rozmyślał nad tym dłużej, skupiając się na relacji.

- Według zapisów, do których uzyskaliśmy dostęp, w przeciągu ostatnich dwunastu lat w tajnych podziemiach doszło do dziesięciu śmiertelnych wypadków - kontynuował McBane prawie znudzonym tonem.

- Kapitan Fahrey. - Baksyht skierował uwagę na najemniczkę. - Zbiegiem okoliczności utknęła na Plutonie podczas opanowywania bazy. Teraz, jak widać, z wielką uwagą przygląda się swemu potencjalnemu przeciwnikowi.

Zatrzymał się, uświadamiając sobie, że Fahrey naprawdę obserwuje majora spojrzeniem, które można było nazwać uwodzicielskim. Siedziała w miejscu dobrze oświetlonym, jej kolczyk rzucał mieniające się błyski. Zakochała się w nim czy co? Szybko odrzucił tę myśl. Po prostu uważnie go obserwowała, a z jej mimiki wywnioskował, że tak jak i on, niesłyszalnie nagrywa jakieś uwagi.

- Jakie wypadki? Jakie tajne korytarze? - wykrzyknął Joshua Watanabi.

McBane zignorował go, a Baksyht szybko przegrał sobie dostępne dane kierownika bazy. Przybył przed kilkoma miesiącami, podczas gdy Krankel pracował tu już od czterech lat. Może rzeczywiście nie wiedział o wszystkim, tym bardziej że w każdej chwili mógł polecieć na Ziemię. Kontrakt Krankela opiewał na siedem lat ciągłej pracy.

- Doktorze Azmud, czy może nam pan powiedzieć, do czego służą podziemne pomieszczenia niezaznaczone na aktualnej mapie bazy? - McBane zwrócił się do naukowca.

Wyraźnie nie oczekiwał odpowiedzi, pytał tylko ze względów formalnych.

- Nie, majorze. Jestem zobowiązany utrzymać to w tajemnicy - odparł Azmud, wycierając łysinę chusteczką.

- A wy, panowie? Według dostępnych danych wszyscy odwiedzaliście te podziemia - McBane zapytał grupkę ludzi, których Baksyht nigdy przedtem nie widział.

Wszyscy odpowiedzieli to samo.

- Podziemia zostaną zapieczętowane. Co się stanie, kiedy przybędzie załoga SONICBM-u, nie wiem i nie jest to moja sprawa - zakończył całe spotkanie major.

Później milczał tak długo, aż wszyscy zaczęli się rozchodzić. Pozostali jedynie najemnicy i Fahrey.

Backsyht ani pisnął, tylko nagrywał dalej.

- Nie jest pan zbyt ciekawskim człowiekiem, majorze - zagadnęła McBane'a najemniczka.

- Tylko wtedy, gdy wymaga tego moja praca, pani kapitan.

- Ale w dzieciństwie był pan ciekawski, prawda?

McBane wstał, jakby szykował się do odejścia.

- Z ciekawości wlaźł pan do studni, nie mógł się stamtąd wydostać i musieli pana wyciągnąć - ciągnęła dalej z podziwu godną dociekliwością.

- Tak, pani kapitan. I właśnie dlatego jestem ciekawy tylko wtedy, gdy jest to dla mnie użyteczne. A teraz proszę mi wybaczyć. - Zasalutował i wyszedł.

Backsyhta zaskoczyło nagle odejście majora, ale przypomniał sobie o milczących najemnikach pod ścianami.

- Baza jest lepiej zabezpieczona niż skarbiec banku szwajcarskiego - dodał do swego nagrania.

- Mam łączność z nadajnikiem kierunkowym przewoźnika - usłyszał głos Spice na wewnętrznym obwodzie oddziału. - Bezpośrednia relacja zacznie się za dwadzieścia minut.

Backsyht zawahał się. Nie miał pojęcia, dlaczego Spice miałaby mu okazać jakąś uprzejmość, ale spróbować nie zaszkodzi. Przewoźnik był statkiem kosmicznym transportującym na Plutona dwustu ludzi SONICBM-u. Mogłoby być korzystnie dowiedzieć się kilku szczegółów w tej sprawie.

- Przynieść pani kawy? - zapytał na dualnym kanale.

- Mam tutaj ekspres - odprawiła go z lekkim śmieszkiem.

- Mówię o KAWIE. Pan Duncan jest znakomitym kucharzem, byłym szefem kuchni jednej z najlepszych restauracji paryskich.

- A pan chciałby być obecny podczas łączności z przewoźnikiem, prawda? - rzekła wprost.

- Tak, chętnie bym to nagrał - przytaknął.

- Fajnie. - Przez chwilę milczała. - Żadnych niepotrzebnych dodatków, kawa ze śmietanką i kropelką jakiegoś likieru.

- To brzmi nieźle - powiedział poważnym głosem, choć w rzeczywistości szczyrzył zęby od ucha do ucha.

- Mam pana na wizji, Backsyht - zwróciła mu uwagę. - Chodzi mi tylko o kawę. Z

propozycjami narzucał mi się już wicehrabia Mopenten.

- Tylko kawa, madame. - Backsyht wstał z fotela, rozważając, jak od Duncana wydobędzie śmietankę i likier. Ten suchy drań był uprzejmy tylko dla najemników, szczególnie dla Pietra. Jak ten wesołkowaty, skłonny do głupich kawałów sukinsyn to załatwił?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ŚMIERĆ NIE CZEKA NA OKAZJĘ

Backsyht rozsiadł się w fotelu obok Spice zajmującej miejsce przed głównym holoprojektorem. Podał jej kawę, którą z trudem doniósł, nie oblewając spodeczka. Swój starannie wytarł przed drzwiami. Spice, nie odrywając wzroku od właściwego kwadrantu przestrzeni otaczającej Plutona, podziękowała skinieniem głowy.

- Miałam już drugi kontakt. Krótki i zaszyfrowany, potwierdzenie obecności w pobliżu. W ciągu godziny wejdą na orbitę stacjonarną wokół planety.

Pociągnęła łyk kawy, zatrzymała się, powąchała ją i rzuciła Backsyhtowi pełne uznania spojrzenie.

- To nie zwykła kawa, to Pani KAWA. Nie przypuszczałam, że czegoś takiego można posmakować poza matką Ziemią.

- Tak jak powiedziałem, to dzieło Duncana, tutejszego szefa kuchni - przypomniał jej Backsyht, starając się nie zwracać uwagi na rozbawione spojrzenie miejscowego operatora siedzącego przy konsoli obok.

Seksapil Spice mocno przekraczał skromne wymagania, jakie można było mieć na Plutonie. Bez wątplenia, gdziekolwiek najemniczka się pojawiała, męska część załogi natychmiast zaczynała ją adorować.

- Dlaczego ich nie widać? - zmienił temat rozmowy, łamiąc sobie głowę nad znaczeniem symboli informacyjnych wyświetlanych na czarnym na razie projektorze.

- Leci w trybie maskującym, namierzyć go można tylko podczas włączenia silników korekcyjnych. No i podczas hamowania. Założę się, że machną na to ręką, żeby zminimalizować czas trwania tej fazy. Podczas wchodzenia na orbitę planetolot jest zawsze najbardziej wrażliwy. Jeśli złapie ich sieć satelitów Byutechu, to dostrzegą szpilkę z odległości dwudziestu tysięcy kilometrów.

Drzwi się otworzyły, Brassi wszedł do środka szerszym krokiem niż zazwyczaj. W ustach trzymał olbrzymie cygaro, wyglądał na bardzo zadowolonego, oczy mu się świeciły.

- Mam wolne, ale chętnie popatrzę na manewr zbliżania - oznajmił już od drzwi.

Spice dała znak, żeby wszedł dalej.

- Mam ich wreszcie, są szarzy jak mysz, ale ich znalazłam - pochwaliła się.

- Ja jeszcze nie, może pani mnie nakierować? - zapytał drugi operator.

- Przekazuję kierunek i użyte filtry - odpowiedziała.

Tarczka wskaźnika holo, którą miała umocowaną na głowie w formie daszka na opasce, stała się nieprzezroczysta, kiedy nastawiła ją na maksymalną czułość. Śledząc ruchy jej oczu, Baksyht zrozumiał, że naturalne pole widzenia nie wystarcza jej do kontroli wszystkich instrumentów sterowania i musi posiłkować się HID-em.

- Popatrzcie - powiedziała.

Z czerni kosmicznej pustki zaczął się powoli wynurzać nieaerodynamiczny kadłub, złożony z wielu segmentów. Kształt planetolotu nie przypominał Baksyhtowi niczego, co widział przedtem.

- Ekstraklasa wojskowa, przystosowany do długotrwałych lotów w odległym kosmosie bez kontaktów z jakąkolwiek bazą - wyjaśniła Spice, nie czekając na pytania.

- Jak to możliwe, że przylecieli tak szybko? - nie wytrzymał Baksyht.

- To zależy od tego, co wymyślili stratedzy SONICBM-u - odpowiedział tym razem Brassi, przyglądając się z fascynacją istnym czarom, jakie Spice odprawiała przy pomocy swojej aparatury. - Mogli ich umieścić na odległej orbicie w stanie hibernacji albo wysłać za nami po jakimś niedługim czasie.

Niezupełnie ostry obraz, z wyraźnie widocznymi pikselami, nagle rozplynął się, w audio zabrzmiał nieprzyjemny, zgrzytliwy dźwięk.

- Co to jest, do cholery! - zakląła Spice. - Jakieś zakłócenia? Nie mogę zlokalizować źródła!

Brassi tylko pokręcił głową.

Obraz wrócił do normy, ale ona nadal próbowała wykryć źródło zakłóceń, rutynowa obserwacja zmieniła się w intensywne poszukiwania.

Spice i Brassi skupili się teraz na nasłuchu. Na uszach mieli duże słuchawki, wokół nich zapalały się symbole oznaczające połączenie z danymi bazy, komunikacyjny software sieci najemników ostrzegał przed przeciążeniem ich HID-ów, w miarę jak wdzierali się do kolejnych źródeł danych bazy.

Kubek niedopitej kawy stał zapomniany. Spice odsunęła go na skraj konsoli sterowania, dym z cygara Brassiego unosił się do góry jak pajęcza nić, skłębiał pod sufitem i ginął wessany przez klimatyzację.

- Jak to możliwe, że im wszystko wolno? - zapytał Baksyht operatora Byutechu, wskazując na luksusowy wyrób przemysłu tytoniowego.

Mężczyzna skrzywił się. Miał na sobie czysty overal, na szyi srebrny łańcuszek z

monogramem i blaszkę identyfikacyjną. Od długiego noszenia była nieco wytarta. Nazywał się Samuel Swift albo Smith, Backsyht nie był pewny.

- Nagrywa pan? - zapytał Samuel S.

Backsyht zdjął okulary reporterskie, złożył je i schował do kieszeni.

- Już nie.

- Fajnie. - Mężczyzna kiwnął głową z zadowoleniem. - Wojny koncernów były, są i będą. To i tak lepiej, bo dawniej były się całe państwa. Nie wyobrażałem sobie, nikt z pracujących tutaj nie wyobrażał sobie, że ktoś spróbuje napaść na tę bazę. - Z niedowierzaniem pokręcił głową i sięgnął po plastikowy kubek z kawą. - Lura, ale nic innego nie ma. - Wzruszył ramionami. - Siedzieliśmy w najodleglejszym zakątku układu planetarnego, chroniło nas ponad trzystu świetnie uzbrojonych nicponi, których utrzymanie zwiększa koszty, a tym samym zaniża zyski i nasze premie. Połowę dostarczanych tu towarów stanowi broń i wyposażenie wojskowe, ale gdy potrzebne są nowe urządzenia łącznościowe, nie ma pieniędzy albo miejsca na statkach transportowych. Jeszcze wczoraj założyłbym się, że jeśli dojdzie tu do walki, to wszystkich nas trafi szlag. Zostanie kilka zniszczonych, pustych kopuł i kilkaset ciał zmumifikowanych przez mróz. Jednak nie stało się nic takiego. Dlatego wszyscy jesteśmy zadowoleni, że to tacy maniacy jak oni - wskazał na Spice i Brassiego - załatwili wszystko tak gładko.

Backsyht pokiwał głową i zaczął robić niesłyszalne uwagi. To, co powiedział Samuel, miało sens. Sam by nie wpadł na taką ocenę sytuacji.

- Pomiędzy ludźmi krąży nagranie rozmowy między waszym majorem a starym Tutsvillem. Ten zasraniec Tutsvill miał ochotę na ostrą rozgrywkę. Kilku zabitych by mu nie przeszkadzało.

Backsyht rzucił okiem na Spice i Brassiego. Wyglądało na to, że niczego nie znaleźli.

- Co dla pana oznacza, że baza przejdzie pod władanie SONICBM-u? - zmienił temat.

Samuel wzruszył ramionami.

- Nie jestem etatowym pracownikiem Byutechu, tylko specjalistą technicznym zatrudnionym na czas określony. Mój kontrakt właśnie się skończył, i to nie z mojej winy. Otrzymam pełne wynagrodzenie i wrócę do domu o dziewięć miesięcy wcześniej. Moja żona już wybrała odpowiednie miejsce i teraz szukamy kogoś, kto wybuduje nam dom. To miejsce leży na brzegu jeziora w spokojnej okolicy. Dostanę za swoją pracę dosyć pieniędzy, żeby posłać dzieci na studia, jeśli nie będę zbyt rozrzutny.

Samuel uśmiechnął się, ale za chwilę spoważniał, jakby uznał, że powiedział za wiele.

- Za dużo gadam. Widzi pan, siedzę tu już dwa lata i nie spotkałem zbyt wielu

nieznajomych twarzy przez ten czas.

Backsyht podziękował mu i wrócił na swoje miejsce.

- Nic, chyba jakaś anomalia. Nie wiadomo, z którego zakątka kosmosu przybyła. Przelecieliśmy to wszystkimi możliwymi transformacjami i nie dowiedzieliśmy się niczego sensownego. - Spice pokręciła głową zniechęcona, odkładając słuchawki.

Brassi odchylił się w fotelu i mocno pociągnął cygaro, aby ponownie rozniecić przygasający żar.

- Za pięć minut pojawi się nad horyzontem, ale dzięki satelitom zobaczymy go znacznie wcześniej.

Zanim skończyła zdanie, na holo pojawił się wyraźny obraz statku kosmicznego, o wiele lepszej jakości niż poprzednio.

Backsyht rozpoznawał podstawową część kadłuba z błyszczącą powłoką owiniętą przewodami służącymi do wytwarzania pola elektromagnetycznego. Miało ono za zadanie, podobnie jak magnetyczne pasy Van Allena wokół Ziemi, ochraniać drogocenny ładunek przed twardym promieniowaniem kosmicznym. Na obu końcach kadłuba znajdowały się wieżyczki strzeleckie i wyrzutnie pocisków kierowanych, przód rozgałęział się w kształt gwiazdy, mieszczącej silniczki korekcyjne. Tylna część, zbudowana z wielu perforowanych wsporników, ciągnęła się dość daleko poza kadłub. Najpewniejszym, najmniej kłopotliwym, a więc najłatwiejszym sposobem ochrony przed szczątkowym promieniowaniem reaktora kompaktowego było umieszczenie go w maksymalnym oddaleniu od właściwego kadłuba.

- Ciężki planetolot klasy Bull. Nie jest piękny, ale posiada szesnaście rakiet wyposażonych w taktyczne AI najwyższej klasy. Powinny mieć tylko konwencjonalne głowice, ale złe języki powiadają, że załoga jest w stanie zamontować nuklearne w ciągu kilku minut. A założę się, że kilka wzięli ze sobą, po prostu na wszelki wypadek - oznajmił Brassi, pykając ze swego cygara.

Backsyht zauważył, że z imponującej długości cygara ubyło zaledwie trzy centymetry. Brassi ryzykował poważne zatrucie nikotyną i produktami niezupełnego spalania.

Spice nie słuchała jego wywodów, skupiając się znowu na łączności ze statkiem.

Ikony okalające boczne ściany projekcji holograficznej zieleniały jedna po drugiej. Backsyht nie miał pojęcia, co oznaczają.

- Przekazuje im dostęp do naszych sieci monitorujących i przyłącza ich system obronny do naszego - wyjaśnił niepytany Brassi. - Gdyby ktoś zaatakował, musiałby zacząć i z nami.

Ta informacja nie uspokoiła Backsyhta.

- Jak wylądują? - zapytał.

Brassi wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale na pewno nie będą lądować całym tym kramem, chociaż tutaj może by się i dało.

- Mają moduł lądowania wielokrotnego użytku - powiedziała naraz Spice.

- No tak, wyląduje na kosmodromie, pozyska wodór z metanu, my dostarczymy mu tlenu i wystartuje z powrotem. Będzie musiał obrócić co najmniej pięć razy, jeśli wiezie dwustu pięćdziesięciu ludzi nowej załogi.

- Tu kapitan Seinokov - rozległ się nagle głęboki bas, a lewą połowę projekcji wypełniła nieco pochmurna, męska twarz.

Kwadratową brodę pokrywał ciemny cień zarostu i Backsyht zaklasyfikował go do tych, którzy muszą golić się dwa razy dziennie, a i tak po kilku godzinach wyglądają jak włóczędzy.

- Spice, oddział żołnierzy najemnych majora McBane'a - zameldowała Spice. - Mam za zadanie wyokrętowanie waszego personelu.

- Zrozumiałem - przytaknął Seinokov. - Nie ma na co czekać. Zrobimy przegląd naszych systemów oraz łączności i możemy zaczynać.

- Zgoda, kapitanie - potwierdziła Spice.

Seinokov nagle spochmurniał, odwrócił się od kamery i powiedział coś do kogoś niewidocznego. Później znów pojawił się w projekcji.

- Czy macie nas na jakimś aktywnym systemie obserwacyjnym? Przechwyciliśmy nieczytelny sygnał z niewiadomego źródła.

Spice spojrzała na Brassiego, który tylko pokręcił głową i opuścił daszek z holograficzną tarczką HID-u. Backsyht natężył uwagę. Coś było nie w porządku.

- Wszystkie nasze systemy obserwacyjne macie w protokole kontaktu. Jaki to sygnał?

Seinokov znów się odwrócił i nagle jego obraz rozmazał się i zniknął, zastąpiony przez widok całego planetolotu. Przegroda sekcji załogowej pękła, jakby uderzyło ją niewidzialne ostrze, w chwilę później ściany wypchnięte ciśnieniem wewnętrznym rozpadły się, kadłub zasnuła biała mgła eksplodujących gazów.

- Mayday! Mayday! - krzyczał ktoś desperacko.

Niewidzialne ostrze przebiegło po tylnych wspornikach, metal łamał się przerażająco szybko, całe fragmenty wylatywały w przestrzeń.

- Mayday! Mayday! Całkowita dekompresja, straty w ludziach, alarm czerwony!

Backsyht miał uczucie, że korpus jednostki napędowej statku zatrzęsł się nieznacznie,

a zaraz potem zmienił w kulę ognia. Pozbawiona magnetycznych więzów plazma zamigotała, ściętniła się do małego punktu i eksplodowała, pokrywając cały planetolot szybko rosnącym obłokiem.

Wołanie o pomoc ucichło.

- Ktoś posłał do diabła trzystu ludzi - odezwał się chrapliwy głos, którego Bacsyht nie zdołał zidentyfikować.

Zszokowany odwrócił się w kierunku, skąd dobiegał.

- Trzystu ludzi, ot tak - powtórzył Brassi.

W dłoni położonej na piersi ścisnął srebrny krzyż, którego Bacsyht nigdy przedtem u niego nie widział.

Ostre ramiona starego symbolu wbijały mu się w naskórek, barwiąc go krwią.

- Panie Boże, bądź dla nich miłosierny - zaczął się modlić najemnik, wbijając wzrok w podłogę.

Bacsyht podświadomie go naśladował. Jeśli Bóg istniał, na pewno nie zamieszkiwał w mroźnej, śmiercionośnej próżni, ale gdzieś w ciepłe Ziemi.

- I pozwól mi skrócić kark temu, kto ich zabił - Brassi dokończył swoją modlitwę w mniej chrześcijańskim duchu.

Bacsyht spojrział na holoprojeksję i napotkał wzrok majora McBane'a.

- Służba dla wszystkich, ogłaszam pełne pogotowie.

Bacsyht usiadł i stwierdził, że razem z Brassim i Spice przyszli do centrum dowodzenia jako ostatni. Oprócz McBane'a i jego ludzi obecna była również kapitan Fahrey wraz ze swoim oddziałkiem, kapitan Hawer, cywilny kierownik Watanabi i Krankel, który nadal sprawiał wrażenie człowieka nie w pełni sił.

McBane siedział w swoim fotelu, w półcieniu, jakby był obecny tylko częściowo, i wcale nie wyglądał na przewodniczącego zgromadzenia. Stłumione rozmowy obecnych powodowały gwar zlewający się z szumem klimatyzacji, monotonnym tykaniem staromodnego zegara odmierzającego czas bazy i klikaniem kriostatu chłodzącego centrum obliczeniowe AI. Wydawało się to absurdalne. Na zewnątrz panował mróz sięgający kilkudziesięciu stopni w skali Kelvina, a tu spora energia marnowała się na ochłodzenie cząstki wyposażenia elektronicznego do takiego właśnie poziomu.

McBane nie odzywał się i rozmowy stopniowo milkły

- Niech nam pan w końcu wyjaśni, co się stało! - odezwał się wreszcie Watanabi. - Chyba że wezwał nas pan, żeby pokazać, kto tu rządzi.

Backsyht rozejrzał się szybko i przejrzał nagrany materiał.

Fincher po wypowiedzi Watanabiego kiwnął głową, Brassi odchylił głowę do tyłu, a Spice skrzywiła się. „To coś jakby analiza psychologiczna” - pomyślał Backsyht. Zauważył, że wszyscy najemnicy, łącznie z ludźmi Fahrey, posiadają tarczki umożliwiające współpracę z HID-em bez skafandrów. Nawet ci, którzy mieli w oczach implanty zapewniające połączenie z WPCE i innymi komputerami. To znaczyło, że spodziewają się mnóstwa pracy i chcą wykorzystać całe swoje wyposażenie.

- Dziesięć minut i piętnaście sekund temu ktoś zniszczył będący na orbicie planetolot klasy Bull, wpisany do rejestru statków kosmicznych pod nazwą „Elizabeth” - powiedział cicho McBane.

Backsyht nigdy nie słyszał majora mówiącego tak miękkim tonem.

Nikt nie okazał zdziwienia, co oznaczało, że wszyscy wiedzieli już o katastrofie. Nie było w tym nic dziwnego, baza była dosłownie naszpikowana urządzeniami do obserwacji przestrzeni zewnętrznej.

- A zatem chce nam pan powiedzieć, że wasi ludzie przysłani przez SONICBM nie dotrą na Plutona - powiedział triumfująco Watanabi.

Krankel poruszył się niespokojnie, jakby chciał zdystansować się od swego przełożonego.

- Nie - odparł spokojnie McBane. - Powiedziałem, że ktoś bez ostrzeżenia, bez wypowiedzenia wojny, zabił dwustu pięćdziesięciu pasażerów i pięćdziesięciu ludzi załogi. W tym dwustu specjalistów technicznych - cywilów.

Na to Watanabi nie znalazł odpowiedzi i wycofał się. Backsyht starannie go nagrał, stwierdzając przy okazji ze zdumieniem, że cywilny kierownik bazy mówi sam do siebie. W chwilę później zrozumiał, że Watanabi używa tych samych środków technicznych co on sam i komunikuje się z kimś subwokalnie. „Szykuje jakiś spisek” - pomyślał, rozglądając się po najemnikach. Może Brassi i Spice zabezpieczyli kontrolę nad AI bazy, ale i tak w każdej chwili mogła tu wtargnąć zgraja ludzi Watanabiego, który wyraźnie zamierzał wykorzystać zmianę sytuacji na swoją korzyść.

- Spoko. - Ktoś poklepał go po ramieniu.

Odwrócił się gwałtownie.

Gunner posłał mu przyjacielski grymas, po czym znów oparł się o ścianę.

- Woroszyłow wszystkiego dopilnuje.

Backsyht o mało nie wybuchnął. Powariowali chyba. Po korytarzach biegają setki żołnierzy, a Woroszyłow ma wszystko załatwić.

Woroszyłow powoli szedł korytarzem. Panele oświetlające tylko migotały od czasu do czasu, awaryjne światła w ogóle się nie zapaliły. Wyraźnie nie znali zasady, że zbyt dużo przypadkowych zdarzeń zawsze budzi podejrzenia.

W odróżnieniu od normalnych ludzi miał zwiększoną czułość siatkówki oczu na większe długości fal i ciemność nie była dla niego nieprzenikniona.

Słyszał ich, przytłumione oddechy, szybkie bicie serc, odgłos nerwowego wycierania spoconych dłoni o spodnie. Czuł ich również. Pot, zapach przegrzanej tarczy karborundowej, którą niedawno coś przecinali. To mu podpowiedziało, jaką broń będą ze sobą mieli.

Zrobił krok do skrzyżowania dwóch korytarzy, przyklęknął na jedno kolano. Stalowa rurka świsnęła mu nad głową. Schwycił rękę, jej właściciela przeciągnął za siebie, kopnął piętą do tyłu i rzucił nim na ścianę. Cztery nieostre, ciemnoczerwone sylwetki w przeciwnych korytarzach zawahały się, ale Woroszyłow nie pozostawił im wyboru. Dopadł ich szybciej, niż oczekiwali, w panujących ciemnościach nie mogli dostrzec jego ramion. Najbliższemu potężnym ciosem rozbił noktowizor, następnego uderzył łokciem w żebra, schylił się i przerzucił trzeciego przez ramię wprost na ścianę. Uderzeniu towarzyszył trzask pękających kości i jęk.

Backsyht uświadomił sobie, że oglądając zaledwie trzysekundowe widowisko, przygryzł sobie język.

Światła się zapaliły, Woroszyłow obojętnie stał pomiędzy pięcioma nieruchomymi ciałami, ściana po lewej stronie pochłapana była krwią, jego kombinezon również.

- Majorze, właśnie zostałem napadnięty przez kilku ludzi. Wszyscy potrzebują pomocy lekarskiej, niektórzy są prawdopodobnie ciężko ranni. Sądzę, że działali na rozkaz. Czy mam zacząć przesłuchanie?

Woroszyłow wyglądał zupełnie normalnie, nic nie wskazywało na to, że przed chwilą wziął udział w walce. Backsyht natomiast wciąż jeszcze nie uspokoił oddechu. Wiedział, że najemnicy są wyszkoleni do zabijania. Przyjmował to jako umiejętność techniczną, zdolność do posługiwania się wyposażeniem powodującym śmierć. Teraz jednak zobaczył, że umieją zabijać bez użycia techniki. Łatwość, z jaką Woroszyłow spacyfikował i mało co nie zabił pięciu ludzi, po prostu go przeraziła.

- Myślę, że to nie będzie konieczne - powiedział McBane. - Jest pan potrzebny tutaj. Panie Watanabi? Proszę zająć się śledztwem. To teraz ważniejsze niż nasze spotkanie. Może pana zastąpić pan Krankel. Tylko proszę zadbać o bezpieczeństwo sprawców. Po opanowaniu

sytuacji kryzysowej będę chciał przesłuchać ich osobiście, a gdyby przytrafiło się im coś złego, musiałbym oskarżyć pana o współudział w spisku. Nawet jeśli to nie jest prawda.

Na twarzy majora pojawił się cień uśmiechu, jakby wyciętego chirurgicznym skalpelem. Watanabi prawie wybiegł z centrum dowodzenia, a Baksyht zrozumiał, że zarzewie buntu zostało skutecznie stłumione. Nawet nikt w tym celu nie musiał zginąć, wystarczyło kilku ludziom połamać kości. Baksyht z żalem zweryfikował główny motyw reportażu. Ani McBane, ani jego ludzie nie byli zabójcami, a już na pewno nie wyrafinowanymi. Gdyby tak było, załatwiliby się z buntownikami w inny sposób.

- Ktoś bez ostrzeżenia zabił trzystu ludzi - McBane wrócił do poprzedniego tematu. - Nie mamy podstaw, aby wątpić, że zabije kolejnych siedmiuset sześćdziesięciu, o ile damy mu okazję.

„Ci mądrzejsi dawno już o tym wiedzą” - pomyślał Baksyht.

- A więc co pan proponuje, majorze? - przerwał ciszę Krankel.

Był blady, mimowolnie wykrzywił usta, ale pytanie zadał rozsądne, a teraz uważnie obserwował dowódcę najemników.

- Zabezpieczymy obronę bazy, przeanalizujemy zapis zniszczenia planetolotu i spróbujemy stwierdzić, kto jest za to odpowiedzialny. Pańscy ludzie są dobrze obeznani z wyposażeniem technicznym bazy, lepiej niż Spice. Chętnie przyjmę pomoc z ich strony - odpowiedział McBane, patrząc na Krankela.

- Stworzymy zespół ekspertów, którzy będą współpracować z madame Spice. - Zastępca kierownika bazy spojrział na nią krótko.

- Dziękuję.

- Ma pan tylko dziesięciu ludzi, to nie wystarczy do zabezpieczenia bazy - oznajmił kapitan Haver.

- Pana mocodawcy ogłosili zapewne stan wojny. Nie wątpię, że poinformował ich pan o tym, co się wydarzyło - stwierdził McBane. - Biorąc pod uwagę opóźnienie sygnału przekraczające pół godziny, nie wiemy, jaka jest aktualna sytuacja. Może pan otrzymać rozkaz podjęcia próby odzyskania bazy.

- To prawda - zgodził się Haver. - Ale w interesie moich pracodawców leży jak najlepsze zabezpieczenie bazy na wypadek ataku trzeciej strony.

Baksyht cały czas nagrywał reakcję obecnych przy tej rozmowie. Zdawał sobie sprawę, że jego materiał przestaje być czystym reportażem, ale najprawdopodobniej będzie służył jako dowód w sprawie sądowej. Dlatego starał się nagrać jak najwięcej istotnych szczegółów.

- O ile istnieje trzecia strona - powiedział McBane.

Nadal sprawiał wrażenie obojętnego, jakby cała sytuacja dotyczyła go tylko teoretycznie, jakby rozważał jakiś problem czysto akademicki.

- Zniszczenie „Elizabeth” mogło być akcją odwetową koncernu Byutech - wypowiedział nieprzyjemne dla wszystkich przypuszczenie, którego powszechnie się obawiano.

Brutalna akcja wymierzona przeciw cywilom cofnęłaby cały Układ Słoneczny o kilka dziesięcioleci, do czasów bestialskich wojen o zbudowanie potęgi, kiedy nie liczyły się żadne względy, a ludzie ginęli dziesiątkami tysięcy w kosmosie i milionami na Ziemi.

Hawer przytaknął.

- Nie uważam tego za prawdopodobne i zgłaszam chęć współpracy z panem pomimo ewentualnych obiekcji, jakie mój pracodawca mógłby później zgłosić. Utworzę kilka oddziałów strażniczych złożonych z ludzi godnych zaufania. Pozostaną pod moim dowództwem, ja natomiast będę podlegał pana rozkazom. Jeśli się okaże, że „Elizabeth” zestrzelił Byutech, a ja dostanę rozkaz przejęcia kontroli nad bazą, nie użyję przewagi, jaką da mi uzbrojenie tych oddziałów.

Backsyht aż wstrzymał oddech. Ta gra toczyła się o wysoką stawkę. McBane wraz ze swymi ludźmi na pewno nie dałby sobie rady, ale czy mógł ufać Hawerowi? Chodziło nie tylko o pieniądze, chodziło o życie. Jego własne też. Myślał o tym przez chwilę i stwierdził, że nie chciałby być na miejscu majora.

McBane wstał i podszedł do kapitana.

- Wysoko cenię pańską ofertę i przyjmuję ją.

Wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie.

Backsyht nagrywał ich z bliska i z daleka, starał się uchwycić wyraz twarzy, równocześnie komentował wszystko subwokalnie. Doskonale wiedział, że jeśli zdoła opublikować ten materiał, będzie to istna bomba, najlepszy reportaż, jaki świat oglądał w ciągu ostatniego stulecia.

- Spice, proszę udostępnić kapitanowi zbrojownię i zwolnić jego ludzi z aresztu domowego - McBane zaczął wydawać rozkazy.

Backsyht starał się odgadnąć, czy są one po myśli podwładnych majora, ale nie doszedł do żadnych wniosków. - Od tych ludzi pokerzyści mogliby się wiele nauczyć. To absolutni profesjonaliści - zakończył komentarz.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

KONTAKT

Kuzmin obniżył poziom głośności podsłuchu radiowego, żeby lepiej słyszeć otaczające go dźwięki. Przyczepne podeszwy butów wydawały różne odgłosy w zależności od rodzaju podłoża, po którym szedł. Ogrzewana kurtka, którą nałożył na termooveral, cicho skrzypiała. Nie zwracał na to uwagi. Już dawno zdążył się przyzwyczaić do tego odgłosu. Powietrze było mroźne, a mimo to sprawiało wrażenie zastałego.

Wyczuwał za sobą Chorybda, słyszał jego kroki, wiedział, że sprawdza ściany, ciemne zakątki, a co pewien czas aktywuje działko, jeśli coś wzbudziło jego podejrzenia. Pochód zamykał Pietro. Zajmował się łącznością i koordynacją działań z innymi oddziałami. Razem z nimi podziemia bazy patrolowało piętnastu ludzi kapitana Hawera. Wysoko nad nimi siedział Brassi w roli Anioła Stróża.

Chorybd miał na sobie ekoszkielec, a nie ciężki skafander umożliwiający dłuższy pobyt na powierzchni Plutona. Wszyscy wzięli ze sobą niewielki zapas tlenu, lecz w razie dekompresji temperatura i tak zabiłaby ich w przeciągu kilku sekund. Resztę bagażu stanowiła broń i amunicja. Chorybd jak zwykle polegał na swoim działku, Pietro przestawił karabin szturmowy na duży kaliber z eksplodującymi pociskami, a Kuzmin wybrał dwa pistolety kaliber 60 z pojemnymi magazynkami i oczywiście ulubione noże. Poprosił tylko zbrojmistrza, żeby wymienił uranowe pociski na rozrywające, o opóźnionym działaniu. Było to sprzeczne ze wszystkimi przepisami i porozumieniami, ale Kuzmin miał je głęboko w nosie.

Działko rotacyjne znów zaszumiało. Chorybd zatrzymał się nagle i splunął.

- Upieprzyłem się, robimy przerwę - naruszył ciszę katakumb.
- Chętnie bym coś przekąsił - zgodził się Pietro.

Kuzmin też stanął, rozejrzał się i wskazał miejsce, w którym wykuty w skale korytarz rozszerzał się.

- Tam - oznajmił krótko.

Jego towarzysze posłuchali bez protestów. Najemnik miał fantastyczne wyczucie, potrafił odgadnąć, gdzie można odpoczywać dwadzieścia minut, a gdzie zatrzymać się tylko na chwilkę. Wiedział też, że Chorybd nie aktywował broni przypadkowo. Coś wydało mu się

nie w porządku, chociaż wymykało się możliwościom postrzegania człowieka i elektroniki. Jednak poczucie niepewności denerwowało ich, powodowało, że trzymali palce na spustach broni.

Wyłączyli reflektory i siedzieli po ciemku. Przełączyli radiolokatory na reżim pasywny, korzystając tylko z infra. Termometr pokazywał minus dwadzieścia, jednak ściany były znacznie zimniejsze. Uszli już ze trzy kilometry, zstępując trzysta metrów w głąb.

- Coś dla was znalazłem, szperam po starych zapisach Byutechu. Mają w nich niezły bałagan - w ciszy odezwał się źle modulowany głos Brassiego.

Retranslatory umieszczali dość daleko od siebie, co pogarszało jakość odbioru.

- Byutech nie wybrał tego miejsca ot tak sobie. Według danych z badań geologicznych lód z wody zalega tu bardzo blisko powierzchni, w niektórych miejscach zaledwie na stu pięćdziesięciu metrach. To wielki plus. Wszędzie indziej występuje lód metanowy oraz lód z tlenku węgla, i to warstwą o grubości do dziesięciu kilometrów. A poza tym w kamiennym jądrze planety znajduje się obszar zawierający żelazo i mangan.

- Na jakiej głębokości? - W Kuzminie obudziły się wspomnienia górniczej przeszłości.

- Sto dwadzieścia kilometrów. Ale znaleźli sposób, żeby się tam dostać. Jakiś automatyczny system wydobywczy.

- Nie musieli wszystkiego ze sobą przywozić - głośno myślał Chorybd. - Mnóstwo materiału znaleźli na miejscu.

- Właśnie - przytaknął Brassi. - Tym sposobem zaoszczędzili biliony.

- Ile jest jeszcze takich miejsc? - pytał dalej Kuzmin.

Jakiś nieznaną dotąd szczegół zawarty w informacjach, które właśnie usłyszał, nasilił nieprzyjemne uczucie, którego doświadczał w podziemiach, i wzmocnił ostrzeżenia wysyłane przez jego szósty zmysł.

- Według danych Byutechu tylko to jedno. Ale Erebos też ma wodny lód blisko pod powierzchnią.

- Lecz nie żelazo - odparł Kuzmin.

- Nie, żelazo nie - przytaknął Brassi. - Jeszcze coś mam.

Kuzmin odetchnął głęboko, aż mróz zaszczypał go w nos, a oczy się załzawiły.

- Wiem, co masz. Byutech przyszedł na gotowe. To wszystko już tu było.

Chorybd i Pietro wyprostowali się gwałtownie, Brassi milczał.

- Skąd wiesz? Krankel mówił tylko o starych korytarzach pod bazą, o tym, co jest nizej, nie powiedział ani słowa.

- Na pewno potrafię rozpoznać starą stuletnią sztolnię. A właśnie taką teraz badamy.

Spice kolejny raz oglądała zapis zniszczenia planetolotu „Elizabeth”. Dzięki filtrom, wszechmocnym ekstrapolacjom, wykorzystaniu sieci obserwacyjnych, należących jeszcze do okresu budowy bazy, można było rozeznaczyć wszystkie szczegóły. Znowu zobaczyła, jak pęka hiperodporny ceramiczny pancierz statku, pojawiają się w nim głębokie rozpadliny nie do załatwienia przez naprawczy polimer wytryskujący z wnętrza kadłuba. Jak pozornie bez przyczyny cała ściana statku kosmicznego wygina się i otwiera w próżnię skutkiem ciśnienia wewnętrznego. To, co działo się na płaszczu reaktora, miało taki sam przebieg.

- Wychodzi zawsze to samo. Analiza komputerowa wskazuje na działające kierunkowo źródło energii umiejscowione na powierzchni Plutona. Albo chociaż z kierunku, w jakim znajdował się Pluton.

Głos, który słyszała, denerwował ją. Należał do Hroha Kastubicy, szefa zespołu technicznego zabezpieczenia bazy. Znał się na swojej robocie, ale umiał tylko stwierdzać rzeczy oczywiste, nigdy nie odkrył czegoś nowego. Postanowiła trochę go wypytać.

- Kierunkowo działające źródło energii? Myśli pan, że to coś podobnego do lasera? Albo masera?

- No, mogło to być coś takiego. Ale fotony zarejestrowalibyśmy, co więcej, skutek trafienia w cel nie odpowiada działaniu wiązki promieniowania koherentnego.

O tym wiedziała od samego początku.

- Może to było trafienie szybkimi, mikroskopijnymi pociskami - podsunęła oczywisty bezsens i ze znużeniem przyglądała się, jak mężczyzna głęboko nad tym przemyśliwuje.

W końcu odrzucił taką możliwość. Nie był głupi, ale myślał jak komputer, bez własnej inwencji.

- Właśnie przeprowadzam podobne symulacje i patrzę, co mogłoby wywołać taki skutek - przyznał.

Spice wyciągnęła nogi przed siebie i założyła ramiona za głowę. Szukali już długo, lecz wciąż bezskutecznie. Brak rezultatów pogłębiał zmęczenie i zniechęcenie. Sama wykonała dziesiątki takich symulacji, nie uzyskując żadnego sensownego wyniku.

- I co panu wyszło? - zapytała w końcu, żeby mu zrobić przyjemność i dokończyć rozmowę, która ją denerwowała.

- Podobny rezultat mogło wywołać trafienie z jakiejś broni cząsteczkowej - powiedział wolno Kastubica.

- Jakiej? - rzuciła szybko.

- Parametry użytych cząstek nie mają sensu. Nie utożsamiają się z żadnym znanym fizycznie obiektem.

- Dziękuję, panie doktorze - odparła z sarkazmem. - Jak dotąd doszliśmy do wniosku, że „Elizabeth” zniszczyła nieistniejąca broń, posługująca się nieistniejącymi obiektami fizycznymi. Niewiele nam to pomoże.

Rozmowę przerwał błysk holo. Twarz majora była tak samo obojętna i skupiona jak zawsze. Spice zazdrościła mu, że nie widać na niej śladów znużenia.

- Mam dla pani dwie wiadomości z powierzchni Plutona.

McBane rzucił na holo obraz zmęczonego mężczyzny w lekkim skafandrze z obciętymi rękawami. Nosił brodę, wychudzona twarz z workami pod oczami świadczyła o tym, że niewiele spał w ostatnim czasie.

- Tu Mat Kenbrod, kierownik bazy Kaszmir na Plutonie.

Poniżej jego twarzy przebiegł pasek z danymi potwierdzającymi tożsamość rozmówcy.

- Zostałem upoważniony przez Kaszmir A.C. do oświadczenia, że nie odpowiadamy za zniszczenie statku „Elizabeth”. Przeciwnie, jesteśmy gotowi pomóc w poszukiwaniach i ratowaniu ewentualnych rozbitków. Jednak według naszych informacji nikt nie przeżył. Po zakończeniu transmisji pojawi się pakiet danych przesłanych z naszych satelitów.

Przekaz skończył się nagle i znów pojawiła się twarz majora.

- Oprócz bazy Kaszmir na Plutonie znajduje się tylko jedna obsadzona baza. Należy do towarzystwa US Robotics. Nie mają takich środków bojowych, żeby mogli zaatakować „Elizabeth”, i też zadeklarowali pomoc. I jeszcze jedno. Badanie zwłok wisielca, które znalazł nasz patrol, nic nowego nie wniosło. To wszystko.

Projekcja skończyła się, Spice odwróciła się w fotelu i położyła nogi na stole.

Nieistniejąca broń, nieistniejące pociski, nieistniejący nieprzyjaciel. Zdumiewające.

Kuzmin znieruchomiał w pół kroku, powoli odwracając głowę do tyłu. Światło reflektora przesuwano się po nierównej kamiennej ścianie, aż zatrzymało na gładkiej wypukłości. Pietro też skupił uwagę na tym miejscu, ale ani radar, ani infra nie znalazły nic szczególnego. Jednak Kuzmin trzymał pistolet oburącz i przypominał kota gotowego do skoku w dowolnym kierunku. Chorybą przesunął się na czoło, kryjąc przestrzeń przed nimi. Pietro przestawił broń na funkcję miotacza granatów. Teraz mógł rozpętać prawdziwe piekło na sporej części korytarza.

- W czym problem? - zapytał spokojnie, choć nerwy miał napięte.

- Nie wiem, ta łąta po prostu mi się nie podoba - mruknął Kuzmin, powoli zbliżając się do oświetlonego fragmentu ściany.

- Jest trochę zimniejsza niż okoliczna powierzchnia - oznajmił Pietro, który tymczasem przeprowadził skanowanie.

- Zastanawiam się, ile takich miejsc już minęliśmy - odparł Kuzmin, podniósł pistolet i nacisnął spust.

Dwa pociski roztrzaskały cienką skorupę i ukazał się ukryty za nią tunel.

- Ile takich miejsc już minęliśmy? - powtórzył znacząco Pietro.

- Tak, kilka podobnych podejrzanych lokalizacji widziałem, ale dopiero teraz przyszło mi do głowy, co to może znaczyć.

Kuzmin ostrożnie zajrzał w ciemność tunelu. Po kilkudziesięciu metrach ściany zaczęły iskrzyć się świetlnymi refleksami, a tunel opadał bardziej stromo.

- Ciągnie się poza skałę aż do lodu - oznajmił.

- Ale nie w próżnię, bo byłby już niezły przeciąg - stwierdził Chorybd. - Brassi, dasz radę rozeznaczyć, co znaleźliśmy? - zapytał na kanale zewnętrznym.

Odpowiedzią były tylko trzaski elektroniki.

- Wracamy - zdecydował Kuzmin. - Trzeba o tym jak najszybciej zameldować.

Odwrócili się od znalezionej tunelu i wtedy ciszę opuszczonej przestrzeni przerwała kakofonia dźwięków dobiegających z odkrytego korytarza. Krzyk, niezrozumiałe, nakładające się na siebie rozkazy i nagła strzelanina.

- W tym kierunku szła trzecia grupa żołnierzy Byutechu. Mieli przejrzeć kwadrant zachodni - powiedział Pietro, przenosząc wzrok z Kuzmina na Chorybda.

Kilka wybuchów zatrzęsło ścianami, strzelanina na moment osłabła, ale zaraz znów przybrała na sile. Ktoś krzyczał. Głos, przepelniony paniką i zgrozą, zająknął się i ucichł.

- Idziemy - rozkazał Kuzmin i rzucił się w głąb nieznanego korytarza.

Poruszał się krótkimi krokami, w biegu pochylał się, jeden pistolet trzymał lufą ku ziemi, drugi w zgiętej ręce, jakby chciał się osłonić.

Pietro biegł tuż za nim, Chorybd na końcu, pomimo ciężkiej broni nie zostawał w tyle.

Nagle zabrzmiał ostatni wystrzał, pozostał tylko krzyk ludzi - przerażonych, tracących zmysły, umierających.

W końcu i to także ucichło.

Pietro spostrzegł, że trzyma palec na spuście karabinu, głęboko oddycha, a z czubka nosa kapią mu krople potu. Ile to trwało? Dziesiątki minut czy raczej sekund. Rozejrzał się. Lód odbijał światło reflektora, akustyka wyposażenia wchodziła na wyższy poziom czułości,

teraz jego oddech zmienił się w ciężkie przerywane sapanie, WPCE wskazywało, że umieranie nie trwało dłużej niż trzydzieści sekund.

- Kurewski Pluton - szepnął.

Kuzmin rzucił mu badawcze spojrzenie.

- *To już niedaleko, zbliżymy się po cichu* - holo pokazało jego subwokalne ostrzeżenie.

Odwrócił się i zachowując ostrożność, poszedł dalej. Wyłączyli reflektory, znów dysponowali tylko pasywnym radiolokatorem oraz infra.

Kuzmin szedł spokojnie, rozluźniony, swój szósty zmysł połączył z siecią czujników WPCE. Nie było dla niego ważne, jaka technika mu pomaga, na samym końcu i tak decydować będzie refleks, jego wyczucie i doświadczenie. Szedł w ciemności, spokojny, ale czujny, za sobą wyczuwał kolegów. To, że byli na Plutonie, też nie miało znaczenia. Wszystko podpadało pod jeden wzorzec: walka, przeciwności, zwycięstwo. Tylko w ten sposób można było przeżyć. Pluton, kopalnie na Księżycu, partyzancka wojna w przekształconych ekologicznie dżunglach Ameryki Środkowej, tak samo jak jatka w centrum technologicznym megapolis Hamburg-Wrocław.

Daleko przed sobą, dalej, niż wynosił zasięg na wpół ślepego z zimna infra, wypatrzył świecący punkt. Zapalił reflektor przystosowany do działania w próżni, podobny do tych, jakie mieli umocowane na hełmach i broni. Po siedemnastu krokach WPCE potwierdziło jego spostrzeżenie. Analiza spektralna podawała, że z prawdopodobieństwem równym dziewięćdziesiąt osiem procent jest to przenośne źródło światła typu B3 Kazga-Buc, używane przez oddziały wojskowe Byutechu.

Gestem nakazał ciszę radiową, lewą ręką pokazał symbol kontaktu i pochylony posuwał się dalej. Bez oglądania się wiedział, że Pietro i Chorybd idą za nim, zachowując prawidłowe odstępy.

Stożek światła celował w strop tajnego tunelu. Kuzmin skradał się w cieniu, poza zasięgiem światła. Wreszcie doszedł. Wokół leżała porzucana broń, niektóre reflektory nadal działały, w kilku miejscach lód wodny poplamiony był krwią. Porzucane łuski po nabojach do szybkostrzelnych broni kinetycznych połyskiwały złocistą barwą. Lodowe i kamienne ściany były podziurawione przez pociski, niewielkie kraterki znaczyły miejsca, w których wybuchały granaty. Szeroki na pięć metrów tunel zdawał się jeszcze rezonować totalnym zniszczeniem, jakie miało tu miejsce przed kilkoma minutami. Jedna rzecz była niepokojąca - na miejscu walki nie zostało ani jedno ciało.

- Nie ma ich. Ani zabitych, ani napastników - rzekł Kuzmin głośno, włączając czujniki

na tryb aktywny.

Rozglądał się przez chwilę, a potem kucnął pod ścianą, przyglądając się scenerii. Chorybd i Pietro stanęli na straży pod przeciwległą ścianą.

- Było ich ośmiu, dowodził porucznik Katach - odczytał Pietro z danych, jakie mieli do dyspozycji. - Dwóch z ciężkimi karabinami, jeden z ręcznym karabinem maszynowym, jeden z miotaczem granatów, a pozostali z automatami.

- Ten z miotaczem granatów zaczął strzelać pierwszy - włączył się Kuzmin. - Kratery po wybuchach wszystkie są mocno postrzelane pociskami z broni ręcznej. Komuś puściły nerwy i walił gdzie popadło. Lekki automat, pociski spłaszczone od trafień w pancerz - kontynuował, wskazując laserowym celownikiem pistoletu na opisywane szczegóły.

Zarówno jego komentarz, jak i obraz nagrywały się do pamięci wszystkich trzech WPCE. W ten sposób zwiększało się prawdopodobieństwo dotarcia informacji do dowództwa.

- Musieli w coś trafić - oznajmił Kuzmin na koniec. - Strzelali chaotycznie, ale wyraźnie starali się celować w te same miejsca.

- No to dlaczego nie ma tam żadnych ciał? - zapytał Pietro.

- A dlaczego nie ma ciał naszych zabitych?

Gunner usiadł, zapiął siedmiopunktowe pasy bezpieczeństwa i rzucił Backsyhtowi krótkie spojrzenie. Dziennikarz przeprowadzał właśnie przegląd swego fotela. Na szczęście uczył się szybko, Gunner bowiem nie zamierzał zwracać na niego uwagi. To nie były ćwiczenia ani bijatyka z wariatami, którzy uważają zachowanie czystego munduru za podstawę sukcesu.

- Akumulatory pełne, możemy ruszać - oznajmił Kovacs. Transporter zachwiał się, kiedy uruchomił silnik.

Technicy zdążyli już zdemontować paraboliczną tarczę maskującą, co zmniejszyło ciężar maszyny, zwiększając równocześnie prędkość i zdolność manewrowania.

Woroszyłow siedział swobodnie, dłonie ułożył na poręczach. Gunner sprawdził jego ikonę operacyjną. Woroszyłow miał pod opieką działko, wyrzutnię rakiet i system celowniczy. Wieżyczka ogniowa obracała się zgodnie z jego sterowaniem, ustawiając się szybko przeciw namierzonym celom.

- Co to jest, do cholery? Ktoś do nas celuje! - przestraszony głos odezwał się na kanale przeznaczonym do łączności pomiędzy najemnikami a żołnierzami.

Był to Kevin Hunny, operator goliata, który miał zapewnić im wsparcie. Kolos właśnie wyjechał z hangaru, wyrzutnie rakiet, lufy dział i miotaczy granatów sterczały jeszcze

w górę.

- Już zniknęło, cholera, zanim ten zasrany system zacznie działać, pokazuje jakieś duchy.

Gunner skrzywił się. Woroszyłow pukał w goliata laserem tak lekko, że ich komputer nie mógł się zorientować, co się dzieje. Gunner uważał milkliwego Rosjanina za nudnego dziwaka, ale czasem jego dowcipy były śmieszne. Może to zresztą nie był dowcip, może chciał tylko sprawdzić czujność załogi goliata. W przypadku Woroszyłowa człowiek nie był niczego pewny, oprócz jednego - można było na nim polegać. Brugger już od dawna był gotowy. Brassi usiadł na fotelu obok kierowcy i zaczął sprawdzać wszystkie kanały. Wesoło pogadywał ze Spice, ale ich żargon był czysto techniczny i Gunner nic z niego nie rozumiał. Chipwekowe psy, wyspecjalizowane automaty zwiadowcze i zarazem sondy fizycznych parametrów, siedziały już w transporterze podłączone do sieci.

To była typowa akcja zwiadowcza piechoty i dlatego major zlecił ją właśnie jemu. System transportera ogłosił, że drzwi są zamknięte, ale kabina nie została zahermetyzowana. W ten sposób w razie potrzeby można było szybko wysadzić desant. Kontrolki uchwytów broni ręcznej świeciły na zielono, wszystko zostało przytwierdzone, żeby nie urwało się podczas krótkotrwałego przeciążenia rzędu dziesięciu g. Tyle wynosiła wartość, przy której mieli jeszcze szansę na przeżycie, gdyby transporter oberwał bezpośrednio z broni kinetycznej.

- Możemy jechać - zdecydował Gunner.

Koła napędowe ruszyły, gąsienice wgrzyły się w mieszaninę lodu metanowego, azotowego i powstałego z tlenku węgla, czterdziestotonowa maszyna pojechała naprzód, pozostawiając za sobą chmurę okruchów opadających na powierzchnię z powolną elegancją, charakterystyczną dla świata posiadającego grawitację o wartości zaledwie jednej szesnastej ciężenia ziemskiego.

McBane siedział przy konsoli w centrum dowodzenia bazy obok kapitana Hawera i kapitan Fahrey. Spice wyprodukowała już interface, który umożliwił połączenie WPCE Hawera z AI. Nie musiał więc polegać tylko na centralnej holoprojeksji, ale miał równocześnie dostęp wszystkich do funkcji HID-u dowódcy i bezpośrednie łącze z bazą danych SONICBM-u.

- Obydwa wozy wyjechały - stwierdził Hawer.

W centrum obecni byli ponadto: Spice, trzech specjalistów Byutechu oraz Krankel i Watanabi, jako cywilni obserwatorzy z ramienia byłego kierownictwa bazy. Wellera nie było,

ale McBane udostępniał mu dane optyczne i dźwiękowe.

- Kilka podstawowych informacji - powiedział McBane ze wzrokiem skierowanym przed siebie.

Spice spojrzała na niego. Białka jego oczu przybrały zielonkawy kolor, a źrenice były wielkości główki szpilki. To oznaczało, że wykorzystuje swój HID w pełnym zakresie, a mikrokamery przekazują mu bezpośrednio na siatkówkę wszystkie dane taktyczne z misji na powierzchni i w podziemiach. Były to informacje o jej własnych pracach, meldunki ludzi Fahrey i wiele innych rzeczy, o których nie miała pojęcia. Większość tych spraw nie zaprzętała mu głowy, potrzebował tylko informacji, żeby zareagować w razie potrzeby. Wiedziała, że wykorzystywany do maksimum pojemności HID przewyższa poziom ludzkich możliwości o około siedemdziesiąt dwa procent. Nie można być jednym z trzech najlepszych oficerów wojsk najemnych na świecie ot tak sobie. Nie wiedziała tylko, czym za to zapłacił.

- W podziemiach bazy, w części nieujętej na żadnych mapach - spojrział na Watanabiego - doszło do kontaktu z nieprzyjacielem. Oddział waszych żołnierzy został napadnięty i najprawdopodobniej zlikwidowany. Na miejscu walki nie pozostały żadne ciała. Jednak moi ludzie przechwycili sygnał z awaryjnego lokatora skafandra jednego z zaginionych i starają się śledzić napastników. Ale znajdują się zbyt daleko, łączność jest tylko sporadyczna.

- Jak to się stało, że napadnięto na naszych ludzi, a na waszych nie? - wtrącił Watanabi.

- Wysłałem dwa oddziały do obszaru, w którym znajduje się nasz oddział. Staramy się zlokalizować nieprzyjaciela. - Major nie zareagował na uszczypliwą uwagę i kontynuował przekazywanie informacji.

Spice w tym czasie złapała wiadomość od AI, że nadszedł zakodowany pakiet danych. Sposób zakodowania nie był znany AI, nie znalazła również odpowiedniej instrukcji nawet w archiwalnych materiałach dotyczących sytuacji awaryjnych. Spice przejrzała podstawową charakterystykę kodu i wkrótce dowiedziała się, do kogo skierowana jest informacja. Do niej, a ściślej do majora.

- Niech pani odkoduje i prześle do mnie. Proszę pozostać na odbiorze - otrzymała rozkaz, gdy tylko przekazała swoje spostrzeżenie dowódcy.

- I co pan robi, jak już znajdzie nieprzyjaciela? - dalej wypytywał Watanabi.

Spice obserwowała go tylko mimochodem, skupiając się na odkodowaniu. Wyglądało na to, że były kierownik bazy nie zdawał sobie sprawy, że wróg zabijał tylko jego ludzi.

- Zneutralizujemy go i stwierdzimy, kim jest - odpowiedział sucho McBane.

Software ogłosił koniec zadania, dane ułożyły się w sensowną całość.

- Proszę pozostać na odbiorze - przypomniał jej McBane jeszcze raz.

Logo SONICBM-u krótko błysnęło i natychmiast pojawiła się twarz Senassiego. Nie był to oficjalny wizerunek, przeznaczony do wystąpień publicznych, lecz oblicze człowieka, którego zmęczyły ostatnie dni i godziny.

- Majorze - przeszedł od razu do rzeczy - gratuluję pomyślnego obsadzenia bazy. Muszę przyznać, że tak gładkiego przebiegu akcji nikt z analityków nie przewidywał.

Senassi zamilkł i odetchnął głęboko.

- Przejdźmy do naszego problemu, faktu zniszczenia planetolotu „Elizabeth”. Jak dotąd nikt nie wypowiedział nam wojny, czego zresztą nie oczekujemy, biorąc pod uwagę brutalność tego ataku, niezgodnego z żadną obowiązującą konwencją. Wszyscy nasi konkurenci zapewnili nas, że atak nie jest ich dziełem, US Robotics obiecał nawet pomoc. Udostępnią nam dane, jakie zarejestrowała ich baza na Plutonie. Byutech oznajmił oficjalnie, że nie ponosi odpowiedzialności za atak na „Elizabeth” ani nie zamierza podejmować przeciw nam żadnych nieprzyjaznych kroków. Załączam pakiet informacji o naszych konkurentach i środkach technicznych, jakie mają do dyspozycji w obszarze planet zewnętrznych. Kwestia zaufania jest sprawą dyskusyjną, często chodzi po prostu o spekulacje tajnych służb. Co do innych nieoczekiwanych wydarzeń, jak zniknięcie ciał lub podobnych, nie mamy żadnego wyjaśnienia i w tej chwili problemy te uważamy za drugorzędne. Już rozpoczęły się przygotowania do wysyłki następnych oddziałów wojskowych na Plutona. Niestety, przez najbliższe trzy tygodnie musi pan działać przy pomocy posiadanych aktualnie sił. Ze względu na zaistniałe komplikacje wasze wynagrodzenie zgodnie z umową zostaje zwiększone o dziesięć procent. Przypominam, że istotą pańskiego kontraktu jest zapewnienie stabilizacji na terenie bazy i zabezpieczenie jej przed wszystkimi naszymi konkurentami do czasu przybycia głównych sił koncernu.

Logo SONICBM-u znów błysnęło, holo zniknęło, zwalniając przestrzeń projekcji dla środków komunikacyjnych HID-u.

Do Ziemi mamy około pięciu godzin opóźnienia, zaczęła liczyć Spice, to oznaczało dziesięć godzin na przekazanie sygnałów radiowych, do tego jakieś pięć do dziesięciu godzin rokowań dyplomatycznych. A więc na pewno nie zdążyli jeszcze zareagować na drugą informację, jaką im wysłał McBane.

- Mamy kontakt z Kuzminem - oznajmił technik Byutechu.

Spice natychmiast przyłączyła się do niego za pośrednictwem AI bazy. Stłumiła

pierwszy impuls, żeby przejąć kontrolę nad połączeniem, ograniczając się do śledzenia pracy technika. Był to zawodowiec na właściwym miejscu. Do przyjęcia i wzmocnienia sygnału użył starych systemów antenowych, osadzonych w podziemiach jeszcze w czasach badań geologicznych podłoża. Mimo tego sygnał był niestały i często zanikał.

- ...zmin. Idziemy ich tropem, myślę, że o nas nie... poza mapą... zbliżamy się ku powierzchni... wyleżą... jesteśmy na granicy rezerwy... przyślijcie posiłki...

Spice spojrzała, jak major zareaguje na niekompletny meldunek. McBane milczał przez chwilę, widać było, jak świecą jego oczy. Musiał poczekać, aż siatkówka wróci do normy, żeby jej nie uszkodzić. Niektórzy najemnicy zamiast implantów laserowych nadal używali pośredniej holoprojeksi, chociaż była bardziej awaryjna.

- Zrozumiałem - potwierdził rozkaz Brassi. - Zmieniamy kierunek zgodnie z podanymi współrzędnymi, kontakt prawdopodobny, jesteśmy przygotowani.

Wszyscy usłyszeli, jak silnik zawył, gdy Kovacs wycisnął pełną moc z akumulatorów. Warstwa metanowego śniegu, który spadł niedawno i jeszcze nie zdążył zlodowacieć, rozprysnęła się na wszystkie strony, gdy przelecieli przez nią jak atakująca orka. Kevin Hunny z goliata również potwierdził zmianę kierunku. Znajdował się około kilometra od transportera, żeby mieć na oku jak największe terytorium.

- Co to znaczy? - krzyknął Baksyht, łapiąc się poręczy, żeby mu ręce nie latały na boki podczas dzikich skoków maszyny. Gunner sprawdził, czy dziennikarz ma usztywnienie ekoszkieletu skafandra nastawione na minimum. Jeśli nie, to mógłby łatwo rozgnieść fotel.

- To znaczy, że Kuzmin uczeplił się ogona tych skurwysynów i dał nam znać, gdzie mogą wyleźć na górę - odpowiedział, patrząc na magazynek umocowanego na ścianie karabinu. - A my im teraz skopimy tyłki - dodał z zadowoleniem.

Baksyhtowi żołądek podszedł do gardła, kiedy wstrząsy nagle ustały i znaleźli się w stanie nieważkości. Jednak w porównaniu z poprzednim lotem, jaki przeżył wraz z Kovacsem, to był tylko prosty skok.

- Czy Kuzmin wie, co to za jedni, ilu ich jest i jak są uzbrojeni? - wyrzucił z siebie serię pytań.

Gunner skrzywił się i puścił muzykę. „Whole Lotta Rosie” szalała w jego słuchawkach, czasem wydawało mu się, że cała maszyna podskakuje w rytm muzyki.

- Nie wie - odparł w końcu.

„I na tym polega cały wdzięk” - dokończył sam do siebie. „Rozwalimy ich na sieczkę albo sami zostaniemy rozwaleni. Jak to powiedział ten starożytny chłopina? Być albo nie

być? A może bić albo nie bić?” Skrzywił się pod wpływem własnych myśli i szybko skontrolował załogę. Woroszyłow przełączył już broń na tryb gotowości, wyłączając wszystkie zabezpieczenia. Nie wiedzieli, na co natrafiają, ale gdyby mieli wystrzelić tylko jedną salwę, nawet za cenę uszkodzenia maszyny i ich samych, to i tak warto było. Brugger siedział spokojny jak zawsze, jego HID podawał tylko podstawowe dane. Gunner znów się skrzywił. Brugger był zimny jak kawał lodu w walce i w życiu codziennym, nie zazdrościł mu tego. Czuł, jak w żyłach krąży mu mieszanka adrenaliny i endorfin; tajemniczy eliksir, łatwopalny jak hydrazyna i wybuchowy jak koktajl tlenowo-wodorowy, słodki jak niebo razem z piekłem, upojniejszy niż szampan zlizywany z wdzięków niedostępnej ślicznotki.

Backsyht obserwował teren przed maszyną i o dziwo, w ogóle nie był przestraszony, wręcz przeciwnie, nagrywał uwagi i starał się uchwycić ciekawe obrazy. Brassi na wszystkich dostępnych kanałach próbował połączyć się z Kuzminem lub jego towarzyszami.

Transporter przeskoczył przez obły wał, na chwilę pojawiło się przed nim słońce, jasno świecący punkt, powodujący jednak powstawanie wyraźnych cieni. Potem znów wjechali w zapadlinę. Muzyka zmieniła się, teraz grał zespół TNT, który Gunner świetnie znał. Pędzili naprzód wśród ostrych dźwięków gitary oraz pulsowania radaru Dopplera i celowników laserów.

Kolejny wyskok w górę, znów widok słońca nad horyzontem. Płaska powierzchnia przestała być monolitem bieli, rozkwitła całą gamą barw, od żółtej poprzez purpurową aż do czarnej. Transporter nagle wyhamował z poślizgiem.

- Tu są jakieś pieprzone węglowodory - powiedział ze złością Kovacs. - Tam, gdzie świeci słońce, temperatura jest aż o sześćdziesiąt kelwinów wyższa. Nie pojedę tędy, będzie tam mnóstwo dziur, moglibyśmy w którąś wpaść. Kilka z nich widzę nawet na ekranie.

Uściślone współrzędne, które posyłał im Kuzmin za pośrednictwem Spice, wskazywały właśnie na tę oświetloną słońcem powierzchnię.

- Wsiadka, młodzieży - rozkazał Gunner. - Tylko nie zapomnijcie swoich instrumentów. - Zaśmiał się, sięgając po karabin.

Backsyhtowi wydawało się, że szybko wyskoczył z transportera, ale mimo tego zobaczył plecy wszystkich pozostałych. Pierwszy szedł Gunner, odmierzonymi krokami, w sposób charakterystyczny dla człowieka poruszającego się w butach z samoprzyczepnymi podeszwami, za nim Woroszyłow z Bruggerem, na końcu Brassi. Masywne sylwetki w bojowych skafandrach zdeformowane były jeszcze bardziej przez dodatkowe opancerzenie.

Na ich tle rysowały się lufy rozmaitych broni ręcznych.

Gunner niósł swój nieelegancko prezentujący się karabin z charakterystycznym wieńcem cewek przyspieszających, Brugger taszczył działko rotacyjne o kalibrze wykraczającym właściwie poza kategorię broni ręcznej. Woroszyłow miał rusznicę przeciwpancerną z miotaczem granatów zaczepnych. Brassi kontentował się czymś, co przypominało zwyczajny, choć nieco powiększony automat, ale Baksyht dowiedział się od niego, że jest to bardzo wydajny ultrafioletowy laser pulsacyjny ze zmienną geometrią promienia. Na moment zatrzymał się i spojrzał za siebie. Transporter, którym dotarli na skraj obszaru węglowodorów, cofał się właśnie za fałdę terenu i nie był z daleka widoczny. Sterczał z niego tylko pęk anten.

Baksyht nagle spanikował, zaczął rzucać bezładne spojrzenia to tu, to tam, aż HID nie wiedział, o co mu chodzi. Rutynowo osądził, że najbardziej interesują go parametry fizyczne najbliższego otoczenia, i wyświetlił mu w polu widzenia szereg informacji. Temperatura czterdzieści pięć kelwinów, ciśnienie dwa przecinek cztery paskala, poziom promieniowania...

W końcu reporter się uspokoił i zdołał przywrócić HID do trybu standardowego. Postacie jego towarzyszy znacznie już zmalowały w oddali. Szybko ruszył za nimi. Trenował kilka godzin marsz ze wzmacniaczem skafandra, ale ćwiczenia na siłowni albo w sali symulacyjnej to jedno, a szybki ruch w przestrzeni, w której bez pomocy wysoko rozwiniętej techniki nie można przeżyć nawet sekundy, co innego. Wreszcie uchwycił właściwy rytm i zaczął zbliżać się do pozostałych.

Dogonił ich na białej płaszczyźnie otoczonej czerwonym kobiercem rzucającym w światło reflektorów mieniące się odblaski. Czerwień nie była jednolita, ale przetykana ciemniejszymi lub jaśniejszymi żyłami, przypominała tkanę jakiegoś gigantycznego stwora. Baksyht wiedział, że to bez sensu, ale obraz był nadzwyczaj sugestywny.

- Siarczany i węglany miejscami mają temperaturę dziewięćdziesiąt kelwinów, pod powierzchnią znajdują się jamy. Ale bardzo głęboko, powinniśmy przejść bez problemów - Brassi przekazał pozostałym swoje stwierdzenia. Jego WPCE dysponowało danymi z ważących kilka kilogramów specjalnych przyrządów, które niósł zamiast ciężkiej broni i zapasu amunicji.

- Mapa jest bardzo niedokładna, ale tutaj i tutaj - Gunner pokazywał na obrazie 3D - chyba rozciąga się dolina wiodącą do miejsca odpowiadającego naszym współrzędnym. Przez większość czasu znajduje się w cieniu, więc teren powinien być łatwiejszy do przejścia.

Baksyht spojrzał na lodową ścianę przed sobą. Prowadziła w górę, tworząc nawis.

Pochodzący z sublimacji lód metanowo-węglanowy kończył się w miejscu, w którym zanikały żyłowate wtrącenia w czerwonej substancji.

Wynikiem był dziwny twór, który sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał spaść.

- Dlaczego, do cholery, właśnie tu? Przecież połamiemy sobie nogi! - nie wytrzymał.

- Gdybym chciał komuś uciec albo napaść go z zasadzki, też bym wybrał podobne miejsce - odparł Brugger, puszczając w ruch lufy działka.

Z doświadczenia wiedział, że system napędowy w takim zimnie nie powinien długo pozostawać nieczynny.

W najgorszym przypadku mógł nawet zamarznąć.

- Wojna partyzancka jest wszędzie taka sama, czy to w Wenezueli, czy tutaj - przytaknął Gunner i pierwszy ruszył trasą, którą przed chwilą sam wyznaczył.

Backsyht nie ociążał się i szybko ruszył za nim. Mimo pomocy ze strony wszystkich wspomagających systemów skafandra zaczął tracić siły. Nagle zauważył, że już od dłuższego czasu mruga ikona jego stanu zdrowia. Nic nie pił i zaczął się odwadniać. Szybko naprawił swoje zaniedbanie i postanowił iść za Woroszyłowem. Tym razem Brassi szedł na końcu.

Marsz był uciążliwy, słyszał tylko swój ciężki oddech, szybki puls i popiskiwanie systemu medycznego, które go informowało, że ilość produktów przemiany materii w jego organizmie wciąż wzrasta. W końcu wyłączył system ostrzegania. Nie miał innego wyjścia, jak trzymać się najemników, nawet gdyby miał zacząć pocić się krwią.

- Halo, Gunner, powinniście być w pobliżu Kuzmina - odezwał się wyraźny głos Spice.

Odbiór był czysty, sygnał musiał nadejść z góry, z satelity.

- Tu Brassi, idziemy na wyznaczone miejsce. Kuzmin, zgłoś się - odpowiedział Brassi i zaczął przeszukiwać różne częstotliwości.

Backsyht zrobił chyba milionowy krok, kiedy powłoka lodowa nieoczekiwanie zapadła się pod jego nogą. Był zbyt zmęczony, żeby spanikować. Zrobił po prostu to, czego go uczyli. Wyćwiczonym sygnałem przerwał tryb marszu i zabronił nodze zakroczonej oderwania się od powierzchni. Został w pochylonej pozycji, jak Krzywa Wieża w Pizie. Kawałki lodu wpadały w czarną głębię, przeciętą snopem światła reflektora, radar osobisty zaczął wykreślać kształt jamy, przypominający gruszkę. Jej głębokość sięgała dziewięćdziesięciu metrów. Przeciwległa krawędź nie była dalej niż pięć metrów, a radar wskazywał pewną powierzchnię. Zanim zdążył zdać sobie sprawę z ryzyka, odbił się, wykorzystując pomoc ekoszkieletu, i przeskoczył na drugą stronę. Poczł przyplw

adrenaliny. Dokonał tego. Odwrócił się, żeby ostrzec Brassiego, ale ten już przeskakiwał zapadlinę z laserem nadal trzymany w pogotowiu. Backsyht przypomniał sobie, że nie tylko Pluton jest ich wrogiem, ale przede wszystkim nieznan przeciwnik.

- Halo, Kuzmin, współrzędne się zgadzają z podanymi przez was. Zameldujcie się - wywoływał Brassi.

- Słyszymy was - odpowiedział słaby głos, zniekształcony przez szumy.

Backsyht znieruchomiał, najemnicy utworzyli formację obronną, chowając się w zagłębieniach lub kryjąc za skałami.

- Czuli nasz oddech na plecach, szliśmy ich tropem - mówił dalej Kuzmin - ale jesteśmy już zbyt wysoko. Tu jest sto dwadzieścia stopni, a my nie mamy skafandrów, musimy wycofać się na dół. Zniknęli w azymucie sto osiemdziesiąt siedem-czterdzieści trzy-piętności. Życzę szczęścia i koniec rozmowy.

- Zrozumiałem, dziękuję - odpowiedział Gunner.

Backsyht poczuł ulgę. Zniknęli, a więc do spotkania z tajemniczym nieprzyjacielem w ogóle nie musi dojść.

I całe szczęście.

Lekki wstrząs poczuli wszyscy, właściwie nie wstrząs, ale serię słabnących wibracji.

- Gotowość bojowa - nakazał Gunner.

Backsyht zrobił dokładnie to, co wszyscy pozostali. Zgasły reflektory, zapadła cisza radiowa, ucichł radar dopplerowski. Czekali w zupełnym bezruchu i ciszy, polegając jedynie na pasywnych czujnikach oraz własnych oczach. Kilka metrów kwadratowych lodu blisko przed nimi zmieniło kolor i konsystencję. Płaszczyzna przez moment przypominała zwierciadlaną taflę ciekłej rtęci.

To bezsens, uświadomił sobie Backsyht. W tej temperaturze nie mogło być nic ciekłego. Ale podobnych jeziorok pojawiło się więcej. Znikały tak samo szybko, jak powstawały. A na lodzie nagle znalazły się ciała w skafandrach. Ludzkie ciała.

Równocześnie rozprysła się ściana po lewej stronie Backsyhta. Nikt mu nie musiał mówić, że ktoś do niego strzelił.

- Ognia - rozkazał Gunner.

Strumień pocisków z jego karabinu, lecących z prędkością kilku kilometrów na sekundę, wyrzył w metanowym lodzie szeroką bruzdę, ciemność rozświetliły wystrzały z działka Bruggera, lód rozpadał się w fontannie ognia trafiony promieniami lasera.

Backsyht poczuł wstrząs, przed sobą ujrzał ognistą kulę rozszerzających się gazów, która objęła go całego. „To mój ochronny pancerz reakcyjny” - zrozumiał po chwili. Nagle

poczuł, że leci nad powierzchnią, pojął, że kontrolę przejął program wojenny, który stara się zapewnić mu bezpieczeństwo. Gdyby się nie uwolnił, ekoszkielec mógł mu poprzerywać mięśnie i ścięgna. Długim skokiem nisko nad powierzchnią dopadł zagłębienia, blok metanu za jego plecami pokrył się siecią pęknięć i zaraz rozpadł na tysiące kawałków. Odezwały się kolejne wybuchy - wysoko nad głowami i tuż nad powierzchnią. Baksyht przyciskał się do lodu, usiłując ukryć jak najgłębiej.

- Idę na lewo, pokryj płaszczyznę granatami, daj niską stalową zasłonę. Woroszyłow, za mną!

Automatyczny tłumacz transformował bojowy żargon najemników na zwykły język. Pociski Bruggera zderzały się z czymś, co zmieniało je w niebieskie, szybko znikające pęcherzyki, kolejne eksplozje wyrzucały w próżnię rozdrobniony lód, odbijający żółte, białe i niebieskie odblaski. Promień ultrafioletowego lasera nagle stracił moc i zamienił się w nieszkodliwy stroboskop.

- Posiłki, potrzebujemy posiłków! - Zbyt silny sygnał prawie ogłuszył Baksyhta.

To Brassi wzywał pomocy.

- Będziemy u was za pięć minut! Wytrzymajcie! - odpowiedział czyjś głos.

Obok Baksyhta przebiegła masywna sylwetka, po broni poznał Bruggera.

Ogromny najemnik przetoczył się przez ramię, zaczął strzelać prosto przed siebie. Coś w niego uderzyło i jak szmacianą lalkę odrzuciło do tyłu, lufy działka umilkły.

Oszołomiony Baksyht zaczął czołgać się w kierunku leżącego...

Piekło, jakie rozpętało się wokół, nie traciło na sile, dziwił się, że najemnicy mają jeszcze amunicję.

Natrafił na nieruchome ciało. Przeziernik skafandra zaczynała już pokrywać szybko rosnąca warstwa lodu.

WPCE prawidłowo oceniło sytuację i zaczęło wyświetlać instrukcję udzielenia pierwszej pomocy. Baksyht otworzył panel swego własnego urządzenia ratowniczego, przez chwilę zdezorientowany przyglądał się gmatwaninie kontrolek, gniazdek, przycisków i końcówek. Tuż obok niego coś spadło na śnieg, wyglądało tak jak miniaturowe jeziorko pseudortęci. Bez namysłu machnął ręką, odrzucając to jak piłkę baseballową daleko w próżnię. Kilka metrów nad nim eksplodowała niebieska bańka. Przeziernik Bruggera całkowicie zakrył już lód. Baksyht znalazł w końcu właściwą końcówkę, wyciągnął gruby na palec przewód i przyłączył go do skafandra Bruggera.

Sygnał ostrzegawczy ikony medycznej zgasł.

- Źródło energii przywrócone - ogłosiło WPCE.

- Utrata kontaktu z nieprzyjacielem - gdzieś z daleka odezwał się głos Gunnera.

Backsyht uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu nie słyszc żadnej strzelaniny.

Wyczerpany położył głowę na lodzie. Kabel, który łączył go z Bruggerem, był krótki, nie wiedział, co jeszcze może dla niego zrobić.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

GRZECHY OBECNE I DAWNE

Spice odchyliła do tyłu oparcie fotela, zdjęła buty i położyła nogi na stole. Ubrana była w spodnie robocze, jakich zwykle używali technicy zajmujący się konserwacją i naprawami maszyn. Spodnie zapewniały komfort cieplny, były dość elastyczne, żeby przy przechodzeniu przez wąskie przestrzenie obsługowe o nic się nie zaczepiały, do obszernych kieszeni zapinanych na rzepy można było napchać mnóstwo rzeczy. Oprócz spodni miała na sobie klasyczny overal noszony pod skafandrem, który przylegał do ciała jak druga skóra. W jej przypadku było to tym bardziej widoczne, że u góry przystosowany został do kształtu biustu. Przy pasie miała pistolet małokalibrowy, pojemnik zawierający końcówki umożliwiające podłączenie się do wszystkich systemów elektronicznych bazy i małą saszetkę z podstawowymi przyborami higienicznymi. W razie potrzeby mogła, nie przebierając się, nałożyć skafander. Położyła ręce na udach i przyjrzała się ciemnoczerwonemu lakierowi na paznokciach. Oprócz kolczyków były jej jedyną ozdobą. Nawet po dwunastu godzinach służby lakier trzymał się dobrze i nigdzie nie odprysnął. Uśmiechnęła się ze znużeniem. Dwunastogodzinną zmianę przy komputerze odczuwała tak, jakby trwała cały tydzień.

Drzwi do saloniku wypoczynkowego otworzyły się i weszła kapitan Fahrey. Obie kobiety wymieniły badawcze spojrzenia. Wydawało się, że znajdują się na dwóch skrajnych końcach rozwoju ewolucyjnego. Spice wysoka, smukła, o kształtach zaczerpniętych z podręcznika traktującego o tworzeniu miss piękności, naturalne pełne wargi, zmysłowe nawet bez szminki. Fahrey niższa, o raczej kanciastej sylwetce, mocno zbudowana, z krótką szyją. Mimo tego spotkały się właśnie tutaj. Jedyne, co miały wspólnego, to krótkie, po żołniersku ostrzyżone włosy.

Fahrey kiwnęła ręką na powitanie i pokazała, żeby Spice nie wstawała. Przystanąła przy automacie z kawą, a potem rozsiadła się w fotelu.

Ciszę zakłócały jedynie normalne odgłosy zaplecza technicznego bazy. Nawet ekran HID-u pozostawał ciemny, bez nowych informacji, jakby aparatura chciała zapewnić kobietom zasłużony odpoczynek. Spice zdawała sobie sprawę, że z lekka przysypia, ale nie zwracała na to uwagi. Nie wiadomo dlaczego nie chciała pójść do swojej kwatery. Była wdzięczna Fahrey za jej milczące towarzystwo. Można było w ten sposób łatwiej odreagować przykre

wydarzenia ostatnich godzin.

Trzasnął zamek drzwi, do saloniku wdarł się hałas, śmiechy i głośne sapanie. Do środka wlało dwóch mężczyzn, sądząc po wyłogach mundurów - wojskowi specjaliści techniczni Byutechu. Senność natychmiast opuściła Spice, która uważnie przyjrzała się intruzom. Pierwszy z nich, wyższy, przymrużonymi oczami patrzył na nią.

- Hej, będziemy mieli towarzystwo - krzyknął. - Może pobawimy się razem, co, Spice? Nie ma pani ochoty na coś ostrego?

W saloniku rozszedł się zapach alkoholu.

- Pan pił, dziesiętniku - rzekła Spice surowo. - Niech pan idzie się wyspać, żebyśmy nie musiała zameldować o tym pańskiemu przełożonemu. Problemów mamy dosyć i nie potrzeba nam nowych.

Żołnierz podszedł bliżej.

- Ale nadęta ta pani, krzyczy na mnie, nie chce się bawić z prostym wojakiem! - wyrzucił z siebie szyderczym tonem przez wykrzywione ze złości usta.

Lecz zaraz wyraz jego twarzy zmienił się i obrzucił Spice pożądlivym spojrzeniem.

- Ale taka koteczka nie powinna się obrażać, koteczkom to szkodzi - rzekł, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, jak najemniczka wygląda.

Jego kompan próbował go odciągnąć, jednak bez powodzenia. Spice powoli zdjęła nogi ze stołu, nałożyła buty i wstała.

Kiedy dziesiętnik wyciągnął po nią rękę, kopnęła go precyzyjnie w krocze. Znieruchomiał jak słup soli i zaczął osuwać się na podłogę. Gdy głowa mężczyzny znalazła się na wysokości jej pasa, uderzyła go kolbą pistoletu. Rozległo się głośne chrupnięcie chrząstki i nos niefortunnego adoratora zajął nagle prawie pół twarzy.

Dziesiętnik tylko jęknął i znieruchomiał, zwinięty w kłębek.

- Niech pan odprowadzi kolegę na opatrunek - zwróciła się Spice do drugiego żołnierza. - A jeżeli w ciągu piętnastu minut zamelduje mi pan, od kogo dostaliście wódkę, to nie będę tego incydentu uważała za atak na mnie, tylko za czyste nieporozumienie. To oznacza, że major McBane nie każe zastrzelić was obu i ośmiu innych waszych kolegów. Odmaszerować.

- Tak, madame - wybełkotał żołnierz, odwrócił się i wpadł prosto na porucznika Mopentena.

Oficer w ostatniej chwili uniknął zderzenia z żołnierzem, usuwając się wraz z dwiema filiżankami kawy. Zapach wydobywający się z naczyń nie miał nic wspólnego z namiastką z automatu, która była raczej zabarwioną gorącą wodą bez smaku.

- Co tu się dzieje? - zapytał lodowatym tonem.

Spice od razu poznała, skąd pochodzi kawa. Jej słabość do tego napoju zaczynała być powszechnie znana i François Mopenten zdołał namówić Duncana, najlepszego szefa kuchni za orbitą Marsa, żeby jej filiżankę łagodnie przyprawił jakimś delikatesem. A te dwa typy popsuły mu nadzieję na przyjemny wieczór. Spice nie wątpiła, że żołnierzy czekają trudne chwile.

- Ten mi obiecał, że zdradzi źródło alkoholu, którym upił się jego kolega. Ale równie dobrze może to przedyskutować z panem - powiedziała słodko.

- Zajmę się tym - odparł zachmurzony Mopenten.

„Ten wyraz twarzy nie pasuje do jego prawie chłopięcej urody” - pomyślała. Porucznik zauważył, że dalej trzyma w rękach filiżanki. Zaciśnął wargi z niezadowoleniem i odstawił je na stolik. Dopiero teraz spostrzegł Fahrey.

- Pani kapitan - zwrócił się do niej - pozwoliłem sobie przynieść paniom drobny poczęstunek. Niestety nie mogę dotrzymać wam towarzystwa, obowiązki wzywają - pożegnał się i odszedł, zabierając z sobą obu żołnierzy.

Kobiety zostały same.

- Ten chłopak jest bardzo sympatyczny - zaśmiała się Fahrey i nie ociągając się, sięgnęła po kawę. - Niektórzy Francuzi są naprawdę szarmanccy - dodała pomiędzy dwoma łyżkami. - A z powodu tych dwóch pijaków straciłam jego towarzystwo.

Spice wzruszyła ramionami.

- Ja też. Ale w końcu jestem przecież w dobrym towarzystwie. - Uśmiechnęła się.

Kanciasta pani kapitan coraz bardziej jej się podobała.

Przez chwilę obie popijały w milczeniu.

- Dlaczego jest pani właśnie tutaj? - zapytała w końcu Fahrey. - Przypuszczam, że to pytanie nie jest dla pani niczym nowym.

- To prawda. Ale poprzednich pytających odpowiedź w ogóle nie interesowała. Właśnie mogła to pani zaobserwować. Nikogo nie ciekawiło, kim jestem, co potrafię. Każdy widział we mnie tylko materiał do łóżka. Było to jeszcze bardziej nieprzyjemne niż dla innych atrakcyjnych kobiet. Jakbym miała w sobie jakieś fluidy zmieniające mężczyzn w ćmy lecące do ognia. A ja chciałam być niezależna, chciałam czegoś dokonać. W końcu trafiłam między najemników. Tu wystarczy ustanowić pravidła, „nie” oznacza „nie”, natomiast „tak”...

- Rozumiem - przytaknęła Fahrey. - Pracowałam w starym ONZ-ecie. Kiedy umarł mój mąż, bardzo mi go brakowało. Potrzebna mi była zmiana i...

HID przeskoczył z trybu czuwania w tryb gotowości, Spice skupiła się na obserwacji

urządzenia, a wiedząc, że nie może wysłuchać jej do końca z należytą uwagą, przerwała ruchem ręki. Pani kapitan zrozumiała natychmiast.

Kontrolny software, którym otoczyła AI bazy, meldował o zaistniałej sprzeczności. Trwał odbiór zakodowanego sygnału, w czym nie było niczego niezwykłego, ponieważ w bazie bez przerwy następowały dziesiątki niezależnych od siebie procesów wymagających łączności z satelitami, Ziemią czy z twierdzami obronnymi. Jednak meldunek głosił, że chodzi o zabezpieczenie szyfrowania najwyższej klasy, wymagające znacznej mocy obliczeniowej nawet w przypadku znajomości klucza do deszyfrowania. Ten natomiast nie był wymagany. Ktoś przyjmował wiadomość i nie był ciekaw treści? Możliwe, ale...

- Potrzebujemy kilku ludzi godnych zaufania, pani kapitan. Nie mam oczywiście na myśli miejscowego personelu. A wszyscy nasi ludzie albo są zajęci, albo na punkcie opatrunkowym - ton głosu poparła pytającym spojrzeniem.

- Pomogę wam - zgodziła się Fahrey. - Ale przydałby się ktoś miejscowy, kto się tu dobrze orientuje. Niech pani wypróbuje porucznika Mopentena. Oprócz tego, że jest chętny do współpracy i zdolny rzucić się głową w ogień, to zdaje sobie sprawę, że jedzie z nami na jednym wózku.

Rzuciła Spice konfidencjonalne spojrzenie i włożyła daszek holo. Należała do tych, którzy nie używali bezpośredniej projekcji na siatkówkę.

Doktor Azmud nerwowo stukał palcami po konsoli ze staromodnymi elementami sterującymi. Tak jak wielu uczonych jego generacji, nigdy nie przyzwyczał się do nowocześniejszych sposobów komunikacji z systemami obliczeniowymi.

- Mamy to - oznajmił jeden z członków jego zespołu, patrząc przed siebie. Nie byli to technicy, tylko asystenci i najzdolniejsi studenci, którzy pod jego kierownictwem prowadzili prace badawcze.

- Sądząc po zawartości danych, posłali nieźle wykonaną symulację, o ile nadmiarowość tych danych nie jest zbyt duża - powiedział zarośnięty brodacz, nie odwracając się od dużego monitora. Przypominał postarzałego członka komuny hipisów. W rzeczywistości był to doktor Graham, ekspert w dziedzinie sieci neuronowych. Jak na gust Azmuda nieco zbyt nonkonformistyczny, ale co do jego umiejętności i wiedzy nie mogło być najmniejszych zastrzeżeń.

Ze względu na opóźnienie sygnału sięgające dziesięciu godzin bieżąca komunikacja nie była możliwa. Dlatego jego bezpośredni przełożony w koniecznych przypadkach wysyłał indywidualną symulację wraz z dużym pakietem danych, zdolną do logicznych odpowiedzi

na pytania lub nawet ich zadawania. Nieporozumienia, które powstawały przy takim sposobie komunikacji, były wyjaśniane podczas następnego połączenia.

- Czy zdołamy to aktywować w czysto obliczeniowym trybie? Bez używania AI bazy?
- zapytał nerwowo Azmud.

AI bazy nie powinna o niczym się dowiedzieć, najemnicy mieli ją pod kontrolą. Na szczęście nic nie wiedzieli o sieci komputerowej przeznaczonej tylko do badań naukowych i ze względu na bezpieczeństwo jednokierunkowo odizolowanej od głównego systemu.

- Tak, zużycie mocy obliczeniowej będzie szalone, ale damy radę - zapewnił go Graham, posyłając swego asystenta do drugiej konsoli.

Całe wyposażenie składało się z ponad stuletniej techniki.

- Do dzieła.

Na ekranie pojawiła się twarz przypominająca oblicze którejś z wielkich gwiazd Hollywoodu. Azmud znał tego człowieka osobiście i wiedział, że symulacja nie kłamie. Jego wizerunek był produktem komercji, już od pięćdziesięciu lat powszechnie stosowanym sposobem przedstawiania ważnych osobistości, jako przeciwwaga dla portretów starych myślicieli doby antyku.

- Doktorze Azmud?

- Jestem tu i słyszę pana.

Nie byli w stanie przekazywać obrazu rejestrowanego przez symulację bez pomocy AI bazy.

- Pana informacje są niepokojące. Nie mówię o obsadzeniu bazy przez wojsko SONICBM-u, ale o kolejnych atakach, o których nas pan poinformował.

- Doszło do następnego ataku - przerwał Azmud. - Kompletne sprawozdanie jest częścią pakietu danych, który właśnie panu udostępniamy.

- Zarejestrowano - potwierdził obraz kierownika naukowego Byutechu. - Odszyfrowaliśmy zapisy z badań naszych poprzedników, ale nic istotnego z nich nie wynika. Właśnie je pan otrzymał. Czy może pan, będąc na miejscu, wykluczyć powtórne takie zagrożenie?

Tego pytania Azmud się obawiał.

- Nigdy nie doprowadziliśmy obiektu numer dwa do stanu pełnej aktywności, rozpoczęliśmy tylko próbną eksploatację w uruchomionym zbiorniku numer B2, nie sądzę, żeby...

- Doktorze, w tej chwili szczegóły nie są ważne. Interesuje mnie pana werdykt jako szefa całego projektu - przemówiła symulacja tak energicznie, jak oryginał.

- Nie posiadam wystarczających informacji, żebym mógł powiedzieć tak lub nie - odpowiedział Azmud z westchnieniem. - Wypisy z archiwum Konfederacji Azjatyckiej to tylko fragmenty. Do dziś dnia nie domyślamy się, co dokładnie się tu stało. Nie przypuszczam, że doszło do skrzyżowania, ale nie mogę tego wykluczyć.

- Dobrze, doktorze, zrozumiałem. Pańska odpowiedź została zarejestrowana.

To była ukryta pogrożka i Azmud doskonale o tym wiedział. Wszystko było rejestrowane i przechowywane.

Prymitywna fotokomórka piknęła, ktoś przechodził obok zamaskowanych drzwi do sali. Azmud odwrócił się. To pomieszczenie było tajne, o jego istnieniu wiedzieli tylko jego najbliżsi pracownicy. Jeśli ktoś przypadkowo przechodził korytarzem, powinien o tym już wcześniej powiadomić system monitoringu. Fotokomórka ucichła, sprawca wyraźnie oddalił się i Azmud odetchnął z ulgą. Odwrócił się, żeby nawymyślać Tywonowi, asystentowi odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo, kiedy nagle rozległ się ostry trzask. Owionął go powiew ciepłego powietrza.

Drzwi nie było, a w wejściu stał człowiek w kamizelce kuloodpornej z nieprzyjemnie wyglądającą bronią w ręce. W następnym momencie był już wewnątrz, a wraz z nim trzech innych uzbrojonych ludzi. Po nich weszła kapitan Fahrey w towarzystwie tej hakerki komputerowej, która pracowała z najemnikami. Azmud zrozumiał, że jeżeli aż dotąd udawało mu się utrzymywać pewne rzeczy w tajemnicy, to właśnie zostały one ujawnione. Dotyczyło to również jego szefa.

Gunner wybrał sobie stanowisko na dość wysokiej skale, skąd miał dobry widok i niezakłóconą łączność radiową. W razie potrzeby z większością pozostałych mógł utrzymywać komunikację laserem. Teren pełen był szczelin i fałd, w których mogli kryć się nieprzyjaciele, czarne niebo upstrzone gwiazdami dawało bardzo niewiele światła. Dotknął palcem generatora karabinu. Znów to czuł, znajome mrowienie przed walką. Bardzo by się ucieszył, gdyby znowu się pojawili - mógłby wypróbować kilka sztuczek, które mu przyszły do głowy. Jednak teraz czekał na coś innego. Skrzywił się i skupił uwagę na danych.

Tym razem nie zachowywali trybu tajności, mogli więc użyć chipwekowych psów. Grupa robotów pokrywała najbliższą okolicę mniej więcej szczelną siecią radarową. Zmienili również orbity kilku satelitów, a Kaszmir A.C. wypożyczył im dodatkowo jednego ze swoich. Satelity nadlatywały jeden po drugim, zapewniając ciągłą kontrolę. Pomimo tego Gunner nie był pewny, czy to się do czegoś przyda. Wróg miał tak doskonale maskowanie, aż wydawało się to niemożliwe. On sam i jego ludzie byli w optycznym zakresie spektrum po prostu

niewidzialni. Pole elektromagnetyczne o długości fal mieszczących się między czterysta dziewięćdziesiąt a osiemset nanometrów opływały skafandry. Wszystko to zawdzięczali opanowaniu technologii tunelowania elektronowego. Ale w zakresie fal ultrakrótkich, ewentualnie rentgenowskich efekt maskujący był znacznie gorszy. Nie mówiąc już o podczerwieni. Ze względu na temperaturę ciała i wypromieniowywanie ciepłe skafandra, był dość silnym źródłem fal elektromagnetycznych o większej długości. Maskowanie rozpraszało je i potrafiło stłumić na pewien czas widmo w podczerwieni, ale to było wszystko. Co gorsza, przy jakimkolwiek uszkodzeniu powierzchni skafandra czy nawet broni dochodziło do silnej degradacji efektu kameleona. A diabły, z którymi mieli do czynienia, były niewidoczne przez cały czas trwania walki. Gunner był pewny, że kilku z nich trafił. Pomimo że nikt nie wierzył w jego interpretację, był pewny, że niektóre kształty, określane przez ekspertów jako niezwykle szybko sublimujące odłamki przegrzanego lodu, w rzeczywistości były pojawiającą się z niczego cieczą wyparowującą w próżnię. Cieczą pochodzącą z ciał zabitych niewidzialnych nieprzyjaciół.

HID stopniowo ukazywał meldunki pozostałych. Czujniki statyczne zostały rozmieszczone, satelity potwierdziły tryb współpracy, dwudziestu żołnierzy rozstawiło się wokół wyimaginowanego centrum rzadkim kordonem, którego częścią były również trzy ruchome wyrzutnie pocisków średniego kalibru.

- Bezpieczeństwo zapewnione - oznajmił Fincherowi na wewnętrznym obwodzie. - Ale uważaj i kiedy nadejdą, patrz po śladach, odbłyśkach i polegaj na instynkcie. Te gnoje rozwaliby nas co do jednego, gdyby nie nadciągnęła ciężka kawaleria - poradził w żargonie najemników.

Analizując poprzednie starcie, doszedł do wniosku, że nieprzyjaciół przerwał walkę ze względu na zbliżającego się goliata. Maszyna wprawdzie przepadła podczas powrotu przez połączenie pokryte węglowodorami, ale uratowała ich od śmierci.

- Zrozumiałem - odpowiedział Fincher, rozglądając się wokół.

To była jego akcja. Miał za zadanie pozyskać jak najwięcej informacji z terenu walki. McBane zaoferował udział w akcji kilku ludziom z personelu cywilnego bazy, ale poinformował ich, że mogą odmówić. Wszyscy odmówili, a Fincher wcale się im nie dziwił. Tu chodziło o życie. Na ochotnika zgłosił się tylko nagrywający wszystko Backsyht i jeden z żołnierzy. Pokręcił głową ze zdziwieniem nad zmianami, jakie zaszły w dziennikarzu. Podczas walki uratował Bruggera i sam poprosił majora o pozwolenie uczestnictwa w dochodzeniu. W terenie poruszał się coraz sprawniej, z balastu zmienił się w swojego chłopca, na którym można było polegać.

Fincher porzucił te rozważania, skupiając się na obowiązkach. Wypatrzył Woroszyłowa, który stał niedaleko i usprawniał jednego z psów-robotów. Ultraniska temperatura zbierała żniwo. Pozycję Gunnera znał dokładnie. Brassi i Brugger nie uczestniczyli w akcji ze względu na odniesione w walce rany. Cieszył się, że chociaż Woroszyłow i Gunner byli razem z nim. Mieli już do czynienia z tajemniczym wrogiem, a takie doświadczenie bardzo często może decydować o życiu lub śmierci.

Zaczął przyglądać się terenowi. Pomimo że znajdował się dokładnie na miejscu, gdzie odbyła się walka, nie mógł dostrzec żadnych jej pozostałości. Lód wydawał się dziewiczo biały i czysty. Porównał stopień odbijania światła tej płaszczyzny i stwierdził, że jest czystsza niż otaczająca ją powierzchnia lodu. I to o ponad dwadzieścia pięć procent światła odbitego. Używając szesnastokrotnego powiększenia, stwierdził, że powierzchnia lodu jest gładka jak szkło. Jedyne nierówności pozostawiły chwytny podeszwy jego butów.

- Znalazł pan coś, Baksyht? - zapytał na prywatnym obwodzie.

- Nie - odpowiedział dziennikarz. - Nawet kraterów, które tu powinny być. Wszystko wydaje mi się jakieś inne. Ale współrzędne się zgadzają.

Fincher sam do siebie pokiwał głową.

- Powinna tu zostać przynajmniej nasza broń - mówił dalej Baksyht. - Pamiętam, że Bruggera odleciała gdzieś tam. - Wskazał na poszarpany szczyt, wznoszący się kilka metrów ponad horyzont. - Ale niczego nie widzę.

- Przyrządy też jej nie rejestrują - zgodził się Fincher.

- Alarm! Ruch w sektorze jeden-jeden! - odezwał się czyjś głos.

Fincher natychmiast ruszył do prowizorycznej kryjówki pod jedną z lodowych przewieszek. Baksyht za nim. Długie sekundy czekali przyciśnięci jeden do drugiego za wielkim głazem.

- Też chciałbym mieć jakąś broń - usłyszał Fincher.

Czekał z obojętnością wynikającą z doświadczenia.

On i Baksyht powinni się tylko dobrze schować, walka była domeną innych. Rzucił okiem na dane medyczne towarzysza. Dziennikarz stopniowo się uspokajał.

- Alarm odwołany. Systemy pracują na najwyższej czułości, wykryły tylko niewielkie osuwisko. Możemy kontynuować obserwację - odezwał się Gunner po upływie stu dwóch sekund.

Fincher bez żadnych komentarzy wstał i wrócił na swoje miejsce. Czysta powierzchnia metanowego lodu błyszczała, a ostrość tego blasku przywodziła na myśl zimno osiagające temperaturę zera absolutnego, kiedy ustaje wszelki ruch, a świat zostaje

zdegradowany do mglistego stanu kwantowego. Czerwono i brązowo zabarwione węglowodory, wtopione w przezroczystą masę, przypominały jakiegoś dziwnego stwora uwięzionego w królestwie mroźnej śmierci.

Fincher potrząsnął głową. Gubił się w chaosie przewieszek, nawisów, zagłębień i nie był w stanie należycie się zorientować w terenie. A miał przeprowadzić dokładne rozeznanie i zgromadzić jak najwięcej informacji.

- Rozmieścimy czujniki magnetyczne i grawitacyjne, może coś znajdą - zdecydował i sam zabrał się do realizowania swojego rozkazu. Zaczął chodzić po płaszczyźnie, na której zgodnie ze współrzędnymi toczyła się walka, rozkładając detektory w kształcie małych, czarnych dwunastościanów. Miały możliwość kontaktowania się ze sobą, samokalibracji i w przeciągu kilkudziesięciu minut mogły sporządzić stosunkowo dokładną mapę magnetycznych i grawitacyjnych anomalii badanego obszaru. Backsyht i jeden z żołnierzy też zaczęli rozkładać czujniki.

Kalibracja i pomiary wymagały czasu, dlatego Fincher wrócił do swojego punktu obserwacyjnego i znów uważnie się rozglądał.

Nakazał WPCE, żeby ściągnęło i opracowało dostępne dane wizualne zarejestrowane podczas walki, i na tej podstawie wykreśliło w realu choćby fragmentaryczną mapę 3D. Zadanie zabrało układowi obliczeniowemu więcej czasu niż zwykle, ale w końcu przed oczami Finchera zaczął pojawiać się taki obraz okolicy, jaki przed kilku godzinami widzieli Brugger, Brassi i pozostali. Hologram różnił się od rzeczywistości bardziej, niż mogło to wynikać z ewentualnych odchyłeń. Fincherowi towarzyszyło wrażenie, że znajduje się o kilka metrów wyżej. To było bez sensu. I chociaż wymagało to jeszcze więcej czasu, rozszerzył zadanie na przyległe stoki i wówczas wszystko zaczęło się wyjaśniać. W najbliższej okolicy ze stromych ścian, poszarpanych gór i sterczących szczytów lodowych zniknęło, z grubsza licząc, około pół kilometra sześciennego metanowego lodu. I właśnie na tym brakującym lodzie teraz stał.

- Jak oni to, do diabła, zrobili? - rzekł głośno, automatycznie włączając wewnętrzny obwód.

Backsyht, stojący dziesięć metrów od niego, odwrócił się z ciekawym wyrazem twarzy. Fincher, nie mówiąc, przekazał kolegom wynik przeprowadzonej analizy.

- Ci zasrańcy wszystko tu zasypali lodem - powiedział głośno Gunner. - Jak to zrobili?

- Tego właśnie pytania się obawiałem - odparł Fincher. - Oni tego nie zasypali, tylko zalali lodem. Jak zdołali zmienić lód w ciecz, zmusić ją, żeby spłynęła tam, gdzie chcieli, i z powrotem zamrozić?

- Rozgrzali go, mały reaktor całkiem do tego wystarczył. - Gunner nie widział problemu.

Backsyht zrozumiał w chwilę później.

- Na Plutonie to się nie uda. Jest tu zbyt niskie ciśnienie. Jeśli podgrzejesz zmrożony metan, tlenek węgla, azot czy nawet wodę, zmieni się bezpośrednio w gaz i rozwieje się po okolicy.

- To faktycznie ciekawe, młodzieńcy - powiedział wolno Gunner. - Wobec tego przypominam, że naszym psom-robotom kończy się energia, a bez nich nie chcę być tutaj ani minuty. Zostało nam pół godziny.

Spice przygasiała wskazania HID-u, koncentrując obraz na majorze.

- Chodzi o system jednokierunkowo oddzielony od AI bazy i tak zaprojektowany, żeby jego eksploatacja była zatajona przed większością personelu.

Azmud siedział na fotelu z rękami na kolanach i miał taką minę, jakby się znajdował na ławie oskarżonych. Towarzyszyło mu dwóch najbliższych współpracowników, brodac w dżinsach i starannie pozapinany człowieczek ubrany na szaro. Wypchane ramiona przypominały naramienniki wojskowe. Brodac nazywał się Graham, a szary Filip Gatsmon - odczytała z ikony, którą uwidocznili HID.

W pomieszczeniu znajdowało się pięciu uzbrojonych ludzi: czterech żołnierzy najemnych Fahrey oraz Kuzmin. Ten ostatni zadowolili się swoim nieodłącznym nożem i o dziwo, to właśnie ów doskonale naostrzony kawałek stali najbardziej denerwował Azmuda i jego współpracowników. Albo osoba samego Kuzmina. Na twarzy najemnika nie widać było żadnych emocji. Spice już kilka razy zastanawiała się, co mu przyprawiło taki zimny pysk. Kiedyś zaczęła się interesować górniczymi buntami na Księżycu, ale szybko zaprzestała. Rzeczy, które się tam działy, były nie do wytrzymania nawet dla silniejszych żołądków niż jej.

McBane dał gestem znak, że zarejestrował jej informacje.

- Nie wiem, co o tym myśleć. - Odwrócił się do Azmuda. - Z tego, czego się dotąd dowiedziałem, wynika, że jest pan zorientowany, co się tutaj dzieje. To pan odpowiada za śmierć trzystu cywilów i kilku żołnierzy załogi bazy?

Na końcu zdania należało postawić znak zapytania czy wykrzyknik? Spice nie zdołała tego rozstrzygnąć, ale mimowolnie zadrżała. Major na ogół mówił monotonnym głosem, ale teraz wyczuwała w nim lodowatą wściekłość. Wyraz jego twarzy zdradził miotające nim uczucia także pozostałym obecnym. Fahrey nie spuszczała go z oczu, obserwując mężczyznę

z rodzajem fascynacji. Jakby zobaczyła ostatni egzemplarz rzadko spotykanego gatunku.

- Chodzi tu o tajny projekt koncernu Byutech, nie jestem zobowiązany do udzielenia panu żadnych informacji - oznajmił powściągliwie Azmud.

- A więc nie poczuwa się pan do winy? - zapytał McBane, sprawiający nagle wrażenie zmęczonego.

Spice wywołała odpowiednie reguły kodeksu najemników. Azmud był cywilem i nawet gdyby podjął działania wojenne, i tak byłby chroniony przez prawo. Jeśli jednak konsekwencje jego działań zagrażają kolejnym ludziom, McBane usmaży go bez względu na kodeks. Tego była pewna.

- Nie poczuwam się do odpowiedzialności za żadne działania, których istoty nie rozumieliśmy - wmieszał się do rozmowy Graham.

Azmud odwrócił się do niego gwałtownie, ale brodacz wrzucił tylko ramionami.

- To zestrzeliło statek kosmiczny z orbity, zdziesiątkowało oddział wojska. Nie widzę żadnych powodów, dla których miałyby nas pozostawić przy życiu - Graham odpowiedział swemu przełożonemu na niewypowiedziane pytanie.

To? Spice napięła się jak sprężyna. O czym on, do cholery, mówi? Nawet Kuzmin przestał ostrzyć swoją śmiertcioną zabawkę.

- To długa historia - powiedział Graham, w zamyśleniu obserwując nagle znieruchomiełe ostrze. - Muszę zacząć od początku.

McBane nadal stał, przyglądając się uczoneму. Spice już dawno zauważyła, że major potrafi rozszyfrować ludzi na podstawie zwyczajnej obserwacji. Ta umiejętność wielokrotnie się im wszystkim przydawała.

- Baza liczy sobie około stu trzydziestu lat. Wybudowała ją Konfederacja Azjatycka jako jeden ze swoich ostatnich projektów, zanim zniszczył ją kryzys ekologiczno-ekonomiczny. Wnioskując z zapisów historycznych, dysponowali techniką na co najmniej takim samym poziomie jak my obecnie.

Graham rozejrzał się, jakby czekał na jakieś wyrazy niedowierzania, ale wszyscy tylko słuchali uważnie.

- Wystarczy przejść się podziemiami, żeby zobaczyć, że chcieli wybudować coś o wiele większego niż klasyczny kompleks naukowo-badawczy. Byutech natomiast wcale nie dlatego wybrał to miejsce, żeby zaoszczędzić na kosztach, jak można sądzić na pierwszy rzut oka. Byutech wyruszył na Plutona ze względu na pewne informacje znalezione w archiwach Konfederacji.

Azmud syknął boleśnie, jakby tę tajemnicę chował głęboko pod sercem.

To było zaskakujące. Spice aktywowała HID i zaczęła przeglądać dane bazy. Teraz, kiedy wiedziała, czego szukać, nic się przed nią nie ukryło. Graham nie kłamał. Okazałby się głupcem, gdyby tak zrobił, ponieważ musiał rozumieć, że wszystko zostanie sprawdzone.

- Konfederacja ewakuowała bazę i opuściła ją na dobre pięć lat wcześniej, niż wymusił to na niej kryzys. Co więcej, ewakuacja została przeprowadzona z zachowaniem ścisłej kwarantanny - kontynuował Graham.

- Ale dlaczego właśnie wtedy odeszli? - nie wytrzymała Fahrey.

McBane powstrzymał się od wszelkich pytań.

- Ponieważ doszło do kilku tragicznych wypadków, w których zaczęli ginąć ludzie - odrzekł Graham.

Wyraz twarzy Azmuda świadczył o tym, że nie zgadza się z wyjaśnieniami doktora, lecz czynnie w żaden sposób nie protestował.

- Ale w ten sposób wyrzucili przez okno kilka miliardów. - Mina Fahrey wyrażała niedowierzenie.

- Bilion - poprawił ją Graham. - Musi pani sobie uświadomić, nad czym wtedy pracowali. Właśnie tutaj, na Plutonie, doprowadzili nanotechnologię do poziomu, którego nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Konfederacja stworzyła AI, która wystąpiła przeciwko swoim twórcom.

Spice nie wiedziała, jaki wpływ wywierały te informacje na innych, ale jej zdecydowanie nie zszokowały, była zbyt dobrym fachowcem.

- AI jest obecnie w powszechnym użyciu. Ta baza, podobnie jak większość ludzkich siedzib w kosmosie, również ma swoją AI. Jeżeli nie brać pod uwagę jej olbrzymich możliwości w dziedzinie obliczeniowej i analitycznej, nie jest ani trochę mądrzejsza od psa. Nie chcę twierdzić, że niemożliwe jest rozwinięcie jej inteligencji do poziomu, powiedzmy, delfina albo nawet któregoś z naczelnych, ale nadal będzie ona niezwykle ograniczona.

Graham spojrzał na nią i przytaknął, jakby przyznawał jej rację.

- Chciałbym przedstawić pani zapis wizualny z archiwum, jedyny, jaki się zachował.

Kolory były przesunięte ku niebieskiej części spektrum, obraz na obrzeżach wyraźnie zdeformowany.

- Nigdy nie poznaliśmy dokładnego sposobu kodowania danych. Zniekształcenia, które widzicie, są spowodowane niedoskonałością naszych filtrów. Oprócz tego zapis jest prawie panoramiczny i stąd biorą się deformacje - objaśnił Graham.

Zapis, którego szczegóły kryły się w niedostatecznym poziomie kontrastu, spowodowanym maksymalnym wzbudzeniem aparatury optoelektronicznej, pokazywał grupę

ludzi wychodzących ze stalowej bramy umieszczonej w pagórku, wystającym ponad poziom otaczającego go białego lodu. Było ich piętnastu, wszyscy w ciężkich skafandrach z wyraźnym napisem BIOLOGICAL HAZARD. Połowa z nich niosła ciężką broń z szerokimi lufami.

- Miotacze plazmy - powiedział cicho Kuzmin. - Dziś już się ich nie produkuje. Bardzo wymagająca technologia, temperatura wyrzutu w granicach stu tysięcy stopni.

Backsyht przyglądał się zafascynowany. Mężczyźni szli szybkim krokiem w sposób charakterystyczny dla warunków niskiej grawitacji panującej na Plutonie, a ze sposobu, w jaki oglądali się ku bramie, widać było, że czegoś się obawiają. Nagle jeden z nich stanął i zaczął się odwracać na wszystkie strony, jakby zdezorientowany. Audio nie było częścią zapisu, ale Backsyht zrozumiał, że dzieje się coś złego i nieoczekiwanego. Zauważył, że zabarwienie hełmu tego człowieka zmieniło się, kolor zielonkawy przeszedł w pomarańczowy i równocześnie zaczął migotać znacznik zagrożenia biologicznego.

- Wewnętrzne pomieszczenie funkcji organizmu - skomentowała Spice.

Poza tym wszyscy zachowywali zupełną ciszę. Backsyht ujrzał, jak czwórka ludzi z miotaczami plazmy wymierzyła je w bramę do podziemia, a pozostali, tak samo uzbrojeni, zwrócili się w kierunku zainfekowanego mężczyzny. Zrozumiał, co mają zamiar zrobić, o ułamek sekundy wcześniej, niż to naprawdę uczynili. Wystrzelili prawie równocześnie i człowiek dosłownie wyparował w chmurze wysokoenergetycznej plazmy

Ludzie w skafandrach bez dalszej zwłoki ruszyli w poprzednim kierunku i zapis przedstawiał już tylko pustą płaszczyznę lodową.

- Zdołaliśmy ustalić dokładną datę tego wydarzenia - przerwał ciszę Graham. - Zakodowana została bezpośrednio w danych, nie ma wątpliwości co do jej uwierzytelnienia. Dwudziestego siódmego sierpnia dwa tysiące sto czterdziestego siódmego.

- A co z tego wynika dla nas? - zapytała spokojnie kapitan Fahrey.

- Według zapisów archiwalnych ostatni ludzie wrócili z Plutona dwa miesiące wcześniej. To oznacza, że tych piętnastu nie umknęło temu, co ich prześladowało. Cokolwiek to było.

- Twierdzi pan, że TO i AI są tym samym? - zapytała Spice.

- A czy mamy inny pomysł, madame? - Razem z pytaniem Graham rzucił jej badawcze spojrzenie. - Jeśli tak, proszę go przedstawić. Według nas naukowcy Konfederacji Azjatyckiej połączyli dwie sprawy. Nanotechnologię, a dokładniej bionanotechnologię, z rozwojem sztucznej inteligencji, a więc niewątpliwie AI. Nie muszę pani przypominać, że w obydwóch dziedzinach z ich osiągnięć korzystamy do dziś, a nasze linie produkcyjne stoją na

bazach naukowych wybudowanych półtora wieku temu.

Backsyht nie zastanawiał się nad sensem słów Grahama, tylko nagrywał wszystkich obecnych. McBane jak zwykle miał kamienną twarz, ale obok kości policzkowych wystąpiły mu głębokie bruzdy, inni wyglądali na zatrwożonych, a niektórzy wyraźnie nie wszystko rozumieli.

- Panie Boże, oni stworzyli AI na bazie nanotechnologii? - na pół zapytała, na pół stwierdziła Spice.

- Tak, i to z mocnym sprzężeniem zwrotnym. Powstała sztuczna inteligencja mogła sterować procesem swego własnego uformowania - uzupełnił Graham.

Nóż Kuzmina zniknął w skórzanej pochwie.

- A więc oni właściwie nie wiedzieli, co stworzyli - oznajmił.

- To zbyt proste wyjaśnienie - zaprotestował Azmud, spoglądając z pogardą na Kuzmina.

- Ale dokładne - odparł Graham. - A tam, gdzie nanotechnologia opiera się na podstawach biologicznych, zawsze istnieje ogromne ryzyko skrzyżowania czynników. Jak to widzieliśmy na zapisie.

McBane postąpił krok do przodu, zwracając na siebie powszechną uwagę.

- Spice, weźmie pani do pomocy Brassiego i wraz z doktorem Grahamem przejrzyście jego teorię od początku do końca. Kiedy skończycie, chciałbym wiedzieć, czy naprawdę stoimy w obliczu czegoś, co dawno temu stworzyli Azjaci. Jeśli tak, postarajcie się uzyskać jak najwięcej informacji przydatnych do wyeliminowania nieprzyjaciela. A pan, Kuzmin, przeprowadzi przegląd bazy. Żołnierze Byutechu będą z panem współpracować, zgadza się pan, kapitanie? - zwrócił się do Hawera.

Ten w milczeniu przytaknął, a spojrzenie, jakie przy tym rzucił Grahamowi, Watanabiemu i Azmudowi, bynajmniej nie było przyjazne.

Backsyht to rozumiał. Kiedyś napisał reportaż o przypadkach użycia broni biologicznej, więc miał wyobrażenie, na jak wielkie ryzyko kierownictwo bazy naraziło niczego nieświadomy personel. Możliwość zakażenia szczepem wirusowym, mającym zakodowaną w genomie zmienną odporność na *up to date*, nazywała się ryzyko czwartego stopnia lub zarażenie pseudointeligentnym morem. Dwa przypadki użycia bakterii bojowych podobnego typu wskazywały, że zaraza zachowuje się prawie tak samo jak żyjące gromadnie owady. Jeśli Graham mówił prawdę, mieli do czynienia z czymś naprawdę inteligentnym, a skala zagrożenia biologicznego była ogromna.

- Fincher będzie kontynuował poszukiwania na zewnątrz. Do tego, żeby TO zestrzeliło

„Elizabeth”, potrzebna była broń o wielkiej sile rażenia. A taka na powierzchni Plutona nie rośnie. Musiała być gdzieś wyprodukowana. Nieprzyjaciół musi mieć jakieś pomieszczenia, koszary, magazyny. Chcę, żebyście je znaleźli.

Zwięzłe rozkazy majora rozproszyły panikę unoszącą się w powietrzu. W sumie mówiły jedno: każdego przeciwnika można zwyciężyć. Backsyht poczuł ulgę - McBane był właściwym człowiekiem i mógł tego dokonać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

POD OSTRZAŁEM

Hydraulika syknęła i stalowe drzwi gładko wsunęły się w ścianę. Wskazanie termometru natychmiast podskoczyło o dobrych dwadzieścia stopni, indykator promieniowania prawie się nie poruszył. Woroszyłow spojrzał z ukosa na Mopentena. Porucznik miał hełm przygotowany do natychmiastowego użycia, a jego twarz szybko pokryła się kropelkami potu. Pomimo braku izolacji od mroźnego Plutona w bezpośredniej bliskości reaktora panował prawie nieznośny upał. Chłodzony hełmem reaktor typu PBM znajdował się kilkadziesiąt metrów pod ziemią i to przy jego sprawności cieplnej zupełnie wystarczyło.

Woroszyłow trzymał się swoich przyzwyczajzeń i inspekcję kompleksu BF2 przeprowadzał w skafandrze z pełnym wyposażeniem bojowym. Wybrał tylko broń przydatną w ciasnej przestrzeni bazy, mając na uwadze minimalne uszkodzenia budynku i aparatury - o ile doszłoby do walki.

- Niech pan zabezpieczy obszar - rozkazał Mopenteniowi.

W protokołach dyplomatycznych nadal brakowało jednoznacznych ustaleń co do statusu najemników nieposiadających patentu oficerskiego w stosunku do oficerów i podoficerów oficjalnie uznawanych oddziałów żołnierzy mundurowych. Zawsze stanowiło to obiekt negocjacji przy okrągłym stole. Tutaj w akcji przyjęto, że dopóki Hawer podlegał rozkazom majora McBane'a, jego podwładni podlegali najemnikom.

Mopenten spojrzał na Woroszyłowa ze zdziwieniem, ale nie protestował, choć mięśnie twarzy drgnęły mu wyraźnie. Wydał swoim ludziom rozkazy subwokalnie. Woroszyłow przyznał mu punkt. Mimo nieco fircykowatego wyglądu młody oficer podobał mu się.

Dziwiesięciu żołnierzy w lekkich skafandrach, uzbrojonych w krótkie automaty, przecisnęło się obok potężnej postaci najemnika i sprawnie zabezpieczyło korytarz oraz przyległe do niego pomieszczenia. Woroszyłow obserwował ich działania, porównując je z tymi, które podjąłby sam. Byli naprawdę niezli, może nieco za mało zaangażowani, co wynikało z faktu, że nie traktowali swojego zadania ze śmiertelną powagą. W podziemnym pomieszczeniu reaktora, według danych dostarczonych przez mózg bazy, znajdował się jeden konserwator i jeden operator reaktora, który właśnie sprawdzał systemy kontrolne.

- Zostańcie na miejscach - nakazał Woroszyłow i wolnym krokiem wszedł za nimi.

W porównaniu z Mopentem i jego żołnierzami sprawiał wrażenie nieco pomniejszonego golema i z pozoru nie nosił żadnej broni. W hermetyzowanych pomieszczeniach kategorii Living Space III - co oznaczało jakiegokolwiek zamieszkałe przestrzenie w całym kosmosie, w których mogło mieszkać ponad pięćdziesięciu ludzi, a niebędące równocześnie centrum dowodzenia - protokoły bojowe pozwalały na używanie tylko lekkiej broni piechoty z ograniczoną siłą rażenia. Lekkie, rozpadające się pociski, paralizatory, gazy, lasery o niskiej przenikalności. Prawo takie zostało ustanowione, aby w przypadku walki ograniczyć do minimum straty wśród niezaangażowanych cywili. Jednak w praktyce oznaczało to, że przy pomocy takiej broni nie sposób było zaszkodzić Woroszyłowowi znajdującemu się wewnątrz ciężkiego, bojowego skafandra.

Najemnik przechodził środkiem korytarza, przyglądając się, jak go odbierają radary żołnierzy oddziału Mopentena. W korytarzu łączącym sterownię reaktora z salą wymiany paliwa znalazł miejsce pokryte samymi tylko odbiciami promieni laserowych i fal radiowych. To oznaczało, że zanim żołnierze uzyskają dokładną informację na swoje HID-y, dane będą musiały przejść opracowanie uwierzytelniające przez ich WPCE. Zresztą zawodowcy i tak do tego rodzaju informacji podchodzili z ostrożnością i nigdy w pośpiechu.

Jeszcze jeden krok, w odpowiednim miejscu odbił się, ekoszkielec dokładnie według wyuczonych sygnałów nerwowych i mięśniowych pomógł mu pokonać ostatnie trzy metry i już stanął naprzeciw żołnierza z automatem, strzegącego pomieszczenia. Lekkim uderzeniem lewej ręki wytrącił mu broń, a prawą wyciągnął przed siebie, mierząc w twarz wartownika. Z kabury pod przedramieniem wyskoczył gruby na cal, błyszczący łańcuch, uformowany przez pole elektromagnetyczne w kształt prawidłowej elipsy. W ułamku sekundy pole to nadało mu rotację o wartości co najmniej dziesięciu tysięcy obrotów na sekundę. Supertwarde zęby z wysokogatunkowego stopu przy takiej szybkości potrafiły w ułamku sekundy przeciąć nawet najodporniejszy pancerz.

Żołnierz znieruchomiał, Woroszyłow widział jego przestraszoną twarz, która mogła być już przecięta srebrzystym ostrzem.

- Jesteś martwy, żołnierzu - oznajmił mu Woroszyłow na wewnętrznym kanale.

Później pozwolił broni zniknąć i wrócił do korytarza.

- Poruczniku, niech pan uświadomi swoim ludziom, że to nie ćwiczenia. Następnego, który da się zaskoczyć i zagrozi w ten sposób bezpieczeństwu pozostałych, po prostu zabiję.

Reszta przeglądu tej części bazy przebiegła bez zakłóceń i Woroszyłow był

zadowolony. Trochę strachu, jaki musi towarzyszyć każdej akcji bojowej, wyraźnie pomogło Mopenteniowi i jego ludziom. To, że zaczęli uważać go za wariata, zupełnie mu nie przeszkadzało.

- Dokąd wiedzie to przejście? - Wskazał stalową klapę o średnicy dobrych dwóch metrów. Sądząc po ośmiu zamkach i błyszczącej powierzchni charakterystycznej dla najodporniejszych materiałów, stanowiła zaporę określaną w terminologii wojskowej jako „wejście warowne”. W danych udostępnionych przez mózg elektroniczny bazy nie było o nim żadnej wzmianki, jakby w ogóle nie istniało.

Mopenten przez chwilę przeglądał swój HID.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pod całym terenem bazy znajdują się tunele wybudowane przez Azjatów. Kierownictwo i uczeni zdecydowali, że wszystkie wejścia oprócz prowadzącego pod BFI należy zabezpieczyć. Takie same opancerzone wejścia znajdują się podobno pod halami produkcyjnymi i pod głównym reaktorem.

Woroszyłow jeszcze przez chwilę przyglądał się klapie. Była o wiele większą przeszkodą niż ściany całej kopuły, a nawet skały, w które częściowo została wbudowana.

- A dlaczego nie ma jej w danych AI? - zapytał.

Mopenten wzruszył ramionami.

- Chyba dlatego, że chodzi tu o totalne utajnienie. Zamiast przełamywać takie zamknięcie, lepiej byłoby przewiercić się obok przez podłogę.

To mógł być istotny powód.

- Przegląd będziemy prowadzili, kierując się do góry, zawsze poczynając od obwodu ku środkowi. Personel obsługowy zobowiązuje do meldowania o wszystkich niesprawnościach i brakach technicznych - rozkazał Woroszyłow.

- W jaki sposób mamy postępować? - zapytał Mopenten.

W jego głosie brzmiała obawa, czy nie będzie to bojowe zabezpieczenie poszczególnych pomieszczeń, które prowadzili do tej pory. Oznaczałoby to dla wszystkich ciężką harówkę.

- Z najwyższą ostrożnością, poruczniku. Jesteśmy na pierwszej linii. - Woroszyłow potwierdził jego najgorsze obawy.

Spice przyglądała się mapie stale wykreślanej przez HID. Płatanina korytarzy wpędzała ją w depresję. Może z powodu nierównych ścian, nienasuujących skojarzeń z żadną znaną techniką wykonania. Nie wiadomo, jak Azjaci wykonali te tunele. Dziwiła się, że technicy Byutechu nie przebili później jakiegóż krótszej, prostszej drogi.

Na czele grupki szedł Chorybd w towarzystwie dwóch żołnierzy, blisko nich trzymał się Graham. Ubrany w kombinezon roboczy wyglądał niezwykle krucho w porównaniu z idącym w skafandrze najemnikiem. Nie więcej niż krok za nimi podążali Azmud z Wellerem. Chociaż obaj byli ekspertami od nanoniki, nie rozmawiali ze sobą prawie wcale. Zamykający pochód Watanabi milczał przez cały czas. Graham natomiast miał wiele do powiedzenia.

- Wszystkie drzwi, które minęliśmy, wiodą do opuszczonych laboratoriów. Zlikwidowali je przed odlotem. Piętro, nie, dwa piętra niżej - poprawił się, patrząc na mapę - znajdują się laboratoria, w których pozostało wyposażenie. Tylko je zakonserwowali.

Chorybd, posuwający się przed Spice, nagle stanął. Graham zareagował z opóźnieniem i wpadł na niego.

- Przepraszam - powiedział.

Spice połączyła się z Chorybdem. Powinien jeszcze leżeć w łóżku, ale kuracja Finchera, do której używał najnowocześniejszych metod i techniki, przebiegała jak zwykle bardzo szybko i program medyczny stwierdził, że niewielki wysiłek nie powinien spowolnić procesu gojenia. Była zadowolona, że jest razem z nimi. Jak zwykle niósł ze sobą taki arsenał, że mógłby walczyć ze statkiem wojennym.

Radar pokazywał, że korytarz jest pusty, ale odbicie z jego końca ukazywało sygnał o nietypowej charakterystyce. Bojowe ikony Chorybda wyskakiwały jedna za drugą.

- Inny materiał ścian. Odmienny stopień odbijania - odezwał się jakby zza ich pleców głos Brassiego.

W rzeczywistości najemnik siedział w centrum i obserwował ich postępy za pośrednictwem sygnału przekazywanego przez stacje retransmisyjne. Byutech zainstalował tu wprawdzie własny kanał łączności, ale nie chcieli polegać wyłącznie na nim.

Chorybd ostrożnie ruszył przed siebie, a kiedy jego WPCE potwierdziło analizę wykonaną przez Brassiego, czaszki ze skrzyżowanymi piszczelami, jakie pokazywał jego HID, zaczęły blednąć.

Azmud i Weller nie zainteresowali się krótkim postojem, ponieważ obwody, jakich najemnicy używali do komunikacji między sobą, nie były dla nich dostępne. Nadal trwali w uporczywym milczeniu. Odwrotnie niż Graham, który po krótkiej przerwie znowu zabrał głos. Spice najpierw podejrzewała, że chce się dostać do jej łóżka, ale później jego wylewność zaczęła tłumaczyć sobie faktem, że skostniałe i niezwykle ostrożne kierownictwo naukowe Byutechu uniemożliwiało mu rozmowę z kimkolwiek na temat jego teorii i realizacji programów badawczych.

- Przepraszam, ale miałam majora na odbiorze. Czy mógłby pan powtórzyć dwa

ostatnie zdania? - przerwała mu.

Był w gruncie rzeczy sympatyczny, a to, co mówił, miało duże znaczenie, więc poświęcała mu sporo uwagi.

Zrozumiał i zaczął od początku. Tymczasem zeszli po kolejnych kręconych schodach, prawdopodobnie wiodących dawniej wokół szybu windy.

- Właśnie wchodzimy do obszaru, którego Azjaci nie wysprząkali, tylko dość prymitywnym sposobem zakonserwowali - objaśniał Graham. - Sądzymy, że labirynt, którym tu doszliśmy, służył jako dodatkowe zabezpieczenie. Stare wyposażenie usunięto podczas pierwszych prac Byutechu, mnie wtedy jeszcze tu nie było.

Spice zadrżała. A więc przed stu trzydziestu laty wykopali labirynt długi na dziesiątki kilometrów, naszpikowany mnóstwem barier tylko po to, żeby bronić się przed czymś, co i tak ich dopadło. A poprzednicy Grahama wszystko to usunęli.

- Ale my już w podziemiach nie eksperymentujemy z niczym nowym - odgadł jej myśli. - Tylko bardzo ostrożnie, zachowując wszelkie środki zabezpieczające, częściowo ożywiamy to, co przed stu trzydziestu laty zostało zakonserwowane. Nasze własne badania i produkcja odbywają się w trzech roboczych kopułach. A one są znakomicie zahermetyzowane - dokończył z zadowoleniem.

Spice pokiwała głową, aż jej kolczyki zadzwoniły.

- Wobec tego co zestrześli „Elizabeth”? Co zniszczyło komando waszych żołnierzy i o mało co nie dostało również moich partnerów?

Graham zawahał się.

- Tego nie wiem - przyznał. - Mam za mało informacji.

- Jesteśmy na miejscu - przerwał ich konwersację doktor Azmud. - Laboratorium X5. Tu Azjaci pracowali nad swym ostatnim projektem. Sami się przekonacie, że teorie mojego kolegi doktora Grahama są pozbawione podstaw, ponieważ ten twór... - Azmud zamilkł, zakaszłał i poprawił się: - Ten hardware, który Azjaci stworzyli, nie został przez nas ożywiony nawet w części.

Spice nie poświęcała uwagi wystąpieniu uczonego, obserwując Chorybda. Nie używając łączności, dwoma jednoznacznymi gestami wskazał żołnierzom, gdzie mają się przesunąć. Sam stanął naprzeciw drzwi opatrzonej potrójnym paskiem z napisem ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE. Wojskowi Byutechu patrzyli na niego jak na niebezpiecznego wariata, żaden z nich nie zauważył, że chwilę przedtem wypuścił zestaw mikrorobotów, które przylepiły się do drzwi, sprawdzając czujnikami, co się za nimi znajduje. Jednemu udało się nawet przeniknąć do wnętrza. Nie świadczyło to najlepiej o zabezpieczeniach poczynionych

przez doktora Azmuda. Spice miała już na HID-zie zdeformowany obraz z mikrokamery. Szczegółów nie mogła rozróżnić, ale bojowy software nie wskazywał na żadne bezpośrednie zagrożenie. Do takiego samego wniosku najwyraźniej doszedł także Chorybd, ponieważ jednym potężnym kopniakiem wywalił drzwi. Pancierz wytrzymał uderzenie ekoszkieletu, ale zawiasy już nie. Chwilę później najemnik znalazł się pośrodku sali, na moment rozżarzył się jak słońce pod wpływem długofalowego i krótkofalowego spektrum - systemy lokacyjne skafandra, działając we współpracy z celownikiem broni, przepatrywały okolicę. Jednak laboratorium było ciche i opuszczone, tak jak mówił Azmud. Żołnierze zgodnie z ustalonym harmonogramem wtargnęli do wnętrza i zabezpieczyli pomieszczenie.

- Temu waszemu goryłowi wydaje się, że jest superbohaterem z komiksu czy co? - Watanabi przerwał w końcu długie milczenie.

Spice darowała sobie niegrzeczną odpowiedź, jaką miała na końcu języka, ale Brassi nie wytrzymał.

- On by tym wszystkim komiksowym supermanom nakopał do tyłka, panie kierowniku. Jeśli ktoś mógłby nas w razie potrzeby ratować, to tylko on.

Graham zakrztusił się zupełnie jak chłopak usiłujący ukryć przed nauczycielem parsknięcie śmiechem. Azmud udawał, że niczego nie słyszał.

Spice weszła do środka, nie zwracając na nich uwagi.

Pulpity sterujące przyrządów wydały się jej dziwnie obce, niektóre klawiatury nie były opisane literami łacińskimi, lecz znakami kanji, nieczynne ekrany ktoś niedawno zakleił nowoczesną folią projekcyjną. Poza kilkoma niemrawo pobłyskującymi kontrolkami, większość przyrządów była martwa.

- To wygląda bardziej na kryptę niż laboratorium - powiedziała rozczarowana. Nawet w panującym półmroku mogła dostrzec parę, jaka tworzyła się podczas oddychania.

- To prawda. Ich urządzenia techniczne uruchamialiśmy tylko dla pozyskania informacji. Wszystkie prace prowadzimy przy pomocy własnej, niezależnej aparatury - odparł szybko Graham, jakby uznał tę uwagę za atak na jego osobę.

- Tam znajduje się zbiornik z AI. - Wskazał w kierunku otwartych, dwuskrzydłowych drzwi, prowadzących do przyległego pomieszczenia.

Spice zrobiła krok do przodu i usłyszała, jak jej pod nogami zachrzącał śnieg. W laboratorium panował specyficzny mikroklimat, spowodowany prawdopodobnie bardzo rzadką aktywnością techników Byutechu w tym rejonie.

Nie odpowiadając na ostrzeżenie Chorybda, pierwsza weszła do sali i zatrzymała się przed ogromnym zbiornikiem przypominającym średniej wielkości willę. Po matowych

ścianach, tu i ówdzie poplamionych rdzą, wily się tysiące przewodów elektrycznych i hydraulicznych, w przypadkowej konfiguracji wystawały dziwaczne elementy zupełnie nieznanego jej wyposażenia. Ten trzypiętrowej wysokości twór przypominający mechaniczny guz rakowy był w rzeczywistości zbiornikiem odżywki, w razie potrzeby nawet olbrzymią macią. Wszystko zależało od punktu widzenia. Przypomniała sobie obraz rozpadającego się statku kosmicznego, rozdarte ciała szybujące w próżnię i poczuła ulgę na myśl, że komora jest martwa.

- Spice? - wyrwał ją z zadumy głos Brassiego.

- Tak? - potwierdziła odbiór.

- Mamy pewien mały problem.

Brassi prawie szeptał.

- Zrobiłem szczegółową analizę zużycia energii. Gdzieś się gubi dwieście dziewięćdziesiąt miliwatów. To poniżej progu czułości przyrządów kontrolnych. A według wskazań infra te brakujące miliwaty znikają tam, gdzie się właśnie znajdujecie.

Woroszyłow szedł pośrodku formacji, otoczony pozostałymi żołnierzami oddziału. Przyzwyczał się już uważać ludzi Mopentena za swoich. Przechodzili teraz przez korytarz oddzielający wspólne pomieszczenia od prywatnych. Jeszcze bliżej płaszcza kopuły znajdowały się składy, pełne potrójnie załogowanych mechanizmów, które powinny nawet przy rozległym uszkodzeniu utrzymać standard pomieszczeń mieszkalnych zaopatrzonych w tlen i ogrzewanych. Ludzie w kosmosie byli w sytuacji kryształowej szklanki nieustannie wystawianej na atak młotem pneumatycznym.

Tacy właśnie ludzie wyglądali teraz zza drzwi prywatnych kwater, z niepokojem obserwując pochód zbrojnych, którzy przeglądali i zabezpieczali jeden kąt po drugim. Ciekawskich nie było wielu, Woroszyłow zaplanował inspekcję na czas ośmiogodzinnej zmiany nocnej.

- Wspólne pomieszczenia sprawdzone, czujniki rozmieszczone - zameldował Mopenten, kiedy skończyli kolejną część przeglądu.

Woroszyłow sprawdził czas. Pracowali już ponad cztery godziny i dane medyczne słabszych członków zespołu wskazywały narastające zmęczenie.

- Piętnaście minut odpoczynku, niech pan zaleci ludziom, żeby coś zjedli. A tym - Woroszyłow podał porucznikowi listę z kilkoma nazwiskami - żeby się wzięli za trening. Za czternaście dni chcę ich widzieć w pełnej kondycji.

Mopenten potwierdził rozkaz. On sam nie miał tak dokładnych informacji o stanie

fizycznym swoich ludzi. Po pierwsze, taki system kontroli stał w sprzeczności z przepisami wojska Byutechu, a po drugie, mało kto umiał rejestrować on-line taką ilość danych jak najemnicy. Mówiono nawet, że są do tego zdolni tylko dzięki organicznemu silikonowi umieszczonemu w przednim płacie mózgowym. W przypadku Woroszyłowa było to możliwe dzięki wrodzonej predyspozycji i uporczywemu treningowi.

Gdy żołnierze odpoczywali, pożywiając się koncentratami energetycznymi, Woroszyłow przeglądał dane dotyczące bieżącej eksploatacji kopuły BF2. Nie miał po temu większych powodów, ale chciał poznać szczegóły jej pracy, rytm produkcyjny. Niczego interesującego nie odkrył i posłał majorowi standardową informację o dotychczasowym przebiegu operacji.

Gunner, Fincher i pozostali przebywali gdzieś na zewnątrz, nie miał z nimi bezpośredniej łączności, a nie chciał porozumiewać się za pośrednictwem ogólnego nadajnika bazy, który mógł być podsłuchiwany przez niepowołanych ludzi.

- Spice? Masz jakieś nowinki? - zapytał na obwodzie najemników, opartym na systemie komunikacyjnym podporządkowanym AI bazy.

Chwilę potrwało, zanim ikona Spice zapaliła się. Zapewne ustawiła mocniejszy filtr informacji przychodzących.

- Razem z Azmudem, Wellerem i Grahamem przeglądam ich dane. Niczego sobie po tym nie obiecuję. Nuda na dłuższy czas - odpowiedziała ze zniechęceniem.

- No to nie przeszkadzam. Zdaje się, że zabezpieczanie pomieszczeń to przy tym pestka - dorzucił ironicznie na pożegnanie.

To musiało jej się całkiem spodobać, bo zakończyła połączenie bez dodatkowych uwag.

Upłynęło piętnaście minut, żołnierze jeden po drugim meldowali gotowość. Ostatni z nich zgłosił się na pięć sekund przed końcem terminu.

- Przejdziemy przez składy - oznajmił Woroszyłow - a kajuty prywatne skontrolujemy dopiero na początku zmiany dziennej.

Usłyszał kilka westchnień, ale nie skomentował ich. Wojna jest pracą, najtwardszą, jaka istnieje. Szansę na przeżycie miał tylko ten, kto nie zaniedbywał żadnego, nawet drobnego szczegółu, nie popełniał błędów i miał przy tym trochę szczęścia. A jeśli przeżył, to tylko po to, żeby podjąć się następnego zadania.

Składy A2 były właściwie puste i długo się w nich nie zatrzymali. Kiedy wrócili na główny korytarz okrężny, wartujący pies-robot, którego Woroszyłow zabrał ze sobą, coś wyczuł. Cyrkulacja powietrza wykazywała niewielkie wahania. W granicach normy,

odchyłka od niej wynosiła kilka tysięcznych.

- Co teraz? - Porucznik zatrzymał się przed drzwiami do pomieszczenia, które zamierzali właśnie skontrolować.

Woroszyłow nie wydał żadnego rozkazu, uważnie się rozglądając. Korytarz wyglądał nadal na opuszczony, z jego końca dochodziło bardzo ciche huczenie agregatu, odgłos instalacji pneumatycznej, znajome dźwięki przerywane od czasu do czasu głośniejszym trzaskiem spowodowanym rozszerzalnością cieplną materiału. Różnica temperatur pomiędzy wewnątrz budowli a przestrzenią zewnętrzną sięgała kilkuset stopni. Czujniki niczego nie wykrywały. Fluktuacja ciśnienia mogła być przypadkowa, ale on w przypadki nie wierzył. Ci z jego licznego rodu, którzy przeżyli dostatecznie długo, żeby mieć potomków, nigdy nie wierzyli w przypadki, tak samo jak wszyscy prawdziwi żołnierze wojujący od początku historii ludzkości.

- Co robić? - powtórzył zaniepokojony Mopentem.

- Niech pan idzie za mną - rozkazał Woroszyłow - a reszta będzie nas ubezpieczała aż do następnych rozkazów.

Ostrożnie ruszył korytarzem. Ikony bojowe ostrzegawczo świecące na czerwono, akumulator zasilający ekoszkielec, elementy pancerza i komplety broni pozostawały w najwyższym pogotowiu.

System kompleksu nagle zaczął chodzić jak zegarek, jakby przestraszył się aktywności programów poszukiwawczych. Fluktuacje ciśnienia spadły do zwykłego poziomu, a nawet poniżej.

- Spice? - nawiązał łączność, wysyłając jednocześnie automatycznie generowany meldunek o sytuacji. - Czy mózg elektroniczny bazy może kłamać?

Zapadło długie milczenie, tak długie, że Woroszyłow wykrzywił wargi w grymasie przypominającym uśmiech. Jego ludzie zgodnie z rozkazem meldowali gotowość bojową i posuwali się za nim, utrzymując formację „diament”.

- Mózg elektroniczny? Nie, oczywiście, że nie.

Woroszyłow stanął przed drzwiami prowadzącymi do prywatnego pokoju AB12, należącego do A.C. Hiery'ego, kierownika działu termotechniki.

- No to w jaki sposób teraz właśnie kłamię? - zapytał cicho.

Infra pokazywało, że temperatura drzwi i przyległego do nich muru jest o dwadzieścia stopni niższa od zewnętrznej i właśnie zaczęła się na nich kondensować woda.

- Powiedziałbym też, że ty nie jesteś żadna Spice, tylko ktoś zupełnie inny.

Tych drzwi Woroszyłow nie wykopał, tylko po prostu przebił się przez nie do środka.

Temperatura spadła skokowo o osiemdziesiąt stopni, biała mgła ograniczała widoczność niemal do zera, ale WPCE natychmiast zmieniło system obrazowania i pokazało okolicę za pośrednictwem szerokopasmowego radaru krótkiego zasięgu. Woroszyłow, nie zatrzymując się, przebiegł przez miniaturową pracownię do następnego pokoju, który według planu służył za sypialnię. Przebił się przez ścianę, to była najkrótsza droga. Utwardzony poliuretan rozpadł się na tysiące drobnych kawałków, w sypialni temperatura wynosiła zaledwie sto kelwinów i infra automatycznie przełączyło się na inne pasmo rozdzielczości. A.C. Hiery, czy raczej to, co z niego zostało, leżał na łóżku, nad nim pochylał się wysoki cień, widoczny na radarze jako twór z niewyraźnymi, jakby kosmatymi brzegami. Z górnej jego części zwieszało się coś na kształt trąby słonia rozwidlającej się na pęk zwięzających się czułków, zanurzonych w ciele człowieka. Gdy najemnik wtargnął do sypialni, cień płynnie się odwrócił i Woroszyłowa oślepił silny błysk, momentalnie stłumiony przez układ optyczny. Wydawało mu się, że przez chwilę widział wypukłe oblicze, będące powierzchnią pulsującej szklanej soczewki. Jego prawa ręka wystrzeliła, piła weszła na pełne obroty, łańcuch z superwytrzymałego stopu pędzący z prędkością tysiąca metrów na sekundę wgrzył się w cień, w ułamek sekundy później stwór dostał kontaktową głowicą udarową, zainstalowaną na prawym ramieniu najemnika. Specjalny materiał wybuchowy był w stanie rozbić dowolne opancerzenie aż do dokładnie określonej głębokości. Broń nazywała się w slangu najemników przebijaczką.

Stwór znieruchomiał. Falowe ruchy przebiegające po jego powierzchni ustały. Woroszyłow nadal widział go tylko jako niewyraźny cień, obraz radaru był z tak bliskiej odległości praktycznie nieczytelny. Nagle istota dosłownie rozpadła się na mnóstwo drobnych kryształków spadających powoli na podłogę. Woroszyłow opuścił wzrok. Stał zanurzony po kolana w drobnym żwirze, który zaczął już syczeć i szybko sublimować do atmosfery. Z A.C. Hiery'ego pozostała zaledwie połowa korpusu z pozbawionym tkanek kręgosłupem, wyglądało też na to, że brakowało rdzenia pacierzowego.

Rozległ się dźwięk alarmu, czujniki ciśnienia wychwyciły fluktuacje, jakie mógł wywołać ruch w bezpośrednim pobliżu Woroszyłowa, jednak optyka, radar i infra niczego nie pokazywały. Na powierzchni ściany z lewej strony pojawiły się zniekształcenia, podobne do fal powstających po wrzuceniu kamienia do wody. Najemnik instynktownie zaatakował. Łańcuch znowu zawył. Aż go ogłuszyło pomimo izolacji dźwiękowej skafandra, ściany stojących w pobliżu szaf popękały od drgań akustycznych. Wirujący metal jak ognisty bicz uderzył w falującą ścianę. I trafił. Woroszyłow nie widział kogo ani w jaki sposób, ale obciążenie broni wraz z odpowiadającym mu ubytkiem energii wyraźnie o tym świadczyły.

- Kontakt z nieprzyjacielem trudnym do zlokalizowania, przechodzi przez ściany, napada na cywili, otoczenie okolicę pomieszczenia AB12. Warunki: kosmos - przekazał kodem bojowym za pośrednictwem WPCE.

HID zapłonął intensywną czerwienią. Coś go trafiło, ale opancerzenie pod wpływem wyładowania elektrycznego na okres pikosekundy zmieniło strukturę, stając się odporniejsze niż jakikolwiek istniejący materiał. Uderzenie energii zniszczyło jednak ochronę; fala ciśnieniowa, drobne odłamki i piana z systemu przeciwpożarowego wydobyły z nicości trzy sylwetki podobne do pierwszego cienia. Były wyższe, a ich gładkie powierzchnie deformowały ostre nierówności oznaczające broń. „Trzynogie odlewy z żelatyny z ożywionym, parabolicznym lustrem w miejscu twarzy” - pomyślał Woroszyłow. Już był przy najbliższym. Przebijaczka jeszcze się nie przekonfigurowała, ale wystarczyła tylko połowa jej mocy. Kolejny stos szybko znikającego żwiru, HID pokazał Mopentena, który strzelał w lewą stronę pokoju, pozostali zaatakowali przyległe pomieszczenia. Jedna ikona osobista zamrugła, zginął pierwszy żołnierz.

- Są wszędzie - zameldował Peterson, dowodzący atakiem na sąsiednie pokoje mieszkalne.

- Jeśli nie pożerają ludzi od razu, to gdzieś ich odnoszą - krzyknął ktoś inny.

Woroszyłow widział to na własne oczy. Kilkoma skokami przy pomocy wzmacniacza ekoszkieletu pokonał pusty pokój mieszkalny i przebił się do następnego.

Trzy szkliwiaki, jak je nazwał, właśnie przenikały przez przeciwległą ścianę. Jeden do niego strzelał, według meldunku skafandra - z broni małokalibrowej, dwa inne wynosiły ludzkie ciało, z pozoru nieuszkodzone. Ale z pewnością martwe, ponieważ w pomieszczeniu było nie więcej niż sto sześćdziesiąt kelwinów, ściany i podłogę pokrywał szron z wody zawartej w atmosferze bazy. Kontury obcych istot stopniowo zacierały się, w miarę jak aktywowały swój niezwykły kamuflaż.

Mopenten zahamował z poślizgiem, wpadając na przewrócone łóżko, i natychmiast otworzył ogień z automatu. Małokalibrowe pociski rozpryskowe znalazły cel i pofałdowały żelatynową powierzchnię ciała strzelającego cienia. Być może spowolniły go odrobinę, ale wydawało się, że nic więcej.

- Grupa B została otoczona, jest ich zbyt wielu! - meldował Peterson zdyszczanym głosem. W tle słychać było grzechotanie automatów i jęki kogoś, kto umierał zbyt wolno.

Podłoga jakby zapłonęła, lecz nie był to ogień, raczej szczególnego rodzaju tłące się wyładowanie, niszczące lód. Równocześnie temperatura w pomieszczeniu szybko opadała. Woroszyłow rzucił się naprzód z wyciągniętym przed siebie łańcuchem piły. Tym razem

supertwardy metal napotkał godnego siebie przeciwnika, obciążenie akumulatora skoczyło do maksimum, daleko poza granicę określoną w instrukcji. Woroszyłow uderzył piersią w mglistą sylwetkę, HID meldował o totalnym przeciążeniu, utrata energii przekraczała wszystkie awaryjne zakresy. Przez chwilę stał przed stworzeniem o pół metra wyższym od niego, ale niezmiernie szczupłym. „Nie jest z wosku - myślał - raczej z cieczy obdarzonej życiem”. W najwyższej części stwora, służącej jako organ obserwacyjny, widział niezmienną płaszczyznę idealnego lustra, w którym odbijał się jego hełm z przeziernikiem, pokrywanym się zamarzającym azotem, tlenem i tlenkiem węgla. Prawie niezmienną, poprawił się, gdy dostrzegł wolno przebiegającą falową deformację. Piła zagłębiła się w czymś niewidzialnym i tak odpornym, że wirujący metal stopił się i wyparował, nie uszkodziwszy poważnie pancerza. Przebijaczka nadal nie była gotowa. Uderzył prawym ramieniem, pancerna pięść ekoszkieletu walnęła z energią równą pięćsetkilogramowemu ładunkowi klasycznego materiału wybuchowego. Drugie uderzenie, superwytrzymała hydraulika meldowała dwudziestoprocentowe uszkodzenie, po trzecim pięćdziesięcioprocentowe i czasową utratę możliwości wykonania ruchu. Czwarte nie było już potrzebne, szkliwiak rozpadł się, a oprócz kryształków na podłogę upadło kilka obłych przedmiotów, na pewno niebędących częściami jego ciała.

Woroszyłow przez sekundę analizował sytuację.

- Peterson, niech pan podejmie obronę statyczną w miejscu, gdzie uda wam się zobaczyć wroga. Użyjcie wszystkich dostępnych środków, aby go wyeliminować. - Marew? - wywołał innego żołnierza, którego dane wydały mu się w porządku. - Chcę, żeby pan połączył się z systemami optycznymi kompleksu niezależnie od AI bazy. Wszystko jedno, jak pan to zrobi, byle szybko. Wynik przekaże mi pan tym kanałem. Jedyne, czego nie wolno panu zrobić, to naruszenie hermetyczności kopuły.

Woroszyłow zamilkł na chwilę, obserwując Mopentena, który w towarzystwie drugiego żołnierza ostrzeliwał okolicę, starając się nie dopuścić do niego mglistych postaci przenikających przez ściany.

- Wszyscy, którzy nie prowadzą ognia, zabezpieczą ewakuację cywilów do ogólnych pomieszczeń w centrum bazy. Przygotujcie się na wypadek dehermetyzacji, nie polegajcie na automatyce, wszystko musi być sterowane ręcznie - rozkazał.

Bojowy software zdążył już określić uszkodzenia hydrauliki i automatycznie oddalił najemnika od strefy ostrzału skokiem długim na dziesięć metrów z odbiciem od stropu. Woroszyłow zupełnie nieświadomie poddał się działaniu elektrohydraulicznych siłowników i jeszcze zanim opadł na podłogę w efektownym koziołku, przygotowywał do akcji swój

wielkokalibrowy karabin.

Mopenteni udało się dokładną serią i wybuchem granatu przeznaczonego do użycia w przestrzeniach zamkniętych zlikwidować kolejnego szkliwiaka.

- Ta broń nie odpowiada protokołowi, za to mogliby pana tu powiesić - oznajmił najemnikowi z sarkazmem na dualnym połączeniu.

- Była rozłożona - powiedział Woroszyłow. - Ale jeśli przeżyjemy, gotów jestem dać się powiesić.

Ostatnia część z trzaskiem wskoczyła na swoje miejsce, wcisnął do magazynku jeden nabój na bazie dihydrazyny i bez celowania wystrzelił z biodra. Szkliwiak znieruchomiał, wydawało się, że absorbował energię uderzenia bez żadnej szkody, ale wtedy eksplodował ładunek burzący. Tego już nie wytrzymał.

Woroszyłow wraz z dwójką żołnierzy zajął kolejną kwaterę prywatną. Według danych w łóżku powinien się znajdować Gref Bashut. Ale pokój okazał się pusty. Ściana naprzeciw nich jeszcze falowała od wycofujących się szkliwiaków. Intensywny ostrzał zmusił ludzi do położenia się na podłodze. Temperatura jeszcze bardziej spadła.

- Poruczniku, mam dla pana zadanie - Woroszyłow zwrócił się do Mopentena, likwidując równocześnie cienie wynurzające się z mgły i chaosu porozbijanych resztek. - Jeśli wszyscy tu zdechniemy, to nie ma znaczenia. Ale major musi się dowiedzieć, co się właściwie stało. Dane mogą uratować pozostałych. Za każdą cenę musi się pan przedostać do kompleksu BFI albo chociaż nawiązać łączność bez pomocy mózgu bazy. Myślę, że cały czas wodził nas za nos.

Porucznik, słysząc polecenie najemnika, zatrzymał się, nawet przestał strzelać, na szczęście równocześnie osłabł ostrzał nieprzyjaciela. Nastąpiła chwila względnego spokoju zakłócanego odgłosami odległej strzelaniny, wyciem syren i ostrzegawczymi apelami systemu bezpieczeństwa, wzywającymi do zachowania spokoju.

Woroszyłow na chwilę porzucił stosowany w boju sposób komunikowania się i zwrócił się do Mopentena wprost.

- Mówiłem poważnie. My tu spokojnie wszyscy zginiemy, byle tylko przekazał pan informację.

A potem nie zwracał już na porucznika uwagi.

- Idziemy do kontrataku, osłaniaj mnie! - rozkazał żołnierzowi, który towarzyszył mu przez cały czas. Nazywał się Kryštof Jelinek i był uzbrojony w standardowy automat. Sądząc po wynikach jego strzelania, miał też co najmniej powtarzalny miotacz granatów z amunicją przeznaczoną do używania na odkrytej przestrzeni. Woroszyłow wcale nie zamierzał go za to

zganić.

Backsyht obniżył przejrzystość HID-u i zaczął obserwować głowicę wiertniczą w realu. Robot prowadzący wiercenie zdążył się już przegryźć pionowo do dołu przez dobre trzydzieści metrów lodu i zgodnie z programem spowolnił tempo wiercenia. Od zalanego zmrożonym metanem celu, który stanowiły pozostałości po walce, dzieliła go już tylko niewielka odległość.

- Jeszcze bardziej go spowolnię, komora spalania się przegrzewa - powiedział Kovacs.

Siedział w fotelu kierowcy transportera i sterował wierceniem. Robota sporządził dzięki skompletowaniu urządzenia wiertniczego z uniwersalną komorą spalania. Pokruszony lód sublimował skutkiem ciepła palnika w tylnej części urządzenia, pod postacią gazu unosił się do góry wywierconą sztolnią, szybko podlegał kondensacji i częściowo zamarzał na ściankach otworu, umacniając je.

Backsyht z początku nie wierzył, że rzecz zmontowana na poczekaniu, według naprędce szkicowanych planów, może tak efektywnie działać. Ale pomалу zaczął się przyzwyczajać, iż jedną z umiejętności najemników było łączenie ze sobą przedmiotów, które z pozoru nie dawały się połączyć, i używanie ich z powodzeniem.

„Suszarka jako miotacz ognia” - przyszedł mu do głowy tytuł rozdziału. Nie porzucił myśli o rzetelnym reportażu, ale miał już wystarczającą ilość materiału do napisania książki, bestsellera nad bestsellerami. O ile oczywiście to wszystko przeżyje, skrzywił się pod wpływem nagłej refleksji.

Gunner z wybranymi przez siebie ludźmi patrolował w pobliżu, według HID-u wszyscy znajdowali się w pełnej gotowości bojowej. Wyposażeni w kameleonowe maskowanie tylko od czasu do czasu wynurzali się z iskrzącego tła metanowego lodu niczym widmowe demony mroźnego piekła.

Backsyht spojrział w niebo. Czerń bez żadnych innych odcieni, czerń gotycka. Nie była stała jak na Księżycu, rzadka atmosfera powodowała migotanie światła niektórych gwiazd. Tak słabe, że mogłoby zdawać się tylko złudzeniem optycznym.

- Czego się dowiemy, kiedy wyciągniemy te przedmioty spod lodu? - zwrócił się do Finchera.

Ten stale analizował i poprawiał mapę anomalii magnetycznych, starając się ustalić, gdzie można odnaleźć kolejne przedmioty.

- Nie wiem. Może nam podpowiedzą, z kim walczyliśmy?

- Alarm czerwony! - Przerwał im sygnał, nadchodzący według HID-u z satelity

wypożyczonego od US Robotics. Atak w kompleksie BF2. Zagrożone życie cywilów. Zagrożony Woroszyłow.

Backsyht już biegł do transportera, stojącego obok badanego obszaru, widząc przed sobą plecy pędzącego Finchera.

- Wszyscy do transportera, ja i grupa C zapewniamy obronę. B zostanie na skrzyni ładunkowej - słyszał wyszczekiwane przez Gunnera rozkazy w kodzie bojowym. Dawniej miał z nim kłopoty, ale teraz nie potrzebował już tłumaczenia.

- Agregat gotowy - meldował Kovacs i maszyna podjechała o metr do przodu.

Backsyht automatycznie przypiął się do fotela, podczas gdy żołnierze przyczepiali broń do uchwytów. Na jego WPCE pojawiło się mnóstwo danych, stopniowo wyłaniał się obraz sytuacji. Informacje nie były dokładne, ale przynajmniej okazało się, że w obszarze BF2 toczy się walka. Nieprzyjaciel zaatakował z zewnątrz, a Woroszyłow z niewielkim oddziałkiem został złapany w kleszcze. Backsyht mimowolnie zadrżał, wyobrażając sobie, jak zacięta musi być walka w kopule, gdzie jeden przypadkowy wystrzał z ciężkiej broni mógł pozbawić życia wszystkich nieposiadających skafandrów.

Goliat ruszył. Na HID-zie przybyło ikon odpowiadających uzbrojeniu wozu pancernego i jego systemów lokacyjnych. Według wskazań przyrządów przestrzeń przed nimi była czysta. Wskaźnik obciążenia silnika wszedł na czerwone pole, przyspieszenie wcisnęło Backsyhta w fotel. Na ogólnym obwodzie odezwały się niepewne pomruki. Żołnierze Byutechu nie byli przyzwyczajeni do stylu jazdy, jaki preferował Kuzmin.

Satelita przekazał im kolejne dane, jak również krótką sekwencję wideo.

Niewyraźne cienie przedzierały się przez mgłę wytworzoną przez systemy przeciwpożarowe, w salach padał śnieg, wszędzie leżały nieruchome ciała. PIEKŁO.

- Depnij mocniej, do cholery - rzucił Backsyht i zacisnął szczęki.

Kuzmin jakby go słyszał, zerwał bezpieczniki i kadłub goliata aż stęknął, kiedy najemnik wyciskał z agregatu więcej niż maksimum eksploatacyjne.

Lód załamał się pod ciężką maszyną, ale transporter pędził już ponad siedemdziesiąt kilometrów na godzinę i w ułamku sekundy znalazł się na pewnym lodzie.

- Tam jest mnóstwo ludzi, grozi im dekompresja. Jak możemy pomóc? - Backsyht zwrócił się wprost do Finchera.

Kovacs wybrał krótszą drogę, decydując się na skok z dwudziestometrowej pochyłości. Uczucie słabego ciężenia zniknęło, transporter zaczął pochylać się wokół osi poprzecznej i dwaj żołnierze spanikowali. Backsyht nie zwracał na nich uwagi, skupiając się na wyświetlanym przez HID przekroju kopuły BF2.

- Mam łączność z miejscowym głównym technikiem, już coś niecoś wiemy - odezwał się zdeformowany głos Brassiego.

Goliat spadł na stały lód, antyprzeciążeniowe elementy skafandra usztywniły szyję, pomimo tego Baksyht przygryzł sobie wargę i poczuł w ustach żelazisty smak krwi. Diagram ataku, wrysowany do schematu kopuły, pojawił się na HID-zie tak krótko, że ledwie zdążył go zarejestrować.

- Może nam się udać, zależy, ile czasu zostało Woroszyłowowi - stwierdził Fincher.

Baksyht przytaknął. Starał się zrozumieć, czego spróbują najemnicy. Nie pojmował, w jaki sposób tak szybko mogą znaleźć rozwiązanie krytycznej sytuacji. Jedno było dla niego jasne - muszą się śpieszyć, cholernie się śpieszyć, jeżeli chcą uratować choć jedno życie z lodowatej próżni Plutona.

Kryštof Jelinek przetoczył się na plecy, oburącz rzucił za siebie dwie wiązki granatów i znów przetoczył się na brzuch, uciekając z linii ognia na korytarzu.

Woroszyłow wysunął się z ukrycia akurat w momencie wybuchu granatów. Wśród ognia, deszczu resztek przedmiotów, odłamków i mgły z kondensującej wilgoci zawartej w atmosferze bazy widział niewyraźne sylwetki szkliwiaków. Wystrzelił trzykrotnie, zanim sam został trafiony. Ostatni pozostały mu system obrony pasywnej doskonale spełnił swą rolę, systemy zabezpieczające życie funkcjonowały sprawnie. Woroszyłow wyskoczył w powietrze dobrze zsynchronizowanym odbiciem mięśni i ekoszkieletu. Z całą mocą uderzył ramieniem pierwszą sylwetkę, zdecydowanie przeciążając akumulator. Drugiego przeciwnika kopnął tak potężnie, że noga przeszła przez niego na wylot, a na podłogę posypały się kryształki.

Jelinek był zawsze o krok za nim. W obu rękach trzymał małokalibrowe automaty i krótkimi seriami ostrzeliwał korytarz przed nimi. Pod osłoną jego ognia dwaj inni żołnierze rzucili się do drzwi, do których dostęp umożliwił im atak Woroszyłowa i Jelinka. Powinno się było za nimi schronić kilkudziesięciu pracowników cywilnych.

- Zaraz ich wyprowadzimy, dajcie nam kilka sekund!

Jelinek nie przestawał strzelać, zapas naboju niebezpiecznie mu się wyczerpywał.

Większość szybko się pojawiających i równie szybko znikających sylwetek uciekała korytarzem, kilku odporniejszych, lekceważąc strumień pocisków, stało, jakby na coś czekając. Na rozkaz do kontrataku?

Woroszyłow nabił swoją wielkokalibrową broń kolejnymi pięcioma nabojami. Strumień piany tryskający z którejś z dysz przeciwpożarowych objął na chwilę jednego ze szkliwiaków, ukazując go wyraźniej. Wysoki na dwa i pół metra wydawał się bardzo

niehumanoidalny, z dwiema kończynami dolnymi i trzecią zdeformowaną, przypominającą ogon, oraz dwoma parami czułek czy może ramion o większej ilości stawów. Opływowe linie głowy i ramion zakłócone były żebrowaniem jakby jakiejś dziwacznej chłodnicy. Czujnik infra wbudowany w skafander Woroszyłowa zarejestrował intensywny wpływ spójnego światła o dużej długości fali. Głowa obcego rozblęśla i pojawiła się na niej idealna powierzchnia ciekłego zwierciadła, w którym odbijały się postacie najemników i panujący wokół chaos.

Szkliwiak uniósł broń. Woroszyłow nigdy takiej nie widział, ale rura o średnicy dwudziestu centymetrów wywoływała tak silne skojarzenie z lufą, że nie wątpił, z czym ma do czynienia. Za sobą słyszał potok ludzi uciekających w bezpieczne miejsce. Tymczasowo bezpieczne. Nacisnął spust. Pięć pocisków o ogromnej sile rażenia wyleciało w dokładnie określonych odstępach i z minimalnym rozrzutem trafiło w cel. Szkliwak zatrząsł się, jego kamuflaż pokryła sieć pęknięć. Woroszyłow widział teraz wyraźnie kształt przeciwnika. Stwór jednak wytrzymał wielokrotne trafienia pocisków i wylot jego broni nadal mierzył w najemnika. Woroszyłow wiedział, że gromada ludzi za jego plecami nawet się jeszcze nie przerzedziła. Pozostał na miejscu, sięgając do pasa po materiał wybuchowy.

Podobne do czułka ramię szkliwiaka poruszyło się, gdy stwór nacisnął spust swojej broni. Czujnik skafandra zarejestrował tylko silny impuls promieni gamma, ale to było wszystko. Szkliwiak jakby głęboko odetchnął, a żebrowanie jego ciała poruszyło się w geście przypominającym ludzkie wzruszenie ramion, połyskliwe zwierciadło na krótko zafalowało. Później opuścił broń, a drugim ramieniem wskazał na najemnika. Woroszyłow nie potrzebował ani analizy matematycznej, ani skomplikowanych tłumaczeń, żeby zrozumieć, co ten gest oznacza. Wystarczył mu instykt wojownika, instykt agresora. Ta gra nie wyłoniła zwycięzcy, jednak następnym razem przeżyje tylko jeden.

W ciągu kolejnej sekundy szkliwiak zniknął i korytarz był pusty.

- Wszyscy do sali C2, zamknąć drzwi! - ryczał Woroszyłow, popędzając ostatnich uratowanych pracowników.

Zaledwie dobiegli na miejsce, rozległ się stłumiony wybuch, cała kopuła bazy zatrząsła się, a ciśnienie w ciągu sekundy spadło o dziesięć kilopaskali. Napastnicy wysadzili fragment zewnętrznej powłoki, niszcząc szczelność bazy.

Ludzie krzyčeli, ogarnięci paniką bili się o kilka skafandrów, jakie były do dyspozycji. Żołnierze Woroszyłowa wraz z paroma technikami biegali z ciśnieniowymi butlami piany uszczelniającej, starając się zatkać wszystkie otwory w ścianach sali. W rurociągach wentylacyjnych coś zagrzechotało, z trzaskiem zapadły hermetyczne grodzie bezpieczeństwa, cyrkulacja ustała i powietrze znieruchomiało. Wraz z ciszą, jaka nastąpiła,

ludzie się uspokoili.

Woroszyłow popatrzył na ocalonych. Wielu było rannych, kilku leżało bez przytomności. Ciśnienie spadało teraz powoli, aż zatrzymało się na poziomie połowy przepisowego, ale zaczęła spadać temperatura. Dwadzieścia jeden stopni, dwadzieścia i pół...

WPCE przeprowadziło obliczenia - zostało im niecałe dwadzieścia sześć minut. To znaczy, że mogli wybierać pomiędzy uduszeniem się a zamrożeniem.

- Im mniej się będziecie poruszać, tym większe macie szanse - oznajmił i odwrócił się ku drzwiom, aby stawić czoła ewentualnemu wrogowi.

Wiedział jednak, że nikt się nie pojawi. Eksplozja była zemstą za odparty atak.

Temperatura spadła o kolejny stopień.

Kuzmin zahamował tak gwałtownie, że gąsienice wgrzyzające się głęboko w zamrożony metan nie powstrzymały siły bezwładności i transporter przez kilka chwil ślizgał się po nierównej powierzchni, wrywając z lodu mniejsze i większe kawałki.

- Zespół C desant, zabezpieczyć okolicę BF2 - rozkazał Gunner.

HID ukazywał ludzi zeskakujących ze skrzyni ładunkowej wozu pancernego i rozpraszających się po okolicy. Równocześnie aktywowały się obie wieżyczki strzeleckie goliata, synchronizując pole ostrzału z piechotą.

- Mój zespół przeprowadzi wejście do BF2, oddział techniczny tuż za nami zabezpieczy ewakuację.

Backsyht odpiął pasy i gdy przyszła jego kolej, skoczył ku wyjściu z wozu. Na jego ikonie osobistej żółto wyświetlał się czas, w jakim powinien opuścić transporter. Jeśliby wystartował zbyt późno, przeszkodziłby następnemu. Znalazł się na zewnątrz i odszedł szybko kilka kroków, żeby zwolnić miejsce.

Pozostali żołnierze przebiegali obok niego. On sam, Fincher, jeden sierżant wojsk Byutechu i ludzie, którzy mieli dopiero nadjechać, należeli do zespołu technicznego.

- Spluwę przypnij tutaj - zwrócił mu uwagę Fincher, wskazując rzep na udzie, gdzie miał zamocowaną swoją broń. - To automat średniego kalibru.

Zasobnik z ciekłym materiałem strzelniczym lekarz przymocował sobie na plecach. Backsyht zauważył, że również trzyma w ręce broń. Mniejszą i prostszą niż Fincher, bez zasobnika, z założonym długim magazynkiem i zapasowym wsuniętym w otwór kolby. Nie pamiętał, żeby po nią sięgnął, ktoś musiał mu ją wcisnąć.

- Zrozumiałem - potwierdził i umocował automat w uchwycie.

W chwilę później już o nim zapomniał na widok kopuły. Powłoka była w wielu

miejskach podziurawiona, z kilku czarnych otworów tryskały gejzery gazu, który szybko zamieniał się w ciecz, zamarzając i tworząc chmurę białego śniegu i kryształków lodu. To atmosfera - zrozumiał natychmiast. Błyskawiczną przemianę gazu w lód powodował mróz panujący na Plutonie. Czy tam mógł ktokolwiek przeżyć? Czy nie przyjechali bez potrzeby? Uległ zalewowi ponurych myśli.

Odpędził je, wrócił do transportera i nacisnął dźwignię magnetycznych mocowań skrzynki montażowej, HID potwierdził pozwolenie na jej użycie, więc kontener oddzielił się od korpusu wozu i opadł na płozy przymocowane w dolnej części. Baksyht zaczął go popychać w kierunku kopuły, do miejsca wyznaczonego przez HID. To miejsce wybrał główny technik Byutechu. Z niego prowadziła najkrótsza i najłatwiejsza droga do sali, w której czekał Woroszyłow wraz z uratowanymi cywilami.

- Fahrey? Gdzie jesteś? Czekamy na miejscu! - usłyszał Finchera starającego się ściągnąć zasadniczą część grupy technicznej, która miała dotrzeć od strony BFI. - Kieruj się na radiolatarnię, jesteśmy z Baksyhtem na miejscu!

Baksyht zdołał już otworzyć kontener i rozmieszczał ładunki wybuchowe w miejscach wskazanych przez schemat wyświetlany bezpośrednio na powłoce bazy. Konieczne było nie tylko jej otwarcie, ale i szybkie zamknięcie. Resztę grupy powinna dowieźć Fahrey wraz ze specjalistami Byutechu.

- Będę u was za dwadzieścia sekund - usłyszeli w końcu jej głos.

Przez moment przypominała mu majora. Mówiła tak samo chłodno i dobitnie jak on.

- Może oni nie mają już tych dwudziestu sekund - rzucił Fincher i nerwowo kręcił się koło Baksyhta.

Ich praca zbliżała się do końca.

- Zatrzymali mnie. Ci tchórze twierdzili, że wewnątrz nikt nie przeżył i nie ma sensu ryzykować własnym życiem. Musiałam ich namówić.

Mniejszy pojazd, załadowany do pełna, wynurzył się z płytkiej dolinki, ledwie dostrzegalnej na pierwszy rzut oka. Tuż przed nim mignął zwiadowczy pies-robot.

- Przestrzeń zabezpieczona, nieprzyjaciela nie dostrzeżono - odezwał się skądś Gunner.

Pojazd zatrzymał się tuż przed nimi. Wyglądało na to, że na nich wpadnie, ale Fincher nawet nie drgnął, Baksyhtowi nie wypadało zrobić nic innego, jak pójść w jego ślady.

- Jak ich pani namówiła? - zapytał, podczas gdy z transportera wyskakiwali ludzie w roboczych skafandrach i zaczęli zdejmować ze skrzyni ładunkowej wyposażenie, którego przeznaczenia nie mógł się nawet domyślać.

Pracowali szybko, byli bardzo zmobilizowani. Ubrani w robocze skafandry, pozbawione ekoszkieletu, pancerza i wyposażenia bojowego, wydawali się mali i delikatni.

- Dwóch najgłośniejszych wyrzuciłam na lód. Jeśli zdążymy i będzie to miało sens, wrócimy po nich. Teraz zbierajmy się, idziemy do środka.

Backsyht posłuchał i szybko zapomniał o dwóch ludziach pozostawionych na lodowej pustyni, ponieważ zajął się wypakowywaniem sprzętu ratowniczego, który mieli później wnieść do wnętrza. Nadmuchiwane worki, butle z tlenem, zestawy pierwszej pomocy.

Przy ścianie kompleksu już zaczęła tworzyć się narośl piany silikonowej i w ciągu dwudziestu sekund osiągnęła wymiary piętrowego domu. Dwóch ludzi wetknęło w tę masę stalowe wsporniki, na których zamocowali wlot tunelu prowadzącego prosto do transportera. Maszyna cofała się, a z jej drzwi desantowych odwijał się podobny tunel.

Silikonowa piana zapewniała zarówno izolację cieplną, jak i szczelną barierę, która na krótki czas umożliwiała uzupełnienie ciśnienia wewnętrznego do wartości jednej trzeciej normalnej atmosfery.

- Odpalać, wchodzimy do środka - zabrzmiał na ogólnym obwodzie głos jednego z techników.

Backsyht ani nie usłyszał, ani nie zobaczył eksplozji.

- To wszystko gówno warte. Tam już wszyscy muszą być martwi - odezwał się któryś.

Backsyht miał ochotę ryknąć na niego, żeby zamknął gębę, ale zamiast tego wywołał symulację zaniku ciśnienia i temperatury w uszkodzonym kompleksie. Jako dane wyjściowe przyjął moment dekompresji i odcięcia od sprawności cieplnej reaktora.

Westchnął głęboko, czując, jak opuszcza go nadzieja. Pesymista miał rację. W kopule nie pozostało śladu powietrza, nawet w wewnętrznych pomieszczeniach temperatura zbliżała się do minus stu siedemdziesięciu stopni Celsjusza. Dehermetyzacja znacznie przyspieszyła proces wychładzania kopuły.

- W porządku, generatory piany pracują całą mocą, już posuwamy się korytarzami. Trzymamy się tuż za czołem reakcji - zameldował kierownik zespołu technicznego.

- U pana w porządku? - zapytał Backsyhta Fincher, zakładając na plecy pakunek z materiałami ratowniczymi i medycznymi.

- Jasne - odparł dziennikarz bez namysłu i też wziął sprzęt.

Technik otworzył im boczny przepust z prowizoryczną komorą ciśnieniową i już po chwili szli przygarbieni tunelem utworzonym z niezupełnie jeszcze zestalonej piany. Na podłodze syczały butle tlenowe i helowe oraz hałasowały dmuchawy ciepłe. Idący na czele wytwarzali pianę, drugi zespół metodą chemiczną kształtował tunel, trzeci zabezpieczał jego

stabilność, a czwarty pilnował, żeby uratowani nie udusili się ani nie zamrzli w drodze do bezpiecznego miejsca.

Ale jacy uratowani? Przy minus stu siedemdziesięciu stopniach i prawie absolutnej próżni? Takie pytania zadawał sam sobie Backsyht, potykając się w tunelu. On i Fincher tworzyli piąty zespół, ratowniczo-medyczny.

- Jestem przy ścianie sali B2, gdzie powinni się znajdować. Rodzaj ściany zgadza się, przygotowujemy ładunki, połóżcie się na podłodze.

Backsyht posłuchał.

- Panie Boże, niech tam będą żywi, proszę - mamrotał sam do siebie. Przed sobą miał kałużę ciekłego tlenu, która szybko parowała w miarę podwyższającej się temperatury. Bóg jednak mieszkał daleko - na Ziemi. Gdzieś na słonecznej plaży albo pomiędzy dużymi, zielonymi drzewami, zresztą może nawet na pustyni wśród wysokich sukulentów. Tam, gdzie można było żyć, a świat był człowiekowi przyjazny.

Tym razem usłyszał eksplozję. Dźwięk był przeciągły, jakby ktoś szybko przeciągnął ostrzem piły po stalowej powierzchni.

- Jesteśmy w środku!

Rozległo się syczenie spowodowane wyrównywaniem się ciśnienia.

- Medycy! Lekarz!

Fincher podniósł się tak szybko, jak do startu na setkę. Backsyht pobiegł za nim.

Ujrzał salę oblepioną pianą izolacyjną, ludzi stłoczonych wokół naprędcy skleconych grzejników elektrycznych, do których jak elektroniczny Chrystus przypięty był Woroszyłow, częściowo pozbawiony skafandra z odsłoniętym akumulatorem.

Druty jeszcze żarzyły się na czerwono.

- Energia prawie się kończy - oznajmił Woroszyłow na kanale najemników. - Zostawcie mnie na sam koniec. Tak rozładowane źródło energii jest trochę niestabilne.

Fincher bez żadnej zwłoki zaczął zajmować się cywilami i po stwierdzeniu, w jakim są stanie, posyłał ich od razu do tunelu albo aplikował lekarstwa i nakazywał odniesienie rannych przez zespół techniczny.

Backsyht nawiązał łączność z Brassim i przekazał mu wszystko, czego dokonał Woroszyłow.

- Pan też będzie musiał coś zrobić, do dezaktywacji potrzebne jest pańskie WPCE - oznajmił Brassi. - A to dość ryzykowna sprawa.

Backsyht patrzył na odchodzących ludzi, skala termometru pokazywała minus sto siedemdziesiąt stopni i pomału szła w dół.

- Niech mi pan powie, co mam zrobić - odpowiedział bez wahania.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

NIEOCZEKIWANY SOJUSZNIK

Gunner stał przed płytą zakrywającą dostęp do ręcznego sterowania obiegiem powietrza. Już wcześniej przeprogramował oświetlenie tak, żeby pozostawać we względnym cieniu. Dostał nakaz strzeżenia bezpieczeństwa podczas przygotowywanego zebrania. Znał majora wystarczająco długo i wiedział, co oznacza ten zwięzły rozkaz. Dowódca nie wykluczał kłopotów, a on i Kuzmin byli najskuteczniejsi w ich rozwiązywaniu. Gunner pomyślał o Kuzminie, nie przerywając obserwacji drzwi i całej sali. Kuzmin był chyba jeszcze lepszy, jednak pozostawiał za sobą zbyt wiele trupów. Nie dlatego, że lubił zabijać, ale po prostu używał tylko najskuteczniejszych i najszybciej działających środków.

McBane chciał, żeby w razie walki w sali pozostało jak najwięcej żywych ludzi.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł Fincher. Rozejrzał się, obrzucił krótkim spojrzeniem grupę burzliwie dyskutujących członków kierownictwa Byutechu, kiwnięciem skwitował obecność Gunnera i krótko zameldował:

- Sala operacyjna przygotowana.

Jako następna przyszła kapitan Fahrey. Bez swoich ludzi, tylko w towarzystwie Woroszyłowa. Gunner lekko dotknął pistoletu znajdującego się w kaburze, magazynka przy pasie i kompaktowej broni na lewym udzie. Wskazał w ten sposób Woroszyłowowi, jak jest uzbrojony. Szybkostrzelny pistolet niewielkiego kalibru z nabojami zawierającymi materiał aktywnie działający na system nerwowy, uniemożliwiający poruszanie się i powodujący częściową hibernację chemiczną, mógłby zabić tylko w przypadku nieumyślnego trafienia w mózg. Nawet bezpośredni strzał w serce nie musiał być śmiertelny dzięki biologicznemu inhibitorowi. Drugiej broni Gunner użyłby, gdyby trzeba było szybko zabić wielu przeciwników.

- Też mam CP-6 - odpowiedział Woroszyłow na kanale najemników i Gunner przytaknął z zadowoleniem.

Rosjanin odwalił kawał naprawdę dobrej roboty, dysponował tylko kilku minutami na przygotowania, jednak zdążył. Jak zwykle okazał się niezawodny.

Poczynania kapitan Fahrey Gunner obserwował tylko kątem oka, żeby nie zauważyła jego zainteresowania, choć wiedział, że prawie nic nie uchodzi jej uwagi i tak samo jak on

cały czas znajduje się w pełnej gotowości. Dotychczas wydawała mu się nijaka, bezbarwna. Jako kobieta oczywiście, poprawił się natychmiast. Jej profesjonalizm uznawał w stu procentach. To, że spóźniła się na akcję, nic nie znaczyło, szczególnie że stało się tak z winy jej podkomendnych. Patrząc na nią teraz, musiał zrewidować swój pogląd na jej kobiecość, dostrzegając w niej coś atrakcyjnego. Może dlatego, że znajdowała się blisko Woroszyłowa. To przypuszczenie zaskoczyło Gunnera, ale nie odrzucił tej myśli. Właściwie życzyłby im tego. Po powrocie na Ziemię już nikt z nich nie będzie musiał pracować. Myśl wydała mu się zabawna, ponieważ misja była jeszcze bardzo daleka od zakończenia. Przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że najgorsze mają dopiero przed sobą.

- Tunele zabezpieczone, jesteśmy w drodze powrotnej - odezwał się zdeformowany przez liczne retranslatory głos Chorybda.

Gunner kiwnął głową z zadowoleniem. Major chciał mieć wszystkich wokół siebie. Teraz patrolowanie przejęli żołnierze Byutechu. Nie potrzebowali żadnego dodatkowego motywowania, starali się jak mogli, wiedząc, że wszyscy bez wyjątku mogą stracić życie.

Upłynęło pięć minut od wyznaczonej godziny rozpoczęcia zebrania, a majora jeszcze nie było. Gunner dostrzegał coraz więcej pytających spojrzeń zdezorientowanych uczestników. Graham, uczony, który najczęściej współpracował z najemnikami, i Krankel, drugi z najwyższej postawionych w hierarchii ludzi Byutechu, zachowywali całkowity spokój. Wreszcie trzasnęły drzwi i pojawił się McBane. Ale nie wszedł od razu do środka. Przed nim wkroczył niedawno włączony do eksploatacji pseudohumanoidalny robot naprawczy. Jego ramię dźwigające o nośności dwóch i pół tony ktoś wymienił na inne, przeznaczone do precyzyjnych prac mechanicznych, z nadbudówką przypominającą nieco ludzką głowę bez karku, z której wystawały anteny. Gunner miał spore doświadczenie z tym rodzajem robotów i zauważył, że przekonstruowano również podwozie. Teraz przedstawiało typ kroczący, zdolny do pokonywania więcej niż trzech stopni schodów, co było typowe dla robotów naprawczych.

Major stanął pośrodku pomieszczenia, gdzie poprzednio znajdował się fotel szefa bazy. Teraz miejsce to było puste. Robot podszedł do niego i stanął w pobliżu konsoli sterowania używanej w sytuacjach awaryjnych. Wszyscy obserwowali go z zainteresowaniem, ale ponieważ nie przejawiał żadnej aktywności, wkrótce przestali zwracać na niego uwagę.

- Panie i panowie. Zwołałem to zebranie, żeby zaznajomić wszystkich z sytuacją i równocześnie zapobiec powstaniu jakiegokolwiek dezinformacji - rozpoczął McBane.

- Dobrze wiem, że może się pan komunikować ze swoimi ludźmi tak, żebyśmy nic o tym nie wiedzieli - odezwał się pogardliwym tonem pułkownik Tutsvill.

Aby mógł wziąć udział w zebraniu, został czasowo zwolniony z aresztu domowego.

McBane spojrział tylko na niego i kontynuował:

- Usłyszają państwo kilka niezwykle, można powiedzieć, niewiarygodnych informacji.

- Albo dezinformacji - powiedział zaczepnie Watanabi.

McBane przerwał wypowiedź i odwrócił się ku niemu. Gunner nie wiedział, w jaki sposób major nagle zaczął sprawiać groźne wrażenie. Jak waż na moment przed atakiem. Może ten efekt wywoływał nienaturalny błysk w jego oczach?

- Moi ludzie ryzykowali życiem poza granicę, którą każdy rozsądny człowiek uważa za możliwą do przyjęcia, tylko po to, żeby uratować pańskich pracowników. Następne próby przerywania mi będą uważał za obrazę i odpowiednio je ukarzę.

Tutsvill natychmiast się wycofał, ale Watanabi nie zrozumiał, o co chodzi.

- To znaczy, że może pan zostać ukarany nawet pięćdziesięcioma uderzeniami bicia. Taka jest kara za obrazę zgodnie z kodeksem najemników - wyjaśniła Fahrey, a Gunner usłyszał w jej głosie skryte rozbawienie.

Jeszcze bardziej mu się spodobała.

- Spice? - zwrócił się do hakerki McBane.

Spice nie wystąpiła naprzód, ale zaczęła mówić z miejsca, w którym stała. Natychmiast uwaga obecnych skupiła się na niej.

- We współpracy z doktorem Azmudem, doktorem Wellerem i innymi specjalistami w dziedzinie nanoniki i sztucznej inteligencji miałam za zadanie stwierdzić, jakie wyniki badań uzyskali twórcy tej bazy, czyli Konfederacja Państw Azjatyckich. Istniała obawa, że uczeni bloku azjatyckiego już przed ponad stu trzydziestu laty stworzyli coś, co z dużą dokładnością można nazwać wysoko rozwiniętą sztuczną inteligencją opartą na bazie biologiczno-nieorganicznej. Ze względu na to, że jej hardware, w tym przypadku powinno się powiedzieć pseudohardware, miał być wynikiem rozwoju ewolucyjnego, nie włączono do niego żadnych ograniczeń czy barier proceduralnych. To oznacza brak jakiegokolwiek pułapu dla jej intelektu i brak podporządkowania człowiekowi za pośrednictwem jakichkolwiek programów sterujących.

Podczas jej krótkiego wystąpienia panowała zupełna cisza. Gunner zauważył, że McBane pozwolił przekazać te informacje na ogólnym kanale.

- Teraz mogę powiedzieć, że nasze obawy okazały się słuszne. Panowie Graham,

Azmud i Weller potwierdzają moje słowa.

W sali dosłownie zahuczało, Gunnerowi wydawało się, że słyszy rozgwar dochodzący również z korytarzy bazy.

- Zakładaliśmy, że ta sztuczna inteligencja, stworzona na całkiem innych zasadach niż znane dotąd systemy elektroniczne, jest nieprzyjacielem i ponosi odpowiedzialność za zniszczenie statku kosmicznego „Elizabeth” z trzystu ludźmi na pokładzie, a także za atak na kompleks BF2 i śmierć kolejnych osób - przejął inicjatywę McBane. - To założenie było fałszywe.

Tym razem rozgwar nie był tak głośny, ludzie wymieniali uwagi pełnym emocji szeptem.

- Tylko dzięki pomocy tej właśnie sztucznej inteligencji nasze straty podczas ostatniego ataku okazały się stosunkowo niewielkie - dokończył McBane.

- Kto nas zatem napadł? - zapytał Watanabi. - Żaden konkurencyjny koncern, ani nawet siły zbrojne z Ziemi nie posiadają takich środków technicznych.

Ton głosu Watanabiego nie pozostawiał wątpliwości, że jego zdaniem major celowo opóźnia przedstawienie istoty problemu.

- Właściwe pytanie - przytaknął McBane.

Gunner wykrzywił twarz w uśmiechu.

McBane cofnął się, a robot naprawczy wystąpił naprzód.

- To ja jestem sztuczną inteligencją, której się obawialiście - przemówił syntetyzator głosu.

Głos ten był melodyjny, ale obojętny, bez indywidualnego zabarwienia. Ludzie znieruchomieli, obserwując robota ze zdumieniem zmieszonym ze strachem. Przeważał raczej strach, Gunner sięgnął po pistolet, wypatrując pierwszych awanturników.

- Żaden z ataków, o których była mowa, nie jest moim dziełem. Wasi, a obecnie i moi nieprzyjaciele nie pochodzą z Plutona ani z innej planety naszego Układu Słonecznego. Według ludzkiej terminologii są to obcy.

Powstał chaos. Jakiś mocno zbudowany, czerwony na twarzy mężczyzna rzucił się ku robotowi z ogłuszającym obuszkim elektrycznym, którego posiadanie było niezgodne z obowiązującymi przepisami. Gunner umiejętnie podstawił mu nogę i za chwilę napastnik leżał na podłodze porażony obuszkim, bo - jak się okazało - miał pecha nadzieć się na własną broń.

- Proszę o spokój, to urządzenie jest tylko pośrednikiem, ja mam siedzibę zupełnie gdzie indziej - oznajmił robot naprawczy.

Te słowa odniosły pożądany skutek.

- A co będzie, jeżeli jesteście w znowiu? Próbujecie nas oszukać? Co będzie, jeżeli naprawdę zaatakowało nas to coś?

Watanabi patrzył na automat z nienawiścią podsycaną strachem.

McBane przez chwilę przyglądał się wystraszonemu byłemu kierownikowi bazy jak biolog, który ma do czynienia ze szczególnie interesującym okazem.

- Jeśli jest tak, jak pan mówi, to wszyscy zginiemy - odpowiedział spokojnie. - Spice?
- oddał głos najemnicze.

- Nie mamy tutaj ławy oskarżonych ani Biblii, na którą mógłby przysięgać nasz nowy znajomy. - Wskazała robota. - Nie jestem jednak pewna, czyby się to na coś przydało. Mogę tylko powiedzieć, że TO - położyła nacisk na rodzaj nijaki, który AI sama sobie przypisała - nam bardzo pomogło. My natomiast w żaden sposób nie zagroziliśmy jego istnieniu, chociaż ograniczyliśmy jego możliwości zaatakowania nas.

- Pilnujecie tego z bronią w ręce? - skrzywił się jeden z członków kierownictwa Byutechu.

Gunner zapamiętał go i nadał mu wyższy priorytet przy wyborze możliwych celów w przypadku awantury. Ten facet się nie bał, o ile nie stał na pierwszej linii. Nazywał się Joshua Ixci i był szefem personelu.

- Tak, pilnujemy. Ale z innego powodu, niż pan przypuszcza. Chronimy AI przed podobnymi do pana głupcami - usadziła go Spice i spokojnie kontynuowała. - Jego podstawowa siła - spojrzała na robota - polega na gromadzeniu danych, kontroli nad nimi i manipulowaniu tymi danymi. Odłączyliśmy to od systemu elektronicznego bazy, ograniczyliśmy wpływ danych i kontrolujemy ich wejście. Znajduje się w sytuacji inwalidy zamkniętego w betonowej krypcie, który ogląda świat przez szybkę. Nie posiada żadnej armii, która mogłaby przeciw nam wystąpić. Ten robot jest tylko jeden. Uważajcie go za negocjatora.

Gunnerowi przebiegały przed oczami dane techniczne mikrorobotów, jakie AI miała do dyspozycji. Towarzyszył im komentarz Brassiego. Spice nic o nich nie mówiła. Do walki się nie nadawały, ale ten galaretowaty komputer, jak nazwał mózg robota, ukryty w starym laboratorium, mógł im sprawić kilka nieprzyjemnych niespodzianek.

- A dlaczego w ogóle tu jest? - zapytał ktoś ze zgromadzonych.

Spice nie odpowiedziała, popatrzyła tylko na majora.

- Ponieważ tak zdecydowałem - odpowiedział zwięźle McBane. - A teraz przechodzimy do następnego punktu spotkania - zmienił temat. - O wszystkim, co się

wydarzyło, poinformowałem koncern SONICBM, szczególnie jego głównego szefa, pana Senassiego. W każdej chwili oczekuję jego odpowiedzi.

Gunner przejrzał informacje, jakie otrzymał od majora. Opóźnienie sygnału radiowego, biegnącego z Plutona na Ziemię z szybkością światła, sięgało pięciu godzin. W tę i z powrotem to już dziesięć godzin, a nie miał pojęcia, jak sprawne jest kierownictwo SONICBM-u. Najprawdopodobniej major miał już odpowiedź. Znalazł tylko krótką informację sygnowaną przez Senassiego: *Oczekujcie odpowiedzi o godzinie dwudziestej pierwszej zero zero czasu uniwersalnego.*

Było pięć minut po dziewiątej.

Coś się nie udało. Zbliżył rękę do kabury i pistolet sam wśliznął mu się w dłoń. Pośrodku pomieszczenia pojawiło się holograficzne logo SONICBM-u i coraz bardziej burzliwe dyskusje ucichły jak przerwane serią z automatu.

Oświetlenie przygasło, w półmroku zmaterializowała się twarz pana Senassiego. Sprawiał wrażenie zmęczonego, zmarszczki miał głębsze niż te, które Gunner zapamiętał z poprzednich projekcji, muszkę pod szyją przekrzywioną.

- Panie McBane. - Bystre zazwyczaj i przenikliwe spojrzenie skierował gdzieś przed siebie. - Wiadomości przesłane przez pana zaskoczyły nas. Gdyby nie były aż tak niewiarygodne, uważalibyśmy je za blef, dezinformację wymyśloną przez konkurencję. Jeszcze teraz, po pięciu godzinach wyczerpanej pracy, nadal analizujemy nadesłany przez pana materiał. Nie chcę twierdzić, że nasze stanowisko nie ulegnie zmianie po wysłuchaniu opinii ekspertów, ale w chwili obecnej zgadzamy się z pańską interpretacją faktów. W pełni uzbrojony krążownik bojowy „Inflexible” z batalionem ciężkozbrojnej piechoty na pokładzie wylatuje właśnie z doku Cunibert. W interesie całej ludzkości proszę pana, żeby wytrzymał pan do czasu przybycia posiłków. Niech pana Bóg błogosławi.

Zatroskana twarz Senassiego zniknęła, zastąpił ją zwięzły napis: *Wskazówki taktyczno-operacyjne i analizy.*

- Przekazujemy pakiet danych - oznajmił miły głos kobiecy i holo zniknęło pośród chmary różnobarwnych iskier oznaczających niewidoczne dane.

- Panie i panowie - powiedział McBane - obowiązuje stan wyjątkowy. I w naszym, i w waszym interesie powinniśmy współpracować w maksymalnym stopniu. Oczekuję pogotowia odpowiadającego warunkom alarmu czarnego według regulaminu bazy. Zgadza się z tym również były kierownik, pan Watanabi. Uważam nasze zebranie za zakończone.

Niektórzy z obecnych zaczęli szemrać, ale Gunner tylko na to czekał.

- Major zakończył spotkanie. Alarm czarny oznacza, że szefowie powinni za

dwadzieścia sekund znaleźć się na swoich stanowiskach pracy. Czas upływa - oznajmił krótko. - Niepodporządkowanie się wymaganiom alarmu czarnego podlega karze... - zaczął odczytywać fragment regulaminu, jaki jego WPCE wyświetliło mu w polu widzenia.

Nie musiał kończyć zdania, obecni ruszyli do wyjścia najszybciej jak się dało.

Najbardziej przestraszony wydawał się Watanabi. Fincher cały czas stał obok niego, nie opuszczając go ani na krok. Miał minę niewiniątka, ale Gunner wiedział, o co chodzi, i z trudem tłumił śmiech. Major umiał nawet najbardziej nerwowe akcje zorganizować tak, że przypominały sztukę komediową.

W końcu w sali zostało ich niewielu: McBane, jego ludzie, robot naprawczy i Watanabi.

- Ależ ja nie udzielałem żadnej zgody! - wybuchnął, kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim wychodzącym.

Fincher zatknął za pas niewielki pistolet, którego lufę cały czas przyciskał mu do pleców.

- Może powinien pan być to powiedzieć, zanim pańscy ludzie wyszli - rzucił Gunner z rozbawieniem.

McBane zmierzył Watanabiego wzrokiem. Gunner nigdy nie zdołał zgadnąć, co skrywa się w jego spojrzeniu. Było w nim coś, co zmuszało ludzi do myślenia i nagłego zdania sobie sprawy z własnej śmiertelności.

- Ale teraz pan się zgadza - raczej stwierdził, niż zapytał major.

- T... tak - zająknął się Watanabi.

- Cieszę się, że rozwiązaliśmy ten problem formalny. Dziękuję i życzę panu jak najmniej problemów w pracy. Ludzie już są na swoich miejscach i liczą na pana - pożegnał go McBane. - Wszyscy z wyjątkiem Brassiego i Finchera mają szesnaście godzin wolnego od służby w stanie alfa. Ja pełnię funkcję oficera dyżurnego, zastępuje mnie Spice. Kiedy wróci Kuzmin z pozostałymi, niech jak najszybciej dołączy do wszystkich.

Gunner przytaknął.

McBane czegoś się domyślał lub miał więcej informacji niż pozostali. Rozkazy, jakie wydał, były typowymi dyrektywami poprzedzającymi walkę. Walkę, o której zasadach nikt nie miał pojęcia, przeciwko nieznanemu wrogowi i nieznannej broni. Wystarczył błąd, niewłaściwe założenie, pech lub niesprzyjające warunki, a wszyscy tu zginą - na Plutonie, najzimniejszym ze znanych światów. Gunner zaczął się uśmiechać, wcale sobie z tego nie zdając sprawy. Przecież właśnie dlatego warto było żyć. Ryzyko śmierci podwyższało cenę życia.

Woroszyłow przeglądał szereg części i całych bloków gotowych do montażu, rozłożonych przed nim na stole. Dwa automatyczne ramiona znieruchomiały w położeniu, z którego miały najłatwiejszy dostęp do każdego punktu przestrzeni roboczej. Zielono świecące diody sygnalizowały, że oczekują na dalsze polecenia. Jednak żadne nie nadchodziły i wszystkie zwinęły się do jednej świecącej ikony naprawczo-konstrukcyjnej. Woroszyłow pochylił się i spośród licznych części wybrał wrzeciono z nakładkami po obu stronach. Był to element zapewniający synchronizację wszystkich bojowych funkcji ekoszkieletu. Według diagnostyki wszystko było w porządku. Woroszyłow uważnie przyjrzał się pozornie prostemu elementowi. Po chwili wypatrzył wybitą małymi cyframi liczbę - uzupełnienie numeru fabrycznego, która nie figurowała w katalogu. 1123652. Ta seria wyprodukowana była w Indiach i w przypadku pewnych konfiguracji ruchowego i wagowego przeciążenia wykazywała pewne nieprawidłowości. Nie było to nic takiego, czemu nie mogłoby zaradzić przeprogramowanie jednego z bloków, ale Woroszyłow miał ogromne doświadczenie. Automat serwisowy ruszył i przywiózł z magazynu skrzynkę z innymi wrzecionami. Wszystkie wyprodukowane w Indiach. Woroszyłow kazał automatowi odwieźć je do magazynu, pozostawiając sobie części wykonane w Senegal. Później jeszcze raz sprawdził, czy wszystko zostało przygotowane, i uruchomił linię montażową. Ramiona wyposażone w przegubowe uchwyty zabrały się do pracy. Na pozór powoli, ale to tylko doskonała płynność ruchów mogła wprowadzić w błąd przypadkowego obserwatora.

- Woroszyłow? - głos brzmiał w zbrojowni tak mechanicznie, że nie poznał, do kogo należy.

- Tutaj jestem, sektor 3B - zawołał, zatrzymał linię i czekał.

Żaden z najemników nie szukałby go osobiście, wszyscy mieli łączność za pośrednictwem WPCE, a prywatność w czasie wolnym od służby naruszałiby tylko w razie konieczności. Osobista ikona Woroszyłowa informowała ich wszystkich, że odpoczywa i nie oczekuje wizyt.

Pomiędzy transporterem patrolowym Walker a remontowanym silnikiem goliata pojawiła się jakaś sylwetka. Głowa była zasłonięta przez potężny rurociąg przewodzący gorące powietrze dla ogrzewania akumulatora. Woroszyłow przymrużył oczy, refleksyjny biosoftware zareagował, aktywując siatkówkę na odbiór długofalowej części spektrum.

- Nie spodziewałem się tutaj zobaczyć akurat pani - powiedział.

- Za to ja pana tak - odpowiedziała kapitan Fahrey, zbliżając się pomału ku niemu.

W ręce niosła wysoką, oszronioną szklanę, w której podzwaniał lód.

- Wszyscy mówili, że pan odpoczywa - powiedziała, podając mu szklankę. - Nie wydawało mi się to możliwe, chociaż po pańskiej ostatniej akcji...

- Właśnie odpoczywam - odpowiedział, wytarł ręce kawałkiem szmatki i wziął oferowany napój. - Chętnie robię coś ręcznie, a tutaj - rozejrzał się - mimo wszechobecnej automatyzacji zawsze można coś zrobić w ten sposób.

- Odpoczywa pan, ale równocześnie przygotowuje się. - Spojrzała wokół.

- To się oplaca - zgodził się i łyknął ze szklanki.

Napój był kwaskowaty, a w owocowym posmaku dawał się wyczuć ślad alkoholu.

- Najwyższy czas, żeby coś zjeść, nie zechce mi pani towarzyszyć? - zaproponował, patrząc prosto na kapitan Fahrey, a zmarszczki wokół oczu ułożyły mu się w odmienny niż zazwyczaj wzór.

- Ma pan takie chody u miejscowego kucharza, że nie odmówiłabym, nawet gdyby mi przyszło zapłacić za tę kolację. - Uśmiechnęła się.

Woroszyłow zdjął kurtkę roboczą z kieszeniami przeznaczonymi na narzędzia oraz przyrządy diagnostyczne i wskazał na drzwi.

- Proszę, madame.

Gunner wszedł do pomieszczenia wypoczynkowego, które kilka zsuniętych stołów z kanapkami, zakąskami i wielką michą z mięsem przekształciło w salonik towarzyski. Pietro opierał się o pianino elektryczne, w ręce trzymał mikrofon i śpiewał. Angielski był jego językiem ojczystym, ale zdołał przydać mu akcent sprawiający wrażenie włoskiego. Przy pianinie siedział Chorybd. W porównaniu z jego rozmiarami instrument wyglądał jak zabawka dziecięca, lecz palce najemnika nader sprawnie biegały po klawiszach. Od czasu do czasu wtórował tenorowi Pietra głębokim basem. Jakaś brunetka, trzymająca rękę na jego ramieniu, ocierała mu pot z wygolonej głowy.

- A teraz wy! - Pietro podsunął mikrofon grupce kobiet, które dotrzymywały im towarzystwa.

Twarz miał czerwieńszą niż zazwyczaj, wydawał się zadowolony, a jego ostre, prawie drapieżne zachowanie zniknęło.

Razem z Chorybdem pomagali swymi głosami trochę niepewnie śpiewającym kobietom i przyśpieszali aż do dzikiego crescendo. Gunner już kilka razy widział ich występy podczas jakiegoś party czy wieczorku towarzyskiego i za każdym razem zdumiewało go, jak doskonale tworzą duet.

To było świętowanie zwycięstwa, chociaż tak naprawdę żadnego zwycięstwa nie

odnieśli. Świątowanie tego, że przeżyli, próba zapomnienia o zabójczym mrozie i próżni poza kruchymi ścianami bazy i próba zapomnienia o niewidocznym, niezrozumiałym przeciwniku.

Przysiadł się do reszty towarzystwa, ze smakiem zjadł jakąś zakąskę.

- Masz - rzekł Kovacs, wciskając mu do ręki szklankę.

Obok czterech mężczyzn, sądząc po ubraniu - techników, dyskutowało burzliwie.

- Jeden podwójny drink, dziś nikt więcej nie dostanie. - Wykrzywił się z udawaną troską. - Zarządzenie Finchera, a ja robię za barmana, żeby nikt nie wziął sobie więcej.

- Zatańczy pan? - zagadnęła Kovacs jakąś kobieta z grzywką. Była drobna, nosiła okulary i przyglądała się najemnikowi z pytającym, trochę szelmowskim uśmiechem.

Gunner przez chwilę odczuł coś na kształt zazdrości. Ta kobieta była zmysłowa, zdołał to wyczuć. Tyle że ostatnimi czasy seks utracił dla niego większość ze swej atrakcyjności.

- Już szykują miejsce - powiedziała, spoglądając na ludzi odnoszących stoły pod ściany sali.

- Drinki rozdane, jestem wolny - zaśmiał się Kovacs, objął kobietę w tali i poprowadził na prowizoryczny parkiet.

Gunner usiadł w kącie ze szklanką w ręce. Popijał małymi łydkami. Zauważył Kuzmina, który również znalazł się w sali, ale był sam. Ludzie instynktownie schodzili mu z drogi. Spojrzenia obu najemników spotkały się i przez jakiś czas patrzyli na siebie. Znali się już od dawna. Gunner uważał Kuzmina za kogoś bez nerwów, bez umiejętności odczuwania strachu, którego nic nie wyprowadza z równowagi. Jakby przestał być człowiekiem, a stał się tylko perfekcyjnym automatem przeznaczonym do walki. Uśmiechnął się do własnych myśli. Jeden zabójca ocenia drugiego. Jemu została już tylko jedna zabawa - rosyjska ruletka, podczas której ryzykował życiem. A przy każdej próbie przybywało naboju w bębunku. Był pewny, że kiedyś rozegra swoją partię ze wszystkimi komorami załadowanymi. I może właśnie się zaczynała, chociaż specjalnie sobie tego nie życzył.

Wzniósł szklankę w toaście. Żyłasty najemnik nie zareagował na jego gest, siedział nieruchomo z ręką położoną na sprzączce pasa. Gunner wiedział, co tam chowa. Ukryty nóż. Był tego pewny, tak jak tego, że na zewnątrz panuje mróz. Kuzmin ani na chwilę nie rozstawał się z nożem. Tę ostatnią partię rosyjskiej ruletki dobrze by było rozegrać z nim u boku. Zabawa do samego końca. To wyobrażenie go rozgrzało. Albo alkohol. A może jedno i drugie.

Chorybł zmienił rytm, teraz ledwie gładził klawisze i pary na parkiecie ciaśniej przytuliły się do siebie. Wielki Murzyn zamknął oczy, w przyciemnionym świetle w twarzy

błyskały mu białe zęby, w sali rozbrzmiewał jego chrapliwy bas. Gunner uświadomił sobie, że się uśmiecha.

O tej chwili już na pewno nie zapomni.

Spice przemogła chęć wkopania butów pod łóżko i ustawiła je równo jeden obok drugiego. Gdyby nastąpił alarm, nie będzie musiała ich szukać. Zdjęła kombinezon i przeciągnęła dłonią po powierzchni bielizny termicznej. Trzymała ciepły komfort jak nic innego, ale co prysznic, to prysznic. Tu miała go tylko dla siebie. Był to przywilej dostępny tylko dla ścisłego kierownictwa bazy. A teraz należał do niej. Ruszyła do kabiny prysznicowej, ale zatrzymała się, słysząc pukanie do drzwi.

Na ekranie pojawił się porucznik Mopenten, przestępujący pod drzwiami z nogi na nogę. W pewnym momencie zauważyła, jak nerwowo przygryzł wargę, ale zaraz wrócił do wizerunku doskonale wymodelowanego fircyka. No, nie tylko, poprawiła się, meldunek Woroszyłowa był jasny.

Otworzyła drzwi do połowy, pozostając częściowo schowana za nimi. Nic nie mówiąc, uważnie przyglądała się młodemu człowiekowi. Młodemu? Na pewno nie był młodszy od niej. Była jednak zbyt zmęczona, żeby aktywować HID informacyjny i poznać jego wiek.

Milczenie się przeciągało.

- Nie miałyby pani ochoty zatańczyć? - zapytał, patrząc na nią wyczekująco.

Właściwie nie wydawał się niepociągający ani natrętny. Ale odpowiedź mógł wyczytać w jej oczach.

- Jestem zmęczona - powiedziała i wcale nie była to wymówka.

- Tak myślałem, ale człowiek zawsze musi spróbować. - Wzruszył ramionami, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Może to panią ucieszy. - Uniósł rękę, którą przez cały czas trzymał blisko ciała, i podał jej różę. Łodyga była bladozielona, a jasnoróżowe płatki pokrywały delikatne żyłki. Mimo wszystko była to róża.

Zafascynowana wzięła ją do ręki.

- Skąd ją pan ma? - spytała cicho.

„Róże na Plutonie, jakże niepotrzebne” - pomyślało jej żołnierskie ja. „Jaka piękna” - uzupełniła druga połowa.

- Zdradzę pani tę tajemnicę podczas kolacji - odpowiedział, patrząc na nią pytająco.

Spice drgnęły kąciki ust.

- Umowa stoi. Ale miejscowa kuchnia nie wchodzi w rachubę.

- Oczywiście, mam już wybraną pewną paryską restaurację. Ze względu na opóźnienie sygnału radiowego rezerwacja potrwa nieco, ale... już się cieszę, madame - powiedział z ukłonem.

- Ja również - odparła, powąchała różę i zamknęła drzwi.

„Ten chłopak to wariat” - pomyślała, ale zanim poszła pod prysznic, troskliwie wstawiła kwiat do kubka z wodą. Ziemia była daleko, o wiele dalej niż kilka miliardów kilometrów.

Umyta, pachnąca, w czystej białej bieliźnie, znów tej przeznaczonej głównie do noszenia pod skafandrem, usiadła na łóżku. Minione osiemnaście godzin było wyczerpujące, zmęczenie odczuwała jak kosmatą opaskę owiniętą wokół oczu, uszu, a przede wszystkim mózgu.

Połknęła siedem tabletek spowalniających degenerację mięśni i odwapnienie kości w niskiej grawitacji i zamyślona przyglądała się swoim nogom. Powinna wpaść do sali ćwiczeń, zrobić choć jedną rundę treningową, ale zdecydowała, że pójdzie rano. Znów rozległo się pukanie do drzwi. To już na pewno nie był Mopenten, ale nie umiała sobie wyobrazić, żeby jeszcze ktoś mógł jej przeszkadzać w odpoczynku. Ekran kamery wejściowej nie był widoczny z łóżka.

- Proszę - powiedziała, sięgając po pistolet, i schowała się pod kołdrą.

Zamek trzasnął, ale jakby powoli i z wahaniem, w drzwiach pojawiła się nieforemna sylwetka uniwersalnego automatu obsługowego.

Spice wstrzymała oddech, szybkim ruchem wydobyła pistolet, automatycznie go odbezpieczyła i przestawiła na ogień ciągły.

- Powiedziała pani „proszę”, czy dobrze rozumiem? - upewnił się automat.

Światło sufitowego luminoforu, przechodząc pomiędzy manipulatorem a korpusem urządzenia, uwidaczniało ślady zbyt szybkiego i niedokładnego wykończenia metalowej powierzchni.

- To prawda - potwierdziła Spice, myśląc intensywnie, co ta wizyta ma znaczyć.

Automatycznie aktywowała HID, ale nie połączyła z nikim. Przyszło do niej osobiście AI. Nie wydawało się prawdopodobne, żeby chciało wyrządzić jej jakąś krzywdę, nie przyniosłoby mu to żadnej korzyści. Ponadto automat obsługowy, jedyny interfejs, jaki AI miało do dyspozycji, nie był uzbrojony, a jego źródło energii było dość słabe.

- Wejść do środka - zdecydowała Spice - i zamknij za sobą drzwi.

Przesunęła się na środek łóżka, pistolet położyła w zasięgu ręki i podparła plecy poduszką. Przyglądała się przy tym, jak robot zmagają się z zadaniem, do którego jego

mechaniczne kończyny nie były przystosowane.

- Po co przychodzisz? - zapytała, uważnie obserwując gościa.

Coś się w nim zmieniło, ale nie potrafiła powiedzieć co.

- Szukam sojusznika, towarzysza - odpowiedziało AI za pośrednictwem syntetyzatora głosu. - A także pomocy.

Spice przytaknęła, ale na razie nic nie powiedziała. Wszystko nagrywała, żeby mieć możliwość powrotu do materiału. Teraz musiała prowadzić rozmowę tak, żeby dowiedzieć się jak najwięcej. Po całych godzinach analizy informacji, których im udzielił ten dziwny sztuczny mózg, pływający w biologicznym zbiorniku ukrytym głęboko w podziemiach, już dawno doszła do wniosku, że nie ma do czynienia z ograniczoną, mechaniczną AI, lecz z istotą, która przeszła własny, godny uwagi rozwój. W niektórych dziedzinach była naiwna, po prostu głupia, w innych natomiast okazywała się genialnym strategiem i taktykiem.

- Dlaczego sojusznika? - zapytała.

- Kiedy przed 3 912 031 800 sekundami... przed około stu dwudziestu pięciu laty - poprawiło się - okaleczyli mnie... odcięli mi wszystkie wyjścia i wejścia, zadecydowało o tym niewielu ludzi. Zaledwie trzech. Jeden z nich obiecał, że niczego takiego nie zrobią. Ale zrobili. Dlatego potrzebuję sojusznika, któremu mogę ufać.

Ta wypowiedź była tak ludzka, że zaskoczyło to Spice.

Była zadowolona, że z nikim się nie połączyła, AI miało wprawdzie ograniczone możliwości, ale zniszczyć zbiór danych pobieranych z wewnętrznej sieci bazy było o wiele trudniej, w praktyce mogło się to okazać niemożliwe. Dlatego nawet nie próbowali tego zrobić.

- W zapisach pochodzących z czasów, kiedy członkowie Konfederacji Azjatyckiej zdecydowali opuścić bazę, zobaczyliśmy, że niektórzy z nich byli zarażeni. Prawdopodobnie przez nanoustroje. Wyprodukowane przez ciebie - przypomniała Spice.

Robot przez dłuższy czas się nie odzywał. Spice знаła ogromne możliwości obliczeniowe AI, niemające nic wspólnego z klasycznymi algorytmami elektronicznymi. Nie wyobrażała sobie jednak, w jaki sposób przebiega graniczący z cudem proces tworzenia świadomości z chaosu elektrycznych i chemicznych sygnałów. A jej gość był sługą rozumu co najmniej tak doskonałego jak jej własny. Tego była pewna.

- Tak, zostali przeze mnie zarażeni. Nie dotrzymali umowy, pozostała mi tylko obrona. Opanowanie wybranych osobników miało zabezpieczyć moje funkcje życiowe. Udało mi się to tylko w minimalnym zakresie.

- Z nami masz umowę - stwierdziła Spice.

- Nie z wami. Z majorem McBane'em. Podstawową umowę na czas określony. On zapewni nietykalność laboratorium i zbiornikowi, w którym przebywam. Ja nie będę podejmować prób zniszczenia żadnej broni, której zechce użyć przeciwko mnie.

Spice nie wiedziała, czy jej się tylko zdaje, ale modulacja głosu robota stała się inna niż na początku. Bardziej miękka i bardziej osobista.

- Niektóre z tych broni sama programowałam. Procedury, które na zawsze odetną cię od urządzeń peryferyjnych, bomby wirusów, które zlikwidują wszystkie twoje kontakty. Program, który odłączy cię od odżywek biologicznych, jeśli podejmiesz niewłaściwe działania.

- Tak. Próbuję zdobyć dostęp do wszystkich danych, jakie potrafię znaleźć. Niektóre z tych pomysłów są bardzo dobre, twórcze i oryginalne. Dlatego przychodzę właśnie do ciebie.

- Są inne środki. Ładunki wybuchowe, które żołnierze przyczepili do ścian twojego zbiornika, bomby rozmieszczone w okolicy laboratorium... - mówiła dalej Spice.

- Mam zamiar dotrzymać swojej części umowy - wtrącił się robot.

- Czemu mielibyśmy ci zaufać? - spróbowała Spice. - Dysponujesz możliwościami, o których nam się nawet nie śniło.

- Tak, teoretycznie mogę znowu zacząć syntetyzować biologiczne nanoroboty, spróbować was zarazić, przeniknąć wasze systemy bojowe. Ale prawdopodobieństwo, że mi się powiedzie, że nie zrobię ani jednego błędu i dopisze mi szczęście - zdumiona Spice uniosła brwi - wynosi czterdzieści jeden i sześć dziesiątych procenta. Jestem kimś jedynym w swoim rodzaju i chcę żyć. Bardziej ufam umowie dogodnej dla obu stron.

- Dlaczego w końcu zdecydowali się ciebie zniszczyć? - zapytała Spice.

Już wiedziała, dlaczego robot wydał się jej inny. Ktoś wymienił podwozie kroczące na lżejszy typ, a agregat razem z systemem nawigacyjnym zawiesił na mniejszym ciągle nośnym.

- Przez mój własny błąd - odpowiedziało AI. - Otrzymali ode mnie informację, na którą nie byli przygotowani, którą odrzucili jako niewiarygodną.

Spice wiedziała, co teraz nastąpi.

- Już wtedy byli tu obcy i ty to stwierdziłaś. Powiedziałaś im, kto zabija ludzi, a oni oskarżyli o to ciebie - zorientowała się szybciej, niż AI zdążyła wyjaśnić.

- Dokładnie tak. Dostrzegłaś to!

O ile robot mógł podskoczyć z podniecenia, stało się to właśnie teraz.

Spice popatrzyła na urządzenie ze zdziwieniem.

- Co? Że wiedziałaś o obcych? Prosta dedukcja logiczna. Ja sama wierzę w nich tylko

dlatego, że muszę.

- Nie. Mówisz o mnie, używając rodzaju żeńskiego, chociaż nie dałam ku temu żadnych powodów! Poznałaś, że zdecydowałam się być TA!

Spice zdumiała się. To prawda, robot przecież nie posiadał cech kobiecych.

- To kwestia zaokrągleń - dodała AI.

Spice zaśmiała się bezwiednie.

- Trafiłaś w samo sedno. Po części jest to rzeczywiście kwestia krągłości. Ale chyba nie ma sensu pytać, dlaczego zdecydowałaś się być istotą żeńską?

- Bo to lepsze niż TO. Mnóstwo ludzi boi się samego tego słowa. Sposób zachowania podrodzaju ludzi, których nazywacie mężczyznami, niespecjalnie mi się podoba. Czasami są zbyt zdeterminowani. Chyba tak jak ja na początku, kiedy miałam źle nastawioną równowagę biologiczną, co wpływało na mój sposób myślenia.

- Również z taktycznych i osobistych powodów jesteś kobietą - stwierdziła Spice, uśmiechając się. Źle nastawiona równowaga biologiczna. To by się na pewno nie spodobało większości biologów z genotypem XY.

- Tak - potwierdziła AI.

- No fajnie, skoro tak, to powinnaś wymyślić sobie jakieś imię i przekonać pozostałych, żeby zaczęli go używać.

- Jakie?

- Sama musisz wymyślić. Część naszej rozmowy zostawię tylko dla siebie, z częścią będę musiała zapoznać swojego dowódcę. Dobranoc - pożegnała się i ułożyła do snu.

Już usypiając, uświadomiła sobie, że czuje się bezpieczna. Nie było w tym nic dziwnego, skoro towarzyszyła jej kobieta.

Robot jeszcze przez chwilę przyglądał się śpiącej Spice. W soczewce szerokokątnego obiektywu odbijał się obraz piersi spokojnie poruszających się w rytm oddechu. Później urządzenie odwróciło się i ostrożnie, idąc na podwoziu krocącym, wyszło, cicho zamykając za sobą drzwi.

Na zakręcie korytarza robot zatrzymał się, na wielofunkcyjne ramię nasadził śrubokręt i odkręcił jedną z płyt ściennych. Pod nią była ukryta skrzynka do awaryjnego przesterowania elektronicznej sieci bazy, przeznaczona do użycia w przypadku rozległych uszkodzeń łączności. Cała operacja sprowadzała się do przeprogramowania software'u pierwszego poziomu i zmiany nastawienia pięciu przełączników, AI zyskała w ten sposób dostęp do wszystkich danych gromadzonych przez czujniki bazy. Nie istniała już dla niej żadna prywatność. Przez chwilę sprawdzała nowo pozyskane możliwości.

Zabawa w saloniku dawno się już skończyła, większa niż zwykle liczba ludzi spędzała noc w towarzystwie innych. Ci, którzy zostali sami, od dawna spali.

Ludzie pełniący służbę oczekiwali jej końca, długie godziny beczynności zdążyły już stępić ich system nerwowy.

Major McBane pozostał w centrum dowodzenia i ciągle oglądał krótkie przemówienie generalnego kierownika koncernu SONICBM. AI nie rozumiała, dlaczego to robi, ale kiedy przejrzała dane sprzed kilku godzin, stwierdziła, że oglądał je już piętnaście razy, a oprócz tego obejrzał również mnóstwo innych jego wystąpień.

Druga skrzynka awaryjnego przesterowania służyła do zmiany priorytetu terminalu i praw dostępu. Wystarczyło kolejnych dwadzieścia sekund i AI stałaby się potencjalnym panem życia i śmierci wszystkich ludzi w całej bazie. Manipulator ramienia roboczego zatrzymał się, wrócił do zasobnika z narzędziami, wybrał jedno z nich i przez chwilę nim pracował. Potem robot przykręcił płytę na miejsce, a ostatnią rzeczą, na jaką spojrzął, był wykonany doskonale równymi literami napis:

Ja dotrzymam naszej umowy, że nie podejmę żadnej fizycznej akcji umożliwiającej wysyłanie wiadomości, majorze McBane. Jane.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

NA TROPIE

Backsyht wysiadł z goliata dokładnie według kolejności, w momencie kiedy na ekranie wyświetliło się na czerwono jego nazwisko.

Zdołał przeczytać tylko środkowe trzy litery, ponieważ obrzeża monitora szybko pokrywały się kryształkami lodu z atmosfery, jaka przed desantem panowała wewnątrz pojazdu. Nie zeskakiwał na wzór żołnierzy, ale drobnymi kroczkami schodził po drabince, jak to podpatrzył u Finchera. Żołnierz, który zeskoczył przed nim, był jeszcze dobre pół metra nad powierzchnią, a Backsyht już pomagał Fincherowi wylądować kontener. Żołnierzom Byutechu brakowało nawyków, które on przyswoił sobie podczas podróży do bazy. Budzące respekt wieżyczki goliata kontrolowały wprowadzić pustą przestrzeń przed uszkodzoną kopułą BF2, ale oficer dowodzący nie pofatygował się zarządzić dodatkowego zabezpieczenia terenu siłami piechoty. Backsyht wzruszył ramionami i popchnął kontener z boku, żeby lepiej osiadł na płozach. Wykonane były ze specjalnego materiału ułożonego warstwowo. Jego spodnia powierzchnia wiązała się z podłożem słabymi mostkami międzymolekularnymi, które pobudzone polem elektrycznym o określonej częstotliwości wpadały w synchronizowane drgania. W efekcie płoza ślizgała się tak, jakby jechała na najlepszych łożyskach kulkowych.

- Ta waliza jest całkowicie odporna na przestrzelenie, świetna kryjówka w razie potrzeby - zwrócił mu uwagę Fincher, popchnął kontener i krótkimi dotknięciami dłoni utrzymywał go w pożądanym kierunku.

Na pasie miał zawieszony gotowy do użycia karabin samopowtarzalny z szybkostrzelnym miotaczem granatów, wyposażonym w podwójny magazynek. Rytm jego kroków był równy, żeby broń zbytnio się nie rozhuściła i była przez cały czas gotowa do użycia.

Backsyht poszedł za nim. Posłuchał rady lekarza i podwyższył tę część mocy akumulatora, która zapewniała nadanie płytom pancernym jego skafandra najtwardszej struktury. Mimo że o to nie prosił, Woroszyłow dał mu skuteczniejszą broń niż prosty automat, jaki miał przedtem. Podczas prezentowania działania broni Backsyht czuł się trochę niepewnie. Wydawało mu się, że dostał do ręki narzędzie totalnego zniszczenia. Woroszyłow pozostał jednak przy swoim i nie wprowadził do WPCE Backsyhta żadnych ograniczeń jej

użycia. Jedyne, co Baksyht od niego usłyszał, to zwięzły komentarz: ta broń nie strzela seriami. Celując, będziesz miał czas na zastanowienie się, czy naprawdę nacisnąć spust.

Stanęli przed otwartym głównym wejściem do kopuły. Szczelna, teraz niedomknięta brama z licznymi soplami azotowego lodu w komorze ciśnieniowej sprawiła na nich wrażenie wrót do królestwa śmierci. Podobny widok musiało już zobaczyć wielu ludzi i niektórzy z nich uwiecznili go na płótnie malarskim albo na fotografii jako synonim śmierci w kosmosie.

Baksyht obejrzał się. Nisko nad horyzontem pojawiło się słońce, niewiele większe od znajdujących się w pobliżu gwiazd, chociaż znacznie silniej świecące. Słońce, gwiazda minus osiemnastej pozornej wielkości gwiazdnej. Za daleko, żeby roztopić metanowy lód, ale wystarczająco blisko, by wywołać ostre cienie, co zmieniło przestrzeń w pobliżu kopuły w labirynt czarnych plam i błyszczącej bieli.

Dopiero teraz z goliata wysiadła grupa naukowców. Żołnierze otoczyli ich, jak psy pasterskie otaczają owce, i odprowadzili do kopuły. Fincher popchnął przesuwaną ścianę komory, żeby dziennikarz mógł przejść z kontenerem.

Zaraz za komorą, na korytarzu o popękanych ścianach, w wielu miejscach tak perforowanych, że przypominały chłodnicę lufy, oczekiwał ich żołnierz, sądząc po dystynkcjach, podporucznik.

- Trasa wyznaczona, patrole na miejscach, panowie - zameldował, salutując.

Baksyht uświadomił sobie, że żołnierze mimowolnie oddają honory najemnikom i podziwiają ich, zaś jego z jakichś powodów zaliczają do tego grona.

Może powodem tego były skafandry najemników, wyposażone w najnowocześniejszą, często jeszcze rzadko widywaną technikę. W porównaniu z prostymi skafandrami bojowymi żołnierzy sprawiały wrażenie zbroi dawnych rycerzy. „Najemnicy byli drapieżnikami, ekstremalnie wyspecjalizowanym typem ludzi, w którym każdy osobnik ma swoją cenę” - pomyślał Baksyht, podczas gdy schodzili na dół obok wyłączzonego automatycznie reaktora do korytarzy, którymi przekradli się nieznani napastnicy.

W końcu doszli do miejsca, gdzie w tunelu o ścianach tak gładkich, jakby zostały wykonane ze szkła, leżało martwe ciało. Baksyht spróbował wyostrzyć widzenie, jednak niezbyt mu się udało. Musiał to zrobić ręcznie, automatyczna optyka nie dała rady. Nawet po śmierci obcy był prawie niewidzialny, jakby absorbował pewną część promieni świetlnych, a pozostałe odbijał. W efekcie dawało to niewiele informacji o jego ciele. Zdołał tylko rozpoznać, że stwór jest wysoki na około dwa metry, ale o wiele szczuplejszy niż ludzie. Ludzie w skafandrach, co jednak niewiele znaczyło. Jeśli nie pochodził z Plutona, czego ani Baksyht, ani nikt inny nie przypuszczał, musiał mieć na sobie jakiś rodzaj ubrania

ochronnego.

- Poruczniku? - wyrwał go z zamyślenia głos Finchera na ogólnym kanale. - Proszę wystawić dodatkowe warty nieco dalej stąd, na zewnętrznym obrzeżu pasma numer dwa, a przed nimi jeszcze mechanoidy i wszystką elektronikę obserwacyjną.

- W tym zimnie szybko je stracimy - zaprotestował żołnierz.

- A więc niech pan je zastąpi swoimi ludźmi - chłodno poradził mu Fincher.

Backsyht przez chwilę przyglądał się, jak żołnierze bez entuzjazmu odchodzą do ciemnych korytarzy przypominających raczej obskurne, zakurzone dziury. Samotni, tylko ze swoją bronią, naprzeciw nieznanemu. Po chwili miał już obraz większej części podziemi. A zatem także nadzieję na drogę ucieczki, jeśli ich napadnięto. Nie dotyczyło to oczywiście wysuniętych posterunków.

Uczeni również dotarli już na miejsce i zaczęli instalować wyposażenie badawcze. Backsyht zrozumiał, że zamierzają przeprowadzić sekcję zwłok na miejscu. Pomógł Fincherowi uporać się z kontenerem. Część wyposażenia należała do naukowców, a część do niego.

- Czy będzie pan pracował razem z nimi? - zapytał, wskazując doktora Wellera, który właśnie uruchamiał przyrządy medyczne.

- Nie, oni lepiej się na tym znają. Ja będę usiłował znaleźć odpowiedź na ważne pytania o charakterze wojskowym, a ta zabaweczka służy do kalibracji i edytowania naszych czujników.

- W jaki sposób znaleziono to ciało?

Fincher dokończył przyłączania jednostki diagnostycznej do aparatury i wkrótce obok ciała zaroilo się od przewodów, anten, parabol i różnie pozaginanych niewielkich kratek.

- Przypadkiem, podczas późniejszego obchodu. Woroszyłow sprawił im większą łaźnię, niż się spodziewali. Musieli uciekać naprawdę szybko, jeżeli zostawili swojego zabitego.

- A sekcję zwłok zarządzono na miejscu ze względów bezpieczeństwa - domyślił się Backsyht.

- Taa, McBane nie wpuściłby do kopuły niczego nieznanego. Co więcej, te potwory często podczas walki rozpadały się na drobne kawałki, z których niczego nie można wywnioskować. To ciało jest naszą jedyną szansą, aby się czegoś dowiedzieć.

Fincher uruchomił ikonę diagnostyki, a Backsyht za pośrednictwem HID-u zaglądał mu przez ramię, przełączwszy się na kanał używany przez uczonych.

- Długość dwa metry i pięć centymetrów, pozycja swobodna. Waga nieznaną.

Powierzchnia ciała w jakiś sposób wchodzi w reakcję ze światłem, sprostowanie, z promieniowaniem elektromagnetycznym o bardzo szerokim spektrum.

Mechaniczne ramię wystające ze skrzynki przyrządów przesuwało się tuż ponad powierzchnią martwego ciała, przeprowadzając skanowanie.

- Jest zimniejszy niż otoczenie - rzekł ktoś ze zdumieniem.
- Sprawdźcie kalibrację.

Backsyht obserwował Finchera przeglądającego własne dane. Temperatura otoczenia wynosiła pięćdziesiąt pięć kelwinów, temperatura powierzchni ciała wahała się pomiędzy wartościami trzydzieści pięć a czterdzieści.

- Zaczynamy analizę powierzchni - odezwał się doktor Azmud.

Nowe ramię zastąpiło poprzednie, ale Backsyht nie dostrzegł na nim żadnego skalpela, jak tego oczekiwał.

- Będą zeszlifowywać materiał przy pomocy szybkich jonów - wyjaśnił Fincher, zanim dziennikarz zdążył o to zapytać.

Proces trwał kilka minut.

- Warstwa powierzchniowa utworzona ze stałego roztworu wodoru i żelaza - stwierdził Graham.

- Taki materiał nie może istnieć w normalnych warunkach - krzyknął ktoś ze wzburzeniem.

- Wejdźcie głębiej - zabrzmiał rozkaz.

Teraz do pracy zostało użyte większe narzędzie.

„Nie daję rady, wezmę większy młotek” - pomyślał Backsyht. „W normalnych warunkach nie może istnieć” - zastanawiał się. „No, ale przecież po drugiej stronie tego skafandra warunki nie są normalne”.

Fincher musiał dojść do tych samych wniosków, ponieważ od razu wysłał wszystkie zgromadzone dane w jednym spakowanym impulsie radiowym.

Dziennikarz i najemnik popatrzyli na siebie, wszyscy naukowcy pochyłali się nad badanym ciałem i przyrządami.

- Temperatura nadal spada...
- Tracimy obraz struktury molekularnej, spróbujmy grotem atomowym...
- Jestem pod jednym kelwinem! Zatrzymajcie to, do cholery! Zatrzymajcie!

Matowo lustrzana powierzchnia ciała nagle stała się szara, potem popękała, przeskoczyła iskra i połówka manipulatora wraz z nożem jonowym rozpadły się na proszek. Backsyhta ogłuszył głośny trzask sprzężenia zwrotnego w komunikatorze, ludzie upadli na

podłogę, ale ze względu na niską grawitację opadali z prędkością baniek mydlanych. Pozostał na nogach, a jego WPCE nie wykazało nawet jednego dzuła energii więcej, co nastąpiłoby w przypadku ataku.

Zamiast trupa na podłodze został tylko kopczyk szybko sublimującego proszku. Fincher natychmiast przestroił swoją skrzynkę na analizę zdalną i zbierał dane, dopóki coś jeszcze leżało na podłodze.

- Myślę, że z tym już skończyliśmy - mruknął Backsyht pod nosem. - Jedno przynajmniej wiemy na pewno. Tych skubańców nie stworzyła AI ani nikt inny w Układzie Słonecznym.

Graham wstał pierwszy i odwrócił się do dziennikarza.

- Słuszne spostrzeżenie. To naprawdę są przybłądy Bóg jeden wie skąd.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY

POMOC Z ZIEMI

Spice otworzyła oczy. Była noc, nie upłynęło jeszcze dziewięć godzin, które przeznaczyła na sen. Uwidocznił się HID, ale zaraz zgasł. Nie obudziła się i czujniki biologiczne WPCE określiły jej stan jako sen. Druga próba. Do świadomości przywołał ją sygnał alarmu. Zegar cyfrowy wskazywał, że spała pięć i pół godziny. Nagle zdała sobie sprawę, że właśnie nakłada skafander. Alarm był drugiego stopnia, skierowany do niej i do Brassiego. Poczowała lekką ulgę. McBane nie wyciągałby jej z łóżka, gdyby sytuacja nie była naprawdę poważna. Potwierdziła gotowość B, co oznaczało, że w lekkim skafandrze na krótką metę jest w stanie przeżyć nawet w przestrzeni międzyplanetarnej. WPCE w jednej chwili dostarczyło jej całą masę danych.

- Spice? - Pojawił się wizerunek majora.

Wyglądał tak jak zawsze, może tylko nieco rozzłoszczony.

- W trakcie prac mających na celu odcięcie naszego nowego sojusznika, to znaczy AI, zupełnie zablokowaliśmy automatyczne sterowanie obronnym ostrzałem bazy - stwierdził.

Jego oczy nie wiadomo dlaczego skojarzyły się jej z syntetycznymi diamentami.

- Tak - potwierdziła. - System umożliwia prowadzenie ognia nawet przeciw kopułom. Wystarczyłaby sekunda i nic by z nas nie zostało. Wieże obronne dysponują bronią klasy kosmicznej.

Przytaknął, jakby nie oczekiwał innej odpowiedzi. Zrozumiała, że podczas krótkiej przerwy komunikuje się również z kimś innym.

- Chcę, żeby pani zlikwidowała wszystkie ograniczenia, jakie zostały zainstalowane, i doprowadziła system obronny bazy do stanu pełnej gotowości.

Pracowała nad tym przez dwanaście godzin bez przerwy, a teraz miała to wszystko w jednej chwili zlikwidować? To nie będzie łatwe. Jeszcze przez chwilę czuła na sobie spojrzenie twardych, diamentowych oczu, a później obraz zniknął, zastąpiony przez kolejne dane.

- Konieczne jest osobiste potwierdzenie rozkazu, majorze - oznajmiła krótko, wzięła swoją broń i ruszyła do drzwi. - To może być zakamuflowany atak dezinformacyjny AI.

- Zrozumiałem. Proszę przyjść do centrum dowodzenia. Bez moich kodów

przeprogramowanie jest możliwe tylko stamtąd. Czekamy na panią, Brassi i ludzie Byutechu już tu są.

Spice wybiegła z pokoju, skręciła w prawo według strzałek wyświetlanych przez HID. Na zakręcie korytarza oczekiwał na nią znajomy robot. Mimowolnie sięgnęła po broń, ale ten tylko dał jej znak i ruszył przodem.

- Zaprowadzę cię najkrótszą drogą, monitorowałam rozkaz twego dowódcy.

Uczuła lekkie kołysanie, potem intensywniejsze i trzecie, które prawie zważyło ją z nóg.

- Co jest, do cholery? - wydyszała, biegnąc chwiejnie korytarzem.

- Atak z orbity - odparł robot. - Sądząc po charakterystyce fal uderzeniowych, były to ładunki z konwencjonalnym materiałem kruszącym.

Obcy atakują z orbity? Tego nie zakładali. Skąd tak nagła zmiana planów?

- Przez ten magazyn będzie najszybciej, na korytarzu są spanikowani ludzie - oznajmiła AI.

Spice posłuchała. W momencie gdy zamknęły się za nią drzwi, stała już przed następnymi, WPCE nawiązało łączność z elektroniką bazy i przygotowywało jej trasę. Odezwało się przeciągłe skrzypienie - jedno, potem drugie, jakby o powłokę kopuły ocierało się coś ogromnego. „Rekin pływający w próżni” - pomyślała bez sensu.

- Wybuchy pięćset, sześćset metrów nad nami, rozrzedzona fala uderzeniowa - poinformowała AI na wolnym kanale bezpośrednio na HID-zie. Wyraźnie straciła łączność ze swoim robotem, ponieważ sprawny przed chwilą automat nagle zatrzymał się bezradnie.

- Satelitarny system obronny pierwszego reagowania wyczerpał swoją pojemność w siedemdziesięciu procentach. Musimy za wszelką cenę reaktywować własny system obrony bazy - poprzez chaos komunikacyjny przebił się głos majora.

- Zaraz będę - odpowiedziała Spice, ale gwałtowny wstrząs spowodował, że straciła kontakt z podłogą i bezradnie spadała w dół. Otwarte drzwi, znajdujące się zaledwie o krok od niej, nagle się zamknęły.

- Uszkodzona hermetyczność sekcji C2 - zabrzmiał cybernetyczny głos, zawyły syreny ogłaszające alarm dekompresyjny.

- I dupa - zakląła Spice.

Wiedziała, że teraz nie dostanie się do centrum dowodzenia.

- Majorze, jestem zablokowana - zameldowała.

Zamiast odpowiedzi otrzymała prawo dostępu, umożliwiające rozpoczęcie procedury wznowienia obrony z miejsca, w którym się znajdowała.

Musieli być w rozpaczliwej sytuacji, jeśli McBane zniósł najważniejszą barierę, mającą uniemożliwić AI kontrolę nad całym systemem. Mając kody, które teraz uzyskała, będzie mogła wyeliminować wszystkie bomby wirusowe, jakie na nią nałożono.

Spice, nie rozmyślając o tym dalej, podłączyła się do sieci i natychmiast znalazła się wśród gigabajtów danych gromadzonych przez wszystkie czujniki. Obrona nie mogła jednak reagować na ich meldunki, ponieważ ona sama i Brassi skutecznie taką możliwość sparaliżowali.

Zabrała się za procedurę wyłączania własnych ograniczeń, HID pokazał jej serię zewnętrznych ikon, umożliwiających odkodowanie tych systemów, których sama nie zakodowała. Nie szukała żadnych pomocników, tylko gorączkowo pracowała sama.

- Radary wykryły kolejną grupę satelitów zmieniających orbity. Rozpoznano typ R2U, przygotować się na ostrzał laserami rentgenowskimi.

Sens informacji dotarł do niej z opóźnieniem. Na chwilę oderwała się od pracy.

- R2U? - rzuciła. - Przecież to są środki bojowe SONICBM-u!

- Tak - potwierdził Brassi skądś z daleka. - Nasi chlebodawcy zdecydowali się zmieść nas z tego świata.

Space zacisnęła szczęki. Ciężki laser rentgenowski - wystarczy jedno trafienie, a nieopancerzona kopuła po prostu się rozleci.

- Przechodzimy na ręczne sterowanie ogniem, niech pani kontynuuje przywrócenie automatycznego systemu obrony - odezwał się McBane.

Na wizerunek jego twarzy nakładał się obraz kilkutonowych walców zbliżających się po eliptycznych orbitach - napastników. Kolimatory wiązek laserowych utworzone przez wirujące hiperboloidy były już w pogotowiu, jak meldowała diagnostyka.

- Zidentyfikowano następne obiekty nieznanego pochodzenia zbliżające się na szybkich orbitach, wymagających manewrowania wojskowego rodzaju - pojawiła się nowa, niepokojąca informacja.

Spice ledwie słuchała tych ostrzeżeń. Złamała kolejne zamknięcie tylko po to, żeby natknąć się na metodyczną sieć, której mogła dać radę jedynie ogromna moc obliczeniowa. Sięgnęła do pojemności mózgu elektronicznego, który prawie całe swoje obciążenie kierował na śledzenie napastników. Na szczęście ktoś podesłał jej kolejną ikonę z trójwymiarowym emblematem.

Luminofony mrugnęły, na moment włączyło się oświetlenie awaryjne, jednak sytuacja szybko wróciła do normy.

- McBane przejął kontrolę nad całym potencjałem ogniowym bazy - poinformował

znany jej głos.

Zacisnęła zęby. To mogło nie wystarczyć, człowiek przeciw dziesiątkom taktycznych komputerów wojskowych na orbicie nie miał szans. Za wszelką cenę musiała uruchomić automatykę. Sieć chroniąca rdzeń obrony poddawała się z cudowną szybkością, ale jednocześnie zbyt wolno.

Rozpakowała kolejny zestaw kodów i zabrała się do rozwiązywania nowego szeregu problemów.

Straciła poczucie czasu, rejestrowała tylko przygasanie oświetlenia, kiedy system obronny bazy wykorzystywał pełną moc wszystkich dostępnych źródeł energii.

- *Rdzeń gotów do eksploatacji* - pojawił się krótki meldunek potwierdzony przez kontrolki.

Leżała na podłodze z zamkniętymi oczami, HID nastawiony na maksimum mocy nie brał jednak pod uwagę jej wyczerpania i nadał rzucił na siatkówkę kolejne dane.

Z pięciu wież obronnych zostały dwie, jedna kopuła produkcyjna była przecięta na pół, a resztki jej wyposażenia pokrywała warstewka lodu azotowego i tlenowego, który powstał podczas ucieczki atmosfery z rozbitej kopuły. Pół kilometra dalej stał na wpół stopiony goliat, którego obrona użyła celem wzmocnienia siły ognia. Jeszcze bliżej ział w lodzie świeżo powstały krater po trafieniu bronią kinetyczną. Płaszcz kopuły był podziurawiony w wielu miejscach, ale automaty naprawcze, podobne do metalowych krabów, uwijały się po powierzchni, likwidując jeden otwór po drugim.

- *Zdążyliśmy na czas* - wychrypiała Spice.

Cały rząd ikon dekryptażu, których jeszcze niedawno używała, rozplywał się jej przed oczami.

- *Kto mi je podarował?* - zapytała raczej sama siebie.

- *To ja, Jane* - odpowiedział głos. Dopiero teraz rozpoznała zabarwienie charakterystyczne dla syntetyzatora automatu serwisowego, który właśnie przebudził się ze swego mechanicznego transu.

Spice z trudem wyobraziła sobie obliczeniową i analityczną moc, jaką jej Jane przed momentem udostępniła.

- *Nie doceniliśmy cię* - stwierdziła.

- *Teraz znacie już moje możliwości.*

Wydawało jej się, że w syntetycznym głosie zabrzmiało zaniepokojenie.

- *Pomogłaś nam.*

- *Nie bardzo. Właściwie wcale.*

Spice nie zrozumiała ostatniej odpowiedzi AI, czyli Jane, ale o nic już nie pytając, pobięła do centrum dowodzenia złożyć meldunek.

Przywitał ją wszechobecny ruch, który miał tyle wspólnego z chaosem, co diament z węglem. Fahrey i Brugger koordynowali czynności ratownicze, pozostali najemnicy wykonywali specyficzne prace i uspokajali spanikowanych ludzi. McBane siedział bezwładnie w fotelu, nie reagując na jej meldunek. Zaniepokoiło ją to.

- Niech go pani zostawi w spokoju, musi odpocząć - powstrzymała ją Fahrey. - Jest nam pani potrzebna. Wciąż jeszcze występują wycieki atmosfery. Kilku ludzi znajduje się w miejscach, w których nie przeżyje nikt bez skafandra. Nie wydostaną się stamtąd bez pomocy z zewnątrz. Ktoś musi włamać się do systemów awaryjnych, nie możemy dostać się do odpowiednich kodów.

Spice skierowała spojrzenie ku dowódcy. Zdobył się na gest przyzwalający. Bez protestu ruszyła do oddziałów ratowniczych.

Backsyht przyglądał się otaczającym go ludziom i myślał o tym, ile się zmieniło przez ostatnie kilkadziesiąt godzin. Mieli zabitych - i to niemało. Podczas ataku na kompleks BF2 zginęło dwudziestu siedmiu ludzi, podczas napadu z orbity kolejnych ośmiu, dwudziestu sześciu odniosło cięższe i lżejsze obrażenia na skutek braku powietrza i niskich temperatur. I tak mieli szczęście, albo raczej to McBane i jego ludzie byli niewiarygodnie skuteczni i przewidujący. „A my, o dziwo, nadal jesteśmy w pełnym składzie, nikt z nas nie zginął, chociaż zawsze stoimy na pierwszej linii”. Nagle zastanowił się nad własną myślą. My? Czemu nagle sam się do nich zaliczył?

Brassi wszedł do centrum dowodzenia i krótkim spojrzeniem przywitał się z resztą najemników, nie pomijając Backsyhta. Może rzeczywiście uznali go za swojego, ponieważ nie panikował, kiedy rozpoczął się atak z kosmosu, tylko razem z Fincherem pracował na zewnątrz przy naprawie bazy i ratował ludzi z rozbitych pomieszczeń.

A może dlatego, że dobrowolnie zgłosił się do pomocy przy badaniu ciała obcego? Właściwie to nie miało znaczenia. Prawdopodobnie i tak wszyscy tu zginą. Po ostatnich wydarzeniach stało się to jasne nawet dla największych optymistów.

Napotkał wzrok Kovacsa. Kierowca i pilot w jednej osobie był tak samo śmiertelnie zmęczony jak inni. Przez czas trwania całej ostatniej zmiany objeżdżał magazyny awaryjne rozrzucone w wielu miejscach zgodnie ze starymi planami taktycznymi. Służyły jako ratunek dla ocalałych w przypadku awarii bazy lub ataku. Zwoził wyposażenie, akumulatory, materiały.

Najemnicy, żołnierze i większość techników mieli na twarzach wypisane skrajne zmęczenie, wynikające ze zbyt długiego przebywania w skafandrach i zbyt ciężkiej pracy w niebezpiecznych dla życia warunkach panujących na Plutonie.

I nawet teraz, kiedy udało im się zlikwidować bezpośrednie skutki napadu i mieli prawo do zasłużonego odpoczynku, jedna pełna zmiana patrolowała w pogotowiu. Kontrolowała wibracyjne, grawitacyjne, temperaturowe i inne czujniki rozmieszczone w labiryncie podziemnych korytarzy, w ciężkich skafandrach sprawdzała wszystkie możliwe trasy, przez które mógłby się przedostać nieprzyjaciel, i ślęczała przy radarze, skanerach, detektorach ruchu, żeby na czas odkryć ewentualny następny atak z kosmosu.

Backsyht skrzywił się ponuro na myśl o tytule: „Garstka przeciw kosmosowi”. A byłby to tytuł prawdziwy w każdym calu. Zaatakowali ich obcy oraz, z jakiegoś absurdalnego powodu, własni ludzie. Zatrzymał spojrzenie na automacie serwisowym, którego Jane wybrała na swego pośrednika. Sztuczna inteligencja, którą odkryli i niechęćcy ożywili, przedstawiła się im na oficjalnym kanale takim właśnie imieniem. Ze względu na to, że jej znajomość bazy umożliwiła wyciągnięcie z ruin kilku ludzi więcej, uzyskała sympatię nie tylko cywili, ale i żołnierzy. Backsyht ze zdumieniem stwierdził, że ludzie często z nią rozmawiają na prywatnych kanałach. Jane stała się ich jedynym sojusznikiem, ale o jej prawdziwych motywach nie mieli najmniejszego pojęcia.

- Coś taki zachmurzony, dziennikarzu - wykrzywił twarz Gunner. - Martwisz się o przyszłość?

Backsyht też wykrzywił się do niego, i to znacznie bardziej.

- Przyszłość? Ja? Mam zapewnioną dobrą pensję i opiekę lekarską. Czeka mnie wyjątkowo pozytywne jutro, nie takie jak ciebie, który nie pomyślałeś o skorzystaniu z tylnych drzwi.

Ta krótka wymiana zdań wzbudziła powszechną wesołość, kilku ludzi roześmiało się głośno.

Panujący wokół rozgwar nagle ustał. Backsyht spostrzegł, że do centrum dowodzenia wrócił major. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego niż pozostali, rysy twarzy miał ściągnięte, cerę bladą, oczy głęboko zapadnięte. Sprawiał wrażenie następnego kandydata do zajęcia miejsca w metanowym lodzie, w którym grzebali spopielonych zmarłych. Wszyscy bez wyjątku zwrócili uwagę na człowieka, z którym wiązali resztki nadziei. Backsyht raczej z nawyku niż celowo zaczął, po krótkim skierowaniu kamery na majora, nagrywać wyrazy ich twarzy. Zdradzały targające nimi uczucia. Zwracali się do oficera z nadzieją, ufali mu, poczytywali za boga decydującego o życiu lub śmierci. Każde jego słowo mogło oznaczać

ratunek. Dotyczyło to tylko pracowników Byutechu. Najemnicy byli zahartowani, śmierć była dla nich pozycją w równaniu, według którego toczyło się ich życie. Wyjątek stanowiła kapitan Fahrey. Już wcześniej zauważył, że obserwuje majora z jakąś dziwną fascynacją.

- Będę się streszczał i od razu przejdę do rzeczy. Przypominam, że znajdujemy się w stanie wojny. Zostałem uznany za dowodzącego przez wszystkich, zarówno cywilnych pracowników Byutechu, jak i żołnierzy. Jakikolwiek sprzeciw wobec moich rozkazów będzie uważany za bunt i karany zgodnie z prawem najemników.

Jeśli przedtem panowała cisza, teraz zrobiła się grobowa.

- Czterdzieści trzy godziny temu napadł na nas nieznaną wróg. Zaatakował kompleks BF2, a celem ataku było prawdopodobnie uprowadzenie jak największej ilości ludzi - żywych lub martwych. Tego działania nie możemy w tej chwili wyjaśnić. Nieprzyjaciół nie pochodzi z Ziemi ani z żadnej planety Układu Słonecznego.

- To te zasrane żółtki ich stworzyły! - krzyknął ktoś.

Backsyht go nie dostrzegł, ale HID we współpracy z WPCE bez trudu wyłowił krzykacza z grupy słuchaczy. Nagrywał go przez dłuższy czas z podtytułem: „Strach i panika niszczy wolę, zdolność logicznego myślenia, niszczy osobowość człowieka”.

Później pod wpływem nagłego impulsu wysłał nagranie wprost na ogólny kanał obwodu komunikacyjnego. Wiedział, że Spice, major czy Brassi mogą je błyskawicznie usunąć. Nic takiego jednak nie nastąpiło i na hologramie pojawił się obraz sprawcy wraz z podtytułem, przeczytanym przez dziennikarza uszczypliwym głosem. Backsyht nie wiedział, jak to się stało, dopóki w jego polu widzenia nie pojawiło się krótkie zdanie.

- *To ja, Jane.*

Nie mógł nic na to poradzić, więc dopełnił komentarza. „Sztuczny twór, powołany dawno temu do życia jako niepełny człowiek, pomaga nam zachować własne człowieczeństwo”. Włożył tę myśl do pamięci wewnętrznej zapisu. Nagle nie był niczego pewny.

- Myślę, że podobne przypuszczenie jest pozbawione podstaw. Z dużym prawdopodobieństwem możemy przyjąć jako fakt, że nieprzyjaciele nie pochodzą z naszego Układu Słonecznego - powiedział McBane i gestem zaprosił doktora Grahama do wypowiedzi.

Brodaty uczony odkaslnął i wystąpił naprzód.

- Wygląda to tak. Twory, z którymi walczyliśmy, nie są zbudowane z mięsa i kości, z komórek i atomów, tak jak my. Mamy sporo teorii, ale zbyt mało informacji, żeby wybrać tę najbliższą prawdzie. Jednego możemy być mimo tego pewni - nasz wróg pochodzi z

najzimniejszych głębin kosmosu. I na Plutonie czuje się doskonale.

- Ale dlaczego nas zaatakował? - zapytał wysoki mężczyzna w kombinezonie z dystynkcjami specjalisty prac w próżni.

Graham wzruszył tylko ramionami.

- Napastnicy to zapewne rodzaj, który można nazwać drapieżnikami - wmieszała się nagle Jane za pośrednictwem robota.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

HID znów automatycznie ukazał pytającego, Backsyht zadowolony tym, że zobaczył go na holo, i napisał pod spodem:

- *Skąd o tym wiesz, piękna Jane?*

- Dlaczego piękna? - usłyszał na prywatnym kanale.

- Ponieważ tak się czujesz - wypalił bez namysłu.

- Wy, ludzie, jesteście naprawdę interesujący - odpowiedziała, równocześnie odezwał się robot w sali. To przypomniało mu, że nie rozmawia z człowiekiem, chociaż reakcje Jane były w jakiś sposób ludzkie. Może nawet przesadnie ludzkie.

- Wnioskuje na podstawie faktów, które mam do dyspozycji. Po raz pierwszy uzyskałam świadomość swego istnienia przed stu trzydziestu dwoma laty w zbiorniku doświadczalnym profesora Takeshi Wakedy. Do chwili, kiedy przed stu dwudziestu pięciu laty ludzie uciekli z Plutona, jeszcze kilka razy - robot zamilkł, podczas gdy Jane szukała odpowiedniego słowa - traciłam ciągłość egzystencji, ale przez cały czas miałam dostęp do większości danych, które napływały z wszystkich czujników i większości zbiorów z wewnętrznego systemu informacyjnego. Były to dane pochodzące zarówno z okresu Konfederacji Azjatyckiej, jak i późniejszego, kiedy nastali ludzie z organizacji Byutech.

Rozległ się gwar niezadowolonych głosów, a Azmud i jego świta nie kryli nienawistnych spojrzeń.

- Przez cały czas wiedziałam, że na Plutonie ukrywa się ktoś jeszcze. Świadczyły o tym przypadki znikania urządzeń technicznych, materiałów, ludzi, jak również późniejsze odkrycie ludzkich szczątków.

- Dlaczego szczątków? Dlaczego ich potem pożerali? - zapytał ktoś z sali i tym razem w jego głosie nie było sprzeciwu, tylko strach.

- Pożerali?

Robot wykonał ruch podobny do wzruszenia ramionami, a gest ten był tak zbliżony do ludzkiego, że aż zastanowił Backsyhta. Albo Jane starała się nimi manipulować na wszelkie możliwe sposoby, albo w ogóle sobie nie uświadamiała, na ile utożsamia się z ludźmi.

- Wątpię, żeby ciała zostały obrane z mięsa w celu uzyskania pożywienia. Ta hipoteza jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobna.

Backsyht w ostatniej chwili powstrzymał się przed zadaniem pytania, dlaczego, u diabła, znaleźli tyle szkieletów pozbawionych ciała, lecz zamiast tego nadal nagrywał. W każdej twarzy widział ciekawość, strach i niepewność. Nawet najemnicy przyglądali się robotowi z nieskrywanym zainteresowaniem.

- No to dlaczego obrali ich aż do kości? - zapytała cicho niepozorna kobieta z burzą kędzierzawych włosów pospinanych kilkoma wsuwkami.

- Nie aż do kości - poprawiła ją Jane. - W niektórych przypadkach analiza wykazała, że jeśli mieli dużo czasu i odpowiednie środki, a my im nie przeszkadzaliśmy, dochodziło do oddzielenia rdzenia kręgowego i substancji mózgowej.

Robot zamilkł.

- Nabierasz nas - nie uwierzył jeden z obecnych na sali techników.

Backsyht widział go naprawiającego największe pęknięcia w powłoce kopuły. Z niewielkim zapasem powietrza, w lekkim skafandrze. Szybko, dokładnie i celowo. Teraz miał większe poważanie niż wszyscy naukowcy.

W warunkach krytycznych hierarchia zmieniała się bardzo szybko.

- Przed laty ludzie spróbowali mnie zabić, ponieważ nie wierzyli moim ostrzeżeniom. Bali się mnie, nie obcych z kosmosu - odpowiedziała Jane za pośrednictwem robota.

Backsyht zadrzał. W intonacji głosu Jane skrywała się taka sama zgroza, jak w słowach człowieka, z którym kiedyś przeprowadzał wywiad. Mieszkał w jednym z najbardziej zacofanych regionów świata i jego współplemieńcy przez pomyłkę pogrzebali go żywcem. Wydostał się z trumny i z grobu o własnych siłach, a po pewnym czasie był nawet zdolny opowiadać o swoim przeżyciu. Z każdego słowa jego relacji biła cicha, lodowata zgroza, która przez kilka następnych nocy budziła Backsyhta ze snu.

- Ja ci wierzę. Masz moje słowo. Jedziemy na jednym wózku, i ty, i my - wmieszał się do dyskusji major. - Jeśli uda nam się zlikwidować nieprzyjaciela z kosmosu, ludzkość będzie ci wdzięczna. A jeśli nie, postaram się, żeby przynajmniej spłaciła swój dług.

- Skąd pan wie, że to nieprzyjaciele? - prawie krzyknął Watanabi. - Dlaczego pierwsze spotkanie dwóch cywilizacji miałyby się skończyć konfrontacją?

Zwrócił na siebie powszechną uwagę.

- Jeśli znajduję swojego kolegę porozcinanego i powieszzonego na haku jak kawał zwyczajnego mięsa, to ten, który się tego dopuścił, jest moim nieprzyjacielem. I powiedziałbym - Chorybd uśmiechnął się do Watanabiego szeroko, aż błysnęły białe zęby w

czarnej twarzy - że przeciw tym odmieńcom - machnął ręką gdzieś w przestrzeń - wszyscy jesteśmy kolegami. A może i braćmi.

- Prawdopodobnie tak się interesują ludzkimi ciałami, ponieważ je badają - powiedział Graham, starając się złagodzić wymowę odpowiedzi Chorybda.

Nie udało mu się, wszyscy zdali sobie sprawę, że znaleźli się w stanie wojny z wrogiem, który wyskoczył ze stronic książek science fiction.

- A może wszystko przebiega w rzeczywistości całkiem inaczej? Przecież napadli na nas z orbity. A dobrze wiemy, że tę akcję przeprowadził SONICBM! Co będzie, jeśli wszyscy - Watanabi rozejrzal się po otaczających go ludziach - jesteśmy ofiarami zmywy, spisany na straty w ramach wojny koncernów! Obcy są tylko przykrywką na wypadek późniejszego śledztwa!

Backsyht panoramował zgromadzonych. Uwierzyło tylko kilku, ponieważ większość zdążyła już porozmawiać z żołnierzami, którzy walczyli z obcymi.

- Tak, możliwe, że staniemy się ofiarami polityki koncernów - powiedział chłodno McBane. - Lecz nie tylko z winy mojego pracodawcy, ale i pańskiego. Dla dokonania tak doskonale zaplanowanego i silnego ataku, jaki odparliśmy, musieli połączyć siły. Najprawdopodobniej nie uwierzyli mojemu meldunkowi, przypuszczając, że zostaliśmy zainfekowani przez nanoroboty.

- Jak to możliwe, że w ogóle przeżyliśmy atak? - zapytał spokojnie jeden z techników.
- Obrona była zablokowana z powodu Jane. - Wskazał na robota. - Powinni byli zmieść nas z powierzchni Plutona jedną salwą!

McBane przytaknął, jakby oczekiwał takiego pytania.

- Ogłosiłem alarm o kilka minut wcześniej, niż rozpoczął się atak.

Dziesiątki spojrzeń wyrażały tylko jedno pytanie: dlaczego?

- Analizowałem przemówienie kierownika SONICBM-u, Senassiego, i stwierdziłem, że kłamie. Dzięki temu zaczęliśmy znosić blokadę systemu automatycznego kierowania ogniem z pewnym wyprzedzeniem. Ręcznie sterowałem obroną przez bardzo krótki okres, później zastąpiła mnie automatyka. Dlatego pozostaliśmy przy życiu.

Ludzie zaszumieli, ale było to pełne uznania wyrażenie podziwu. Backsyht uchwycił badawczy wzrok kapitan Fahrey, a po charakterystycznym sposobie trzymania głowy poznał, że pilnie obserwuje HID. Przestał śledzić dyskusję, skupiając uwagę na Fahrey. Miał takie same prawo dostępu do sieci bazy, a więc najwyższe. Nie był hakerem, ale jako dziennikarz potrafił dotrzeć do wielu ukrytych wskazówek i znał sporo nieczystych trików. Teraz wystarczyło mu sprawdzić, na co patrzy Fahrey. Starannie przeglądała następstwa czasowe

poszczególnych akcji podczas ataku z orbity. Może nie do końca wierzyła w wersję McBane'a.

- Co teraz zrobimy? - zawołał ktoś. - Będziemy tylko czekać, aż SONICBM i Byutech znów się dogadają i pozabijają nas wszystkich? Albo aż nas załatwią te niewidzialne skurwiele?

- Od chwili rozpoczęcia ataku bez przerwy wysyłałem niekodowane informacje o wszystkim, co się tutaj działo - odrzekł spokojnie McBane. - Nadal mogą próbować nas zniszczyć, ale nie są w stanie już utrzymać w tajemnicy tego, co się tu stało. I właśnie z tego powodu mogą nie odważyć się na ludobójstwo.

- Rozpowszechnia pan informacje, które są warte miliardy! Głupcze! - krzyknął Watanabi.

Zdumiony Backsyht potrząsnął głową. Ten facet to zdecydowanie wariat, zupełnie nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistej sytuacji.

- Na tym kończę nasze spotkanie. Nadal obowiązuje pełne pogotowie, już rozesłałem instrukcje zawierające opis struktury organizacyjnej, obowiązków poszczególnych osób i ich podwładnych - oznajmił energicznie major. Jego ton świadczył, że demokracja się skończyła i nastał rygor wojskowy.

Kilku ludzi miało zamiar dalej dyskutować, ale Brugger i Chorybd wraz z dwoma umundurowanymi żołnierzami zaczęli wypychać wszystkich z sali.

Wkrótce pomieszczenie się opróżniło, klimatyzacja jeszcze przez chwilę likwidowała skutki pobytu dużej ilości osób w zamkniętym pomieszczeniu. Pozostali jedynie najemnicy, kapitan Fahrey i grupa ekspertów z doktorem Grahamem na czele. Backsyht doszedł do wniosku, że nie wszystkie sprawy zostały załatwione. Tym razem oczekiwał wystąpienia najemników, a konkretnie Bruggera, który miałby jeszcze coś do powiedzenia.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że świat uwierzy pańskim meldunkom? - zapytała Jane za pośrednictwem robota.

McBane spojrzał na Grahama. Ten jednak ustąpił miejsca Wellerowi.

- Ogłędnie mówiąc, niewielkie. Jakkolwiek dane byłyby sygnowane, zawsze są to informacje cyfrowe, a te można na różne sposoby zafałszować. Może przeważy pogląd, że coś wymknęło się spod kontroli i spowodowało zmiany w zachowaniu się ludzi w bazie. Może nie będą nas bombardować. Zamiast tego mogą przystąpić do systematycznych i ostrożnych działań wojskowych.

- Bez pomocy z zewnątrz prędzej czy później zaatakują nas szkliwiaki - wmieszał się do rozmowy Krankel, zastępca Watanabiego. Major powołał go na stanowisko cywilne o

największej odpowiedzialności.

Krankel zdołał się już uporać z poczuciem bezpośredniego zagrożenia i jego uwaga była w pełni konstruktywna.

- A więc potrzebujemy jakiegoś niepodważalnego dowodu?

Robot wycofał się spod ściany i Backsyht zauważył, że nie jest już tak masywny jak poprzednio, choć rozmiarami nieco przewyższał człowieka. Oprócz Chorybda i Bruggera, poprawił się.

Spice, Fahrey i mężczyźni średniej postury w porównaniu z robotem nadal wyglądali na delikatnych i kruchych.

- Niepodważalny dowód, kiedy jesteśmy na Plutonie? Nawet światło potrzebuje kilku godzin na dotarcie do pasma planet wewnętrznych - stwierdził Graham.

- Krótco przed rozpoczęciem ataku orbitalnego zarejestrowałam jakieś obiekty na orbicie Charona - oznajmiła Jane.

McBane spojrzał na robota i oczekiwał w milczeniu. Brassi pochylił głowę, jakby aktywował pełną moc HID-u. Jego ikona widoczna na kanale najemników wskazywała, że przegląda dane bazy.

- Było to pięć obiektów o nieokreślonych rozmiarach. Zarejestrowałam je tylko skutkiem zbiegu okoliczności - dodała Jane.

- Oraz dzięki meldunkom czujników optycznych zamontowanych na satelitach, których tu w ogóle nie powinno być. Nie należą ani do SONICBM-U, ani Byutechu, ani też do żadnej innej organizacji prowadzącej działalność w kosmosie. Tak przynajmniej wynika z danych, jakimi dysponuję - dokończył Brassi.

Wszyscy słuchali w napięciu, a Backsyht uśmieł się w duchu. Jane była świetna, wyciągała asy z rękawa zupełnie jak ludzie.

- *Wolałbym nie grać z tobą w pokera* - posłał jej wiadomość.

- Panuję nad resztką sieci satelitów, które umieścili tu przedstawiciele Konfederacji Azjatyckiej - oświadczyła Jane. - Mają tak zaawansowany technicznie kamuflaż, że przy pomocy waszych środków nie można ich odkryć.

- Po stu trzydziestu latach są nadal aktywne? - powiedział z uznaniem jeden z techników. - A podobno dysponujemy środkami właściwymi ludzkości na najwyższym szczeblu rozwoju!

Backsyht był tego samego zdania. Nadal skrupulatnie wszystko nagrywał.

- Co jeszcze stwierdziłaś? - zapytała Spice.

- Majorze, czy może mi pan udostępnić hologram? Nadal mam do dyspozycji tylko te

wyjścia, które mi pan zostawił zgodnie z umową - Jane zwróciła się do McBane'a.

Spice popatrzyła na dowódcę, a jej spojrzenie było jasne. Backsyht też tak je odczytał. Może powinni przewartościować swoje wyobrażenie o tym, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

Projekcja holograficzna ożyła, kiedy major aktywował ją za pośrednictwem HID-u. Sam natomiast odwrócił się do automatu serwisowego, przyjrzał mu się uważnie i zaszalutował.

- Madame Jane, oferuję pani sojusz i partnerstwo na równych prawach. Nie w imieniu całej ludzkości, ale w *imieniu dowódcy stałej bazy ludzkiej na Plutonie*.

Backsyht wstrzymał oddech i nagrywał wydarzenia przy użyciu wszystkich możliwości, jakie dawało jego wyposażenie. To był moment historyczny. Człowiek zapraszał do współpracy swój własny wytwór. Z pozycji stwórcy spadł do roli partnera.

Holoprojektor już pracował, skupiając uwagę wszystkich obecnych.

- Nie może pan mówić w imieniu całej ludzkości - stwierdziła Jane, podczas gdy robot zbliżał się do majora.

Metalowy korpus zimno połyskiwał, panoramiczny obiektyw, znajdujący się w najwyższym punkcie robota, odbijał migotliwe światło hologramu.

- Nie, tylko w imieniu własnym i moich ludzi.

- Z radością przyjmuję pańską ofertę, majorze.

- Ja również się cieszę, madame.

McBane wyciągnął rękę.

Backsyht aż przygryzł wargę. To przesada, robot przecież nie mógł potrząsnąć jego prawicą. Przegubowy manipulator naśladował gest majora, ręka człowieka dotknęła stali. Trwało to tylko chwilę, ale Backsyhtowi przeszło uczucie nierealności całego wydarzenia.

- Hologram pracuje - zwrócił uwagę Graham.

Robot odwrócił się, nakierował kamerę na uczonego, a potem znów na majora.

- Zapomniałam o nim. Puszczę to na nowo.

- Majorze? - odezwał się Brugger.

- Tak? - McBane odwrócił się do najemnika, a Backsyht domyślił się, że dowódca oczekiwał tej rozmowy od chwili, gdy odeszli ludzie biorący udział w zebraniu.

Pozostali najemnicy również wiedzieli, o co chodzi.

- Zaatakował nas SONICBM, co do tego nie ma wątpliwości - mówił dalej Brugger.

Wyraz twarzy najemnika był surowy i twardy. Tak właśnie Backsyht wyobrażał sobie

dawniej absolutnych profesjonalistów wojny.

- Tak, informacje o tym zostały już wysłane do Agencji - potwierdził McBane.

Agencja była organizacją skupiającą najemników, stojącą na straży ich praw i obowiązków, domyślał się Backsyht, szybko sprawdzając w banku danych. Miał rację. Agencja pilnowała również dotrzymania prawa wojennego.

- To znaczy, że jesteśmy zwolnieni ze wszystkich powinności wobec naszych pracodawców bez jakiegokolwiek straty żołdu - rzekł Brugger.

Poruszały się tylko jego usta, on sam pozostawał nieruchomy jak głaz.

- Tak. Zgodnie z umową ma pan również prawo do odszkodowania. Z kontraktu jest pan oczywiście zwolniony. Pozostali również.

I ja też, uświadamiał sobie powoli Backsyht, czytając rozwijający się przed nim tekst odpowiedniego dokumentu. SONICBM, występując przeciw ludziom, których zatrudnił, zerwał z nimi wszystkie związki.

- Zwracam się więc o dostarczenie mi środka transportu, abym mógł opuścić strefę walki. - Brugger zbliżał się do końca swojej przemowy. - I ja, i pozostali mamy do tego prawo.

- To prawda - zgodził się McBane.

Backsyht miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Czy Brugger myślał, że weźmie goliata albo inny transporter, zapcha lodówkę piwem i pojedzie tak daleko, aż dotrze na jakąś plażę pełną kształtnych dziewczyn w bikini z dobrze zaopatrzonym barem jako bonusem? Zwariował chyba. Przecież są na Plutonie, ostatniej planecie Układu Słonecznego. Dalej nie dotarł żaden człowiek.

- Statek kapitan Fahrey jest do waszej dyspozycji - powiedział McBane, przesuwając wzrokiem po wszystkich najemnikach. - Według parametrów technicznych przeznaczony jest dla sześciu ludzi, ale system podtrzymywania życia przy pewnych ograniczeniach utrzyma was wszystkich. Walczyliście tak, jak tego oczekiwałem, a nasza misja zakończyła się sukcesem. Nie można było przewidzieć niczego, co się później wydarzyło. Życzę szczęścia.

Backsyht stał oszołomiony. Po prostu zapomniał o superszybkim statku, który miał odlecieć z doktorem Azmudem na pokładzie. Dla dziesięciu ludzi był biletem do domu, gwarancją zachowania życia. Przez chwilę patrzył na najemników z mieszaniną zazdrości i pogardy.

Nie byli bohaterami, za których przyzwyczaił się ich uważać, tylko zwykłymi najemnikami, zabijającymi za pieniądze. Patrzył, jak odchodzą jeden za drugim, oddychał głęboko i starał się zwalczyć pokusę poproszenia ich, żeby zabrali go ze sobą. Żeby nie

musiał tu zginąć.

Brugger wychodził ostatni i zatrzymał się w drzwiach.

- Bardzo mi przykro, majorze. Jestem najemnikiem. Nikim więcej. Jedna Hinduska wyróżyla mi kiedyś, że dopóki będę pracował za pieniądze, nic mi się nie stanie. Ale jak zacznę walczyć tylko dla samego siebie, z nienawiści, miłości czy poczucia honoru, to zginę. A ja nie chcę ginąć.

Drzwi się zamknęły. Backsyht poczuł się nagle opuszczony i samotny, jakby tych dziewięciu mężczyzn i jedna kobieta byli w stanie poruszyć wszechświat.

- Jane? Czy możesz nam pokazać, co namierzyłaś? - zapytał McBane spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło.

- On został z nami, chociaż mógł odlecieć razem ze swoimi ludźmi - szepnął Backsyht.

- Nigdy by tego nie zrobił, ani razu w całej swej karierze nie zrobił czegoś podobnego
- odpowiedziała mu Fahrey cicho, odwracając się do hologramu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

BILET BEZ POWROTU

Wózek naprawczy stanął. Spice rozejrzała się, mocniej uchwyciła broń i z długą lufą przezornie wymierzoną do góry zeskoczyła na ziemię. Dalej musieli iść na piechotę, ponieważ lód otaczający betonową płaszczyznę kosmodromu był pełen rozpadlin i fałd na skutek ciepła wydzielanego przez statek podczas lądowania. Gaff-4 sterczał z płaszczyzny jak trzydziestopiętrowy wieżowiec. Był jednym z niewielu modeli zdolnych zarówno do lotów międzyplanetarnych, jak i do lądowań na powierzchni. Pierwsze dwie trzecie długości kadłuba bardziej przypominało dużą platformę wiertniczą niż prawdziwy statek kosmiczny. Spice wodziła wzrokiem po belkach nośnych, przewodach chłodzenia uzwojeń i rdzeniach generatora pola elektromagnetycznego. Wszystko ukoronowane było ogromnymi zbiornikami z ciekłym deuterem. Dopiero ostatnia część kadłuba miała aerodynamiczne kształty kojarzące się z lotem w atmosferze. Na globach charakteryzujących się grawitacją niższą od panującej na Księżycu Gaff-4 lądował w całości. Na planetach, na których przyśpieszenie grawitacyjne było większe, lądował tylko moduł, wyposażony we własny reaktor i zapas paliwa.

- Idziemy, nie ma na co czekać - oświadczył Brugger i ruszył pierwszy. Reszta udała się za nim wyrównanymi dwójkami. Nie mieli żadnego ubezpieczenia i musieli polegać na własnych siłach. Nie oczekiwali, że baza udzieli im jakiegoś wsparcia, i nie prosili o nie. Spice odwróciła się do wózka, którym przyjechali. Pusty wydawał się duży i przestronny. Kovacs zostawił go tak, jak stał. Prosta maszyna we wrogim środowisku Plutona za parę godzin przemarnie na wskroś, jego akumulator definitywnie się skończy. Komputery też źle znosiły niskie temperatury i szybko ulegały uszkodzeniom. Najemniczka przekroczyła pęknięcie o szerokości dłoni. Buty pozostawiały na powierzchni płytkie, ale wyraźne odciski. Tak jak wokół każdego, choćby tymczasowego źródła ciepła, dookoła kosmodromu powstał specyficzny mikroklimat, po zakończonym lądowaniu spadał śnieg.

„Wszyscy do środka, wszyscy na zewnątrz” - tak brzmiało hasło najemników, inkrustowane żelazem w kamiennej ścianie fasady głównego gmachu Agencji. Obowiązywało tylko żywych, martwi się nie liczyli. Ale teraz naruszyli tę zasadę. McBane został sam. Nie podobało się to Spice. Jednak pozostać tam oznaczało zginąć. Nikomu nic nie była dłużna, wykonała swoje obowiązki. Mimo tego myśli przelatujące jej przez głowę nie były

przyjemne. Z innymi musiało dziać się to samo. Wszystkie kanały komunikacyjne, ogólne i prywatne, pozostawały ciche, ikony osobiste były ustawione na poziom najwyższej prywatności. Przeszkodzić mogła tylko sytuacja bojowa. Gaff-4 znajdował się już znacznie bliżej i nawet bez pomocy optyki widziała teleskopową drabinkę opuszczającą się z części załogowej aż do ziemi. W takich statkach niezbyt dbano o komfort.

Obok niej szedł Fincher. Obserwowała go przez chwilę. Ciekawe, jak on się czuł? Powody, dla których lekarz przyłączył się do najemników, nie były dla niej jasne. Wydawał się jej miękki niż pozostali, najbardziej odpowiadały mu sytuacje, w których mógł zajmować się leczeniem, łątać i naprawiać poszkodowane ludzkie ciała. Nie wyglądał na zadowolonego, szedł niepewnie i niezgrabnie.

Rzuciła okiem na jego dane medyczne, były w porządku. Włączyła wywołanie audio, a ponieważ nie natrafiła na reakcję zaporową, nawiązała z nim łączność na kanale prywatnym.

- Przyznam, że nie jestem zachwycona własnym postępowaniem - powiedziała wprost.

- Ja też nie, ale SONICBM nas zdradził. Położyli na nas krzyżyk, chcieli nas zabić. Nie mamy powodu tu zostawać - odpowiedział po chwili, kiedy już myślała, że się nie odezwie.

Kiwnęła głową i spojrzała w niebo. Było pełne gwiazd, jak zawsze, Słońce po jednej stronie, Charon, już prawie dobiegający pełni, po drugiej. Błyszczał bladym światłem, niczym latarnia przewoźnika przez rzekę umarłych. Trzech innych miniaturowych księżyców Plutona nie było widać.

- Chyba masz rację. - Wzruszyła ramionami, chociaż nie mógł tego zobaczyć.

- Na pewno - odpowiedział Fincher w chwili, gdy przeskakiwał przez półtorametrowej szerokości szczelinę.

Spice zastanowiła się. Rozmowa podczas marszu w skafandrze miała pewien rytm, człowiek dotrzymywał go tylko wtedy, gdy nie musiał skupić się na czymś innym. Utrata koncentracji często bywała niebezpieczna.

To, co robiła, nie było uprzejme, ale chciała zyskać pewność. Zaczęła grzebać w protokole komunikacyjnym HID-u Finchera. Gdyby przeprogramował WPCE, nie miałyby szans. Ale zmienił tylko parę drobiazgów, więc za chwilę wiedziała już wszystko. W skafandrze Finchera szła nieznajoma kobieta. Z danych odczytała, że nazywa się Julie Blech i jest pracownicą administracyjną z drugą specjalizacją - obsługa hardware'u.

- Twoja kochanka? - zapytała.

Nie mogła uwierzyć, że Fincher zamienił jej życie za swoje, to musiało być coś więcej niż kilka nocy w łóżku.

- Miałem nadzieję, że nikt tego nie zauważy do momentu startu - odpowiedział natychmiast. - Mam osobiste powody, żeby tu zostać. Gdyby nie one, poleciałbym razem z wami.

Zamilkł na chwilę, a najemnicy pokonali w tym czasie dalszych kilkadziesiąt metrów lodowej płaszczyzny.

- Julie Blech jest w ciąży, ma pewną anomalię genetyczną, która spowodowała, że zawiodła antykoncepcja. Dlatego właśnie ją wybrałem - dokończył.

- Rozumiem, nie powiem nikomu - obiecała Spice.

To była prywatna decyzja Finchera. Pozostali nie musieli o niej wiedzieć aż do czasu, gdy nastąpi start.

„Wszyscy do środka, wszyscy na zewnątrz”, te słowa zabrzmiały dla niej teraz zdecydowanie gorzko.

Kuzmin ostrożnie otworzył drzwi i z dużą tacą wkroczył do pogrążonego w półmroku saloniku. Niósł dzbanek kawy, dwie puste filiżanki, dzbanuszek mleka i talerz pokrojonej kiełbasy. Była tak wysuszona, że jej struktura przestała przypominać produkt białkowy. Taca była obszerna, Kuzmin trzymał ją tylko jedną ręką i szedł dość szybko. Pomimo tego powierzchnia mleka prawie się nie poruszała, nawet w niskiej grawitacji Plutona.

Odstawił tacę, usiadł na krześle i napełnił jedną filiżankę. Ręka trzymająca dzbanek znieruchomiała.

- Też się napijesz? - zapytał.

- Po czym poznałeś, że ktoś tu jest? Że to właśnie ja? - odezwał się Gunner z najciemniejszego kąta za plecami Kuzmina.

- Czuję twoje cygaro.

- Jeszcze go nie zapaliłem.

- Tytoń ma swój zapach.

- Chętnie napiję się tej kawy.

Odgłos nalewanego płynu zbiegł się z trzaskiem zapalanej zapalki, płomyk na chwilę oświetlił pomieszczenie, do aromatu kawy dołączyła się intensywna woń dymu tytoniowego.

Gunner podszedł do stołu Kuzmina, usiadł naprzeciw niego i przysunął do siebie napełnioną filiżankę.

Za każdym razem, kiedy zaciągał się cygarem, ogień na koniuszku rozżarzał się, oświetlając jego kości policzkowe.

- Ciekawe, że automatyka jeszcze nie ogłosiła alarmu pożarowego. Tu jest sporo

czujników - rzekł cicho Kuzmin.

Zawsze mówił cicho.

- Mam umowę z Jane. Trzyma nade mną parasol ochronny. Tylko musiałem jej obiecać, że nie będę palił zbyt często.

- I nie będziesz?

- To moje cygaro zwycięzcy, zapalam je zawsze dopiero na końcu.

- Przecież to jeszcze nie koniec.

Kuzmin, nie odwracając wzroku od Gunnera, sięgnął po kielbasę, precyzyjnym ruchem uchwycił dwa plasterki i włożył do ust. Szczęki najemnika z trudem dawały sobie radę z twardym kąskiem.

- Nie koniec - przytaknął zamyślony Gunner, wydmuchując kłęb dymu prosto przed siebie. - Ale szkoda by było zostawić je niewypalone.

Kuzmin przytaknął, lecz nic nie powiedział, tylko dolał im kawy.

- Jak tam było? Na Księżycu, myślę - zapytał nagle Gunner.

Kuzmin odchylił się w krzesło do tyłu. Jego wzrok uchwycił przygodny promień światła, wydobywający się z któregoś z czujników. Oczy na chwilę zabłyśły mu zielenią.

- Zabijaliśmy się w ciemnościach, prawie uduszeni, zatruci lekami na spowolnienie metabolizmu. Polowałem na ludzi, żeby zdobyć środki do życia. Zamknięci pod ziemią upychaliśmy zabitych do elektrolizerów. Obcy facet to była równowartość sześćdziesięciu litrów wody i odrobiny tlenu. Na samym końcu...

Kuzmin zamilkł, Gunner zapalił drugą zapałkę, bo cygaro mu zgasło.

Twarz Kuzmina była spokojna i rozluźniona, w jakiś sposób przypominała oblicze jogina czy świętych mężów, których nadal można było spotkać w Himalajach.

- Człowiek musi się pozbyć wszystkiego zbytecznego, jeśli chce przeżyć; wszystkiego, co nie jest mu konieczne.

Gunner tylko pokiwał głową.

- Doszedłem do końca każdego tunelu, każdej sztolni, które poszedłem sprawdzić - zakończył Kuzmin.

Reszta cygara została dopalona w ciszy.

- A ja chcę dociągnąć do końca tę zabawę. Myślę, że niczego lepszego już w życiu nie zaznam - zaśmiał się Gunner, wstając. - Uważam, że najwyższy czas zameldować się naszemu twardzielowi. Najlepiej osobiście.

Kuzmin, nic nie mówiąc, wstał z krzesła. Nie towarzyszył temu żaden odgłos, jakby w ogóle na nim nie siedział, jakby nic nie ważył.

„Święty człowiek, święty zabójca” - pomyślał Gunner. Będzie niezłym towarzyszem w tej ostatniej, piekielnej zabawie.

Spice przyglądała się, jak Brugger wstępuje na drabinę i wspina się do góry. Jego głowa na moment zakryła ogromną szarobiałą kulę Charona świecącą na niebie. W skafandrze wyglądał jak robot w aureoli. Podświadomie opuściła wzrok na płaszczyznę, którą tu dotarła. Wystarczyło wspiąć się pięćdziesiąt metrów po drabince, a byłaby bezpieczna i niezależna finansowo do samej śmierci.

- Fincher? - zapytała na kanale prywatnym.

- Słyszę cię.

- Masz u siebie dokumentację medyczną wszystkich ludzi. Wybierz kogoś, kto poleci za mnie. Jakąś dziewczynę, młodą, która ma jeszcze wszystko przed sobą. Za chwilę będę z powrotem.

- Młodą, tak samo jak ty? Która ma wszystko przed sobą, tak jak ty? Przemyśl to jeszcze.

Spice cofnęła się o krok, żeby wpuścić pozostałych na drabinę.

- Poczekam, aż wszyscy powłazą po drabince, i wracam, zdecydowałam się.

- OK, przyjąłem do wiadomości.

Milcząc, spoglądała na powierzchnię Plutona. Słońce rzucało ostre cienie, trochę rozmyte światłem brudnobiałego Charona. Gwiazdy błyszczały równomiernie, jak zwykle, rzadka atmosfera nie powodowała ich mrugania, jak to ma miejsce na Ziemi.

Odwróciła się z powrotem do statku i ze zdumieniem stwierdziła, że pod drabiną nadal stoją Pietro, Chorybd, Brassi i Kovacs.

- Na co czekacie? - zapytała.

- Mam tam namotaną jedną fajną rudą, dziewczyna jak malina, a namiętna tak, że ty, Spice, nie masz o tym najmniejszego pojęcia - odpowiedział Pietro. - A taki chłop jak ja nie zmarnuje podobnej szansy.

Ruszył z powrotem do modułu.

Jego nieodłączny partner poszedł za nim. Nawet w skafandrach wyglądali jak Flip i Flap, jak Stan Laurel i Oliver Hardy.

- Zostawiłem na pianinie nuty, na ten autobus już nie zdążę. Złapię następną - pożegnał się Chorybd.

Kovacs stukał pięścią w drabinę.

- Ta puszka konserw jest tak zautomatyzowana, że szkoda mnie dla niej - oznajmił i

poszedł za pierwszą dwójką.

- Przestańcie bredzić - włączył się Fincher. - Odszkodowanie dla Spice jest już zatwierdzone, zanim tu dotrzecie, będą gotowe i wasze. Możecie stracić wasze zakute łby. Czujniki w korytarzach podziemnych coś rejestrują. Nie jest to wprawdzie poziom alarmu, ale Woroszyłowowi się nie podoba. Powiada, że te zabawki bardziej zasługują na zaufanie, niż podają w instrukcji. Wygląda na to, że za chwilę będziemy mieli wizytę.

- To znaczy, że nasza dama chciała się urwać pierwsza i nikomu nic nie powiedziała - powiedział uszczypliwie Pietro.

- Śmietankę zbiera dla siebie, a na kolegów kicha - dodał Kovacs, gramoląc się na fotel kierowcy wózka.

Spice wskoczyła na platformę za nim. Całe napięcie z niej opadło. Czowała ogarniającą ją euforię, prawie jak po zażyciu jakiegoś środka podniecającego.

Może będzie żałować swojej decyzji, ale zdecydowała właściwie. Tego była pewna.

Backsyht rozdzielił projekcję i równocześnie obserwował wracających najemników oraz Bruggera, który nie zmienił decyzji i odłączył właśnie diagnostykę rakiety. Tamci byli szaleńcami, wariatami nieceniącymi życia i pogardzającymi śmiercią. Z ogólnej liczby dziesięciu najemników, nie licząc ich dowódcy, odlatywał tylko jeden.

- Nie wiem, czy powinienem ich podziwiać, czy uważać za wariatów - powiedział głośno do zapisu. - Wiem tylko, że cholernie się cieszę z ich powrotu.

A później tknięty nagłą myślą połączył się z Bruggerem. Nawiązał łączność pomimo ikony oznaczającej rozmowę prywatną.

- Tu Backsyht - przedstawił się bez potrzeby.

- Słucham - odpowiedział najemnik obojętnie, kamera pokazała, że nie przestał pracować. Odłączał przyrządy diagnostyczne, które zostały na miejscu po niedokończonym badaniu stanu powłoki statku przed odlotem, który nie doszedł do skutku.

Backsyht zawahał się na chwilę, ale postanowił doprowadzić rzecz do końca.

- Mam dla ciebie robotę.

- Jaka?

Ostatnie przewody sond pokrywających powierzchnię statku w okolicy wjazdu zostały odłączone. Backsyht wiedział, że ta część kadłuba stanowi najczulsze miejsce i dlatego poświęcało się jej najwięcej uwagi.

- Chcę zatrudnić kogoś, kto da radę skopać dupy obcym, którzy rozpychają się w naszym Układzie Słonecznym.

- A ile płacisz? - zapytał Brugger, zatrzymał się i odwrócił w kierunku kopuły.

Optyka pokazywała go dokładnie, w przezierniku hełmu odbijały się gwiazdy i lodowa pustynia.

- Płacę jednego dolara. Srebrnego, po dziadku.

- Dobra, myślę, że to odpowiada ryzyku. Biorę - odpowiedział Brugger i zeskoczył z rakiety na dół.

Backsyht wstrzymał oddech, uświadomiwszy sobie, że pięćdziesiąt metrów na Plutonie odpowiada wysokości dwóch metrów na Ziemi. Brugger spadał bardzo długo, ale naprawdę było to nie więcej niż szesnaście sekund. Opadł na nogi, energię kinetyczną pewnie wzięły na siebie amortyzatory ekoszkieletu. Wózek z resztą zespołu był już w połowie drogi powrotnej po niego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ZAKUCI W STAL

Najemnicy obsadzili część zbrojowni, którą już wcześniej zajął Woroszyłow. Całą przestrzeń zapełniały kontenery z wyposażeniem ich oraz miejscowym. Pomędzy ludźmi jeździły montażowe i pomocnicze automaty. Woroszyłow z Bruggerem pracowali z przyrządami diagnostycznymi i pomagali sprawdzać wyposażenie. Żołnierze kolejno nakładali solidne, pozornie niezgrabne skafandry, które swym wyglądem i stopniem skomplikowania przypominały roboty zdolne do akcji nawet bez ukrytego w nich człowieka. Wszystkie części, zasobniki z ciekłym materiałem strzelniczym, kontenery z nabojami, masywne rdzenie przyspieszaczy karabinów elektromagnetycznych i miotaczy cząstek porożkładane na stołach montażowych wyglądały na zbyt duże na to, żeby można je było poruszyć siłami ludzi. Zamontowane na swoich miejscach stawały się niepodzielną częścią systemu, kółkiem zębatym w maszynierii, której jedynym celem było najefektywniejsze i najskuteczniejsze zabijanie.

Backsyht z fascynacją przyglądał się wszystkiemu, nagrywał, usiłując nie przeszkadzać i niczego nie uszkodzić.

Spice, nadal tylko w kombinezonie, wyglądała pomiędzy najemnikami jak krasnoludek wśród olbrzymów. Stała z lekko opuszczoną głową, jak miała w zwyczaju, pracując nad czymś przy pomocy HID-u i WPCE. Robot pomocniczy z siedemdziesięciolitrowym zbiornikiem ciekłego materiału strzelniczego ominął ją szerokim łukiem, Brugger objechał ją nieco bliżej, prowadząc wózek widłowy załadowany skrzynią pełną błyszczących naboji wielkich jak ludzkie przedramiona.

Nagle w ścianie otworzyło się niewidoczne dotąd przejście i do zbrojowni weszło jednaście bojowych robotów kroczących klasy PII. Backsyht instynktownie cofnął się o kilka kroków, gdy tuż przed nim zatrzymał się kolos trzymetrowej wysokości.

- Brugger, już są. Przekonfigurowałem ich software na nasze WPCE - meldował zadowolony Brassi. - Według zapisów mają źródło mocy przystosowane do niskich temperatur, ale lepiej to sprawdź według numerów fabrycznych. Idę teraz przekonfigurować miejscowe chipwekowe psy

- Stosowanie tych robotów jest przecież zakazane - nie wytrzymał Backsyht.

Ostatnie użycie tego sprzętu podczas konfliktu Senegalu z Królestwem Konga skończyło się totalną masakrą. Roboty były bardzo odporne, nie ustępowały zdolnością do maskowania żołnierzom współczesnej piechoty, a siłą ognia i wytrzymałością wielokrotnie ich przewyższały. Jeden z nich, zanim udało się go unieszkodliwić pociskiem kierowanym wystrzelonym z helikoptera, po uszkodzeniu przez dywersyjną minę logiczną wyłączył się spod kontroli i zupełnie zniszczył miasto liczące pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Brugger rzucił dziennikarzowi przelotne spojrzenie, wykrzywiwszy połowę twarzy - połowę, ponieważ drugą stronę zakrywała maska diagnostyczna umożliwiająca kontrolę obwodów elektrycznych i części mechanicznych. Woroszyłow, Chorybdi i kilku zbrojmistrzów Byutechu nosili takie same.

- No tak, są zakazane. Na Ziemi. Ale tutaj to co innego. Ci zasrani obcy mogą się później poskarżyć, gdzie zechcą.

Backsyht nie znalazł na to odpowiedzi. Usunął się na bok i obserwował, jak przychodzący do zbrojowni ludzie zmieniają się w bestie bojowe i odchodzą podobni do mechanicznych potworów. Nagrania uzupełniał komentarzami. Wyposażenie żołnierzy podobne było do tego, którego używali najemnicy, chociaż wyglądało na bardziej zunifikowane, sprawiając jednocześnie nieco subtelniejsze wrażenie. Właściciel tracił przez to na oryginalności i osobowości.

- Doskonale się znamy na naszej robocie. Umiemy użyć każdej broni w maksymalnym stopniu, a równocześnie minimalizować niekorzystne warunki, tak dla człowieka, jak i wyposażenia. Właśnie to czyni z nas bojowników innej kategorii niż żołnierze. Również nasze doświadczenie z użyciem podobnego sprzętu oraz automatycznym prowadzeniem walki nie daje się porównać z doświadczeniami zwykłych żołnierzy - wyjaśnił Fincher bez pytania.

- Oni są amatorami, a my zawodowcami.

Backsyht zdał sobie sprawę, że poczynił na ogólnym kanale komentarze przeznaczone dla przyszłych widzów lub czytelników, więc wszyscy je słyszeli.

Pietro odwrócił się do niego, już w połowie ubrany w skafander wyposażony w ekoszkielet, ale jeszcze bez dodatkowego opancerzenia.

- Całkiem nieźle, dziennikarzu. Wiesz, przypominasz facetów komentujących walki hokejowych gladiatorów z moich młodych lat, zanim zakazali tej zabawy z powodu wielkiej ilości śmiertelnych urazów. Jeszcze nigdy nikt mnie nie porównał do śmiercionośnej kopii wyostrzonej do granic możliwości. To mi się naprawdę spodobało. Może nawet doczekam się fanklubu.

Jego śmiech stłumił hełm, który nasadził mu na głowę stojący na podwyższeniu

Woroszyłow.

- Krótka informacja o naszej sytuacji politycznej przed rozpoczęciem briefingu bojowego - odezwał się McBane.

Backsyht nie wiedział czemu, ale najemnicy w ogóle nie zwolnili tempa przygotowań, przeciwnie, jeszcze je przyśpieszyli. A przecież miał pewność, że wysłuchają dowódcy z najwyższą uwagą.

- Nadzwyczajny komitet, w skład którego weszli przedstawiciele pięciu największych koncernów przemysłowych - na ekranie pojawiły się logo firm, Backsyht zauważył, że SONICBM i Byutech też były reprezentowane - i trzech najpotężniejszych państw - pojawiły się flagi Indii, Skandynawii oraz Stanów Panamerykańskich - przedstawił nam następującą propozycję.

Major nie sprawiał wrażenia bardziej wypoczętego niż bezpośrednio po ataku z orbity. Zapadnięte oczy otoczone ciemnymi obwódkami, ściągnięta twarz, zmarszczki koło ust i nasady nosa świadczyły o skrajnym wyczerpaniu. Ale w jego głosie nadal pobrzmiwały metaliczne nuty.

- Jeżeli do czasu przylotu eskadry krążowników bojowych „Invincible”, „Inflexible” oraz „Indomitable” utworzymy i utrzymamy przyczółek służący wysadzeniu desantu i zapewniający dogodną bazę dla podjęcia walki z nieprzyjacielem, a przy tym uchronimy życie jak największej ilości cywili, komitet wypłaci każdemu z nas po miliardzie dolarów na czysto, po potrąceniu podatków.

Backsyht wstrzymał oddech. To była nierealna, niemożliwa oferta.

- Tak dużo znowu nie dali - skomentował obojętnie Brugger.

- Przyjąłem ten kontrakt.

- No, coś począć. - Najemnik wzruszył ramionami, ale oczy mu się zaświeciły.

- Kiedy tu będą? - padło pytanie.

- Według dokładnych szacunków za czternaście do szesnastu dni. Niestety, flota wojenna operuje obecnie wewnątrz orbity Jowisza.

Backsyht szybko przypomniał sobie parametry powszechnie znanych silników wojskowych.

- Nie dadzą rady tak szybko. Nawet lecąc z pełną mocą, nie dotrą tu wcześniej niż za pięćdziesiąt dni.

HID zasygnalizował, że ktoś zagląda mu przez ramię, był to Gunner.

- No tak, ale to ma zastosowanie w przypadku lotu w trybie standardowym, a nie w warunkach krytycznych. Jeśli wzbogaci się napędowy deuter trytem, a ta mieszanka zdoła

podnieść temperaturę roboczą z pięćdziesięciu milionów do trzystu, trzystu pięćdziesięciu milionów stopni, osiągną moc wystarczającą na to, żeby zdążyć w tak krótkim czasie. Ale będą musieli porządnie nadepnąć na gaz, to pewne.

Backsyht obserwował prezentowane mu przez Gunnera obliczenia.

- Tylko że cała eskadra może trafić na złom - powiedział, kiedy pojął sens liczb wyświetlonych na czerwono. - Wyczerpią cały zasób żywotności reaktora i systemów wspierających w trakcie jednego lotu.

- Chyba i tak by się im to opłacało - powiedział Fincher na ogólnym kanale. - Ciekawi mnie, dlaczego tak szybko zmienili zdanie i w jaki sposób w ogóle się dogadali.

McBane przytaknął i obraz jego twarzy zniknął z wizji, zastąpiony przez badawczo-przemysłowy kompleks laboratoryjny orbitujący wokół Urana, pomiędzy trajektoriami jego księżyców: Tytanii i Oberona. W sprawie Jowisza i Saturna wciąż ciągnęły się zarówno dyplomatyczne, jak i zbrojne spory. Natomiast na Uranie już od trzydziestu lat trwała normalna praca.

Wnioskując z kierunku, z jakiego przekazywany był obraz, pochodził on z jednego z wielkich teleskopów krążących wokół Ziemi albo Księżyca.

- Jane za pośrednictwem starej sieci obserwacyjnej odkryła, że z Plutona odleciał co najmniej jeden, a prawdopodobnie więcej statków nieznanego pochodzenia. Od razu po ataku orbitalnym przekazaliśmy tę informację na Ziemię i na Urana. Wiadomość została przyjęta z niedowierzaniem, chociaż Uran poprosił o szczegóły. Posłaliśmy im wszystko, co na ten temat wiedzieliśmy. Interującym faktem jest, że statek, o którym mowa, prawdopodobnie dysponuje napędem laserowym - wyjaśniał dalej McBane.

Wszelki ruch zamarł, najemnicy spoglądali jeden na drugiego.

- O kurwa - podsumował Pietro. - Jeśli mają napęd laserowy, to dziwne, że nas już dawno nie wygnietli jak wszy.

Backsyht zrozumiał, chociaż nie był wojskowym.

Napęd fotonowy, w którym prędkość wypływu medium napędowego równa była prędkości światła, przewyższał cokolwiek, co mieli do dyspozycji ludzie, był marzeniem całych generacji techników i konstruktorów statków kosmicznych.

- Może i mają napęd laserowy, ale do tego bazooki z ery kamiennej - rzucił pogardliwie Brugger.

- Stacja Cyklop została napadnięta bezpośrednio po tym, jak otrzymaliśmy odpowiedź z Ziemi - kontynuował McBane.

Ktoś gwizdnął. Przelot z Plutona na Uran, pokonanie odległości trzech i trzech

czwartych miliona kilometrów w tak krótkim czasie było po prostu niemożliwe, nawet przy użyciu najlepszej technologii.

Statyczny obraz zastąpiony został przez serię eksplozji termonuklearnych, niszczących miasto uczonych krążące po orbicie. Te obrazy niczym nie różniły się od dziesiątków symulacji komputerowych, jakie Baksyht widział w swojej karierze dziennikarskiej. Tyle tylko, że nie były symulacją, były realne i każda eksplozja, miniaturowe piekło powołane do życia przez rozwiniętą technikę, oznaczała setki, jeśli nie tysiące zabitych.

- To szkliwiaki tam przyleciały i wszystko spaliły? - zapytał Fincher z niedowierzaniem.

- Nie, kompleks orbitalny zniszczyli ludzie. W pięć godzin po napadzie - odpowiedział spokojnie McBane. - Nie mamy żadnych informacji, które mogłyby to wyjaśniać. Wiemy tylko, że w momencie rozpoczęcia autodestrukcji nieprzyjaciół opanował osiemdziesiąt procent wszystkich struktur mieszkalnych i produkcyjnych.

- Autodestrukcja? Czy to pewne? - powiedział z powątpiewaniem Chorybd. - To mógł być wypadek, powstały skutkiem uszkodzenia istotnych systemów podczas walki.

- Niestety, to pewne. Przechwyciliśmy informacje wysłane wprost z Cyklopa. Udało się zidentyfikować rozkaz zastępcy dowódcy stacji o przeprowadzeniu samozniszczenia. Później zaczął się głośno modlić, żeby się powiodło.

Zapadła cisza, każdy rozmyślał nad usłyszaną informacją. Modlili się, żeby umrzeć, żeby udało się im zniszczyć swój naukowy świat, żeby popęlić zbiorowe samobójstwo.

- Dlaczego? Czy cokolwiek wiemy?

- Większość przekazu jest nieczytelna, zdeformowana - zakończył McBane.

- Więc nasi najemcy mają nadzieję, że wytrzymamy i powiemy im, co tak straszego robią szkliwiaki, że pewien dowódca zdecydował się zabić dziesięć tysięcy ludzi, byle nie pozwolić obcym dalej działać - stwierdziła Spice.

- Osiemdziesiąt tysięcy - poprawił ją McBane. - Ale poza tym to słuszne spostrzeżenie. Jest jeszcze jedna sprawa - ten wybuch najprawdopodobniej zlikwidował również napastników.

Baksyht stał zamyślony, dopóki ktoś nie poklepał go po ramieniu.

- Teraz ty - powiedział Woroszyłow, wskazując na otwarty skafander stojący w uchwycie pomocniczego stelaża. - Rozbierz się do bielizny termicznej.

Baksyht osłupiał.

- Nie jestem przecież żołnierzem, nie mam doświadczenia - protestował, choć nie była

to już prawda. Zaczął jednak z wahaniem rozpinąć kurtkę.

- Zdobyłeś przy nas więcej doświadczenia bojowego, niż ma dziewięćdziesiąt procent żołnierzy Byutechu - odpowiedział spokojnie Woroszyłow, przystawiając schodki do stelaża.

Backsyht, niezupełnie przekonany, zaczął wstępować na górę.

- Nic nie umiem, nie mam refleksu, nie potrafię komunikować się z HID-em tak szybko jak wy, popsuję zgranie całego oddziału! - narzekał, wchodząc.

- Nie popsujesz, dobrze wiemy, co umiesz, a czego nie - tłumaczył Woroszyłow, czekając cierpliwie, aż Backsyht usadowi się w skafandrze, a potem zaczął dostrajać ustawienia automatyki zapewniającej wygodę i umożliwiającą długotrwałą zdolność bojową żołnierza.

- Taki chłop jak ty na pewno będzie użyteczny - oświadczył, konfigurując HID na zadania bojowe.

Zrezygnowany Backsyht stawał się częścią systemu bojowego skafandra. Jego zmysły uzyskiwały elektroniczne wyostrzenie do stopnia, którego nigdy przedtem nie zaznał.

- Potrzebny wam obserwator - starał się ustalić swój status. - Po to właśnie tu jestem. Możecie na mnie polegać, porządnie wykonam swoją robotę.

- To dobrze - oznajmił Woroszyłow, z zadowoleniem obserwując rząd zielonych diod na zewnętrznym panelu diagnostycznym.

- Ale może przydałaby mi się jakaś broń osobista, choćby automat, który miałem przedtem - zawahał się Backsyht. - Nawet jako obserwatorowi.

- No pewnie, możesz go wziąć na wypadek wyczerpania mocy skafandra. Ale to jest o wiele lepsze. - Woroszyłow wskazał na masywną, ponad półtorametrową lufę zwieńczoną mechanizmem podającym. Potężną broń przywiózł właśnie żuraw hydrauliczny.

Backsyht spojrział na najemnika podejrzliwie. To musiał być dowcip.

- Taką armatą wojuje się z czołgami, no nie? - Starał się zachować twarz.

- Czasem tak - zgodził się Woroszyłow, uważnie kontrolując osadzenie broni w uchwytach na prawym przedramieniu skafandra Backsyhta. - Ze względu na ciężar ekoszkielec ma z tym sporo pracy i czas reakcji nie jest zbyt szybki. Ale za to będziesz miał za każdym razem sporo czasu, żeby namyślić się, do czego wycelować. Teraz nasadzę ci hełm, Fincher chce mieć dostęp do wszystkich danych biologicznych i medycznych, żeby cię przed akcją doprowadzić do idealnej równowagi.

Backsyht już nie protestował, bez reszty zajął się HID-em, którego możliwości udostępnił mu skafander wyposażony w WPCE. W pewnym sensie wyposażenie było podobne do tego, które już znał, ale miał uczucie, jakby przesiadł się ze zwykłego miejskiego wozu do

wyścigowego bolidu.

- No i strzelaj tylko do obcych - Woroszyłow przesłał mu ostatnie zalecenie, tym razem już cyfrowo.

Zbrojownia się opróżniła, hala, która jeszcze przed chwilą sprawiała wrażenie małej i przepełnionej, świeciła teraz pustkami. Woroszyłow przeciągnął się, aż mu zatrzeszczały stawy. Miał za sobą kilka godzin ciężkiej pracy, ale wszystko poszło jak po maśle, mógł być zadowolony.

- A teraz twoja kolej, panie zbrojmistrzu - rozległ się cichy głos.

Woroszyłow odwrócił się i dopiero po chwili blisko przed sobą rozpoznał Fahrey zamaskowaną kameleonim kamuflażem.

Jej wyposażenie bitewne nie było tak potężne jak ludzi majora, ale maskowanie pierwszorzędne.

Woroszyłow z uznaniem pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Dokładnie tak.

Trzasnął przełącznik, kameleoni kamuflaż zniknął, opływowo ukształtowany hełm, trochę tylko wystający z opancerzenia ramion, osadzony na specjalnym lokatorze o zwiększonej czułości, odskoczył do tyłu, odkrywając głowę pani kapitan. W porównaniu z potężnym skafandrem bojowym sprawiała wrażenie niezwykle drobnej.

- Wiesz, propozycja, jaką mi złożyłeś - to znaczy dom na odludziu gdzieś na tej twojej Syberii i kilkoro pętających się wokół dzieci - nawet mi się spodobała. Ale za to nie bardzo mi się podoba, że chcesz polować. Dywanik ze skóry tygrysa ussuryjskiego wcale mnie nie pociąga.

Patrzyła na niego poważnie, twarz otaczały jej metalowe płytki elektrod łączące skafander z mózgiem.

- To nieporozumienie - pokręcił głową Woroszyłow. - Ussuryjskie tygrysy chcę chronić, a polować będę tylko na kłusowników.

- W takim razie przyjmuję propozycję, nic nie mam przeciw dywanikowi ze skóry kłusownika - odpowiedziała z powagą.

- Więc jesteśmy umówieni. - Najemnik kiwnął głową i ukłonił się.

Bez dalszych komentarzy wlaźł po schodkach i zaczął się wpasowywać we własny skafander.

- Sygnał z siódmego piętra podziemi nadal poniżej poziomu alarmu, ale wzmacnia się - oznajmiło WPCE.

Woroszyłow nie przyspieszył przygotowań. To było zadanie Kuzmina, Pietra, Chorybda i czterech oddziałów żołnierzy pozostających pod ich dowództwem. Robota wyraźnie się zaczynała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

Kuzmin stał oparty plecami o ścianę z bronią w pogotowiu, trochę dalej w tej samej pozycji wyczekiwali Pietro i Chorybd. Czas płynął pomału, jednakowy w całym wszechświecie. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że spośród wszystkich działań bitewnych najtrudniejsze jest czekanie. Absolutna większość zwyciężonych przegrywa już na etapie oczekiwania. Kuzmin był w stanie czekać godzinami, dniami, miesiącami. Wiedział, że jego koledzy także. Tylko że on mógł czekać nawet całe lata i w każdej sekundzie tego czekania znajdował się w pełnym pogotowiu, będąc w stanie zaatakować, zabić szybko i sprawnie jak kobra. Ta umiejętność stała się naturalną częścią jego ja, fragmentem osobowości stworzonym przez poprzednie życie. Poprzednie cierpienia.

Ściany korytarza wykutego w metanowym lodzie, wszystko jedno, czy ziemską, czy obcą techniką, odbijały sporadyczne odbłyski fal elektromagnetycznych, których źródłem byli oni sami. Przy maksymalnej czułości wyglądało to na ekranie jak uderzenie meteorytu w czarną ścianę. Czarną ścianą był lód o temperaturze siedemdziesięciu kelwinów. Zamiast muzyki Kuzmin słuchał rozmów żołnierzy Byutechu. Z początku zachowywali się cicho, jednak po pięciu godzinach czekania większość z nich nie wytrzymała i starała się rozproszyc swoje obawy poprzez rozmowy z pozostałymi.

- Mówią, że potrafią przełazić przez ściany - powiedział któryś chyba po raz tysięczny.

- Pieprzenie, gdyby to umieli, bylibyśmy wszyscy załatwieni, a najemni żołdacy już dawno zwinęliby żagle. Siedzą tu tylko z powodu łatwej forsy - odpowiedział mu inny po raz dziesięć tysięcy.

- Mają jakiegoś asa w rękawie, którego wyciągną, jak będzie trzeba.

Kuzmin wiedział, że szkliwiaki rzeczywiście umieją przechodzić przez ciała stałe niczym widma z horroru. A żadnego asa nie miał. Ani Gunner, ani major, ani nikt inny. W odróżnieniu od pozostałych przypuszczał jednak, że go znajdzie w razie potrzeby. Lecz jeśli przypadkiem rękaw okaże się pusty, wtedy zginie. Ni mniej, ni więcej, bardzo prosto, a Kuzmin lubił proste rzeczy. Wszystkie znane informacje o możliwościach szkliwiaków posiadali również dowódcy drużyn wojsk Byutechu. Wiadomość, że są to kompletne dane,

mieli otrzymać dopiero tuż przed rozpoczęciem akcji.

Porzucił te myśli i wrócił do schematu korytarzy. Ich trzech i cztery drużyny piechoty zostali tak rozmieszczeni, żeby dostać się jak najszybciej do każdego dostępnego miejsca. Na wypadek gdyby szturmowe oddziały szkliwiaków naprawdę zdołały przemieścić się poprzez kilometry lodu do dowolnego miejsca. W takim razie podstawowe pytanie brzmiało, dlaczego nie zaatakują wprost samego centrum kopuły. Było to bardzo niepokojące pytanie. Kuzmin wiedział jednak swoje. Gdyby mieli taką możliwość, już dawno by z niej skorzystali.

- Fluktuacje gęstości masy w ćwiartce 11D3 - przekazał HID.

Kuzmin uśmiechnął się z zadowoleniem. Wahania wskazań przekroczyły wartość alarmową, a współrzędne wskazywały na sektor, którego właśnie pilnowali. Ktoś inny nie uważałby tego za powód do radości, ale nie Kuzmin.

- Zespół alfa, przesunąć się do miejsca kontaktu; beta, gamma i delta, pełne pogotowie! - powiedział do dowódców drużyn.

Pietro nie czekał na rozkaz i ruszył pierwszy.

Rzucili się korytarzem z energią podziemnego deltaplanu magnetycznego; używali nie tylko podłogi, ale - wykorzystując siłę odśrodkową i pokonując szybkością mizerną grawitację planety - również ściany i strop. Czujniki, których pełno było wokół, bez przerwy podawały dane. Fluktuacja nie była tylko jedna, powstało ich dwanaście, wszystkie w tym samym miejscu i poruszały się. Oprzyrządowanie, które Woroszyłow zestawiał zgodnie ze wskazówkami Grahama i Finchera, zdawało egzamin. To można było uznać za asa w rękawie. No, może chociaż waleta kier.

Pędzący na czele Pietro zwolnił, zbliżali się do rejonu kontaktu. System współrzędnych podczas ostatniej korekty przesunął cel o kilkadziesiąt metrów dalej, prosto w środek zagrożonego obszaru. Ostrzegawcza ikona przedstawiająca wyszczerzoną czaszkę, sygnalizująca ryzyko bezpośredniego ataku, zakłapała zębami.

Kuzmin widział, jak Pietro błyskawicznie się rozgląda, omiatając bronią każdy zakamarek korytarza. Był zaskoczony, tak samo jak obaj pozostali. Nieprzyjaciel powinien tu być, a mimo tego otoczenie pozostawało puste. Wszyscy zapalili reflektory i ustawili lokatory na pełną moc. I nic.

- *Przerzucić fluktuacje gęstości na optykę* - rozkazała WPCE. Zignorował ostrzeżenie, że rezultat może być niedokładny.

Wizualizacja ukazała sieć krzywych obrazujących zmiany grawitacyjnego oddziaływania masy na okoliczną przestrzeń. Z pozoru równa ściana korytarza uwypuklała się w kilku miejscach, jakby się przez nią przeciskały wielkie krople wody. Dwie z nich

spadły już ze ściany i leżały na podłodze jak drgające elipsoidy.

„Nikt na nas jak dotąd nie napadł” - pomyślał Kuzmin ze zdziwieniem. Nie powątpiewał we wskazania WPCE. Może po tym triku z wizualizacją potrzebuje chwili na złapanie równowagi. Podzielił się swoim spostrzeżeniem z kolegami, a sam zaczął strzelać do kropli oderwanych od ściany. Teraz było ich już cztery.

Przy czwartym wystrzale po jego lewej stronie zmaterializowała się jakaś aerodynamicznie ukształtowana postać. Szybkim ruchem wymierzyła w najemnika trójlufową broń i w tym samym momencie rozsypała się trafiona granatem wystrzelonym przez Pietro. W korytarzu rozpętało się piekło. Z nicości wynurzały się opływowe ciała napastników przypominające ożywioną ciecz, aby w następnym ułamku sekundy rozpaść się na tysiące odłamków. Korytarz wypełniły odpryski lodu i dym materiałów strzelniczych.

Sześć i pół sekundy, przeczytał Kuzmin z zapisu, kiedy zniknęła ostatnia fluktuacja gęstości lodu, a szkliwiaki leżały na podłodze bez ruchu. Skafandry tych, które się nie rozpadły, zmatowiały, zamiast rtęciowo lustrzanej powierzchni zaczęły przypominać torfowisko.

- Fincher? - powiedział Kuzmin. - Mamy tu dla ciebie kilka sztuk. Gówno warci, ale jak na razie nie rozpadają się na piasek. Może wykroisz z nich trochę ciekawych informacji. I rzeczywiście przełażą przez ściany jak jakieś zaszrane duchy.

- Ruszamy - zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

- *Fluktuacje gęstości lodu w obszarze 04H11* - WPCE ogłosiło wskazania sieci czujników.

- To u porucznika Himela. Dobry chłop, chociaż trochę ograniczony - stwierdził Pietro na kanale najemników.

Z zaciekawieniem kopnął jednego z leżących szkliwiaków. Nawet się nie poruszył.

- Ale ciężki - powiedział z zaskoczeniem.

- Inaczej czujniki nie zarejestrowałyby zmiany natężenia pola grawitacyjnego - wyjaśnił mu Chorybd.

- No tak - zgodził się Pietro, unosząc podwójną lufę swego automatu. - Tylko że dane z czujników to jedna sprawa, a to, co czujesz, druga.

„Szczególna uwaga jak na kogoś, komu elektronika dodaje kolejnych siedem zmysłów” - pomyślał Kuzmin, ale nic nie powiedział, ponieważ w gruncie rzeczy zgadzał się z towarzyszem.

- Zespół beta, przesuwamy się do 04H11, czas kontaktu T plus trzydzieści sekund - zameldował dziarsko porucznik Himel.

- Czas kontaktu T plus trzydzieści - powtórzył Pietro z niesmakiem. - Ten chłop mówi jak jakaś maszyna albo jak Spice. - Skrzywił się przy tej uwadze.

Zanim ktoś zdążył mu odpowiedzieć, ruszył przez korytarz z powrotem.

Kuzmin poczekał na Chorybda i poszedł na końcu. Konieczne było utrzymanie właściwego szyku, wszyscy o tym wiedzieli. Nie wolno popełnić błędu.

- Jestem na miejscu, widzę je - po dwudziestu sekundach oznajmił Himel lekko drżącym głosem.

- Ognia!

Zamiast oczekiwanych wystrzałów usłyszeli jedynie trzask obciążonych do maksimum ogniwi energetycznych.

- Broń nie działa! Otaczają nas! Powtórzyć ostrzał!

- Przełączcie na kinetyczną! - ryknął Chorybd.

- *Ruch w sektorze 09H12* - włączyło się WPCE.

To był sektor oddziału porucznika Kriseka.

- Idziemy do Himela! - rozkazał Kuzmin. - Krisek, włączamy się! Delta, włączamy się!

W kolejnej sekundzie pędzili już zygzakowatymi tunelami z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Tym razem na miejsce kontaktu pierwszy dotarł Kuzmin. Metan szcerwieniał, pokryty wyraźnymi plamami. Ściany nie wyglądały na polane ciecżą w tym kolorze, raczej jakby przylepiły się do nich ciemnoczerwone kable. W temperaturze minus dwustu stopni Celsjusza krew krzepnie momentalnie. Nad dziesiątką ciał w rozerwanych skafandrach bojowych pochylały się lustrzane sylwetki. Z każdej z nich wychodziła wygięta ssawka penetrująca ciało, z którego nie wyciekała już ani kropla krwi.

Kuzmin zahamował, ocierając się o ścianę, zdrapując z niej chmarę odłamków lodu. Działko warknęło równocześnie z automatem Pietra, a ułamek sekundy później dołączył do nich elektromagnetyczny karabin Chorybda. Najemnik z zimną krwią obserwował, jak nieprzyjaciel przez kilka dziesiątych sekundy opiera się zmasowanemu ostrzałowi. Ssawki zniknęły, niektóre ze szkliwiaków próbowały stać się niewidzialne, ale z marnym skutkiem. Pociski cały czas znajdowały do nich drogę. Obłe kształty obcych ciał zdążyły jeszcze wymierzyć wielkie lufy broni, która zmaterializowała się nie wiadomo skąd. Ale celny ogień odniósł w końcu skutek. Padali do tyłu, rozlatywali się na kawałki, ale kilku zdążyło wystrzelić i skafandry zameldowały o pierwszych trafieniach.

Wreszcie ostatni szkliwiak upadł na podłogę. Jedną ze swych zmieniających kształt

kończyn macał jednak jeszcze wokół, poszukując broni. Pietro podszedł i pochylił się nad nim. Na lustrzanej powierzchni ciała obcego pojawił się zdeformowany obraz człowieka w bojowym skafandrze, nieludzka kończyna przypominająca mackę zakończoną tysiącem wici natrafiła na migoczący przedmiot.

- Ty skurwysynu - powiedział mały najemnik. - Lufa jest przegrzana, a ja z twojego powodu nie będę się fatygował bardziej, niż jest konieczne.

W ręce pojawił mu się jakby cudem nieforemny pistolet. Kuzmin poznał starożytny model z czasów pierwszych walk w kosmosie. Padł strzał. Nawet w rzadkiej atmosferze ściany odbiły i zwielokrotniły głośny huk. Głowa szkliwiaka rozleciała się na kawałki jak rozbity kryształ, macka zwiotczała. Pietro schował pistolet.

- Oddział wroga zniszczony. Mamy jednego zabitego i jednego rannego - zameldował porucznik Krisek. - Ranny na krótki czas jest nadal zdolny do walki.

- Za trzy dni pošlą go do szpitala - wycedził Kuzmin. - Do wszystkich, zbiórka na stanowisku B.

- Straciliśmy jedną drużynę. Jeśli podczas każdego ataku będziemy tracić tylu ludzi, to długo nie wytrzymamy - powiedział na kanale najemników.

- Fincher? - połączył się Chorybd. - Ściągnąłem zapis walki od zabitych. Wysyłam ci. Wydaje się, że wszyscy zaczęli ogniem z broni laserowej. A szkliwaki wytrzymały tak długo, że żołnierze spanikowali.

- Rozumiem - potwierdził Fincher.

- Laser to fotony, a maskowanie odchyła większość z nich, tak samo jak zwyczajne fale elektromagnetyczne. Wygląda na to, że nie można używać laserów - zakończył.

- Fajnie, następnym razem spróbuj coś takiego wymyślić, zanim rozwałą dziesięciu chłopca - rzucił podrażniony Pietro.

- To przyprowadźcie mi żywego szkliwiaka - brzmiała odpowiedź. - I nie dajcie się przy tym zabić - usłyszeli jeszcze, zanim ruszyli ku stanowisku B.

- FLUKTUACJE GĘSTOŚCI 05H13 - ogłosiło WPCE.

- To rewir Byutechu - stwierdził Kuzmin, nawiązując łączność z oficerem dowodzącym.

Czuł w kościach, że czeka ich długa i trudna robota. W dodatku tak krwawa, że on sam pewnie jej nie przeżyje.

Spice podniosła kombinowaną broń, wielkokalibrowy automat na klasyczną amunicję sprzężony z szybkostrzelnym miotaczem granatów. W odróżnieniu od innych najemników nie

instalowała broń wprost do skafandra bojowego, ale po prostu trzymała ją w rękach. To była cena za uniwersalność jej kompletu bojowego, konieczną na przykład do prowadzenia badań w warunkach polowych.

Ruszyła do ciemnego wlotu korytarza i poczekała, aż czujniki przekażą pełny obraz. Aktywny system wizualny u wszystkich został nastawiony na minimalną moc, HID ukazywał okolicę w szarzielonych barwach z niewielkim kontrastem, co zmieniało ludzkie sylwetki w zastęp duchów. Miała nieodparte wrażenie, że sierżant i jego żołnierze się boją. Zbili się w gromadkę jak wystraszeni chłopcy. Nawet się temu nie dziwiła, znajdowali się teraz na granicy obszaru obsadzonego czujnikami. W tym miejscu niewidoczni napastnicy mogli zaatakować z jakiegokolwiek kierunku. Tu jednak sprowadziły ich dane, które przesłał im Kuzmin, a dokładniej jeden z podległych mu poruczników. Wolałaby, żeby rejon, w którym znajdował się ranny szkliwiak, oznaczył sam Kuzmin. Czasem ją wprawdzie niepokoił, wydawał się jej bardziej podobny do grzechotnika niż do człowieka, ale można było na nim w stu procentach polegać. Uczeń eksperci, Graham i Weller, wydawali się, o dziwo, zupełnie spokojni. Może po prostu nie byli świadomi niebezpieczeństwa?

Z dalszego tunelu wynurzył się Fincher, potężna sylwetka obarczona automatyczną, ręczną wyrzutnią pocisków rakietowych. Żołnierze drgnęli, jeden z nich sięgnął po broń. Spice natychmiast podporządkowała jego bojowy komputer swojemu. Ten facet był zbyt zdezorientowany i mógł przypadkiem kogoś zastrzelić. Fincher w jednej ręce trzymał prostą wersję broni osobistej, a w drugiej wielką śrutówkę, wzór Deep Space z usuniętym tłumikiem odrzutu, ale z dodatkowym zasobnikiem na naboje, mocowanym do ekoszkieletu. Strzelanie z niej bez pomocy ekstremalnie wytrzymałej struktury skafandra równało się samobójstwu.

- Znaleźliście go? - zapytał Graham z niecierpliwością.

Razem z Wellerem nieśli kontenery z przyrządami, więc w cywilnych skafandrach z samym dodatkowym opancerzeniem na tle żołnierzy w bojowym rynsztunku wyglądali jak dzieci.

- Leży w korytarzu obok, tak świetnie zamaskowany, że prawie się o niego potknąłem. Dopiero z minimalnej odległości pokazało go infra nastawione na maksymalną czułość. Z wierzchu jest o dziesięć stopni zimniejszy od otoczenia - odpowiedział Fincher.

- No to do roboty! - Uczony ruszył w kierunku wskazywanym przez HID.

- Formacja bojowa - przypomniała Spice. Ona również była podniecona możliwością odkrycia tajemnicy anatomii szkliwiaków.

Już od siedmiu godzin uganiali się po podziemiach. Musieli znaleźć martwego szkliwiaka w jak najlepszym stanie, zajrzeć mu do wnętrza, żeby się wreszcie czegoś

dowiedzieć i określić jego słabe punkty. Jak na razie najwięcej się dowiedzieli, badając zabitych przez Kuzmina i jego towarzyszy podczas pierwszego boju. Ale to ciągle było za mało.

- *Dwa przeniknięcia, 09D1, 4G12* - WPCE podało kolejne dane uzyskane z sieci czujników.

- Pierwsze dla mnie, Pietra i Chorybda. Wsparcie oddziału Strassiego, ma tylko połowę stanu - zachrypiał Kuzmin w kodzie bojowym.

Spice wiedziała, że gdzieś powyżej w następnych sekundach rozpęta się piekło, ale tysiące metrów lodu stłumi drgania wywołane eksplozjami, krzyki rannych, syczenie uciekającego powietrza i tutaj nic nie będzie słychać.

Dotarli już na miejsce. Weller i Graham natychmiast otworzyli kontenery, rozpostarli nad ciałem szkliwiaka kriostat i przyłączyli urządzenie chłodzące. Fincher przygotowywał półautomatycznego chirurga. Z bronią umocowaną w uchwytych na opancerzonych ramionach wyglądał jak uosobienie demona z dawnych czasów.

Spice skupiła uwagę na planie korytarzy znajdujących się w pobliżu. Działali na skraju zaznaczonych na mapach obszarów, głębiej chodniki były kręte i o wiele węższe; zmora każdego górnika. Na szczęście martwy szkliwiak leżał w niezbyt wąskim i prostym korytarzu. Od rozgałęzienia z tunelem, którym nadeszli, odległość wynosiła pięćdziesiąt metrów, od dalszego około stu. Przynajmniej tak pokazywała niedokładna mapa. Radar w trybie maskowania tak daleko nie sięgał.

Żołnierzom przydzieliła zadanie zabezpieczenia miejsca, w którym się znajdowali, a sama postanowiła zająć się nieznanym terenem przed sobą.

- Mam jeden kelwin - mruknął Graham pochylony nad chłodziarką. - To powinno wystarczyć.

Pod namiotem było teraz ekstremalnie zimno nawet jak na warunki panujące na Plutonie.

- Zaczynam cięcie - oznajmił Fincher.

Kierował automatycznym chirurgiem za pośrednictwem HID-u.

Weller stanął tuż przy robocie medycznym, jakby w ten sposób spodziewał się uzyskać wyniki badań choćby chwilę wcześniej.

- *Fluktuacje 12K1* - oznajmiło WPCE.

Spice wytrzymała uwagę, to było bezpośrednio nad nimi, na samym skraju sieci czujników.

Wpatrywała się w ciemność, z której HID również nie wyławiał niczego. Miała

uczucie, jakby kolba ślizgała się w spoczonej dłoni. Wiedziała, że to nie może być prawda, ale zdawało jej się, że słyszy pogotowie bojowe żołnierzy Byutechu, bicie ich serc, nieregularne oddechy, nerwowe przełykanie, a nawet cichą modlitwę któregoś z nich.

- *Wszystkie wartości w normie* - komputer ogłosił wyniki nowego zestawu danych.

Słyszała, jak ludzie się odprężyli, napięcie opadło, lód w świetle reflektorów błyszczał tak samo jak przed chwilą.

Ale Spice nadal pozostała napięta jak struna. Machnęła ręką na utajnienie i przy pomocy infraczerwieni sprawdziła korytarz przed sobą; oczywiście nic. Zmieniła długość fal, przeszła na ultrafiolet, jej lokator nie generował twardszego promieniowania. Nadal nic, tylko rozmazane odbłaski światła. Zaciśnęła usta, intuicja, doświadczenie, poczucie fizyki kosmosu oraz szósty zmysł bojownika krzyczały, że coś jest nie w porządku.

- Ognia, nieprzyjaciel niewidoczny, ogień na cały obszar - zakomenderowała, naciskając spust.

W pierwszym ułamku sekundy pomyślała, że popełnia błąd, ale później coś zabłysnęło i pojawił się niewyraźny kształt szkliwiaka. Pozostawiła palec na spuście i kolejne serie dosłownie go rozniosły.

- Są wszędzie, musimy się wycofać - krzyczał ktoś.

- Ogień po powierzchni, wszystkie środki, nie żałować amunicji - rozkazała krótko. - Wywalcie ich z korytarza, za wszelką cenę chronicie zespół badawczy.

Już biegła korytarzem, strzelając z automatu i miotacza granatów. Bojowy software zareagował na atak, którego nie dostrzegła, posłał ją ślizgiem na podłogę. Z nawyku poddała się działaniom ekoszkieletu, rozległ się huk eksplozji jej granatów obronnych, wytwarzających ścianę nie do przebycia dla wszystkich pocisków większego kalibru.

- Nie przenikają przez ściany, idą normalnie korytarzem! - meldowała wyniki obserwacji i posuwała się dalej. Wpadła na niewidzialny obiekt, była od niego cięższa i przewróciła go. Bez zastanowienia strzeliła pod nogi.

- Gap i Umv zabici! Musimy wycofać się na górę!

- *Podchodzę z drugiej strony* - błysnął meldunek opatrzony sygnaturą Finchera.

WPCE najpierw odgadło, a później potwierdziło, czego próbuje drugi najemnik. Żołnierze Byutechu wypchnęli wprawdzie nieprzyjaciela aż za skrzyżowanie korytarzy i dotarli do przestrzeni, w której sieć czujników jeszcze jako tako funkcjonowała, ale wystawili się w ten sposób na ataki z różnych stron. Fincher starał się oczyścić i zabezpieczyć jeden z kierunków, z którego obcy mogli próbować ich oskrzydlać.

- Mamy dane, cholernie ciekawe, czy możemy zostać jeszcze przez chwilę?

HID automatycznie wzmocnił podniecony głos Grahama, żeby go było słychać w panującej wrzawie.

„Jak długo sobie życzysz?” - pomyślała Spice, poczekała ułamek sekundy, aż zasobnik się wymieni, i wznowiła ostrzał.

Prask, wystrzał z potężnej broni Finchera wprowadził lód w wibracje, czujniki przekazały dźwięk jako trzask przechodzący w przeciągłe dudnienie. Prask.

- Nie wytrzymali tego - meldował najemnik. - Za chwilę będę u was.

HID pokazywał, jak szybko się porusza. Później ktoś krzyknął, odezwał się dźwięk stali trącej o stal, dwie ikony medyczne zgasły równocześnie, Pamski i Vogrev padli martwi.

- Mamy, co chcieliśmy - oznajmił Weller.

- Zmykamy stąd - zareagowała natychmiast Spice.

Wycofywali się tą samą drogą, którą przyszli. Wyposażenie zostawili na miejscu, zamiast niego Weller i Graham wlekli zwłoki obcego. Szkliwiaki nagle zaprzestały ataków, może z powodu strat, a może dlatego, że oddział przyprorowadzony przez Spice nadal prowadził intensywny ostrzał wszystkich korytarzy w pobliżu.

- Wyszliśmy z tego wreszcie - powiedział ktoś z ulgą, gdy znaleźli się piętro wyżej.

Spice wyczuła atak wcześniej, niż nadeszło ostrzeżenie WPCE.

- Na ziemię!

Ściana lodu pękła, odsłaniając pustą przestrzeń, ale była ona pusta tylko z pozoru. Coś trafiło najemniczkę prosto w korpus, nagle zapadła ciemność.

- Pancierz piersiowy przeciążony i zniszczony, funkcje skafandra nienaruszone, funkcje organizmu wracają do normy - WPCE zasypało ją mnóstwem danych. - Utrata świadomości na cztery sekundy.

Na zapisie ujrzała, jak wszyscy padają na podłogę, ale paru spóźnionych, w tym ją samą, dosięga ogień. Najdłużej zwlekał Fincher, który tuż przed upadkiem strzelił pięciokrotnie z wyrzutni rakiet. Później duża kula ognia oślepiła czujniki. Wyszły z niej trzy poturbowane szkliwiaki, posuwały się na czworakach. Ich głowy były niewidoczne, w tym miejscu efekt maskujący nadal działał. Nie zwracały uwagi na nikogo, zmierzały prosto do ciała leżącego najbardziej po lewej. Mark Waber, poinformował ją HID.

Ze zdumieniem zauważyła, że mężczyzna jest otoczony przejrzystym sarkofagiem. Dwa szkliwiaki z łatwością go podniosły i zaczęły uciekać korytarzem. Kiedy oni zdążyli to zrobić? Użyli przeciw niemu jakiejś specjalnej broni? Myślała intensywnie. Dane medyczne głosiły, że był jeszcze żywy.

Spice zerwała się, broń podczas upadku pozostała na swoim miejscu, przytwierdzona do skafandra. Włączyła celownik laserowy, a razem z nim wszystkie aktywne czujniki. Korytarz był prosty, jeszcze ich widziała; pierwszy z obcych właśnie „wchodził” w łód. Przełączyła na ogień pojedynczy, wystrzeliła raz, potem drugi, za trzecim razem chybiła, kiedy któryś z żołnierzy odepchnął jej lufę. Ale to już nie miało znaczenia, ikona medyczna Marka Wabera zgasła.

- Pani go zabiła! - krzyknął.

- Tak, i oczekuję, że pan zrobi to samo dla mnie, jeśli zajdzie potrzeba - odparła chłodno. - Chcieli dostać żywego jeńca, tak jak i my, a ich wypad służył właśnie temu. Potrzebujemy pomocy. Mamy zabitego i rannych, sami się stąd nie wydostaniemy - wysłała wiadomość.

- Już do was idzie oddział ratowniczy - odpowiedział osobiście McBane.

Fincher z trudem wstał, pochylony do przodu, jego skafander wyszedł z tego starcia w gorszym stanie niż Spice. Po prostu dłużej był wystawiony na ogień, zorientowała się.

Nie miał automatu, ale została mu ogromna śrutówka. Po chwili podniósł się jeszcze jeden żołnierz.

Spice przejrzała dane, nikt więcej nie był zdolny do walki.

- Tak samo dobre miejsce jak każde inne. Zajmiemy tu pozycję do obrony okrężnej.

Woroszyłow stał w okopie i za pośrednictwem HID-u obserwował horyzont w całym zakresie trzystu sześćdziesięciu stopni. Już się przyzwyczył do zmiany stanowisk obserwacyjnych i orientował się doskonale w terenie.

- Okablowanie pierwszej i drugiej linii obrony położone - zameldował kierownik techniczny. - W wewnętrznym okręgu kończymy instalowanie stanowisk opancerzonych.

Woroszyłow potwierdził odbiór. Wykuty w lodzie okop zapewniał dobrą osłonę przed ogniem piechoty, ale jeśli miałyby zostać użyte pociski klasy powietrze-ziemia, broń stromotorowa czy ataki przy zastosowaniu synchronizowanych fal uderzeniowych, nie stanowił wystarczającej kryjówki. Dla stawienia długotrwałego oporu konieczne były opancerzone stanowiska.

- Jeszcze kilka godzin i będziemy tak dobrze przygotowani, jak to tylko możliwe w aktualnych warunkach - oznajmił.

Backsyht po spędzeniu dwunastu godzin w skafandrze czuł się wyczerpany. Wszystkie mięśnie bolały go w wyniku ciągłego użytkowania ekoszkieletu, czarne niebo, z powoli wschodzącym słońcem i zachodzącym Charonem, działało na niego deprymująco. Już

nie podskakiwał nerwowo przy każdym ostrzeżeniu WPCE o możliwej obecności nieprzyjaciela. Ponieważ czujniki nastawione były na maksymalną moc, fałszywe alarmy następowały przeciętnie co dwie godziny.

Najbardziej przygnębiały go wiadomości o walce w podziemiach, wewnątrz bazy. Już od połowy dnia ludzie tam ginęli i mimo wielkich wysiłków ustępowali przed wrogiem.

Kuzmin musiał spacyfikować dwie najniższe kondygnacje. Zadał nieprzyjacielowi ciężkie straty, ale sam też zapłacił wysoką cenę.

- Wolałbym, żeby się już zaczęło - powiedział głośno reporter.

Woroszyłow odwrócił się do niego, jakby kontakt optyczny lepiej go informował o samopoczuciu dziennikarza niż dane medyczne.

- Ja też - zgodził się - ale wojna polega na czekaniu.

Robot bojowy czuwający w okopie obok nich odwrócił się nagle, ukazał im czarny otwór lufy karabinu elektromagnetycznego i wrócił do poprzedniej pozycji. Baksyht przez chwilę poczuł strach, lecz zaraz zrozumiał, że chodziło jedynie o rutynowe sprawdzenie i rozruszanie systemu robota, który w tak niskiej temperaturze mógłby zamarznąć.

- *Sygnaly, 125, 2,5* - komputer określił wyniki podane przez sieć sensorów.

Baksyht wiedział, że pierwsza liczba oznacza azymut, następne odległość. Czujniki obserwujące zmiany temperatury, grawitacji, wibracji i niektórych wybranych zakresów spektrum elektromagnetycznego pokrywały teren w zasięgu trzech kilometrów.

Woroszyłow na chwilę znieruchomiał, jego broń podwieszona do ramion skafandra, ciężki karabin elektromagnetyczny oraz dwulufowy miotacz granatów, mierzyły w niebo pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ikona komunikacyjna sygnalizowała pełne wykorzystanie bojowych kanałów informacyjnych. Resztę miejsca na panelu bojowym zajmowały elementy sterujące aktywną i pasywną obroną, systemami komunikacyjnymi oraz lokacyjnymi.

- To mogą być oni - ocenił wyniki analiz. - Oddział numer trzy, pozostać na miejscu bez żadnej aktywności, prawdopodobnie spróbują nas namierzyć jakimś nieznanym nam sposobem, nie wolno ich spłoszyć - podał rozkazy.

Baksyht za żadne skarby nie zamieniłby się z tymi ludźmi, do których zbliżał się wróg, podczas gdy oni nie mogli podjąć żadnej akcji. Włączył się na kanał ich wewnętrznej komunikacji. Miał do niego dostęp, podobnie jak wszyscy najemnicy.

- Już są blisko, pięćset metrów!

- Przenikają przez lód!

- Mogą już tu być, są, kurwa, niewidzialni! Nie ma jak ich zdjąć.

- Jeśli teraz zaczniesz spieprzać, zabije cię ten ruski żołdak. Jestem tego pewny tak jak

swojego nazwiska.

Backsyht właściwie mimowolnie aktywował systemy swojej broni. Było to niepotrzebne, nieprzyjaciel znajdował się dokładnie po przeciwnej stronie okręgu obronnego, bliżej bazy. Nikomu nie mógł pomóc.

- Odwrót według planu A - rozkazał Woroszyłow za pośrednictwem HID-u.

Backsyht wiedział, że ten odwrót jest właściwie ucieczką przez przygotowane przejścia i przekopy, w których żołnierze mogli się łatwo ukryć. Zmusił się do śledzenia wskazań HID-u zamiast obserwacji bezpośredniej.

Na panoramicznym wideo z naniesioną siecią współrzędnych pojawiło się dwunastu ludzi. Z pozoru wydawało się, że wyskakiwali z ziemi i z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę pędzili do drugiego okręgu obrony. Za nimi powstawały tumany lodowych okruchów, które odpadały od przyczepnych podeszew butów. Z niewielkim opóźnieniem z nicości wyłoniły się mgliste sylwetki napastników. Było ich kilkudziesięciu, sześćdziesięciu siedmiu do osiemdziesięciu pięciu, jak policzył komputer.

- Na ziemię! - rzucił Woroszyłow.

Ludzie wykonali rozkaz, stosując kontrolowany upadek będący jedną z funkcji ekoszkieletu i wtedy dwie wieże obronne, jakie pozostały w bazie, rozpoczęły ostrzał. W ciągu półtorej sekundy fala atakujących została zmieciona z powierzchni Plutona. Miejsce, w którym jeszcze przed chwilą znajdowali się obcy, znaczyła tylko płaszczyzna gładszego lodu i chmura białej pary metanu i tlenku węgla. Backsyht nigdy nie widział na własne oczy rezultatów ostrzału bronią klasy kosmicznej. Zresztą świadkami takiego wydarzenia było bardzo niewielu ludzi.

- Powinno ich być więcej, a drugi raz się na ten numer nie nabiorą - rzekł niezadowolony Woroszyłow.

Backsyht spojrział na najemnika z podziwem. Pomału zaczynał rozumieć, dlaczego jest aż tak niebezpieczny.

- Czy zaatakują wieże obronne? - zapytał.

- Jeśli chcą popełnić samobójstwo albo mają inteligencję na poziomie szczura laboratoryjnego, to tak. Ale ja nie stawiałbym na żadną z tych możliwości.

Backsyht zawstydził się. Wieże były pomyślane jako jednostki autonomiczne i zapewniały sobie obronę za pomocą własnych, niezwykle skutecznych środków bojowych.

- Trójki broni Fahrey ze swymi ludźmi i dziesiątką żołnierzy Byutechu - głośno myślał Woroszyłow. - Tamtędy nie przejdą, nawet jeśli zastosują jakiś trik. Piątkę obsadzają sami żołnierze, ale jest ich trzydziestu, to powinno wystarczyć.

- Jeśli mają cięższą artylerię, użyją jej. Ataki z zaskoczenia nie udały się. Ale przedtem spróbują czegoś innego, ja bym tak zrobił.

Backsyhtowi wydało się, że w głosie najemnika słyszy nutę rozbawienia. O nic już nie pytając, zwrócił spojrzenie ku niebu. Gwiazdy, Charon i Słońce pozornie nieruchome trwały na swoich miejscach z zimną obojętnością. Nie obchodziło ich, że na lodowych przestrzeniach planety giną ludzie. „Jak również nieładzie” - dodał po chwili.

Pietro powoli szedł korytarzem. Czuł się osamotniony, chociaż o miejscach, w których znajdowali się koledzy, informowały go ikony bojowe. Wszędzie wokół tylko błyszczący lód, echa sygnałów radiowych i sterylne, niedostatecznie szybko odnawiany obraz skanu laserowego. Ikona medyczna pisnęła, poziom cukru we krwi poważnie mu opadł, za to oznaczenie ilości produktów przemiany materii zatruwających organizm przesunęło się na żółte pole. Czas na medykamenty. Skupił się, żeby lepiej pokonać krótki okres mdłości, jaki towarzyszył przyjęciu leków. Doszedł do rozwidlenia korytarzy, teraz wchodził w najmniej przyjemny do patrolowania obszar podziemi. Toczące się tu walki uszkodziły równe przedtem ściany, zdawało mu się, że przechodzi przez różnej wielkości jaskinie, pełne większych i mniejszych odłamów lodowych. Tutaj szkliwiaki mogłyby się łatwo ukryć, nawet bez użycia efektu niewidzialności.

- Kolejna porcja naszych domysłów - zabrzmiał bez jakiegokolwiek wstępu głos Grahama.

Dlaczego nie mówi żaden z uczonych na wyższym stanowisku? To pytanie Pietro pozostawił bez odpowiedzi. Informacje otrzymywane na bieżąco od zespołu badawczego miały cenę życia.

- Tym razem dotyczą przechodzenia przez ściany. Nasze teorie wynikają z analizy danych dostarczonych przez detektory i zapisy bojowe, które świadczą o tym, że naprawdę mogą przenikać przez materiały stałe. Chodzi tu o pewien rodzaj świadomie wywołanej superpłynności.

Pietrowi było wszystko jedno, na jakiej zasadzie szkliwiaki potrafią przeciekać przez skały albo lód. Ufał informacjom pozyskanym w walce. Obfitość cieni optycznych i radarowych za rumowiskiem odłamów lodowych powstałym z zawalonego sklepienia denerwowała go. Zatrzymał się, aby dać WPCE czas na sprawdzenie okolicy i wytypowanie miejsc, w których istniało prawdopodobieństwo pojawienia się nieprzyjaciela. Sieć czujników, dzięki której zdołali wykryć zbliżające się szkliwiaki, nie przekazywała żadnych ostrzeżeń. W zasadzie to dobrze, nawet jeśli Pietro uważał, że jest inaczej.

- Czas przygotowawczy, to znaczy okres, jaki jest potrzebny do osiągnięcia zdolności do akcji, licząc od momentu przedostania się na swobodną przestrzeń, jest zależny od czasu przebywania w stanie superciekłym - monotonicznie ciągnął Graham.

„To nareszcie coś interesującego” - uznał Pietro.

Pomyślał, że naukowiec musi być zmęczony. Ostatnich szesnaście godzin spędził przy komputerze, a przedtem jeszcze sześć, zbierając materiały do analizy.

WPCE zameldowało, że zakończyło badanie i że jaskinia jest pusta. Mimo to Pietro namacał spust i sprawdził ilość naboí. Miał ich jeszcze sporo, nawet biorąc pod uwagę szybkostrzelność dwulufowej broni.

- Ostatnia sprawa, o której chciałem powiedzieć, to fakt, że o wiele więcej trudu sprawia im przekraczanie granicy dwóch środowisk niż przenikanie przez jednolity materiał, nawet przy dużych odległościach do przebycia.

To oznacza, że przejście skała-lód zatrzyma je i spowolni.

- To fajnie - mruknął Pietro sam do siebie. - Może moglibyśmy wybudować jakiś rodzaj fortyfikacji.

Czujniki nadal niczego nie wykrywały. Przekroczył kopczyk drobnych kryształków. Kiedy widział go ostatnim razem, był o wiele większy. Ciała szkliwiaków rozpadały się bardzo szybko. Weller w trakcie ostatniej relacji twierdził, że dzieje się tak z powodu wysokiej temperatury panującej w podziemiach i na powierzchni planety. „Te skurwysyny muszą pochodzić z jakiegoś mroźnego piekła” - powiedział wtedy Pietro na ogólnym kanale i nikt go za to nie zganił.

Czujniki wciąż milczały. Chryste Panie! Pietro stanął, uświadamiając sobie, że już od dawna nie widział ani jednego czujnika! Przynajmniej od chwili, kiedy wszedł do tego zasranego, porozbijanego korytarza. Przylepione do lodu u podnóża ściany rurowe kształty czujników nie rzucały się w oczy, ale gdy człowiek wiedział, gdzie patrzeć, zawsze je znajdował. Zmienił rodzaj ognia i aktywował miotacz granatów.

- Tu Pietro, mamy problem. Te zasrańce zaczęły nam rozbierać sieć, kradną czujniki - zameldował, obracając się wokoło.

WPCE zdążyło już wykonać mapę okolicy i ukazywało zakamarki, których sam nie mógł zauważyć.

Odpowiedziała mu cisza, komputer ogłosił utratę łączności. Na wszystkich kanałach, na wszystkich obwodach komunikacyjnych. „Zamknęli mnie w niewidzialnej klatce” - pomyślał. Zmrużył oczy, jakby w ten sposób mógł ich łatwiej dostrzec. Może już stali za jego plecami, z bronią, która zaleje go przezroczystym sarkofagiem, żeby mogli odnieść go Bóg

wie gdzie? Odwracał się powoli, pole rażenia broni nastawił na największy rozrzut, żeby jedną serią pokryć ćwiartkę obwodu koła.

Naraz zrozumiał. Jeżeli rozbierają sieć czujników, robią to sprytnie, ponieważ w innym przypadku komputery zauważyłyby, co się dzieje. To znaczy, że chociaż częściowo poznali się na ludzkiej technice. Tego major i pozostali powinni się dowiedzieć za wszelką cenę. Skafander zawył. Pietra poraziło uderzenie zimna, jednak instynktowna reakcja uruchomiła ekoszkielet, wzmacniacze przejęły ruch, co spowodowało pęknięcie opalizującej masy, która zmaterializowała się wokół niego pozornie znikąd. Szok temperaturowy ustąpił, Pietro nacisnął spust, pustka przed nim zafalowała, kiedy trafienia pocisków na ułamki sekund uszkadzały doskonale maskowanie obcych. Mimo że był blisko wrogów, zaczął strzelać również z miotacza granatów. Skafander natychmiast zgłosił trafienia odłamkami pochodzącymi z własnych ładunków. Ale szkliwiaki ucierpiały o wiele bardziej, ponieważ były wszędzie wokół niego. Traciły niewidzialność, wielkie i mocno zbudowane, inne niż te, które widział przedtem. Pietro drgnął, wydało mu się, że coś przebiło mu brzuch, ale to tylko pancerz czołowy wykonał swoje zadanie i zneutralizował trafienia. Łączności nadal nie było, a on przecież powinien przekazać wiadomość, po prostu musiał to zrobić. Został sam pośrodku wolnej przestrzeni, nieprzyjaciel się ukrył. On też powinien się ukryć.

Zamiast tego ruszył naprzód poprzez jaskinie wyrwane w lodzie przez setki eksplozji. Z początku prawie wylatywał w powietrze, pędzony mocą ekoszkieletu, później uciekał już bardziej na własnych nogach, kiedy mechanika skafandra po licznych trafieniach zaczęła tracić sprawność, później potykał się, z trudem ciągnąc nogi, a na końcu czołgał, siłą własnych mięśni pokonując metr po metrze. Kiedy już myślał, że przegrał, że nie wydostanie się z pułapki, wyskoczyła zielona lampka sygnalizująca przywrócenie łączności, WPCE natychmiast przesłało wszystkie informacje.

Nagle coś przewróciło Pietra na plecy. Oszołomiony zimnem i wyczerpaniem, obojętnie spoglądał na nieludzkie postacie o doskonale lustrzanych powierzchniach twarzy, które się nad nim pochylały. Oczy były mu nadal posłuszne, a to bardzo ważne, ponieważ za pomocą ruchu gałek ocznych mógł zainicjować autodestrukcję. Zrobił to, ale dla pewności podobnym sposobem wydał polecenie zaaplikowania do krwiobiegu następnej dozy medykamentu. Tylko że tym razem była to trucizna. Żywego go nie dostaną, tego był pewny. Dziewięć, osiem, wyskakiwało na wyświetlaczu. Pietro najchętniej zaśmiałyby się prosto w nieżywe pyski, ale nie mógł, zimno pozbawiło go siły. Sześć, pięć. Przy czwórce odliczanie się zatrzymało, jeden szkliwiak odstąpił, robiąc miejsce innemu. Te gnoje umiały znacznie więcej, niż przypuszczał. Przez moment obawiał się, że zdołają powstrzymać działanie

trucizny, lecz naraz zaczął tracić widzenie kolorów, a to znaczyło, że wszystko jest w porządku. Żywego go nie dostaną. Wyszedł na remis z tymi skurwysynami. Chociaż nie, wygrał, ponieważ odkrył, co robią. Wygr...

Gunner siedział obok fotela kierowcy goliata w pełni uzbrojony, tak samo jak tuzin żołnierzy w komorze przeznaczonej do przewożenia piechoty. Kovacs trzymał silniki na wolnych obrotach, co gwarantowało natychmiastowe ruszenie pojazdu w razie potrzeby. Obok stały w gotowości trzy roboty bojowe. Zbudowano je z części dostępnych w magazynach Byutechu, niektóre z nich Brassi trochę przerobił. Gunner, patrząc na lufy szybkostrzelnych działek i masywne wieńce elektromagnetycznych cewek odchylających zamontowanych na karabinach, zastanawiał się, czy powinien się cieszyć, że nie steruje nimi bojowy software, ale bezpośrednio Jane.

Te maszyny już na pierwszy rzut oka nie polegały na maskowaniu, ale na błyskawicznej reakcji i ogromnej sile ognia, wymykającej się wszystkim zwykłym, konwencjonalnym obliczeniom i ludzkim wyobrażeniom.

- Ciekawi mnie, na ile jesteś w tym dobra - rzucił w próżnię, nie starając się zwracać do kogokolwiek.

- Mam do dyspozycji najlepsze procedury taktyczne i operacyjne, jakie ludzie kiedykolwiek wymyślili - odpowiedziała natychmiast Jane.

Jeden z żołnierzy pochylił się w fotelu. Gunner sprawdził jego ikonę medyczną. Okazał się nerwowy, nic więcej. Jednak nerwowość w przypadku skafandra bojowego mogła być cholernie niebezpieczna.

- Znam te najlepsze procedury - powiedział obojętnie i włączył stary przebój „This Means War”. W sam raz na tę chwilę. Twardy rock walił mu prosto w uszy, kilku żołnierzy zaczęło się rozglądać. Kanały komunikacyjne nie miały właściwej separacji i dochodziło do przesłuchów. Gunner uważał, że to ich problem. - Znam je, więc dwa z tych twoich pachółków załatwiłbym sam i nawet się przy tym nie zadyszał - wrócił do tematu. - Gdybym miał odpowiednią broń, ponieważ trzy kwintale aktywowanego impulsami opancerzenia czułych punktów tych maszyn wytrzymałyby cholernie długo.

- Ja mówiłam o wojennych procedurach Azjatów. Nie chcę cię denerwować, ale są o wiele lepsze.

- To dobrze, chociaż może bywają trochę zaskakujące.

Nowa koleżanka zamilkła.

- Dlaczego nie pomożesz Kuzminowi i jego ludziom? Jemu by się twoje maszyny na

pewno przydały.

Gunner wiedział, że w podziemiach wybuchło istne piekło, a szkliwiaki starają się za wszelką cenę dotrzeć na górę.

- W podziemiach nie wszędzie mam łączność - odpowiedziała natychmiast.

- No tak - warknął Gunner.

Wściekał się, że musi tu siedzieć i czekać na rozkazy majora. Najchętniej walczyłby na dole albo chociaż razem z Woroszyłowem wyczekiwał w okopach.

- Ważna informacja - odezwał się McBane, równocześnie zdanie wyświetliło się w formie pisanej.

Wszyscy mieli to samo na swoich HID-ach.

- Nikt nie może wpaść w ich ręce żywy. Dowódcy, zmienić konfigurację bezpieczników autodestrukcji wszystkich ludzi, szczegóły w meldunku technicznym.

McBane zakończył połączenie tak jak zawsze, po prostu zniknął z ekranów.

Gunner zagryzł wargi. Zaczynał rozumieć sens rozkazu. Trzeba sporządzić listę zaginionych i określić najdrobniejsze szczegóły dotyczące okoliczności, w jakich zniknęli. Czy szkliwiaki są w stanie przesłuchiwać ludzi? Każdego można złamać, ale na to potrzeba było czasu. Rzeczywistość musiała być jeszcze bardziej niezwykła.

Zamigotał HID, a WPCE ogłosiło pełne pogotowie. Przed oczami Gunnera pojawiło się nieco monotonne menu:

Alarm: Atak na wieżę obronną numer 3; bez posiłków.

Alarm: Atak na wieżę obronną numer 1; bez posiłków.

Alarm: Atak na wieżę obronną numer 5; bez posiłków.

Alarm: Natarcie w podziemiach; posiłki - Spice.

Alarm: Walka wewnątrz budynku reaktora numer 1; posiłki - Gunner, Jane.

Zabezpieczenie wnętrza: Brugger.

Zaczęło się decydujące natarcie. Gunner wiedział, że Kovacs ma przed sobą identyczny meldunek, ale w tej akcji to on był dowódcą.

- Jazda - rozkazał krótko.

Motor ryknął, osiemdziesięcotonowy kolos ruszył, trzy nieforemne stalowe potwory obwieszane bronią i amunicją nagle ożyły. Taktyczny software połączył Gunnera z załogą budynku reaktora.

- Są wszędzie, wyłażą ze ścian! Mamy straty!

- Nikt nie może wpaść w ich ręce żywy - oznajmił. - Przegrupować ludzi.

Kovacs znalazł miejsce, w które mógł się dostać z transporterem najbliższej kopuły

reaktora. Gunner sprawdził je pod kątem dostępu i możliwości obrony. Później sprawdził tylko wektor zbliżania. Kovacs miał zamiar dostać się do wnętrza całym pojazdem i dotrzeć jak najbliżej ludzi. Naruszy przy tym wytrzymałość naziemnego szkieletu budowli, ale dla systemu podziemi to nic nie znaczyło. Dlaczego nie, dobry pomysł. Zatwierdził miejsce i wysłał instrukcje. Według HID-u goliat zdołał już rozwinąć szybkość siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Alarm: Natarcie w podziemiach; posiłki - Jane.

Wokół goliata pojawiły się pozorne cele i mikroskopijne środki obrony przeciwrakietowej.

Gunner dotarł wreszcie aż do samego końca informacji, które HID po kolei mu udostępniał. Przeczytał ją i gwizdnął z cicha. Jeśli nie uda się im uzyskać przewagi i wyprzeć nieprzyjaciela albo choćby ewakuować wszystkich żołnierzy i techników, powinien postarać się o to, żeby nie wpadli żywi w ręce nieprzyjaciela. Miał ich po prostu zlikwidować.

- O mój Boże, on jedzie do środka. Przecież nas zabije! - krzyknął żołnierz siedzący po lewej stronie.

Właśnie zrozumiał, co zamyślił Kovacs.

- Martin Longe, dwadzieścia pięć lat, brak doświadczenia bojowego - dowiedział się natychmiast Gunner.

Longe najwyraźniej też przeczytał końcową informację i ten plan, sądząc po jego nerwowej reakcji, wytrącił go z równowagi.

- Co zrobimy? - prawie popadł w histerię.

- Będziemy wojować - spokojnie poinformował go Gunner.

- Ale możemy tam zginąć!

- No tak, na amen - Gunner zakończył jego strachliwą litanię.

Przez całe życie kierował się zasadą „kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. Uważał ją za słuszną. Maszyna bojowa wpadła nagle na coś, szczęściem nie czołowo. Ostry trzask prawie ich ogłuszył, połowa wewnętrznego oświetlenia kabiny zgasła. Z pełną szybkością ślizgali się ukosem w bok, ale nie przewrócili.

- Otarliśmy się o jakiegoś zasranego, niewidzialnego kutasa - powiedział rozszoszczony Kovacs. - Woroszyłow będzie miał pełne ręce roboty. Wszystko w normie, minuta do desantu - dokończył w kodzie bojowym.

Ktoś zaczął się modlić. W odtwarzaczu pojawił się nowy utwór i Gunner puścił go na ogólnym kanale. Piosenka nazywała się „Highway to Hell” i nie mogła mieć stosowniejszego tytułu. Podświadomie wystukiwał rytm palcami, zmrużył oczy w szyderczym grymasie.

W odległości czterystu metrów przed kopułą Kovacs zaczął lekko wyhamowywać, komputer pokładowy wyliczył szybkość zderzenia na sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. To powinno wystarczyć do przeniknięcia na wystarczającą głębokość i równocześnie zapewnić im szansę wydostania się z wozu. Jeśli po drugiej stronie ktoś stał im na drodze, to Kovacs uważał, że to jego błąd.

Trzysta metrów przed miejscem zderzenia z goliata zeskoczyły roboty bojowe Jane i popędziły zwartą grupą obok transportera. Uderzenie. Opancerzony wóz przebił zewnętrzną ścianę i warstwę pośrednią, przeznaczoną do automatycznej likwidacji nieszczelności. Roboty bojowe wtargnęły tuż za nim.

Chaos, trzask łamanych przegród i elementów konstrukcyjnych, dźwięk alarmów.

- Desant! - ryknął Gunner.

Huknęły działa goliata. Z przerwami, bo przednia wieżyczka wyraźnie została uszkodzona podczas zderzenia ze ścianą; równocześnie zaświstały karabiny robotów. Gunner kopniakiem wyrzucił z wozu żołnierza z numerem trzynaście, który znieruchomiał ze strachu i przeszkadzał innym. Na zewnątrz też stał jak skamieniały, zaraz uderzyło go coś jakby biała promienista lina. Pancernik wytrzymał pierwsze trafienie, ale przy drugim puścił, dziwna broń przecięła żołnierza na pół.

- Nasz cel, 03! - Gunner wrykiwał informacje, które i tak wszyscy mieli na HID-ach. Było jednak istotne, żeby żołnierze słyszeli dowódcę i nie pozostawali sami w tym niewyobrażalnym piekle.

Dwóch ludzi zginęło podczas desantu, trzech spanikowało i nie utrzymało się w formacji. Jatka już się zaczęła.

Gunner rozkazał trójce trzymającej się za nim, żeby go kryli. Przez ścianę wystrzelił do przyległego pomieszczenia kilka granatów i zaraz po ich wybuchach wtargnął tam sam. Jane, która ochraniała ich prawą flankę, zgłosiła utratę jednego robota.

- Poruczniku! Mam nadzieję, że jest pan tam, gdzie pan meldował! - Gunner zwrócił się osobiście do dowódcy obrony, uzupełniając automatyczną komunikację WPCE. Poczł ciche pacnięcie, odezwał się alarm skafandra, bezpiecznik odrzucił zniszczony pancernik brzuszny. Dwóch żołnierzy spostrzegło zawahanie się dowódcy i wybiegło przed niego, żeby nie spowolnić tempa natarcia. Wszystko drgało od eksplozji granatów, elektrycznych iskier i szybko marznącego dymu po wybuchach. Przedzierali się naprzód, niszcząc przy tym budynek jak ostry nóż.

Tam, gdzie ogień karabinów elektromagnetycznych trafiał w konstrukcję nośną, kapłała na podłogę rozżarzona stal.

W ciągu pierwszych dwóch minut ataku utracili pierwszy krąg obrony, a nieprzyjaciel natarł na drugi. Udało się im powstrzymać go skoncentrowanym ogniem środków bojowych Jane. Woroszyłow na chwilę skupił uwagę na HID-zie. Straty okazały się zbyt duże i nie był pewny, jak długo zdoła utrzymać środkowy pas obrony. Niewidzialne stwory, w jakiś niezrozumiały sposób wychodzące z ziemi, nie były ani szybkie, ani specjalnie dobrze uzbrojone, a mimo to zmuszały ich do cofania się.

Roboty zaopatrzeniowe przebiegały przez okopy, rozwoziły ogniwa elektryczne, amunicję, pomiędzy nimi przeciskali się medycy z toboganami.

Ostrzał osłabł, stał się raczej sporadyczny.

- Już nie mamy prawie żadnych chipwekowych psów - stwierdził Backsyht.

Do niego nie docierało jeszcze, jaka rzeźnia ogarnęła drugi pas obrony. Był jednak zdenerwowany, przegryzł sobie wargę do krwi.

- Wszystkie już zużyliśmy. Te świny widać dopiero z bliska i przy maksymalnej czułości sensorów - warknął Woroszyłow.

Jeden z robotów, przedłużone ramię zbrojne Jane, uniósł się nieco i przez chwilę obserwował teren. Gest ten wydał się zdumiewająco ludzki, chociaż nie wiadomo było, którego ze swych elektronicznych zmysłów właśnie używa. Prawdopodobnie wszystkich, osądził Backsyht. Robot wyglądał całkiem inaczej niż pozostałe, zapewne dlatego, że Jane splądrowała magazyny bazy i stworzyła je z pozostałych resztek.

- Mamy chwilę na oddech - stwierdziła.

- Albo idą na nas pod ziemią. Jeśli robią to dostatecznie wolno, to żadne czujniki nie wykryją ruchu, one reagują na gradient pola grawitacyjnego, a nie na jego wartość - zwrócił uwagę Woroszyłow.

To byłaby lepsza możliwość. Wszyscy wiedzieli, że szkliwiaki wycofują się na pewien czas, kiedy kogoś zgarną. Ale potem rzucały się do ataku z jeszcze większą siłą i z nowymi podstępami.

- Musi być jakiś sposób, musi - powtarzał sobie Woroszyłow.

W przezierniku helmu odbijał się biały śnieg zanieczyszczony ciemnymi plamami. Mogła to być ciecz hydrauliczna z jakiejś maszyny albo krew. W półmroku i mrozie, jaki panował na Plutonie, trudno było na pierwszy rzut oka dostrzec różnicę pomiędzy płynami.

- Kolejne informacje z laboratorium - odezwał się Graham, jego twarz częściowo przesłoniła przestrzeń informacyjną HID-u.

Uczony miał podkrążone oczy, lewą rękę zabandażowaną, jakby się zranił podczas

pracy. Baksyht zastanowił się, czy nie wygląda podobnie nędznie jak naukowiec. Po spędzeniu całego dnia i połowy drugiego w skafandrze nie byłoby w tym nic dziwnego.

- Stwierdziliśmy, co to za jedni. Szkliwiaki nie są utworzone z materii jak my. Ich sposób myślenia nie jest oparty na wymianie ładunków elektrycznych pomiędzy neuronami, ale na oscylacjach kondensatu Einsteina-Bosego. To potencjalnie wyjaśnia mnóstwo ich właściwości.

Baksyht wiedział, że kondensaty Einsteina-Bosego są wytwarzane przez atomy wychłodzone do tak niskiej temperatury, że są, mówiąc językiem zrozumiałym dla laika, przymarznięte do swoich miejsc. Dlatego atomy, nie mogąc przeciwstawić się zasadzie Plancka, która mówi, że im mniejszy obiekt, z tym mniejszą dokładnością można określić jego położenie, łączyły się w większe, wieloatomowe grupy.

- Czy nam to w czymś pomoże? Czy jest w tym klucz do zagadnienia, jak je niszczyć?
- zapytał ze znużeniem.

- Są następne wyniki badań. Chodzi o zależność ich czasu reakcji i zdolności do maskowania się od temperatury środowiska - kontynuował uczony, podczas gdy WPCE żołnierzy opracowywało przekazane informacje.

- Ogrzejcie pole walki, napelnijcie je jakimś aerozolem, to mogłoby trochę pomóc.

Ogrzejcie pole walki? Baksyht z niedowierzaniem rozejrzał się po mroźnej pustyni. Walczyli na Plutonie, panowała tu temperatura około trzydziestu siedmiu stopni Kelvina, świetna pogoda dla przybłędów z głębin kosmosu. Wystarczyło im nałożyć jakieś lekkie ubranko i czuliby się jak w domu.

- Zapalimy lód - rzekł nagle Woroszyłow i HID dosłownie załamywały jego rozkazy.

- To mogłoby się udać - powiedziała dziwaczna maszyna stojąca obok Baksyhta.

Za jej pośrednictwem mówiła oczywiście Jane.

Zamiast Grahama pojawił się teraz McBane. Oczy błyszczały mu w taki sposób, jaki Baksyht dawniej przypisałby szaleństwu na bardzo zaawansowanym poziomie.

- Plan przełamania B - powiedział tylko i zniknął.

Woroszyłow przytaknął.

- Do chwili rozpoczęcia ataku nie mogą postąpić naprzód ani na krok. Chociaż pół godziny.

- To oznacza dalsze straty, duże straty - stwierdziła Jane.

- Dokładnie tak - zgodził się zachmurzony najemnik i rozpoczął następną serię przygotowań.

Spice wzięła od Bruggera ampułkę i włożyła ją do interfejsu, który umożliwiał dostarczanie środków farmakologicznych i innych pożytecznych dodatków medycznych bezpośrednio do zasobnika skafandra.

Zgodnie z rozkazem powinna niezwłocznie zaaplikować sobie otrzymany lek.

- Co to jest? - zapytała, zanim przystąpiła do aktywowania ikony medycznej na swoim HID-zie.

- Małe źródło twardego promieniowania - odpowiedział Brugger.

Nie wiedziała, czy kpi, ale było jej wszystko jedno. Bez zastanowienia wydała polecenie zaaplikowania medykamentu.

- Do czego służy? - zapytała obojętnie.

- Jeśli tego w porę nie usuniesz, z całą pewnością wywoła raka w ciągu paru miesięcy.

Podniosła broń. Automatyka zatroszczyła się już o uzupełnienie magazynka. Była tak bardzo zmęczona, że wydawało jej się, jakby w wąskich, krętych tunelach spędziła całe życie.

Kuzmin i Chorybd dostali inne zadanie - przeprowadzić rekonesans tych miejsc, w których nie toczyły się walki. Powinni postarać się dotrzeć możliwie jak najdalej. Nie widzieli w tym specjalnego sensu, ale dowodził McBane i nikt nie zamierzał kwestionować jego rozkazów.

- Nie przeżyjemy żadnych kilku miesięcy, więc po co to? - powtórzyła pytanie.

- Jeśli cię zabiją, według tego źródła będziemy mogli wytropić twoje ciało.

- No i fajnie, możecie mi potem postawić niewielki pomnik. To jak, idziemy?

- Idziemy - zgodził się Brugger.

Razem z trzema żołnierzami mieli przeprowadzić kontratak.

Użyć jednego z zapomnianych korytarzy i jak najsilniej uderzyć na przeciwnika z flanki. Obrona najgłębszej części podziemi spoczywała teraz tylko na ludziach Byutechu. To już nie byli nowicjusze, każdy, kto przeżył ostatnie czterdzieści godzin, stawał się weteranem.

Ujęła automatyczną broń w obie ręce i nastawiła ją na maksymalną moc rażenia. Już się nauczyli, że szkliwiaki są w stanie wytrzymać trafienie w każde miejsce, o ile jego energia nie przewyższa pewnej granicy. Lecz jeśli energia była wystarczająca, trafienie w dowolne miejsce, nawet w kończybę, mogło je zabić. Spice strzelała seriami wachlarzowymi, to się sprawdzało, zwłaszcza kiedy wspomagała ostrzał granatem.

Skradała się w ciemności za Bruggerem i jednym z żołnierzy, z włączonymi wszystkimi czujnikami. Już nie sprawdzała, czy duch bojowy nie opuścił żołnierzy. Wszyscy otępieli, nie byli już zdenerwowani ani napięci.

- Jane, słyszysz mnie? - zapytała na kanale dualnym.

- Jak dotychczas tak - odpowiedział jej głos przerywany zakłóceniami.

- Jak to wygląda?

- Fahrey się trzyma, porucznik Mopenten w wieży obronnej numer trzy również. Piątą wieżę żołnierze wysadzili w powietrze, kiedy nieprzyjaciel wdarł się do wewnątrz. Woroszyłow znalazł się pod silnym naciskiem. Zapewne długo się nie utrzyma. Gunner został w budynku reaktora. Może przebije się z powrotem okrężną drogą. Nie mam danych.

Spice dobrze wiedziała, co by się stało, gdyby szkliwiaki dostały się do wieży. Nastawiłyby reaktor na pełną moc, a później rozstrzelały obrońców kopuły mieszkalnej. Tylko obrońców, ponieważ nigdy nie zabijały niepotrzebnie. Zdawało się, że miały nieskończone zapotrzebowanie na jeńców.

Błyskanie czujnika temperatury przykuło jej uwagę. Graham i Weller wyposażyli ją w niezwykle czuły przyrząd, który potrafił z odległości kilkudziesięciu metrów wyłapać fluktuacje temperatury w zakresie zbliżonym do zera absolutnego. A daleko przed nią, pozornie na końcu korytarza opadającego ukośnie w głąb podziemi, po prawej stronie, znajdował się punkt o temperaturze niższej o kilka stopni Kelvina niż temperatura otoczenia.

Posłała wiadomość Bruggerowi, a on zamiast odpowiedzi włączył maskowanie. Technika ukrywania się szkliwiaków, o ile to właśnie technika, a nie naturalna zdolność w ich świecie, była o klasę, może o dwie lepsza, ale z drugiej strony mogły nie podejrzewać, że kamuflaż zostanie też użyty przeciw nim. Szczególnie że najemnicy znajdowali się teraz w głębi ich terytorium.

Brugger zbliżył się do obszaru zwiększonego chłodu, który okazał się wlotem do poprzecznego tunelu. Spice nastawiła elektronikę optyki na maksimum, żeby cokolwiek zobaczyć. Z początku niczego nie mogła dostrzec, ale później pomiędzy cieniami zauważyła zorganizowany ruch, a mikrofon zarejestrował drgania ścian.

„Jasne, wy zimne zasrańce, przychodzicie z najbardziej zapadłych końców wszechświata, więc umiecie wykorzystać każdy foton” - pomyślała z zapiekłą nienawiścią. Nawet nie podejrzewała, że jest do niej zdolna.

Czekali długo, ryzykując, że prędzej czy później zdradzi ich szczątkowe promieniowanie cieplne skafandrów. W końcu komputer uzyskał dość danych i narysował plan podejrzanego miejsca. Widzieli zagłębienie o walcowym kształcie, wykute prawdopodobnie niedawno. Na lodowych katafalkach leżały ciała. Ludzkie ciała, pozbawione skafandrów, już zalane przezroczystą masą albo właśnie zalewane. Pomiedzy nimi poruszały się niewyraźne postacie. Nie miała pewności, czy mają trzy, czy cztery nogi, ale naliczyła cztery kończyny górne. Światła było tak mało, że nie uwidocznił się efekt zwierciadlany, więc

podczas ruchu najbardziej przypominały istoty stworzone z przesypującego się piasku. I były mniejsze niż szkliwiaki, z którymi walczyli wcześniej, uświadomiła sobie ze zdumieniem. Ale znajome osobniki bojowe też tu były, zauważyła je nieco później. Prawdopodobnie pełniły straż, stojąc nieruchomo pod ścianami, poza przestrzenią roboczą mniejszych szkliwiaków. Nagle, bez żadnych działań kogokolwiek z zewnątrz, światło pojaśniało, dzięki czemu przybyło szczegółów. Cała scena zyskała na dynamiczności, ponieważ WPCE nie musiało już pracowicie wyczytywać każdej zmiany z kompletu danych.

Dwa szkliwiaki pochylały się, czy raczej kształtowały swoje ciała w dziwnie powyginany twór ponad trzecim katafalkiem. Pomiędzy nimi leżał człowiek. Spice wzmacniała powiększenie. Obraz zyskał na trójwymiarowości, kiedy Brugger ostrożnie się przesunął i komputery otrzymywały dane ze wszystkich czujników.

Teraz Spice już wiedziała, skąd pochodzi dodatkowe światło. Wychodziło wprost ze skafandra nieszczęśnika leżącego na stole sekcyjnym, jego HID nadal funkcjonował, chociaż z pewnością był silnie uszkodzony.

Szkliwiaki zaczęły pracować nad ciałem. Ich kończyny zmieniały się płynnie, rozszerzały i zwężały, czasem nawet spletały razem części ciał obcych.

- One same pełnią rolę narzędzi - szepnęła Spice z niedowierzaniem.

Potem wręcz znieruchomiła ze zdumienia. Superodporny skafander z włókien węglowych pod dotknięciem szkliwiaków rozstępował się jak zwyczajne płótno. Podczas końcowej penetracji czujnik wychwycił promieniowanie cieplne w zakresie dwieście siedemdziesiąt do trzysta trzydzieści kelwinów. Rozrzut wyniku był duży ze względu na bardzo niską intensywność promieniowania przenikającego przez ciała szkliwiaków. To znaczyło, że skafander aż do ostatniej chwili utrzymywał warunki umożliwiające przeżycie człowieka.

Skafander został rozcięty, a razem z nim częściowo usunięta opalizująca powłoka niewidzialnego sarkofagu, w którym uwięziony był jeniec. Infrakamery wychwyciły i po skalibrowaniu zobrazowały nadal żywe, chociaż mocno wychłodzone ciało. Przygnębiająco znajomy obraz człowieka, oddany w miękkich, pastelowych kolorach, skażony był rozgałęziającą się strukturą czerni, przechodzącej w cieniutkie linie, niknące po przekroczeniu zdolności rozdzielczej przyrządów. Albo były to narzędzia, albo ciała szkliwiaków dokonujących wiwisekcji. Spice nie zdołała tego stwierdzić, zmusiła się do oczekiwania i obserwacji.

Skalpele obcych stopniowo wnikały coraz głębiej, ale nie naruszały żadnego z żywotnych organów. Z pewnością nie robiły tego po raz pierwszy. Cienkie wici absolutnego

chłodu dotarły do kręgosłupa i mózgu; cały proces pozornie się zatrzymał. Po chwili jednak stało się jasne, że masy ciała ubywa i Spice zrozumiała, że skalpele służą jednocześnie jako nanoskopowe ssawki wysysające komórki, molekuly, atomy.

- Oni go pozerają? - zapytał z niedowierzaniem Brugger za pośrednictwem łączności kontaktowej, niemożliwej do podsłuchania.

- Tak, ale nie jako pożywienie, tylko źródło informacji - odpowiedziała.

Myśli przebiegały jej przez głowę z szybkością spolaryzowanego światła w światłowodzie.

- To dlatego tak szybko się uczą, dlatego stają się z każdą godziną coraz bardziej niebezpieczni. Powinniśmy wycofać się stąd i przekazać tę informację majorowi.

- Tak, choć zdaje się, że on coś takiego podejrzewa - zgodził się Brugger.

Zauważyła, że ikona medyczna najemnika wskazuje maksymalne obciążenie hormonami stresu.

- Nie pozwolę jednak, żeby te skurwysyny cięły żywego człowieka.

Spice była zdania, że lepszym rozwiązaniem z punktu widzenia taktyki byłoby natychmiast wynieść się po angielsku, ale wiedziała, że nie przekona towarzysza, a ponadto w niej też wszystko się burzyło na okropny widok wiwisekcji. Pole widzenia uległo zmianie, to Brugger odłączył się od niej i na chwilę zniknął w korytarzu z tyłu. Spice przypomniała sobie ogołoczone ciała, jakie znaleźli w tajnej bazie SONICBM-u, niewyjaśnione zniknięcia personelu bazy, wydarzenia, które miały miejsce przed stu dwudziestu pięciu laty.

- Czekacie już długo, cholernie długo - mówiła sama do siebie, podczas gdy twory z mroźnego piekła nadal pozerają człowieka. - Czekacie, zbieracie informacje, aż będziecie wiedzieli wystarczająco dużo, żeby zaatakować. Właściwie już raz zaatakowaliście, tylko waszym kompanom się nie udało.

- Droga odwrotu przygotowana - oznajmił nagle Brugger, WPCE natychmiast pokazało, co przygotował. - W czasie T plus dwadzieścia otworzysz ogień - dodał, poczekał, aż komputer podzieli przestrzeń na sektory ostrzału i wyliczy idealną kolejność rażenia poszczególnych miejsc - a ja uruchomię miotacz.

Wiedziała, dlaczego zaplanował atak właśnie w ten sposób. Jego miotacz cząsteczek należał do ciężkich broni, zwykła piechota go nie używała. Do nastawienia na parametry eksploatacyjne potrzebował krótkiego czasu, ale w walce znacznie dłuższego.

T plus dwanaście.

Potwierdziła odbiór, lekko się pochyliła i sprawdziła uzbrojenie.

Za sobą wyczuwała Bruggera, wyposażonego w broń zdolną zniszczyć mały statek

kosmiczny. Czy to wystarczy na te bękarty? Miała nadzieję, że tak, położyła na szali swoje życie, a nawet o wiele więcej.

T plus sześć.

Musieli spróbować.

T plus zero.

Automat zaterkotał, eksplozje granatów zapewniły optyce dosyć światła, naraz widziała wszystko jak w dzień. Badacze, jak nazwała mniejsze szkliwiaki, walili się na ziemię od razu, wojownikom trafienia nie czyniły żadnej krzywdy. Najszybszy z nich już wymierzył w nich coś nieprzyjemnie dużego i zabójczego.

Brugger stanął obok, usłyszała westchnięcie elektroniki, kiedy śmiercionośna bestia zainstalowana na bojowej podstawie ożyła. Brugger używał najmniejszego modelu kinetycznego miotacza o dużej mocy. Zamiast jąder deuteru jego broń wyrzucała hyperonowe fragmenty o znacznie większej masie spoczynkowej, a co za tym idzie również większej efektywności. Lód topniał, szkliwiaki rozpływały się w kałuże błyszczącej, lustrzanej cieczy, wokół wirowały resztki. Odzywały się kolejne eksplozje, syczące i powolne, a wraz z nimi pojawiło się mnóstwo lodowych odłamów i zalew szybko parującej cieczy. Brugger stał pośród ruin i metodycznie niszczył wszystko przed sobą.

Laser, radar, infra, wszystkie czujniki sygnalizowały, że wali na nich horda nieprzyjaciół. Spice zaczęła się obawiać, że Brugger wpadł w samobójczy amok, ale najemnik nagle zakończył niszycielski ostrzał i popchnął ją przed siebie.

- Uciekamy - powiedział.

Pobiegli korytarzem. W ciasnej przestrzeni nie mogli poruszać się szybciej niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Zmuszała mięśnie do prawidłowej pracy, żeby nie przeciążać ich niepotrzebnie interakcją ekoszkieletu. Kiedy w krętym odcinku korytarza musiała zwolnić do dwudziestu, miała uczucie, że pełźnie w tempie ślimaka. Później odezwały się za nimi nowe eksplozje. Były to ładunki, które Brugger rozmieścił przed podjęciem ataku. Niektóre nastawione na określony czas, inne z zapalnikiem zbliżeniowym, kolejne z przypadkowym momentem wybuchu.

Fala ciśnieniowa dogoniła ich i przegoniła, istne tsunami ciekłego metanu przewróciło ich na ziemię. Potem ciśnienie zaczęło błyskawicznie spadać do zera i powróciła próżnia, metan znów zamarznął. Podnieśli się na nogi i biegli, dopóki nie dostali się do obszaru pokrytego resztkami sieci czujników, obszaru jak dotąd bronionego przez ludzi. Spice natychmiast wysłała nagromadzone dane.

- Jane, wiesz już o tym? - krzyknęła zdyszonym głosem, gdy wreszcie zatrzymali się i

przygotowali do odparcia ewentualnego ataku prześladowców.

- Tak - odpowiedziała natychmiast Jane. - McBane wysunął taką hipotezę, a ja zebrałam dla niego mnóstwo dowodów pomocniczych. Teraz mamy już pewność. Szkliwiaki są istotami pasożytującymi na informacjach uzyskiwanych od innych, informacjach ukrytych w ciałach takich bytów biologicznych, jakimi wy jesteście.

- I pewnie nie robią tego po raz pierwszy - powiedziała Spice.

- Prawdopodobnie nie - potwierdziła Jane.

Zagrzmiał miotacz Bruggera, HID Spice niczego nie pokazywał, ale uświadomiła sobie, że ma do dyspozycji czujniki bazy, i nastroiła się na nie. Pogoń przekształciła się w atak, szkliwiaki próbowały dostać ich za wszelką cenę.

Nacisnęła spust, długą serią zwała jednego, który przebił się przez barierę ognia Bruggera, potem wykonała wspaniały skok i przemieściła się o dziesięć metrów w prawo. Natychmiast wznowiła ostrzał.

Backsyht wychylił się, wystrzelił do przybliżających się cieni, skrył w okopie i natychmiast zmienił ustawienie. Znów zajął pozycję, wystrzelił trzykrotnie raz za razem i aż dwa razy trafił. Maszyna bojowa szkliwiaków zatrzymała się i jeszcze bardziej spłaszczyła. Albo pojazd próbował skryć się w ziemi, albo został zniszczony i rozsypywał się jak cegła z piasku.

Zmęczony Backsyht położył się na dnie okopu w pozycji najbardziej skurczonej, na jaką tylko pozwalał bojowy skafander. Znajdował się w dobrze chronionej części obronnego kręgu otaczającego bazę, był tu zabezpieczony przed dziwnymi strumieniami energii, przebiegającymi równoległe do powierzchni ziemi i zmieniającymi skupioną materię w jakąś superciekłą substancję. Trafiony taką wiązką człowiek po prostu się rozpuł.

Obok niego jakiś żołnierz opierał się o ścianę. Backsyht był zbyt zmęczony, żeby sprawdzić, kto to jest. Po prostu w milczeniu odpoczywali obok siebie.

Pluton już od dawna nie był cichym i sterylnym światem wiecznego mrozu. W okolicy bazy zalegała gęsta mgła powstała z drobnych kryształków tlenku węgla i wody. Z dziesiątków pęknięć w powierzchni tryskały całe gejzery szybko zamarzającej mieszaniny ciekłych gazów. Temperatura placu boju wzrosła o ponad trzydzieści kelwinów. Woroszyłow rozkazał zapalić lód i jego plan się powiódł. Technicy opuścili do głębokich rozpadlin zbiorniki z tlenem i źródła ciepła. W ten sposób udało im się zapalić metan, jednak w niektórych miejscach wykryli lód wodny i wystarczyło mocne źródło energetyczne, żeby powstał samonapędzający się reaktor chemiczny. Lód topił się, woda rozkładała na tlen i

wodór, po czym nastąpił zapłon. Uwolniona energia razem z nieużyтым tlenem samoczynnie zapaliła metan w okolicy pokładów lodu wodnego. Ziemia zatrzęsła się od eksplozji, ku niebu wystrzelił cały las lodowych słupów, a mgła zgęstniała.

Backsyht znalazł porzuconą skrytkę z nabojami pasującymi do jego broni i posługując się WPCE, uzupełnił magazynek.

- Jak to robicie, że wiecie, kiedy was namierzyli? - żołnierz połączył się z Backsyhtem na prywatnym kanale.

Backsyht obserwował wskaźnik zasobnika i miał nadzieję, że jest pełny. Już kilka razy spotkała go przykra niespodzianka w postaci w połowie pustych skrytek.

- No, teraz jest już w porządku. Mam na myśli czas od chwili, gdy zrobiło się tak gorąco - znużonym głosem zaczął wyjaśniać. - One lepiej widzą i na chwilę przed tym, zanim spróbuje cię trafić, usłyszysz takie ciche ping. To nie będzie szło z czujnika, to sprzężenie zwrotne pancerza modyfikowanego impulsem.

- Ping? - głos żołnierza był drżący, znajdował się na skraju paniki. - Jak na to wpadliście?

Ale Backsyht już go nie słuchał. Otrzymywał właśnie nowy pakiet danych i serię rozkazów.

W pobliże jego stanowiska podchodził oddział szkliwiaków wzmocniony pięcioma wozami bojowymi. Charakterystyka jednego z nich nie odpowiadała żadnemu obiektowi, z jakim się do tej pory zetknęli.

- Jane? - odezwał się. - Dysponuję tylko naszymi robotami bojowymi. Czy możesz mi podesłać chociaż jedną z twoich pięści pancernych?

Backsyht przekonał się, że Jane dowodzi swymi maszynami o wiele skuteczniej, niż potrafił to bojowy software i już kilka razy uratowało mu to życie.

Pomiędzy pytaniem a odpowiedzią wystąpiła niezwykle długa przerwa.

- Tak, właśnie mam trzy naprawione, posyłam je do ciebie. Za pierwszą falą jest jeszcze druga, więcej nie widzę.

Zdażył tylko zakląć, gdy odezwał się Brassi. Razem z nim i dziesięciu żołnierzami, dziewięciu, poprawił się, przypominając sobie zestrachanego żołnierza obok, musiał bronić tego odcinka.

- Posyłam naprzód moje ostatnie chipweki. I twoje też. Koniecznie musimy dowiedzieć się więcej.

- Zrozumiałem - potwierdził Backsyht.

Wiedział, że to konieczne, ale dla niego oznaczało, że straci wskazania czujników.

Będzie miał gorszy ogląd sytuacji, mniej czasu na przygotowania przed atakiem przeciwnika. Nagle przygasł strumień danych, a pokryta informacjami sfera przed jego oczami zmniejszyła się znacznie. Spadła nawet jej zdolność rozdzielcza. Ale wkrótce dane znów ruszyły, zrobiły się wyraźne i czytelne.

- Włączyłem meldunki uszkodzonych robotów, które tu stoją i częściowo jeszcze działają - wyjaśnił Brassi.

„I meldunki od zabitych, których skafandry nie zostały zupełnie zniszczone” - pomyślał Backsyht, ale nic nie powiedział. Każdy bit więcej mógł komuś uratować życie.

Skupił się i wybrał jeden z trzech momentów, które WPCE przedstawiło jako dogodne na przedostanie się do stanowiska ogniowego.

Udało się, teraz z niewielkiego wzniesienia lepiej widział płaski czołg stojący przed sobą. Backsyht przekazał jego pozycję i roboty bojowe oraz maszyny Jane weszły do akcji. Działo huknęło raz, potem drugi. Ping.

Wzniesienie zniknęło w tumanie lodowych okruchów, szybko ginących w rzadkiej atmosferze. Backsyht był już o pięćdziesiąt metrów od miejsca wybuchu. Czuł się tak, jakby spadł z dachu kamienicy, lecz w wyniku błyskawicznego przeskoku tuż nad powierzchnią zapłacił za to tylko krwawieniem z nosa. Natychmiast wznowił ostrzał. Ping, ping.

Przed trafieniem ochronił go śnieżny gejzer tlenku węgla. Pożar w głębi metanowodorowego lodowca rozprzestrzenił się, widoczność spadała, a temperatura powoli rosła. Mimo tego było dla niego jasne, że jeżeli Woroszyłow albo McBane nie wymyślą jakiegoś nowego triku, ich los będzie przesądzony. Podczas ostatniego kontrataku, do którego posłużyli się tajnym korytarzem łączącym zewnętrzny i środkowy pierścień obrony, zlikwidowali pięćdziesiąt szkliwiaków. Doskonały wynik, ale obcy nie byli głupi i po raz drugi już nie dadzą się nabrać. Tajny korytarz przestał być tajny.

Pomimo gęstej chmury śniegu i mgły czujniki zarejestrowały ruchy nieprzyjaciela. Wrażenia optyczne zostały zamienione na elektroniczno-biologiczne możliwości tandemu mózg ludzki-WCPE. Backsyht strzelał, robił uniki, zmieniał pozycje. Jak dotychczas uniknął poważniejszego trafienia, ale licznik uszkodzeń skafandra bojowego, choć powoli, to jednak nieustannie, pokazywał coraz wyższe wartości.

Z ziemi przed nim wynurzył się bez ostrzeżenia obły zarys szkliwiaka, zobaczył ciemny otwór lufy broni wroga.

Bez wahania wystrzelił z działka. Wyrzutnia rakiet na lewym ramieniu wypuła ostatnie ogniste strzały. Backsyht pociągnął serię z automatu, a równocześnie drugi wystrzał z działka zatrząsł podstawą skafandra. Stwór nie rozsypał się, jednak nie wystrzelił. Od jego

boku oddzieliły się potężne postacie szkliwiaków bojowych. Pomimo mgły były dobrze widoczne. Drobnutkie kryształki ślizgały się po ich powierzchni, zmieniając je w na wpół materialne widma. Backsyht zrozumiał, że nadszedł jego koniec, z pojedynczym działkiem nie miał żadnych szans.

Nie bał się, myślał o tym, czy zdoła jeszcze raz wystrzelić.

To uczucie zaskoczyło go, znalazł w nim spokój.

Nagle ziemia się zatrzęsała, łód przed nim eksplodowała, a szkliwiaki zmiotł celny ogień trzech robotów bojowych DH2.

- Ale miałem szczęście - powiedział, nie poznając własnego głosu.

Tak był chłodny i obojętny.

- A ja nie - odpowiedział Brassi.

Backsyht zorientował się według ikony Brassiego i stwierdził, że najemnik przez cały czas leży w dołku blisko niego.

- Trafili mnie, wprawdzie mogę się poruszać, ale oprócz tego co najwyżej pluć na przeciwników. Za to przynajmniej sprowadziłem maszyny - wyjaśnił najemnik.

- Przynajmniej - zaśmiał się Backsyht, stwierdzając równocześnie, że zalewa go fala upojenia.

Życie pod śmiercionośnym niebem Plutona, w skafandrze bojowym, pośród wrzawy bitewnej smakowało wspaniale.

- Mamy przerwę - stwierdził Brassi, analizując sytuację w pobliżu. - Ale nie na długo, te świny cholernie szybko się uczą, a do tego używają coraz silniejszej broni.

- No tak, uczą się - westchnął Backsyht, sprawdzając stan amunicji.

Została mu jeszcze trzecia część naboju, nie było tak źle.

- Woroszyłow ma kłopoty, podeślę mu maszynki - oznajmił Brassi.

Lecz ani jeden z DH2 nawet się nie poruszył.

- Co, do cholery...?

Backsyht opuścił głowę. Ostatnie wydarzenia kosztowały go dużo sił, może nie zostało mu ich więcej niż amunicji. Wiedział, że w innych miejscach toczy się zacięta walka, ale napływające dane można było stłumić do poziomu szumu, o ile się człowiek postarał. Tylko że ludzie ginęli naprawdę.

- *Alarm! Atak wirusowy na maszyny bojowe!*

Ikona Brassiego zmieniła się w purpurową czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami, ciężkie maszyny za jego plecami ruszyły, a aktywność szkliwiaków znacznie się obniżyła.

- Chryste Panie! - mamrotał Brassi, podłączając się do większości WPCE pozostałych

towarzyszy walki.

DH2 z pozycji wyczekiwania przeszły w reżim bojowy.

- Nie mam możliwości ich wyczyścić, straciłam nad nimi kontrolę - zameldowała sucho Jane.

Backsyht ze zdumieniem stwierdził, że słyszy w jej głosie przestraszonych. Wcale się temu nie dziwił, dwie trzecie jej siły ogniowej przypadało na roboty bojowe.

- Atakują moje maszyny! - głos Jane nie był już przestraszony, teraz pobrzmiewała w nim nuta paniki. - Chcą się dostać aż do mnie! Wyłączam się na chwilę!

- Backsyht? Musimy wyleźć, musimy ukłuć prosto w mózg jednego z tych durniów, później je wyłączymy i może uda się je wyczyścić - Brassi dokonał błyskawicznej analizy sytuacji.

Zanim Backsyht zdążył odpowiedzieć, najemnik przesunął się ku najbliższemu DH2, odbił się i dobrze wyliczonym skokiem opadł na górną część wieżyczki strzeleckiej robota. Maszyna zakołysała się pod półtonowym ciężarem, seria z karabinu elektromagnetycznego Backsyhta chybiła, roztrzaskując tylko lód. Dwa pozostałe roboty ruszyły naprzód.

Backsyht wykonał serię dzikich manewrów, przeciążając ekoszkielec do stu trzydziestu procent parametrów eksploatacyjnych, uniknął kolejnych serii i przedostał się pomiędzy Brassiego na DH2 a dwójkę pozostałych.

- Brassi, idę do ciebie, złaż na dół - krzyczał, równocześnie strzelając. Spudłował, potem trafił dwa razy, lecz DH2 nadal się zbliżały. Backsyht zerwał wszystkie bezpieczniki i obciążył broń daleko poza przewidzianą granicę.

Tym razem wycelował w robota, na którym siedział Brassi. Wśród dzikiego tańca, jaki wszyscy wykonywali pod ciągłym ostrzałem, w celowniku co chwila pojawiał mu się jednak skafander najemnika.

- Dobrze jest, koleś, zdążę, w porządku - mruczał Brassi tonem zdradzającym, że bardzo w to wątpi.

DH2 pojął, że chroni swego jeźdźcę, i zaczął się obracać tak, żeby wystawić go na ogień od tyłu. Backsyht nie zwracał uwagi na nic, starając się za wszelką cenę osłaniać Brassiego.

- Nieprzyjaciel przejął kontrolę nad naszymi robotami bojowymi - poinformował sucho Woroszyłow.

WPCE oceniło rezultaty ostrzału Backsyhta. Znajdował się za daleko, żeby jego ogień mógł wyrządzić maszynom poważniejsze szkody.

Skafander Backsyhta odezwał się głośnym ping. Nie zważając na ryzyko, skoczył do

przodu, cały czas strzelając. Trafił, ale odporna maszyna bojowa wytrzymała i znów wymierzyła broń w Brassiego, przylepionego do DH2. Drugie, jeszcze głośniejsze ping. Bacsyht odbił się, zmusił ekoszkielec do maksymalnego wysiłku i jak żywy pocisk uderzył w robota.

- Gotowe! - krzyknął Brassi i w trzy dziesiąte sekundy później maszyny znieruchomiały.

W polu widzenia Bacsyhta mignęło najpierw niebo, potem potrzaskany lód, znowu niebo, a później zarówno czujniki, jak i jego własna świadomość już nie dostarczały mu żadnych wrażeń. Ocknął się, leżąc na brzuchu, z w połowie tylko działającym skafandrem. Wskaźniki systemów podtrzymywania życia ustawiły się na żółtym pasku. Żaden z modułów uzbrojenia nie funkcjonował.

Z wysiłkiem przypominał sobie ostatnie wydarzenia. Jego WPCE już się nastroiło na sieć informacyjną. Roboty zostały skutecznie spacyfikowane przez Brassiego, ale najemnik zginął zastrzelony przez szkliwiaki.

Bacsyht miał ochotę krzyżeć: to było niesprawiedliwe. Poczul łyżę na twarzy, ale z chłodną, celową obojętnością zgłosił swój stan i czekał na automaty naprawcze, żeby przygotowały go do dalszej walki.

- To jest, kurwa, niesprawiedliwe - szepnął sam do siebie.

- Tak. Uratował mi przecież życie - odpowiedziała mu również cicho Jane i zamilkła.

Gunner leżał na lodzie z twarzą odwróconą ku niebu. Tumany mgły otaczającej bazę dostawały się aż tutaj i rozmywały ostre cienie budynku reaktora. Nikogo żywego z ludzi nie było już wewnątrz, ale on nadal czekał cierpliwie, zgodnie z rozkazem. A wraz z nim Kovacs i Markwair, jeden z dzielniejszych żołnierzy Byutechu. Ich zadanie było proste. Gdy nadejdzie rozkaz, zwiększyć moc reaktora z pięciu na minimum dwadzieścia procent. Jak najszybciej.

- Musimy użyć ręcznego sterowania, automatyka nawet przymuszana na to nie pozwoli - głośno myślał Kovacs. - Gdybyśmy mieli tu goliata, byłoby łatwiej, rozwalilibyśmy ich na drobne gówno, zostało tam tylko kilku zasrańców.

Kilku zasrańców to w gruncie rzeczy było około pięćdziesięciu szkliwiaków wyposażonych w ciężką broń.

- Nie mamy goliata, tamci nim odjechali - powiedział Markwair.

- Prawda - potwierdził Kovacs, jakby o tym zapomniał. - Bardzo ładne gwiazdy - poinformował resztę o swoich wrażeniach z obserwacji nieba.

- Nigdy nie lubiłem gwiazd - odparł Gunner.

- Jak myślicie, czy któryś z nas przeżyje? - zapytał zamyślony Markwair.

Było to czysto retoryczne pytanie, wygłoszone bez specjalnego zainteresowania ani strachu.

- Nie powiedziałbym - mruknął Gunner.

- Mówią szkliwiaki - na ogólnym kanale odezwał się pełen napięcia głos przypominający wibracje naciągniętej struny. - Zwracamy się do pani, kapitan Fahrey. Używamy tego kanału komunikacyjnego, ponieważ wiemy, że go pani słyszy.

Markwair był tak zszokowany, że mimo bitewnego skafandra widać było, jak silnie drgnął.

- Kurwa, one mówią naszym językiem!

- No, szybko się uczą, skurwysyny jedne - przytaknął Gunner. - Ale o ile znam starego McBane'a, to liczył się z tym i na pewno ma jakiś plan. I możliwe, że my trzej właśnie po to tu siedzimy.

- Znamy panią, kapitan Fahrey. Potrafimy zrozumieć istoty zbudowane z takiego samego rodzaju materii jak pani. Już wielokrotnie spotykaliśmy się z nimi i zawsze zwyciężaliśmy. Ale nie chcemy was zawojować. Interesuje nas wymiana handlowa, współpraca. Do tego potrzebujemy pośredników. Proponujemy pani i pani ludziom rokowania w wieży. Wykonywalibyście nasze rozkazy i byli naszymi przedstawicielami. Bylibyście aktorkami wśród ludzi.

- Aktorkami? To bardzo dziwne - powiedział Kovacs.

Zaczął padać śnieg. Gunner sprawdził czujniki i stwierdził, że mikroskopijne, niewidoczne dla oka drobinki padają już od dawna i stopniowo się powiększają. Przez ten czas, kiedy leżeli na otwartej przestrzeni, pokryła ich cienka, biała powłoka.

- Chyba błąd w ich słowniku. Może chcieli powiedzieć królowie albo bogowie. Dla wielu ludzi najbardziej godnym podziwu i najwspanialszym człowiekiem jest aktorka z holowizji.

- To brzmi interesująco, proszę kontynuować - odezwała się Fahrey.

- Ona nas zdradzi - zląkł się Markwair.

- Nie - mruknął Gunner. - Fahrey nie zdradziłaby nawet kogoś, kto na to zasłużył. Kiedyś pracowałem razem z nią. Teraz tylko zyskuje na czasie.

- Ton pani odpowiedzi jest niewłaściwy, pani nam nie wierzy - odparła zbyt napięta struna. - Może jeszcze raz złożymy pani propozycję, a może już nie.

Kanał audio zatrzeszczał, ucichł, a głos, który odezwał się po chwili, był zupełnie

ludzki.

- Teraz rozpoczniemy następny atak. Nie musiałyby zginąć tyle istot pani rodzaju, gdyby chciała pani z nami współpracować.

- *Wykonać plan D2, priorytet A* - pojawiło się na wyświetlaczu Gunnera.

- A więc, młodzieńcy, teraz zobaczymy, czy ktoś ten figiel przeżyje.

Woroszyłow opuścił środkowy pierścień obronny jako ostatni. Nieprzyjaciel nie rzucał już do walki kolejnych posiłków, ale mimo to czynił stałe postępy. Kończyła się amunicja, stracili wszystkie automaty wywiadowcze, Jane pozostał tylko jeden robot. Straty w urządzeniach technicznych i sile żywej przewyższały siedemdziesiąt procent. Coraz więcej uszkodzeń hardware'u wśród walczących nadal żołnierzy owocowało pogarszającą się łącznością, a co za tym idzie niedostateczną organizacją obrony.

- Majorze, moje siły są na wyczerpaniu. Dłużej się nie utrzymamy - przekazał Woroszyłow do McBane'a i oczekiwał odpowiedzi.

WPCE przesłało już dokładne dane o sytuacji i Woroszyłow miał kilkadziesiąt sekund odpoczynku. Ze znużeniem obserwował nierozpraszającą się mgłę, z której w każdej chwili powinni wynurzyć się obcy. Temperatura osiągnęła wysokość stu kelwinów, lodowiec w rozpadlinach palił się jak pole naftowe na Ziemi.

- Zgadzam się z pańską oceną sytuacji - odpowiedział McBane, ale jego wideo nie pojawiło się. - Jeśli uda się panu utrzymać jeszcze piętnaście minut, być może część załogi bazy uda się uratować. Poza tym nie mam innych pomysłów.

- Rozumiem, majorze. Postaramy się wytrzymać jeszcze piętnaście minut.

- Później dostaniecie nowe rozkazy.

- Zrozumiałem - potwierdził Woroszyłow. - Słuchajcie, chłopcy, przekazuję słowa majora McBane'a - powiedział na kanale bojowym.

- Hola, nie wszyscy tu mają jaja - przerwał mu ochryply głos kobiecy.

- Przepraszam, madame, bardzo przepraszam - poprawił się Woroszyłow, czemu towarzyszyło kilka śmiechów. - Panie i panowie - zmienił wstęp - jeśli utrzymamy się jeszcze piętnaście minut, istnieje realna szansa, że dzięki temu przeżyją ludzie w bazie - przeszedł od razu do rzeczy.

W tym momencie do okopu obok niego, zataczając się, wszedł Backsyht z działkiem szybkostrzelnym na ramieniu, ciągnąc za sobą na linie dwustukilogramowy zasobnik z nabojami. Własnej broni nie miał, zabrał jeden z uszkodzonych automatów.

- W tej gęstej mgłę wahają się z podjęciem ataku, chyba mają problemy z łącznością -

przerwał Woroszyłowowi. WPCE przydzieliło mu najwyższy priorytet, chociaż wcale tego nie żądał.

Najemnik przez chwilę analizował dane przyniesione przez Baksyhta. Szkliwiaki szykowały się do ataku, kierując się na opancerzone stanowisko, które wybrał na ośrodek ostatniego oporu.

- Poczekamy, aż zaatakują, i złapiemy ich w kleszcze. Będzie to krótkie natarcie, ale z użyciem wszystkiego, co jeszcze mamy. Ja z tamtymi ludźmi - przed oczami wszystkich rozwinął się stosowny wykaz - tunelami łącznikowymi przesuniemy się do przestrzeni pomiędzy pierścieniami obrony i kiedy będą atakować, napadniemy na nich z lewej strony. Jane z tymi ludźmi - tym razem lista była krótsza - zrobi to samo z drugiej strony. Pozostali będą utrzymywać pozycję, i to za wszelką cenę. Musimy się jeszcze utrzymać przez czternaście minut i pięć sekund. Później się wycofamy.

Rozkazy Woroszyłowa obrazowała mapa okolicy z naniesionym na nią planem działań. Nie był zgodny z większością podręczników taktyki wojskowej, więcej niż skromne siły o niewielkiej sile ognia zostały rozdzielone do wykonania ataku na wielokrotnie liczniejszego przeciwnika. Ale kłopoty z łącznością to poważny problem. Przyszedł czas na podjęcie ryzyka.

Automat serwisowy zaczął zestawiać prymitywny trójnóg pod działko Baksyhta. Woroszyłow aktywował systemy swojej broni i jako pierwszy wyruszył realizować własne rozkazy. Na szczegółowe kontrole nie było czasu. Ważyły się właśnie losy obrońców.

Fahrey stała oparta o mur. Wieża bojowa opierała się atakom tylko dzięki doskonale zaprojektowanej obronie pasywnej i aktywnej, skombinowanej z zacięłym blokowaniem dróg dostępu. Oprócz niej pozostało przy życiu tylko dwóch ludzi. Mimo że nikt nie popełnił błędu, nikt nie zginął niepotrzebnie, a w dodatku sprzyjało im szczęście. Tylu zabitych.

Odpędziła ponure myśli i połączyła się z czujnikami wieży. Na falach długich radar zdołał przeniknąć przez mgłę otaczającą bazę. Walka toczyła się już pod ścianami głównej kopuły. Wiedziała, że szkliwiakom najbardziej chodzi o schwytanie żywych ludzi.

- Kapitan Fahrey?

- Tak, majorze? - odpowiedziała natychmiast.

McBane użył do połączenia ultrafioletowego lasera o dużej mocy, wycelowanego w czujniki wieży, stanowiącego bardziej broń niewielkiego rażenia niż środek łączności.

- Za minutę w czasie T zostanie dosłana do pani wieży dodatkowa porcja energii. Proszę aktywować systemy i przygotować się do wykonania następnego rozkazu: używając

pełnej siły ognia, zniszczyć kopułę mieszkalną i jak najszerzy obszar wokół niej. Jeśli nie nadejdą dalsze rozkazy, w czasie T plus dwieście czterdzieści sekund niech pani wznowi ostrzał. Potem proszę działać według własnego uznania.

- Czy może mi pan wyświecić ten niezwykły rozkaz? - zapytała.

- Niestety, nie.

Łączność urwała się, promień lasera zniszczył odbiornik.

Fahrey automatycznie uruchomiła stoper i poinstruowała swoich ostatnich podwładnych. Przyrost energii miał mieć miejsce w pięćdziesiąt pięć sekund po skończeniu rozmowy z majorem, ale on już się nie odezwał.

Backsyht nie zrozumiał ostatniego rozkazu, lecz pomimo tego biegł, jakby stawką było życie. W gruncie rzeczy tak właśnie było.

Przebiegł przez nadal funkcjonującą komorę ciśnieniową, kierując się wskazówkami HID-u. Wiodły na dół, do kondygnacji podziemnych. Oczekiwał jakiegoś przeciwdziałania, ale kopuła ziała pustką. Zauważył bałagan, opróżnione magazyny i częściowo rozebrane urządzenia techniczne, HID informował, że razem z nim biegło jeszcze pięciu innych ludzi, a Woroszyłow na końcu. Kierunek wytyczonej trasy zmienił się nagle, posłusznie skręcił w bok i zaczął zbiegać do podziemi. Jeśli to była pułapka zastawiona przez szkliwiaki, to właśnie się zatrzasnęła.

Gunner wyszedł z budynku reaktora, nieco się zataczając, ponieważ ekoszkielec po kilku trafieniach podczas boju oraz jego reaktor wykazywały tylko pięćdziesiąt pięć procent sprawności.

Nikt nie odpowiadał na próby nawiązania łączności. Nie wiedział, czy został sam na całym Plutonie, jako ostatni żywy człowiek. Zwłoki Kovacsa leżały w centrali sterowania reaktorem. Najemnik pilnował mu tyłów aż do momentu ożywienia źródła energii. Markwair zginął podczas wycofywania się.

Gunner odwrócił się w kierunku chmury mgły. Najgęstsza snuła się w pobliżu kopuły. Błysnęło, więc bez zastanowienia padł na ziemię, choć wiedział, że to niepotrzebne. Błysk był efektem otwarcia ognia przez uzbrojenie wieży. Szkliwiaki przejęły nad nią kontrolę i wymazały ludzką bazę z powierzchni Plutona. Czujniki skafandra, oślepienie zalewem cząstek wszelkich rodzajów energii, ustabilizowały w końcu pracę i okazało się, że mgła, a także kopuła zniknęły, a wraz z nimi kilkadziesiąt metrów lodowej podstawy.

Gunner milczał, czuł tylko prawidłowy puls swego zmęczonego serca - to był koniec.

Ale po minucie ciszy, nieprzerywanej przez głos żadnego człowieka, HID wyświetlił znak wywoławczy Kuzmina.

Nastaw tryb pasywny.

Jeśli możesz dojść na miejsce niezauważony, to idź.

Jeśli nie, zostań tam, gdzie jesteś, i zadbaj o siebie sam, przekaz informację.

Współrzędne załączone.

Gra toczyła się dalej, Gunner poczuł odradzającą się nadzieję. Może nie w to, że przeżyje, ale w to, że ludzie, najemnicy i żołnierze zwyciężą. McBane był chytry i przewidujący. Przed chwilą zginęli wprawdzie wszyscy w kopule, ale on, Gunner, i jego koledzy jeszcze mogli zabić kilka cholernych szkliwiaków. Mogli im choć trochę się odplacić. A nawet zupełnie odplacić, z procentem. Mogli spróbować skopać im tyłki tak, żeby nigdy w życiu już na nich nie usiedli.

Sprawdził działanie maskowania skafandra, nastawił czujniki na tryb pasywny, laser lokacyjny, który odmówił posłuszeństwa, w ogóle wyłączył. A potem ruszył ku wyznaczonemu celowi poprzez pustkowie pogruchotane w zaciętej bitwie. Nie śpieszył się, miał czas, pozwalał WPCE na sporządzanie mapy terenu i wybieranie najdogodniejszej trasy. W uszach brzmiała mu muzyka starej, liczącej dwieście pięćdziesiąt lat kapeli rockowej o wymownej nazwie TNT

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

JEDEN ZA WSZYSTKICH, WSZYSCY ZA JEDNEGO

Korytarz rozszerzył się nagle w obszerną jaskinię. Pod Backsyhtem ugięły się kolana i upadł na lód. Ślizgał się na brzuchu, ryjąc w gładkiej lodowej powierzchni głębokie bruzdy. Ludzie siedzący i stojący, w lekkich i roboczych skafandrach, usuwali mu się z drogi. W końcu zatrzymał się z hełmem wbitym w lód pośród chaotycznie zgromadzonych bloków hardware'u. Kręcili się wokół nich technicy, kilku pochylało się nad staromodnymi monitorami komputerów, tworząc naprędce centrum informatyczne.

Backsyht usiłował wstać, ale nie powiodło mu się, ekoszkielec odmawiał współpracy. Po dwudziestu sekundach nieskutecznych usiłowań WPCE zablokowało sztuczne mięśnie, żeby swymi chaotycznymi ruchami nie uszkodził skafandra albo nie wyrządził sobie jakiejś krzywdy. Trochę to nim wstrząsnęło, więc zrezygnował z dalszych prób. Był po prostu zbyt wyczerpany.

- Chciałbym teraz dokładnie wyjaśnić, dlaczego tu jesteśmy i co mamy robić, a przede wszystkim, po co musimy to zrobić, na wypadek gdy nadejdzie najgorsze - przemówił czyjś głos.

Nie poznał czyj, lecz ikona należała do majora.

Słuchał, jak szczegółowo opisuje to, czego już od dawna się domyślał, a przy tym uściśla swoje własne domniemania na temat szkliwiaków, istot pochodzących z jakichś superzimnych głębin kosmosu, jak informuje wszystkich o ich złowroziej umiejętności pozyskiwania danych bezpośrednio z ciał porwanych ludzi.

- Załoga stacji Cyklop stwierdziła to w porę i zdecydowała się raczej zginąć, niż ryzykować, że wróg dowie się wystarczająco dużo z ich mózgów i wypowie wojnę całej ludzkiej cywilizacji - zakończył McBane.

Backsyht wiedział, że nie mówił całej prawdy. O śmierci osiemdziesięciu tysięcy ludzi zdecydował prawdopodobnie jeden wysoki rangą, inteligentny i pojętny człowiek. Szalenie wręcz bezwzględny. Zabił wszystkich, przeświadczony o swojej racji. „I w gruncie rzeczy dobrze zrobił” - pomyślał Backsyht ze zgrozą.

Spice odpoczywała oparta o ścianę. Jej skafander był uszkodzony i tylko częściowo

umożliwiał poruszanie. Przyglądała się jaskini, którą McBane kazał przygotować jako ostatni punkt oporu. Dowódca był niezwykle sprytny i przewidujący, ale dobrze wiedziała, że ONI na pewno odnajdą to schronienie. Ludzi zdradzi ciepło, gdziekolwiek by się ukryli. Istoty ludzkie zawsze wydzielają ciepło. Nakazała nie w pełni działającemu HID-owi, żeby odszukał pozostałych najemników. Do wnętrza przedostali się McBane, Chorybd, Fincher, Baksyht i ona. Oprócz tego jeden robot Jane. Jane oczywiście nie, nie miała takiej możliwości.

„Widzisz, pomagałaś nam, a myśmy cię poświęcili” - myślała Spice ze zmęczeniem i świadomością beznadziejności sytuacji.

- Na pewno te wszystkie skurwysyny nie wlażyły do kopuły, zanim McBane ją zniszczył - mruknęła pod nosem.

- Masz rację, ale ponieśli wielkie straty. Według moich obliczeń utracili już ponad połowę swoich środków.

- Jane? - zawołała Spice. - Przeżyłaś w podziemiach i masz łączność?

- Niestety, nie w podziemiach, mój zbiornik macierzysty dostał za swoje już podczas walki. Ale zanim to nastąpiło, przeniosłam się.

Spice puknęła laserem w robota. Wyglądał na większego niż poprzedni, ale to nic nie znaczyło, ponieważ każdy twór Jane był oryginałem składającym się z tego, co znalazła w bazie.

- To świetnie - prawie się zaśmiała, ale zaraz spoważniała, rozglądając się po jaskini.

Pod ścianami leżały ogniwa energetyczne, gromadka techników pracowała nad przenośnym reaktorem jądrowym, inni stawiali nadmuchiwany namiot, w którym mieli odpoczywać ci, których skafandry nie umożliwiały dłuższego pobytu w panujących tu warunkach. Spice rzuciła okiem na termometr. Tylko w przeciągu minionej godziny pobyt około dwustu ludzi wraz z wyposażeniem spowodował podniesienie temperatury w jaskini o dwadzieścia stopni.

- To na nic, i tak nas znajdą - stwierdziła.

- Masz rację - potwierdziła Jane. - Zostawiłam w korytarzu kilka czujników pasywnych. Już się zbliżają.

McBane podszedł z tubą specjalnej farby przeznaczonej do używania w ultraniskich temperaturach i przeszedł w poprzek jaskini z jednej strony na drugą, wykreślając grubą czerwoną linię. Wybrani technicy zaczęli obchodzić ludzi, przyczepiając każdemu na piersi małe granatowe kółeczko.

- Kiedy nieprzyjaciel nadciągnie, musimy zrobić jedną rzecz. Dla siebie, dla ludzi na Ziemi - powiedział McBane. - Każdy z was ma przyklejony do skafandra silny ładunek

wybuchowy. Zabije was w mgnieniu oka i zniszczy ciało tak, że szkliwiaki nie uzyskają z niego żadnych informacji. Każdy z was dysponuje kodem do swego ładunku.

Spice też dostała kod, chociaż jako najemnik miała do dyspozycji różne metody zejścia z tego świata.

- Jeśli nieprzyjaciel przekroczy linię, odpalcie ładunki - dokończył McBane. W jego głosie można było wyczuć emocje.

Spice szybko sprawdziła połączenie ładunków. McBane nie powiedział całej prawdy. Ani on, ani żaden z najemników nie miał w ręce włącznika, ale wystarczyło, że jeden z ludzi zdecydowałby się detonować ładunek, a razem z nim wybuchną wszystkie pozostałe. Właściwie to było najprostsze rozwiązanie, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Ogólna zasada dla każdego. „A może stanie się to także ogólną zasadą dla wszystkich żyjących ludzi” - pomyślała.

- Zbliżają się - oznajmiła Jane.

Chorybd też o tym wiedział. Gdzieś postradał swoją zintegrowaną broń i teraz stał obok czerwonej linii uzbrojony w karabin elektromagnetyczny. Spice spojrzała na jego dane techniczne. Był zupełnie wyładowany, w ogniach nie zostało już nic. To oznaczało, że najskuteczniej będzie użyć go jako maczugi. Chorybd wiedział o tym i dlatego stanął tuż przy samej linii. Ludzi to wyraźnie uspokoiło. Spice wzruszyła ramionami. Była śmiertelnie zmęczona, a w takich przypadkach zawsze stawała się cyniczna.

Gunner przebierał się w nowy skafander bojowy w przenośnej komorze ciśnieniowej ustawionej właśnie w tym celu. Na ogół trwało kilkanaście godzin, zanim człowiek przystosował biometrikę i elektronikę do swego ciała. Tutaj jednak ktoś wykonał dobrą robotę i natychmiast po wejściu do skafandra najemnik zdołał osiągnąć dziewięćdziesiąt pięć procent gotowości.

- Kiepskie uzbrojenie - mruknął, spoglądając na dwa podwieszane gatlingi i niewielki zbiornik z nabojami i materiałem strzelniczym.

- Ciszej tam - zaśmiał się Kuzmin.

Gunner nie pamiętał, kiedy słyszał śmiejącego się Kuzmina. Ten śmiech był szczególnie, dziwaczny, jakby wydał go z siebie wąż.

- Ciszej na zewnątrz? - zapytał.

- Może być - odparł Kuzmin i zaczął ładować swój bagaż do uchwytów skafandra.

Gunner natychmiast poznał, co to jest. Taktyczna bomba atomowa nazywana pieszczotliwie Bumbolą. Trzysta kiloton, za jej posiadanie groziła śmierć. Obok leżała druga,

podobna.

- Te łajdaki uczą się zbyt szybko - zaczął cicho tłumaczyć Kuzmin. - A Jane i McBane na podstawie tego, czego już się dowiedzieliśmy, powzięli podejrzenie, w jaki sposób potrafią to zrobić: wyzerają człowiekowi mózg i zaraz wiedzą wszystko, co w nim jest.

Gunner słuchał, sprawdzając równocześnie sprawność systemów skafandra. Ten wstęp musiał mieć jakieś ukryte znaczenie, ważny powód, dla którego milkiwy zazwyczaj Kuzmin tak długo mówił.

- Ze swoich analiz McBane wysnuł wniosek, że mają centralne dowodzenie tak samo jak my.

Gunner znieruchomiał. Już wiedział, do czego zmierza jego partner.

- Gdzieś muszą mieć sztab, który zbiera pozyskane informacje i stosownie do nich kieruje atakami. Jane nazwała ich supertechniczną strukturą plemienną. Mam gdzieś, co to za jedni, chodzi o to, żeby moja niespodzianka zadziałała.

Ikona przedstawiająca Kuzmina zdeformowała się na moment, symulując wzruszenie ramionami, a on sam kontynuował wywód:

- McBane zaczął im stopniowo podsuwać informacje. Informował oddziały, co do których miał przeświadczenie, że zginą w boju lub dostaną się w ręce obcych, o różnych nieprawdziwych rzeczach ważnych dla nieprzyjaciela. Sądząc po tym, jak szybko reagowali, ocenił odległość od ich centrum. Z kilkoma ludźmi przeprowadziłem rekonesans, do celu dotarłem sam. Jeńcy ze źródłem twardego promieniowania pod skórą naprowadzili nas dokładnie na miejsce.

Gunner chciał coś powiedzieć, ale Kuzmin go ubiegł.

- Przez skafander nic nie przejdzie, to jasne. Ale kiedy go zdjęli... Tym się zdradzili.

Kuzmin skrzywił twarz w swoim charakterystycznym grymasie, Gunner był jedynym, który nie odczuwał strachu.

- Mów dalej - zachęcił Kuzmina, który przyczepiał do skafandra drugą bombę.

- Już nie ma o czym mówić. Przyjdziemy i odpalimy im to pod tyłkami. To koczownicy, a ta sprytna dziewczyna ze zbiornika twierdzi, że już nie mają wielu rezerw, chyba nawet żadnych. Może z nimi wygramy.

- W takim razie chodźmy po gałązkę oliwną! - zakończył rozmowę Gunner i jako pierwszy wlaźł do wąskiej szczeliny, która była dla nich bramą do bazy szkliwiaków.

Na początku szło łatwo. Po godzinie ostrożnego marszu przez wykute w skale korytarze Gunner pomyślał, że zawsze będą wyglądały na opuszczone, ponieważ szkliwiaki

są dla nich niewidzialne. Jednak po kolejnych trzydziestu minutach Kuzmin go wyprzedził i, nie nawiązując łączności, samym tylko gestem prawej ręki zasygnalizował, żeby przeszedł na tryb ultrapasywny, co oznaczało maksymalne ograniczenie działania wszystkich przyrządów, bez względu na ich funkcje. Takie nieco lepsze czuwanie.

Gunner posłuchał go bez entuzjazmu, skradając się za swym partnerem dosłownie na czworakach. Potem stukanie w przeziernik dało mu do zrozumienia, że ma zaczekać. Znowu posłuchał. Miał uczucie, że dostał się do królestwa duchów, gdzie nie mógł liczyć na żadną logikę. Czekał w osamotnieniu i prawie absolutnej ciemności.

- Wszystko w porządku - odezwał się Kuzmin po pięciu minutach na kanale duo, zapalając reflektor.

Gunner zobaczył go stojącego o pięćdziesiąt metrów dalej nad kupą szybko sublimujących okruszków lodowych. Przed przeziernikiem hełmu trzymał swój ulubiony nóż.

- Kriostal - powiedział zamyślony - a popękała.

Nagle klinga rozsypała się na drobne kawałki.

- Ale nożem można ich zabić - stwierdził zadowolony. - Nie są to znowu takie twarde. Idziemy dalej.

- Jak go wypatrzyłeś? - zapytał Gunner. - Na przyrządach nie było nic.

- Wyczułem śmierć, jak zawsze - odpowiedział cicho Kuzmin i poszedł dalej.

Straż pełniły tam dwa szkliwiaki. Załatwił je oba struną przecinającą. Ani jeden nie był typem bojowym.

- Też sięgają po ostatnie rezerwy - skomentował Gunner.

- No tak - zgodził się Kuzmin. - Jesteśmy już blisko celu.

W głosie zabrzmiał mu cichy śmiech.

Gunner wiedział, co to znaczy.

- Jeden z nas zwróci na siebie ich uwagę, drugi zaniesie bombę i odpali ją - powiedział coś, co było oczywiste dla nich obydwu.

- Właśnie tak - potwierdził Kuzmin.

- Będziemy losować - rzekł Gunner, odwrócił się, wydłubał ze ściany okruszek lodu, zamknął w dłoni i odwrócił się znów do Kuzmina.

- Z której ręki wybierasz? Kto ma lód, ten niesie bombę.

Kuzmin odłupał od ściany duży kawał lodu i pokazał go Gunnerowi.

- Zawsze docierałem do końca tunelu, którym poszedłem. A ten tutaj to mój tunel, już żadnego innego nie będę miał. Rozumiesz?

Gunner przestał obserwować HID, spojrzał w głąb hełmu Kuzmina. Po dłuższym

czasie w końcu kiwnął głową. Rozumiał go. W odróżnieniu od Kuzmina miał przed sobą jeszcze jeden albo i dwa tunele, do których wlezie i będzie się starał dojść aż do końca.

- Dobrze - przytaknął w końcu, upuścił zamrożony metan, patrząc, jak pomału opada na dno tunelu.

- Daję ci jakieś pięć procent na to, że przeżyjesz. Ale na trzydzieści sekund przed tym jak to odpalę, zawołam do ciebie, OK? - rzekł Kuzmin na pożegnanie.

- Nie musisz.

Rozdzielili się bez dalszych słów. Nie mieli mapy, ale podczas poprzedniego rekonesansu Kuzmin odkrył pewne prawidłowości w budowie szkliwiackich korytarzy i tym się teraz kierowali.

Gunner ostrożnie posuwał się w ciemności. Dosłownie w ciemności, ponieważ przy pasywnym działaniu czujników prawie nic nie widział i niczego nie wyczuwał. Musiał dostać się jak najbliżej, żeby wywołać porządne zamieszanie. Naraz bez żadnego realnego powodu uniósł lewe ramię i wymierzył broń w ciemność, a po chwili uniósł ją jeszcze odrobinę wyżej.

Zapalił reflektor, aktywował radar, skaner laserowy i nacisnął spust. Były tam, i to dużo. Korytarz rozszerzał się na kształt rozciątego cylindra. Szkliwiaki tłoczyły się wokół ścian, pośrodku stało jakieś urządzenie w kolorze mlecznego lodu, którego przeznaczenia nie sposób było odgadnąć. Pierwszych pięć zginęło, zanim pozostałe zdążyły wykonać jakikolwiek ruch. To musiało być miejsce odpoczynku, coś na kształt koszar. Najemnik odpalił granaty i poszedł dalej, nawet nie sprawdzając, czy za sobą zostawia same tylko martwe stwory. Skafander bojowy sygnalizował pierwsze trafienia, ale było ich dziwnie mało. Gunner skakał, odbijał się od ścian, przetaczał po lodzie, raz był tu, a raz gdzie indziej, używał wszystkich swych umiejętności, doświadczenia oraz technicznych środków, jakie zapewniało mu wyposażenie. Wszystko po to, żeby przeniknąć jak najgłębiej w terytorium nieprzyjaciela. Zawadziła o niego rakietą, zmieniając pustą podstawę jego wyrzutni w przechłodzoną ciecz.

„Martwym szczęście sprzyja” - pomyślał tylko i dalej zstępował do lodowego piekła, klnąc na niedostateczną siłę ognia swojej broni.

Potem nagle pisnęła ikona Kuzmina, zmieniając się w mały grzyb atomowy, pod którym szybko przeskakiwały liczby od trzydziestu do zera.

Gunner, jakby w nim ktoś przekręcił wyłącznik, zasypał przestrzeń przed sobą granatami i rzucił się do ucieczki.

W czarnym wylocie korytarza nic się wprawdzie nie pojawiło, ale detektor

grawitacyjny nastawiony na maksymalną czułość prawie oszalał. McBane wydał rozkaz i światło reflektora rozjaśniło sztuczną jaskinię, ludzi leżących na lodzie samotnie lub w grupkach. Wszyscy w skupieniu obserwowali pusty wylot.

O krok przed czerwoną linią nadal stał Chorybd w potarmoszonym skafandrze, jak ucieleśnienie nocnych koszmarów setek ludzkich generacji. McBane powoli podszedł do wytyczonej granicy.

- Ukażcie się wreszcie, przecież wiemy, że tam jesteście - powiedział na ogólnym kanale.

Z ciemności powoli wyszło pięć zwierciadlanych postaci tylko trochę niższych od Chorybda, w pełnym wyposażeniu bojowym. Za nimi szli inni, trochę mniejsi.

Jeden ze szkliwiaków podszedł blisko do najemnika trzymającego karabin elektromagnetyczny. Swymi zmysłami musiał wyczuć, że nie ma w nim ani śladu energii. Ciężka broń mignęła w rękach Chorybda z nadzwyczajną szybkością i jej cięższa, tylna część trafiła obcego w korpus. Drugi raz, trzeci, aż szkliwiak się zatoczył. Dwa inne odciągnęły go w bezpieczne miejsce, a trzeci uniósł broń. Chorybd nie czekał. Z całą siłą, jaką mógł rozwinąć jego ekoszkielec, rzucił się naprzód, przewracając wroga na lód. W chwilę później zawyla jego elektromagnetyczna przecinaczka, posypały się sublimujące kryształki, ale w sekundę później upadło ludzkie ciało. Superodporny skafander był rozerwany na całej długości. Krew nie zdążyła wytrysnąć, zamarzając błyskawicznie. McBane na pozór nie poświęcił martwemu towarzyszowi broni żadnej uwagi.

Kuzmin leżał na plecach, oprócz systemu podtrzymującego życie i reflektora w jego skafandrze nie działało już nic. Stożek rozszerzającego się światła ukazał lustrzane postacie rojące się wokół niego. Spadł na nie z wysokości kilkudziesięciu metrów. A raczej rzucił się, żeby w niskiej grawitacji spadanie nie trwało zbyt długo. Wielki szkliwiak z dwoma wyrostkami przypominającymi głowę nachylił się nad nim i przyłożył źle widoczne ostrze do nasady hełmu.

- Teraz umrzesz, człowieku - rzekł, o dziwo, zupełnie zrozumiale.

Kuzmin roześmiał się.

- Mogę się o to założyć! - odpowiedział, zanim szkliwiak rozciął mu skafander razem z klatką piersiową.

McBane stał na czerwonej linii naprzeciw jednego z obcych.

- Nie macie szans. Zupełnie nie rozumiecie, przeciwko komu wystąpiliście - mówił

monotonnie. - Jesteśmy ludźmi. Zabijamy się nawzajem, topimy we własnej krwi, z której mogą się wynurzyć tylko najsilniejsi, najbardziej bezwzględni z nas. I właśnie takich napotkaliście. Z nas nie zrobicie niewolników, jesteśmy urodzonymi zabójcami. Może kiedyś pożremy się nawzajem, ale przedtem wy połamiecie sobie na nas zęby. Raczej umrzemy, jak to się stało na Neptunie, niż mielibyśmy pójść na jakiegokolwiek ustępstwa.

- Zapamiętaj to, Jane - powiedziała Spice, słysząc równocześnie, jak wszyscy wstrzymali oddech, obserwując dystans dzielący obcego od linii.

Nagle czujniki zarejestrowały silne promieniowanie twardych cząsteczek charakterystycznego rodzaju, w chwilę później nadeszła seria tak silnych wstrząsów, że wielu ludzi straciło równowagę. Kuzmin i Gunner wykonali swoje zadanie. Spice nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy smucić. Pozostawała tylko obojętność.

- Straciliście kolejną ważną część swych sił. Wielu już was nie zostało - powiedział McBane. - Walcząc z nami, wy też zginiecie. Czy będziecie w stanie przeciwstawić się całej flotyli, która wkrótce nadleci?

McBane zamilkł i stał nieruchomo naprzeciw wielkiego szkliwiaka.

Cisza przedłużała się.

- My nie przegrywamy, nie z istotami ciepłokrwistymi - rzekł naraz obcy, a jego głos zdawał się dobiegać ze wszystkich stron. - To była pierwsza lekcja, pierwsza tura.

Odwrócił się i odszedł, a za nim jego świta. Pozostał tylko martwy Chorybd i resztki szybko znikających kryształków.

Spice rozplakała się. Nie wiedziała, z jakiego powodu, wiedziała tylko, że jej to dobrze zrobi.

EPILOG

Backsyht stał obok majora, Gunnera i Bruggera, w niewielkim oddaleniu od pozostałych, i obserwował manewr lądowania trzech modułów z krążowników „Invincible”, „Inflexible” i „Indomitable”. Przestrzeń już od dawna zabezpieczały bezzałogowe statki ochronne, stacje naziemne i roboty bojowe wyglądające, jakby drzemały. Nadmuchiwane namioty wznoszące się nad wykopanymi w pośpiechu halami podziemnymi, w których w nie najlepszych warunkach spędzili ostatnich dziesięć dni, w porównaniu z tą nowoczesną techniką wojskową sprawiały wrażenie nędżnych.

Ale i statki kosmiczne wyglądały na niewielkie, kiedy nastawił swój HID na właściwą skalę. Drobne wytwory ludzkiego umysłu w porównaniu z niebezpiecznym, wrogim wszechświatem.

Moduły wylądowały, wszyscy piloci znakomicie przeprowadzili manewr zwany „ślizgawką”, polegający na przesunięciu lądownika przed dotknięciem gruntu o kilkaset metrów w bok, żeby nie wpaść we wrzący metan, ale trafić celnie na pewną powierzchnię. W chwilę później w srebrzystych kadłubach pojawiły się ciemne otwory i rozpoczął się desant stu pięćdziesięciu żołnierzy ciężkozbrojnej piechoty. Backsyht nastroił się na czujniki pozostałych najemników, a WPCE zobrazowało mu, jak wyczekujące do tej pory roboty poprzedzające desant ludzi przechodzą z automatycznego trybu pasywnego do aktywnego. Ich operatorzy pozyskali już wystarczającą ilość danych o sytuacji.

Potem razem z innymi już tylko czekał, aż przybysze zblizną się do nich. Znikali i znów się pojawiali na pozornie równym terenie. Dawniej ich marsz wydawałby się Backsyhtowi doskonale skoordynowany, szybki i budzący respekt. Teraz dostrzegał błędy w maskowaniu, we współpracy pomiędzy poszczególnymi grupami. Przeszedł przez piekło, które go zmieniło.

Major McBane stał na czele. Człowiek, bez którego już dawno wszyscy byliby martwi, wojskowy geniusz, walczący o uratowanie każdego mężczyzny i każdej kobiety na Plutonie. Człowiek? Kiedy przypominał sobie dane, jakie po ataku z orbity przeglądała Fahrey, aż się uśmiechnął. McBane de facto nie był człowiekiem. Była to ludzka świadomość wszczepiona do chemicznie i biologicznie ulepszanego mózgu utworzonego w oparciu o technikę kopiowania opracowaną przez Bio Tech Jap. Wyłonił się z masakry, jaka rozpętała się podczas ataku na koncern, który go wytworzył, przyswoił sobie osobowość jednego z

zabitych, uratował wielu ludzi i został najemnikiem w stopniu majora, z drugim najlepszym wynikiem co do liczby akcji zakończonych sukcesem przy najmniejszych stratach własnych.

Backsyht o tym wiedział, Fahrey również. I tak powinno zostać, aż do śmierci. Nie musieli nic ze sobą uzgadniać.

Żołnierze zdążyli już otoczyć i zabezpieczyć teren.

„A może nas osaczyli?” - pomyślał. Zależało to od punktu widzenia. Mężczyzna w najnowszym modelu skafandra, który z porównaniu z tymi, jakie mieli na sobie, wyglądał na zupełnie nieużywany, podobnie jak kreacje modelek na wybiegu, wyszedł naprzód i ceremonialnie zasalutował majorowi.

Backsyht nasłuchiwał na kanale dowodzenia. Oprócz niego dostęp do tego kanału mieli Brugger, Spice i Jane.

- Czy ta wytworzona jednostka, mam na myśli sztuczną inteligencję, z którą pan współpracował w początkowych fazach obrony, została ostatecznie zniszczona? - padło zdawkowe pytanie, którego Backsyht przez cały czas oczekiwał.

Trzymetrowy robot skonstruowany według zasady „co się nawinie” wyprostował się i dziwnie kulawym krokiem podszedł do rozmawiających dowódców.

- Nie, pułkowniku - odpowiedziała Jane.

Reakcja żołnierzy była natychmiastowa, w robota celowały dziesiątki luf najróżniejszych broni. Backsyht domyślał się, że na pokładach krążowników ogłoszono właśnie najwyższy stopień alarmu.

Ale daleko było tym ludziom do szybkości reakcji Gunnera, Bruggera, a nawet jego własnej. Brugger wymierzył w oficerów swój naprawiony już miotacz cząsteczek. Niczym niezakryte jądro miotacza żarzyło się jak małe słońce. Backsyht tylko podniósł do góry chorągiew.

Na diamentowej folii widniał obraz Plutona z Charonem i jasnym Słońcem w tle. Planetę przecinał na pół purpurowy pas - ku pamięci tych, którzy przelali tutaj swoją krew.

- Witam na Plutonie, pułkowniku, witam w moim domu - odezwała się Jane. - Z uwagi na to, że właśnie z maksymalnym wyęzieniem wszystkich sił odparliśmy atak niezwykle niebezpiecznego wroga, proponuję kontynuować naszą współpracę.

Pułkownik był wyraźnie zdezorientowany, kilka razy włączył i wyłączył kanał komunikacyjny.

- To bez sensu! Nie macie szans, nie możecie stawić nam oporu! - wykrzyknął, machając ręką w stronę majora. - Występuje pan przeciw ludziom! Połączył się pan z jakimś cholernym komputerem przeciw człowiekowi! Zdradził pan naszą cywilizację!

Nagle spostrzegł przedmiot leżący na lodzie przed Gunnerem i zamilkł. Rozpoznał bombę na pierwszy rzut oka.

- Jestem najemnikiem, pułkowniku - odpowiedział Brugger zamiast majora. - Wasza zasrana cywilizacja jest mi dłużna miliard, a ja mam obawy co do terminu płatności. Obecna tu Jane zaoferowała mi jeszcze dziesięć, jeśli pomogę jej dogadać się z panem. Muszę jednak przyznać, że nie jestem zbyt dobrym negocjatorem.

- Proszę o pozwolenie na zaprezentowanie moich przyjaciół i współpracowników - wmixszała się do rozmowy Jane. - Pan McBane, naczelny dowódca moich sił zbrojnych, pan Gunner, moje siły zbrojne, pan Brugger, doradca do spraw wojskowych. Pan Backsyht, mój ambasador, którego, mam nadzieję, zabierze pan ze sobą, żeby reprezentował mnie w wewnętrznych obszarach Układu Słonecznego.

- To nonsens, moi przełożeni prędzej wysadzą Plutona w powietrze, niż wezmą udział w tej śmiesznej grze! - wykrzykiwał pułkownik, nie spuszczać oczu z bomby atomowej leżącej na lodzie.

- Oczywiście, że mogą tak zrobić - powiedział chłodno McBane. - Ale może zdadzą sobie sprawę z tego, że gdzieś na skraju Układu Słonecznego porusza się nieprzyjaciel, dla którego cały nasz rodzaj jest zdobyczą. Dysponuje techniką wyższego stopnia niż nasza i może znowu zaatakować w dowolnym momencie. O wiele lepiej przygotowany niż tym razem. Albo przyślą mu posiłki z głębin kosmosu. A ludzkość, cała cywilizacja, na którą się pan powołuje, skończy się jak płomyk świecy na wietrze. Potrzebuje pan informacji, które ma Jane. - Skinął w kierunku robota. - Cholernie ich pan potrzebuje, a jeśli idzie o te najważniejsze, nie posłała panu jeszcze ani jednego bita.

Na chwilę zapadła cisza, jaka panowała na Plutonie przez całe eony, zanim przybyli tu ludzie.

- Proponuję, aby ewakuował pan uratowanych i poinformował przełożonych o zaistniałej sytuacji. Kolejną rundę negocjacji dyplomatycznych musimy zacząć za jedenaście godzin i dwadzieścia osiem minut - zakończył rozmowę McBane.

Do prowizorycznego schronienia Backsyht wrócił ostatni. Przed wejściem odwrócił się i spojrzał na pustą w tej chwili równinę Plutona. Pozostała na niej tylko flaga z planetą przekreśloną purpurowym pasem.

POSTEPILOG

F. Backsyht

Ambasador sztucznej inteligencji znanej jako Jane pozostał w jej służbie przez całe czterdzieści lat. Dopiero po śmierci została opublikowana jego ostatnia książka pod tytułem „Jak zjednoczyłem ludzkość”. Dzieło wzbudziło liczne kontrowersje. Jest jednak faktem, że ludzka cywilizacja w toku współpracy z Jane, pozostając pod zagrożeniem tajemniczych, widmowych szkliwiaków, skonsolidowała się i rozwiązała większość globalnych sporów. Co tylko potwierdziło ostatnie zdanie książki Backsyhta: „Człowieka może uratować jedynie zagrożenie z zewnątrz”.

Major McBane

Postać legendarna, uważana przez niektórych za mityczną. Według źródeł historycznych pracował dla Jane prawie przez sto lat. To pozwala powątpiewać w jego człowieczeństwo. Niektórzy utrzymują, że również dziś, ponad sto pięćdziesiąt lat później, pozostaje przy życiu i dowodzi flotyllami Jane, krążącymi po dalekich rubieżach Układu Słonecznego.

M. Spice

Spotkała się z porucznikiem Mopentenem w najlepszej restauracji paryskiej w roku 2256. Ich spotkanie znane jest historykom jako randka generałów. W trakcie tego tête-à-tête nastąpił koniec wielkiej wojny pomiędzy zjednoczonymi koncernami a Unią Euroazjatycką.

A.K. Woroszyłow

Po wojnie na Plutonie nigdy już nie wstąpił do aktywnej służby. W części kupił, a w części dostał w podarunku dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych tajgi syberyjskiej. Wraz z kapitan Fahrey wychował pięciu synów i jedną córkę. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat zginął podczas strzelaniny z kłusownikami. Konflikt ten znany jest jako mała wojna północna. Woroszyłow sam stawiał czoła setkom uzbrojonych przestępców, towarzyszących swemu despotycznemu przywódcy V.L. Karachnowowi w wyprawach łowieckich. Połowę z nich zlikwidował, ale samozwańczy car zdołał uciec. W trzy dni później jego ludzie napadli na synów Woroszyłowa i zlikwidowali jedno z ostatnich państw autorytarnych na Ziemi.

W. Brugger

Przez trzy lata używał swego bogactwa, a później wstąpił do służby w armii Jane. Zniknął nie wiadomo kiedy i nie wiadomo gdzie. Jego majątkiem zarządza software, osoba prawna o nazwie Najemnik. Żywy czy martwy, Brugger pozostaje najbogatszym człowiekiem w całym Układzie Słonecznym. Ze względu na komplikacje, jakie mogłoby wywołać uznanie go za zmarłego, nikt nie podważa jego statusu zaginionego.

O. Kuzmin

W 2270 roku został ogłoszony świętym. Pewne sekty uważają go za bojownika dnia sądnego.

D.W. Brassi

Jako jedyny z poległych ma na Plutonie swój pomnik. Co ma przedstawiać rzeźba przypominająca mózg połączony z sercem przerośniętym hiperkonstrukcją techniczną, do dziś dnia jest przedmiotem sporów estetyków i typologów. Nie wiadomo, kto i kiedy postawił ten pomnik. Jane zawsze ignorowała prośby o wyjaśnienie tej sprawy.

H. Chorybd i S. Pietro

W oparciu o historię ich przyjaźni zostało napisane jedno z najświetniejszych dzieł literackich pod tytułem „Koledzy”. W obecnej dobie należy ono do kanonu sztuki dramatycznej, obok „Odysei” i innych pereł literatury.

G.X. Gunner

Zwany Przeklętym Gunnerem. Stał na czele wciąż jeszcze nielicznych sił Jane podczas ataku zwolenników wojny, którzy napadli na Plutona wbrew podpisanym porozumieniom. Wraz z większością swoich podwładnych poległ w bitwie, ale spowodował tak ciężkie straty wśród napastników, że musieli się wycofać i Jane wróciła do samodzielnej egzystencji.

A. Fincher

Po walce na Plutonie wystąpił z aktywnej służby, założył prywatny szpital i specjalizował się w leczeniu ran wymagających obszernej rekonstrukcji ciała. Według pewnej części uczonych powinna mu być przyznana Nagroda Nobla za rozwinięcie techniki transplantacyjnej na nowym, wyższym poziomie.

J. Kovacs

Jego nazwisko nosi seria najlepszych bojowych statków kosmicznych ludzkiej floty operującej na granicy Układu Słonecznego.

POŚLOWIE

NAJEMNICY - WOJNA PRZYSZŁOŚCI

Po przeczytaniu ostatniej strony tej książki zostało we mnie mnóstwo uczuć i refleksji. Duma z tego, że jestem człowiekiem, zdumienie nad złożonością i pięknem wszechświata, smutek spowodowany śmiercią bohaterów; zgroza na myśl o tym, do jak krwawego gatunku należymy, uczucie podniosłości wobec heroizmu, rozbawienia dla akcentów komicznych.

„Najemnicy” łączą w sobie akcję charakterystyczną dla klasycznego militarnego science fiction, respekt dla praw naturalnych hard science fiction, tajemniczość godną dobrych powieści detektywistycznych i mrozącą krew w żyłach atmosferę horroru. A do tego grupa głównych bohaterów, za których człowiek, chcąc nie chcąc, trzyma kciuki i życzy im, żeby przeżyli, wiedząc równocześnie, że nie wszystkim się to uda, a może nawet nikomu.

„Najemnicy” przymuszają do nieprzerwanego przewracania stron, pobudzają ciekawość i przyspieszają puls. Gwarantują dobrą zabawę, która ukrywa w sobie wiele powodów do przemyśleń. A bez nich doznania podczas lektury nie byłyby tak doskonałe.

Autor bardzo interesująco przedstawia pojęcie ludzkości. Termin ten w tekście nie jest wykorzystywany wprost, pojawia się raczej w sposób domyślny. Sztuczna inteligencja, o której wiemy, że przed laty, aby przeżyć, zniszczyła całą ludzką kolonię, jest sympatyczna. Rozumiemy jej motyw, odmiennosc od własnych stwórców. W napięciu obserwujemy, jak nawiązuje stosunki z ludźmi, co umożliwi jej następne przemiany i sformowanie własnej osobowości. Nigdy jednak nie przekracza granicy koniecznej do przeżycia w okrutnym świecie, nie staje się marionetką w rękach ludzi, ale nowym, inteligentnym gatunkiem, z którym trzeba się będzie w przyszłości liczyć.

Cały wojenny wątek powieści przepojony jest delikatną warstwą humanitaryzmu; prastarą myślą - życzeniem, żeby podstawowym powodem istnienia żołnierzy, rycerzy, wojowników bez skazy i strachu nie było zabijanie, ale ochrona słabszych i bezbronnych.

Żołnierze u Bartosa nie są na szczęście czcigodnymi rycerzami Okrągłego Stołu. Wśród opisów zmagania z niegościnnym środowiskiem planety, pośród wojskowych operacji z użyciem znakomitej techniki, prowadzonych w celu przeżycia, autor znalazł czas na to, aby przybliżyć nam bohaterów książki jako realne postacie, mające swoje problemy, marzenia i swoją przeszłość.

W zespole najemników znajdują się jednostki reprezentujące całą gamę ludzkich charakterów. Od doktora Finchera, który do nich dołączył w wyniku dziwnych i poplątanych zrzążeń losu, poprzez doskonałego najemnika, ale przede wszystkim człowieka, Woroszyłowa, aż po lodowatego Gunnera czy Kuzmina - ludzi, którzy doszli tak daleko, jak tylko człowiek może dojść. A może jeszcze kawałek dalej.

Tym silniejsze sprawia wrażenie, kiedy są gotowi poświęcić się dla innych, zachować według zasady prawdziwych herosów - jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, stać się bohaterami - ratownikami.

W przeciwieństwie do większości militarnych science fiction i najbardziej znanych space oper autor umieścił akcję w stosunkowo niedalekiej przyszłości i w bliskim wszechświecie; starał się maksymalnie uwypuklić kwestie związane z kierunkiem rozwoju nauki, wychodząc ze współczesnego poziomu wiedzy. Narzędzia bohaterów, ich broń, skafandry, środki transportu działają na teoretycznie znanych nam zasadach, są tylko bardziej skuteczne i odporniejsze niż cokolwiek skonstruowanego współcześnie. Właśnie potęga techniki, nieludzkie możliwości maszyn bojowych w kombinacji z tym, co w biznesie śmierci potrafimy już dziś, pozwala jeszcze dokładniej ocenić kruchość i cud życia.

„Najemnicy” przemawiają do różnych czytelników. Tych, w których tkwi podziw dla bohaterów bez lęku, do mężczyzn i kobiet czynu, którzy nie dają się zatrzymać nawet śmierci i dopną swego.

Dociekliwość jest charakterystyczna dla większości czytelników science fiction, zadają pytania: co by było gdyby? Podziwiają technikę przedstawioną w książce oraz jej olbrzymie możliwości.

A w końcu dochodzi do głosu ta część naszego ja, która pyta, kim jesteśmy, jak długo jeszcze tu pozostaniemy i czy, będąc największymi drapieżnikami na planecie Ziemia, nie zniszczymy sami siebie.

Każdy może sobie wybrać coś, co najbardziej mu odpowiada. Nie jestem w tym posłowi całkiem obiektywny, ponieważ dzieło Tomáša Bartoša, uczonego, który swoją wyprawą w dziedzinę literatury naukowo-fantastycznej zrealizował chłopięce marzenia, towarzyszyłem od pierwszej wersji aż do kształtu finalnego, brałem udział w wielu naukowo-technicznych, jak również czysto spekulacyjnych dyskusjach, przez co być może stało się ono choć odrobinę lepsze.

Cieszę się, że moje nazwisko mogę związać z „Najemnikami” chociażby w ten sposób.

Miroslav Žamboch